

OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji), Marek
Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy
Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa



*Z okazji
Świąt Bożego Narodzenia
i Nowego Roku 2021
redakcja Opinii składa
Naszym współpracownikom
i czytelnikom
życzenia zdrowia
i wszelkiej pomyślności*

PREZES

Instytutu Pamięci Narodowej
Komisji Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

dr Jarosław Szarek

BIK-655A-40/20

Warszawa, 16 listopada 2020 r.

Pan

Andrzej Chylek

Prezes Zarządu

Instytutu Historycznego

Nurtu Niepodległościowego

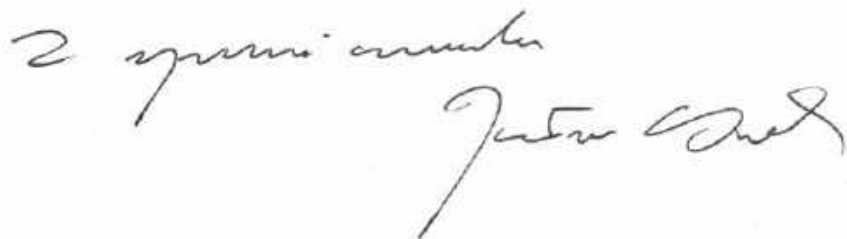
im. Andrzeja Ostoja Owsianego



bardzo dziękuję za przekazany kolejny numer kwartalnika Ośrodka Myśli
Niepodległościowej *Opinia Nurtu Niepodległościowego*.

Instytut Pamięci Narodowej wspiera i docenia działalność skoncentrowaną
na pielęgnowaniu pamięci o Nuncie Niepodległościowym Rzeczypospolitej Polskiej.

Dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym w przygotowanie kwartalnika. Bardzo
się cieszę, że wzbogaci on zasoby biblioteki Instytutu Pamięci Narodowej.



Od tej „Opinii” numeracja kwartalnika uwzględnia wszystkie
dotychczasowe numery. Nasza edycja będzie sygnowana cyframi
rzymskimi.

SPIS TREŚCI

Myśmy nie zapomnieli	9
Ogólnopolski Zjazd Formacji Niepodległościowej	12
Widowisko historyczne: „Zrzut cichociemnych ZAPORA 2020”	19
Promocja książki „Pielgrzymka na górę Athos”	29
Bitwa Niemeńska rozbiła w proch w pył nawałę bolszewicką	34
Tylko orły szybują nad granicami i nie lękają się przepaści, wichrów i burz	37
Ślubowanie kadetów rocznika 2020/2021 CXXV LO im. Waldemara Milewicza w Warszawie	40
Obchody 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Liceum w Urlach	43
Pożegnanie śp. Janusza Moszpańskiego	46
Turnus rehabilitacyjny w Augustowie	48
Ostatnie pożegnanie siostry Łucji Anieli Wojdyno	51
„Pomagamy zasłużonym dla naszej wolności”	54
MARIAN BANAŚ Krajowa Administracja Skarbowa – Od Koncepcji do Realizacji	59
DR DARIUSZ GRABOWSKI O ekonomii i nie tylko...	64
DR WOJCIECH BŁASIAK Węglowy obłęd czyli zdrada narodowa rządu Mateusza Morawieckiego	75
PROF. MIECZYSLAW ROKOSZ Kopiec Kościuszki w Krakowie. 200 lat symbolu niepodległości	89
Ks. JÓZEF MAJ PIEŚŃ USZŁA CAŁO. Formy pamięci o wojnie 1920 roku w warszawskim środowisku akademickim podczas komunizmu starej i nowej Warszawie	97

SPIS TREŚCI

Wywiad z Leszkiem Moczulskim w setną rocznicę Bitwy Warszawskiej143

ANTONI ANUSZ

O dobrą społeczną wolę i panowanie prawa (reprint z 1935 roku)167

JERZY SURDYKOWSKI

Mleliśmy chamy złoty róg.....229

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

POKAZAŁEM LEGITYMACJĘ PRASOWĄ I TYLE. Rozmowa z Jerzym Surdykowskim,
dziennikarzem niezależnym.....245

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z ks. Jerzym Błaszczakiem259

DR ANDZEJ ANUSZ

Konwent Świętej Katarzyny – najważniejsze fakty270

BETA MIKLUSZKA, ŁUKASZ PERZYNA

Poeta na urzędzie. Rzecz o Tomaszu Mercie (cz.2)281

EWA RÓŻYCKA

Z innej bajki...311

JAROSŁAW KAJDAŃSKI

Z cyklu „Kątem oka”324

MIROSLAW LEWANDOWSKI

Recenzja książki „Ubek” Bogdana Rymanowskiego331

WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI

MYŚMY NIE ZAPOMNIĘLI – 1980

Myśmy – a dokładnie Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego – nie zapomniał o tym, że 40 rocznicę Powstania Solidarności trzeba uczcić, a kulturze Solidarności i ludziom jej stęsknionym dać żyć.

Myśmy nie zapomnieli – komu, z ludzi ważnych dla historii i kultury Solidarności, z tej okazji winniśmy pamięć.



Myśmy nie zapomnieli, którzy z bardów Solidarności wierni są do dziś swojej misji.

17 września 2020r. w Bemowskim Centrum Kultury w Warszawie odbył się koncert, w którym wystąpili Jan Kondrak, Andrzej Garczarek, Kuba Sienkiewicz, Marek Majewski. Publiczność zgromadzona licznie, aczkolwiek w miarę podyktowaną rygorami pandemii, mogła posłuchać co artystom, na hasło „Powstanie Solidarności” „Rok 1980”, w duszy gra i czym natchnąć chcą dusze słuchaczy.



Wybrzmiał więc m.in. refren „ach Moskwo Moskwo pluskwo miast...” i to, że: „Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał, wrogów poszukam sobie sam” oraz to, że jak trzeba to „przeczekamy”, wreszcie „dziś szkoda łez, był NZS”

Współorganizatorami koncertu obok Instytutu Historycznego NN byli: Województwo Mazowieckie, Mazowiecka Wspólnota Samorządowa, Urząd dzielnicy Bemowo m.st. Warszawy.

Był to pierwszy koncert jaki zorganizowano z tej okazji w Warszawie.



Wydarzenie kulturalne z terenu Warszawy jest do powtórzenia w każdym innym miejscu w Polsce, trzeba tylko nawiązać kontakt z głównym organizatorem koncertu.



OGÓLNOPOLSKI ZJAZD FORMACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

W dniu 81. rocznicy agresji ZSRR na Polskę oddaliśmy hołd ofiarom sowieckiej okupacji terenów Rzeczypospolitej Polskiej, a także strażnikom Ich pamięci – działaczom antykomunistycznej opozycji w PRL, a w sposób szczególny śp. Wojciechowi Ziemińskiemu – współzałożycielowi KOR-u, członkowi ROPCiO, inicjatorowi wzniesienia na warszawskim Muranowie wymownego Pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie.

17 września 2020 r. Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wraz z Fundacją Walczących o Niepodległość, Wyklętych, Pokrzywdzonych, Internowanych, Więzionych oraz Instytutem Pamięci Narodowej zorganizowali w Warszawie Ogólnopolski Zjazd Formacji Niepodległościowej.



Rozpoczął się on Mszą świętą w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w intencji zamordowanych, zmarłych oraz żyjących działaczy opozycji antykomunistycznej i osób represjonowanych z powodów politycznych. Nabożeństwu koncelebrowanemu przez kapłanów środowisk zrzeszających opozycjonistów z czasów PRL oraz kapłanów Ordynariatu Polowego przewodniczył ks. płk Mariusz Tołwiński.



Po Eucharystii uczestnicy Zjazdu Formacji Niepodległościowej udali się pod Pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, by oddać hołd ofiarom radzieckiego najeźdźcy, który dokładnie przed 81 laty, 17 września 1939 r., dokonał inwazji na terytorium Rzeczypospolitej, pogrążonej już w wojnie z Niemcami, a także aby upamiętnić jednego ze swych kolegów – Wojciecha Ziemińskiego, wieloletniego działacza opozycji antykomunistycznej, orędownika powstania w centrum stolicy pomnika symbolizującego konsekwencje agresji ZSRR na Polskę.



W uroczystości przy słynnym monumencie przedstawiającym wagon deportacyjny wzięli również udział wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska, marszałek senior Sejmu Antoni Macierewicz, reprezentujący ministra obrony narodowej szef gabinetu politycznego MON Łukasz Kudlicki, dowódca Garnizonu Warszawa gen. dyw. Robert Głąb, prezes Najwyższej Izby Kontroli Marian Banaś, a także przedstawiciele środowisk kombatanckich i opozycji antykomunistycznej w tym przedstawiciele Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z prezesem Andrzejem Chyłkiem i Krzysztofem Lancmanem na czele, poczty sztandarowe i młodzież szkolna. Gośćmi specjalnymi wydarzenia były Zdzisława Zarębska, małżonka, oraz Teresa Krynicka-Więckowska i Małgorzata Ziemińska – córki śp. Wojciecha Ziemińskiego.

Podczas uroczystości głos zabrali organizatorzy Zjazdu: szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek oraz – w imieniu Formacji Niepodległościowej – prof. Wiesław Wysocki.

– *81 lat temu Rosja sowiecka zapragnęła dokończyć dzieła rozpoczętego trzy tygodnie wcześniej przez narodowosocjalistyczną niemiecką III Rzeszę. Rzeczpospolita, która w 1918 roku – można powiedzieć – wbrew światu odzyskała swą niepodległość i obroniła ją w 1920 roku, miała zakończyć swój żywot, miała być na zawsze złożona do grobu. Diabelski pakt podpisany na Kremlu 23 sierpnia 1939 roku między Hitlerem a Stalinem miał wymazać na zawsze Polskę z mapy serc i myśli całego świata – przypomniał Jan Józef Kasprzyk.*

– *Po raz kolejny w historii dwa sąsiednie mocarstwa zdecydowały o czwartym już rozbiórce Rzeczypospolitej. Ale Polska nie umarła. Choć zapłaciła za stanowcze „nie”, powiedziane dwóm zbrodniczym totalitaryzmom w 1939 r., ogromną cenę. Polska nie umarła, bo żył jej duch. Nie było państwa, ale istniał naród, bo pamięć i troska o to, aby odrodziła się wolna Polska, przetrwała w sercach i umysłach rodaków, choć tak bardzo byli poddawani represjom ze strony jednego i drugiego okupanta, a potem, przez blisko pół wieku, przez okupanta komunistycznego – powiedział Szef Urzędu i dodał:*

– *Ale Polska przetrwała dzięki takim ludziom, jak Wojciech Ziemiński. Polska przetrwała dzięki obecnym tu dziś weteranom walk o niepodległość i działaczom opozycji antykomunistycznej!*

Podczas uroczystości odczytano także listy okolicznościowe od premiera Mateusza Morawieckiego i ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka.



– *Chylimy przed Wami czoła. Wolna Polska, w której dzisiaj żyjemy, wykuwała się w nierównej walce z totalitarnym systemem: na niezliczonych demonstracjach, konspiracyjnych spotkaniach, w organizowaniu druku wolnościowej prasy i w docieraniu do rodaków z prawdą o rzeczywistości. Powiedzieć, że była to misja obarczona ryzykiem, to nie powiedzieć nic. Przez lata byliście prześladowani, przesłuchiwanii, represjonowani. Wielu złożyło na ołtarzu niepodległości najwyższą ofiarę. Ci, którzy nie doczekali zwycięstwa, na zawsze zostaną w naszej pamięci – napisał szef Rady Ministrów w liście odczytanym przez ministra Kasprzyka.*

Podczas uroczystości szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych uhonorował odznaczeniami resortowymi zasłużonych działaczy opozycji w PRL. Medalem „Pro Bono Poloniae” wyróżniony został prof. Romuald Szeremietiew. Natomiast medale „Pro Patria” otrzymali: Maksymilian Biskupski, Jerzy Zenon Bogumił, Henryk Knaiewicz, ks. Prałat Wiesław Migdał, Mirosława Niewiarowska, Łukasz



Bohdan Ossowski, Stanisław Sakwa, Włodzimierz Jacek Sarnecki oraz Zdzisław Wandycz.

Następnie miało miejsce odsłonięcie tablicy w hołdzie śp. Wojciechowi Ziemińskiemu, umieszczonej przy monumencie ku czci poległych i pomordowanych na Wschodzie, w szczególności wywiezionych do łagrów na Syberii i ofiar zbrodni katyńskiej, o którego wybudowanie Ziemiński tak zabiegał. Aktu inauguracji dokonała żona opozycjonisty



wraz z córkami, a także minister Jan Józef Kasprzyk, prezes Jarosław Szarek, wicemarszałek Małgorzata Gosiewska, marszałek senior Antoni Macierewicz, prof. Wiesław Wysocki oraz sędzia Bogusław Nizieński, przewodniczący Rady do Spraw Kombatan-tów i Osób Represjonowanych przy Szeffie Urzędu.

Tablicę pobłogosławił ks. prałat Józef Maj, kapelan środowisk opozycji antykomunistycznej, po czym delegacje złożyły wieńce i wiązanek kwiatów w hołdzie Wojciechowi Ziemińskiemu, który całe swoje życie

poświęcił walce z komunizmem w Polsce oraz odkłamywaniu propagandowej wersji polskiej historii.

Na zakończenie złożono wspólny wieniec przed Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie.

Ostatnim punktem czwartkowych uroczystości było spotkanie środowiskowe działaczy opozycji antykomunistycznej, połączone z konferencją naukową. Na początku udekorowano wielu uczestników Krzyżem Służby Niepodległości.



Ogólnopolski Zjazd Formacji Niepodległościowej został zorganizowany w dowód wdzięczności oraz szacunku dla członków nurtu niepodległościowego, którzy położyli szczególne zasługi w służbie państwu i społeczeństwu. Poświęcenie działaczy opozycji antykomunistycznej w walce z reżimem komunistycznym o suwerenną Polskę było bezcennym świadectwem Ich umiłowania wolności i Ojczyzny. Nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć!

--

Wojciech Ziemiński (ur. 22 marca 1925 r.) był wieloletnim działaczem antykomunistycznym, który szczególną wagę przykładął do odkłamywania propagandowej wizji polskiej historii. Pochodził z rodziny wywodzącej się z Kresów. Podczas II wojny światowej służył w Sza-

rych Szeregach oraz działających na Pomorzu organizacjach „Pobudka” i „Walka”.

W wieku siedemnastu lat próbował podjąć desperacką próbę przedarcia się do Wielkiej Brytanii. Został aresztowany przez Niemców i skierowany na roboty przymusowe do Nadrenii. Po wyzwoleniu przystąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W obliczu ich rozwiązania zdecydował się na powrót do kraju.

Był współzałożycielem i redaktorem pism II obiegu – „Opinii”, „Rzeczypospolitej”, „Solidarności Narodu”, „Polski Jutra” i innych. Był inspiratorem i współautorem wielu programowych dokumentów polskiej formacji niepodległościowej, rzecznikiem respektowania praw Kościoła oraz odzyskania prawa Narodu do samostanowienia poprzez wolne wybory.

Ziemiński był współzałożycielem Komitetu Obrony Robotników oraz członkiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W stanie wojennym pozostał w podziemiu do momentu aresztowania, skazany i więziony przez władze komunistyczne w Areszcie Śledczym Warszawa-Mokotów przy ul. Rakowieckiej. Zmarł 13 stycznia 2001 r., został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Za serwisem UdSKiOR

WIDOWISKO HISTORYCZNE „ZRZUT CICHOCIEMNYCH ZAPORA 2020”

W tym roku, w sobotę 19 września, Widowisko historyczne „Zrzut cichociemnych ZAPORA” zostało zaprezentowane po raz czwarty. Co roku wzbogacamy zarówno scenografię jak i scenariusz widowiska. Zrzut cichociemnych ZAPORA był główną częścią pikniku militarno – patriotycznego.



W wygradzonej części dla widzów powstało miasteczko namiotowe: zadaszona scena z telebimem, namiot Jednostki Wojskowej GROM z prezentacją nowoczesnego sprzętu i uzbrojenia, namioty i sprzęt 5. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej i 2. Lubelskiej Brygady OT im. mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” i polowy punkt werbunkowy Wojskowej Komendy Uzupełnień w Wyszkowie.



Namiot Starostwa Wyszkowskiego z konkursami dla dzieci oczywiście z pięknymi a także słodkimi nagrodami dla najmłodszych. Prezentowane były grupy rekonstrukcyjne, grupy motocyklowe. Namioty z militariami i różnymi atrakcjami dla dzieci.



Piknik militarno-patriotyczny rozpoczął się prezentacją sprzętu, pojazdów wojskowych i motocykli, uzbrojenia. W namiocie przy scenie rozpoczęły się konkursy dla dzieci z atrakcyjnymi nagrodami. Słodkie nagrody otrzymali wszyscy uczestnicy.

Program widowiska był następujący:

Część oficjalna: hymn państwowy, powitanie gości, modlitwa za cichociemnych, składanie kwiatów pod pomnikiem przez poszczególne delegacje i organizatorów.



List do uczestników skierował Mariusz Błaszczak Minister Obrony Narodowej który odczytał Szef Gabinetu Politycznego – Łukasz Kudlicki.





Warszawa, 19 września 2020 r.

**DO UCZESTNIKÓW UROCZYSTOŚCI
UPAMIĘTNIAJĄCYCH 77. ROCZNICĘ ZRZUTU
CICHOCIEMNYCH W OKOLICACH ŁOSINNA**

Szanowni Państwo

W czasie II wojny światowej, na pomoc okupowanej Polsce spieszyli owiani dziś zasłużoną legendą Cichociemni. Byli to żołnierze znakomicie przygotowani do działań na okupowanych terenach, specjaliści w zakresie sabotażu, dywersji, wywiadu, łączności. Cichociemni trafiali na wszystkie odcinki walki prowadzonej przez Armię Krajową. Wszędzie, gdzie rzucił ich rozkaz, wyróżniali się wykształceniem, bojową postawą i profesjonalizmem. Wśród nich byli Ci, którzy lądowali w okolicach Łosinna, na czele z mjr. Hieronimem Dekutowskim, ps. Zapora - szefem Kedywu AK w Inspektoracie Lublin-Puławy, jednym z najstojniejszych bohaterów powojennej antysowieckiej partyzantki, obecnym patronem 2. Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Organizatorom i uczestnikom Pikniku Militarno-Patriotycznego „Zrzut Cichociemnych – ZAPORA 2020” dziękuję za godne i ciekawe upamiętnienie wydarzeń sprzed lat oraz za hołd oddawany corocznie bohaterskim obrońcom naszej Ojczyzny – żołnierzom Cichociemnym.

Z wyrazami szacunku



Inscenizacja zrzutu historycznego – poprzedzona była kilkoma scenami rekonstrukcji naziemnej przygotowań do przyjęcia zrzutu i sam zrzut cichociemnych.

Żołnierska grochówka oraz regionalny poczęstunek dla rekonstruktorów, artystów i gości.



Pogoda sprawiła zarówno organizatorom jak i widzom bardzo miłą niespodziankę. Było słonecznie i ciepło, ale bez upałów i co najważniejsze bez deszczu.



Frekwencja dopisała – ok. 800 widzów. Bardzo miłym zaskoczeniem dla organizatorów pikniku, był bardzo liczny udział całych rodzin i duża liczba dzieci, także w grupach zorganizowanych.



Sponsorami uroczystości byli: Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Lasy Państwowe – Nadleśnictwo Wyszaków, Zakład Mięśny „SOMIANKA”, Powiat Wołomiński, Powiat Wyszkowski, Gmina Wyszaków.

Organizatorami byli: Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Środowisko Armii Krajowej Obwodu „Rajski Ptak”, SRH 79 PP, Teatr Makata,

Odpowiedzialni za poszczególne zadania : mjr Marcin Dominiak – **reżyser rekonstrukcji historycznej, Artur Lis (dyrektor Domu Kultury w Łochowie) – reżyser koncepcji widowiska, Mirosław Widlicki (Środowisko AK Obw. „Rajski Ptak”) – koordynator, Michał Janiszewski (Instytut Historyczny NN) – ekspresowe rozliczenia finansowe widowiska, prezes Instytutu Andrzej Chyłek – niezmordowane podpisywanie i stemplowanie stosów papierów.**

Zapora i inni



Decydującą sprawą, która skłoniła mnie do przybliżenia sylwetki majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, w formie widowiska historycznego, były obawy Majora, że ich walka w obronie niepodległej, wolnej Polski może być zapomniana. Że zbrodniarzom komunistycznym, może udać się zakłamanie i zdeptanie pamięci o ich heroicznej ofercie.

Panie Majorze obiecujemy – nie uda się !!!

Pierwsze kroki na polskiej ziemi, po powrocie do Polski, Hieronim Dekutowski stawiał pod Łosinnem, na łąkach zwanych Płocha. Nocą z 16 na 17 września 1943 r. na placówkę „Garnek” zrzucono trzech cichociemnych, 6 zasobników i jedną paczkę.

Operacja oznaczona jako „NEON 1”. Miejsce zrzutu: o kryptonimie **„Garnek”103** – polana po zachodniej stronie Łosinna.

Samolot Halifax BB-378 „D”. Siedmioosobowa polska załoga pod dowództwem por. nawigatora Władysława Krywdy ze 138 Dywizjonu RAF.

Cichociemnymi była: XXXI ekipa skoczków:

- d-ca kpt. dypl. **Bronisław Rachwał „Glin”** – przydzielony do Oddziału III KG AK, do Działu Broni Pancernych. W Powstaniu Warszawskim – oficer operacyjny w sztabie Obwodu Śródmieście. Zginął 2 września 1944 r. na rogu Jasnej i Kredytowej zasypyany w piwnicy od pocisku artyleryjskiego,

- ppor. **Hieronim Dekutowski „Zapora”** – szef Kedywu AK w Inspektoracie Lublin – Puławy. Bohater obu okupacji. Najbardziej znany i poszukiwany przez szwadrony NKWD i UB żołnierz Lubelszczyzny. Wybitny dowódca. Znakomicie wyszkolony w posługiwaniu się bronią ręczną i maszynową. Jego cechy to: odwaga, szybkość podejmowania decyzji ale i ostrożność, duże poczucie odpowiedzialności za ludzi. Bardzo wymagający ale i troszczący się o żołnierzy. Nazywany przez nich „Starym”, choć nie miał trzydziestki – uwielbiali Go i ufali mu. Jego ponad 200-osobowe oddziały przeprowadziły ponad 80 akcji bojowych, dywersyjnych i odwetowych przeciwko NKWD, UB, KBW i MO. Przy próbie przekroczenia granicy w Nysie, po zdradzie m.in. „Opala” (Stanisława Wnuka), został aresztowany 16 września 1947 roku. Po okrutnym wielomiesięcznym śledztwie skazany na 7 – krotną karę śmierci wraz z 6 podkomendnymi. Zamordowany 7 marca 1949 roku.

- ppor. **Kazimierz Smolak „Nurek”** – kurier Delegatury Rządu na kraj. Żołnierz Kedywu. 15 czerwca 1944 r. w Kielcach, Kedyw dokonał udanego zamachu na niemieckiego konfidenta Franza Wittka. Smolak zginął tego dnia w walce z Niemcami.

Zrzut odbierała Placówka XIV „Pniewo”, z dowódcą ppor. Janem Widlickim „Orskim”. Opis zrzutu (adiutanta komendanta XIV Plac. - Zygmunta Godlesia „Dębskiego”) znajduje się w „III tomie Zeszytów Wyszokowskich”.

Nie był to pierwszy zrzut w rejonie Łosinna. Na polanach Łosinna miały miejsce trzy zrzuty lotnicze z Anglii. Ten z „Zaporą” był trzecim.

I zrzut miał miejsce nocą z 3 na 4 marca 1942 r. Operacja „COLLAR”.

Miejsce zrzutu: Placówka o kryptonimie **„Pole”** (polana należąca do wsi Łosinno, 5-6 km płn-zach. od stacji Wyszoków).

Samolot Halifax L-9618 „W”. Załoga samolotu polska, ze 138 Dywizjonu RAF, pod dowództwem nawigatora por./kpt. Mariusza Wodzieckiego. Wśród 9-osobowej załogi samolotu, leciało dwóch przyszłych cichociemnych. Kpt. Wodziecki zginął kilka miesięcy później w Norwegii, wraz z załogą i trzema cichociemnymi, w jednym z kolejnych lotów do Polski.

Na placówkę „Pole” zrzucono 6 wszechstronnie przeszkolonych oficerów: IV ekipa skoczków: - d-ca kpt. Bohdan Piątkowski „Mak”, - kpt. Zygmunt Milewicz „Róg”, - por. Franciszek Pukacki „Gzymś”, - por. Jan Rogowski „Czarka”, - por. Stanisław Jankowski „Burek”, - por. Jan Kochański „Jarma”. Zrzut odbierała Placówka XIII Somianka, z dowódcą ppor. Stanisławem Urbaniakiem „Trzaską” – kierownikiem szkoły w Łosinnie.

II zrzut: 8/9 marca 1943 r. Operacja „ASTER”

Miejsce zrzutu: tym razem polana wsi Łosinno o kryptonimie **„Kruk”**, na terenie Placówki XIV – Pniewo (6 km północny – zachód od Wyszokowa).

Samolot Halifax HR-666 „E”. Załoga samolotu (7 osób) polska, pod dowództwem nawigatora Mieczysława Kuźmickiego, również ze 138 Dywizjonu RAF.

Tym razem był to „zrzut materiałowy”. Zrzucono 6 zasobników i 4 paczki, z bronią i sprzętem wojskowym. Przyjęciem zrzutu dowodzili: oficer zrzutowy Obwodu por. Edward Jakubiak „Żyłka” i oficer do spraw zrzutów Placówki XIV ppor. Roman Jacniacki „Zawieja”. Zrzut przyjmowała drużyna zrzutowa Placówki XIV z dowódcą wachmistrzem Janem Brzezińskim „Wierzbą”. Odbiór zrzutu przebiegł sprawnie. W angielskich dokumentach jest meldunek dowódcy samolotu – nawi-

gatora Koźmickiego: „Start 8 marca godz. 18.40. Lot trwał 12.30 godz. Zadanie wykonano”.

Dziś tradycje Cichociemnych kultywuje elitarna Jednostka Wojskowa GROM. Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej przejęło tradycje Komendy Głównej Armii Krajowej. Natomiast imię mjr Hieronima Dekutowskiego ps. „Zapora” nosi 2.Lubelska Brygada Obrony Terytorialnej.

Mirosław Widlicki

(Mirosław Widlicki - Ojciec ppor. Jan Widlicki – d-ca placówki odbierającej zrzut „Zapory”, Mama Genowefa Widlicka – komendantka WSK – opieka na kwaterze, odpowiadała za nakarmienie skoczków, selekcję ubrań cywilnych, zakup biletów i wyekspediowanie do Warszawy)

PROMOCJA KSIĄŻKI „PIELGRZYMKA NA GÓRĘ ATHOS”

24 września 2020 roku w Polsko – Amerykańskim Ośrodku Kształcenia Zawodowego przy Regionie Ziemia Łódzka NSZZ „Solidarność” w Łodzi odbył się wieczór autorski profesora Jerzego Kropiwnickiego połączony z promocją jego książki „Pielgrzymka na górę Athos” wydanej przez Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.



Wybrane fragmenty książki przeczytał Wojciech Bartoszek, przewodniczący Oddziału Łódzkiego Związku Artystów Scen Polskich. Wcześniej wprowadzenie przedstawił Janusz Michaluk.

- Jest to, o ile mi wiadomo, jedyne polskie wydanie, a właściwie międzynarodowe wydanie książki na temat góry Athos, zawierające jednocześnie informacje na temat niektórych aspektów prawosławia – powiedział profesor Jerzy Kropiwnicki.



Athos, Święta Góra jest miejscem całkowicie zamkniętym dla kobiet od 1060 roku. Co ciekawe nawet zwierzęta hodowlane na półwyspie są tylko płci męskiej. Statki i łodzie, na których pokładzie znajdują się kobiety, nie mogą zbliżyć się do linii brzegowej na odległość mniejszą niż 500 metrów. Goście na terenie Athos mogą przebywać maksymalnie 3 dni za specjalnym zezwoleniem a pobyt ma mieć tylko charakter tylko pielgrzymki religijnej.

Wspólnotę góry Athos tworzy 20 monasterów. Wszystkie wzniesione są według stałego planu architektonicznego, którego celem jest zapewnienie klasztorom bezpieczeństwa. Wjazd na teren monasteru jest możliwy przez jedyną bramę, która jest dodatkowo umocniona i zamykana każdorazowo o zachodzie słońca. Część klasztorów posiada dodatkowo wysokie wieże obronne. Oprócz 20 monasterów działają mniejsze wspólnoty mnichów lub też miejsca, w których mogą żyć zakonnicy-pustelnicy.

- Jest to też jednocześnie miejsce piękne pod względem przyrody. Zgodnie z legendą, jest to ogród Matki Boskiej ofiarowany jej przez Syna – mówił autor.

W imieniu Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego wystąpił Przewodniczący Rady Programowej Marek Michalik. Była to też okazja by w łódzkim środowisku wspomnieć Patrona naszego Instytutu Andrzeja Ostoja-Owsianego oraz przekazać kilka zdań o na-



szej działalności. Po spotkaniu w mediach społecznościowych Marek napisał:

Z wielką przyjemnością i radością uczestniczyłem wczoraj w wyjątkowym spotkaniu – wieczorze autorskim Jerzego Kropiwnickiego, poświęconemu promocji jego książki „Pielgrzymka na Górę Athos”. Miłym dodatkiem do wieczoru, nawiązującym do greckich opowieści, był mini recital łódzkiego tenora Dariusza Stachury.

W spotkaniu uczestniczyła maksymalna dopuszczalna względami sanitarnymi ilość osób chociaż chętnych było więcej.



--

Jerzy Kropiwnicki jest ekonomistą. Był działaczem związkowym NSZZ Solidarność, więźniem politycznym stanu wojennego, ministrem w trzech rządach: Jana Olszewskiego, Hanny Suchockiej i Jerzego Buzka. Był posłem na Sejm I i III kadencji, a w latach 2001-2010 prezydentem Łodzi. Od wielu lat pielgrzymuje. Zorganizował kilkanaście pielgrzymek do Ziemi Świętej. Odwiedził m.in. miejsca upamiętniające początki chrześcijaństwa, sanktuaria koptyjskie w Egipcie, a także klasztory Świętej Góry Athos.

Pobyt w Łodzi 24 września kierownictwo Instytutu wykorzystało by odwiedzić groby.



Patrona naszego Instytutu.



Prezesa Zarządu Instytutu Pawła Wielechowskiego.



By uczcić bohaterów Bitwy Warszawskiej spoczywających na łódzkim cmentarzu zapalono znicze na grobie porucznika Stefana Pogonowskiego.

BITWA NIEMEŃSKA ROZBIŁA W PROCH I W PYŁ NAWAŁĘ BOLSZEWICKĄ

Przed stu laty, w dniach 20-26 września 1920 r., rozegrała się Bitwa nad Niemnem – drugi, po Bitwie Warszawskiej, zasadniczy sukces militarny Wojska Polskiego w kontrofensywie przeciw Armii Czerwonej podczas wojny polsko-bolszewickiej. 25 września br. odbyły się w Warszawie obchody 100. rocznicy tego wielkiego polskiego zwycięstwa.

Podczas uroczystości na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego Szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk odczytał listy od Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego oraz Marszałek Sejmu RP Elżbiety Witek, skierowane do uczestników obchodów. Jak sam podkreślił, to nie Bitwa Warszawska, lecz bitwa nad Niemnem zadecydowała o ostatecznym wyniku wojny polsko-bolszewickiej:



– *Bitwa Warszawska była czymś więcej, niż tylko obroną świeżo odzyskanej niepodległości. Było to w istocie starcie cywilizacji łacińskiej i antycywilizacji, jaką nieśli ze sobą sowieccy żołdacy. Bitwa ta nie rozstrzygnęła jednak ostatecznie losów wojny 1920 roku. Polski żołnierz, zapatrzonny w słowa Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, pamiętał, iż „zwyciężyć i spocząć na laurach, to klęska”. Armia Czerwona bowiem, po szoku, jaki przeżyła w połowie sierpnia 1920 roku, próbowała odtworzyć swoją zdolność bojową. Należało więc nie spoczywać na laurach,*

tylko zadać jej decydujący cios. Tym ciosem, który przesądził o losach wojny polsko-bolszewickiej, który rozbił w proch i w pył nawałę bolszewicką, była Bitwa Niemeńska, której 100. rocznicę obchodzimy w tych dniach – powiedział minister Kasprzyk, dodając:

– *Operacja Niemeńska, stoczona w okolicach Grodna, Lidy, Wołkowyska i Baranowicz, przekreśliła ostatecznie haniebne plany bolszewików załadnięcia Polską i Europą. Zatrzymaliśmy marksistowską rewolucję pod Warszawą i nad Niemnem. Musimy o tym pamiętać. Również Europa musi pamiętać o tym, że swoją wolność zawdzięcza Polakom – nieustraszoną żołnierzom polskim spod Warszawy i z nad Niemna – zakończył Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.*

Po wspólnej modlitwie za dusze poległych żołnierzy odczytano Apel Pamięci, oddano salwę honorową i złożono kwiaty na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza. Wieniec w imieniu Premiera Mateusza Morawieckiego złożył Jan Józef Kasprzyk. Szef UdSKiOR złożył także kwiaty pod Pomnikiem Marszałka Józefa Piłsudskiego – dowódcy wojsk polskich w Bitwie Niemeńskiej.



W obchodach, zorganizowanych przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, udział wzięli przedstawiciele władz i instytucji państwowych, w tym Senator RP Maria Koc, Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Alina Nowak, Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Aktywów Państwowych Zbigniew Gryglas oraz Zastępca Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej Jan Baster, przedstawiciele Wojska Polskiego, m.in. Inspektor Rodzajów Wojsk DG RSZ gen. dyw. Sławomir Owczarek oraz Dowódca Garnizonu Warszawa gen. dyw. Robert Głąb, duchowni, w tym Naczelny Kapelan Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego ks. bp płk Mirosław Wola, reprezentujący Ordynariusza Polowego Wojska Polskiego ks. kmdr Janusz Bąk oraz reprezentujący Prawosławnego Ordynariusza Wojska Polskiego ks. kpt. Tomasz Paszko, kombatanci, działacze opozycji antykomunistycznej w tym delegacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego Krzysztofem Lancmanem na czele, Polacy ratujący Żydów podczas II wojny światowej oraz mieszkańcy Warszawy.

Za serwisem UdSKiOR

TYLKO ORŁY SZYBUJĄ NAD GRANIAM I I NIE LĘKAJĄ SIĘ PRZEPAŚCI, WICHRÓW I BURZ

W całym kraju trwają obchody 100-lecia Cudu nad Wisłą. Tym razem w Morawicy k. Krakowa zostały odsłonięte pamiątkowe tablice poświęcone bohaterskim obrońcom Ojczyzny z roku 1920. Uhonorowano Marszałka Józefa Piłsudskiego, gen. Józefa Hallera, gen. Tadeusza Rozwadowskiego, gen. Władysława Sikorskiego oraz księdza Ignacego Jana Skorupkę, kapelana Wojska Polskiego, który poległ pod Ossowem w obronie stolicy Polski w dniu 14 sierpnia 1920 roku. W uroczystościach wzięła udział delegacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z prezesem Andrzejem Chyłkiem i Krzysztofem Lancmanem na czele.



– *Tylko orły szybują nad graniami i nie lękają się przepaści, wicherów i burz* – brzmi inskrypcja ze słowami Stefana kard. Wyszyńskiego

go, Prymasa Tysiąclecia, która znalazła się na osłoniętych tablicach na pomniku „Niezlomnym – Ojczyzna”. Pomnik znajduje się obok kościoła p.w. świętego Bartłomieja w Morawicy.

Odsłonięcie tablic poprzedziła Msza Święta odprawiona w intencji ocalenie Polski i Europy przed stu laty od zarazy bolszewickiej przez polskiego żołnierza w walce pod Warszawą oraz w intencji Prezydenta RP.



– *Bitwa Warszawska stała się zaczynem II Rzeczypospolitej. Bez bohaterskiej walki polskich żołnierzy z nawałą bolszewicką nie byłoby pokolenia Szarych Szeregów, ani Armii Krajowej, nie byłoby Solidarności i dzisiejszej niepodległej i suwerennej Polski. Kilka pokoleń Polaków wychowało się na fundamencie wielkiego zwycięstwa z roku 1920. To z krwi przelanej w Bitwie Warszawskiej, a potem w walkach nad Niemnem, wyrosło pokolenie polskich orłów* – powiedział Novemu Miastu prezes Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego Andrzej Chyłek.

Po uroczystościach odsłonięcia tablic wykład pt. „*Bitwa Warszawska a współczesna sytuacja geopolityczna*” wygłosił prof. Andrzej Nowak, znany historyk, sowietolog, znawca stosunków polsko-rosyjskich.



ŚLUBOWANIE KADETÓW ROCZNIKA 2020/2021 CXXV LO IM. WALDEMARA MILEWICZA W WARSZAWIE

2 października br. odbyło się w stolicy ślubowanie uczniów klas woj-skowych I rocznika CXXV Liceum Ogólnokształcącego im. Waldemara Milewicza w Zespole Szkół Nr 7 w Warszawie. W uroczystości udział wziął Szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk.



W uznaniu zasług w krzewieniu postaw patriotycznych i populary-zowaniu wiedzy o tradycjach niepodległościowych wśród polskiej mło-dzieży Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych udekorował sztandar szkoły medalem „Pro Bono Poloniae”.

– Wy, uczniowie CXXV Liceum, możecie świecić przykładem dla swoich rówieśników, jak współcześnie, w czasie pokoju, należy kochać Polskę, będąc zapatrzonym w przeszłość i polskie tradycje orężne. Dziś przypada 76. rocz-nica zakończenia walk powstańczych w Warszawie w 1944 roku. To wasi rówieśnicy pokazali wtedy, w tym tragicznym wojennym czasie, że patriota jest w stanie poświęcić dla niepodległości Rzeczypospolitej wszystko – swo-

je szczęście osobiste, zdrowie, a nawet życie. To byli patrioci czasu wojny. Wy macie być patriotami czasu pokoju. Ten patriotyzm jest równie ważny, a w realizacji często nawet i trudniejszy niż patriotyzm czasu wojennego – podkreślił minister Jan Józef Kasprzyk, zwracając się do kadetów.

– Wierzę bardzo głęboko, że te słowa przyrzeczenia, które dziś złożyli uczniowie I rocznika, będą zawsze dla was drogowskazem. W murach tej szkoły bowiem uczycie się tego, że patriota czasu pokoju to człowiek roz-miłowany w przeszłości, który z tradycji czerpie siłę, dążąc do ogromnej dyscypliny wewnętrznej, zdobywając wiedzę, nabywając umiejętności bycia odpowiedzialnym za siebie i innych. Patriota czasu pokoju potrafi działać w grupie, a swoje wysiłki kieruje na rzecz wspólnoty. Ufam, że te cechy, które są wypisane na waszym sztandarze, który miałem zaszczyt odznaczyć medalem „Pro Bono Poloniae” – mądrość, wiedza, prawość – będą zawsze gościły w waszym życiu – zakończył Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



Na zakończenie uroczystości na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego jej uczestnicy złożyli wspólny wieniec na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza.

rza, oddając hołd wszystkim poległym w obronie Ojczyzny. W Parku Saskim strzelcy podziękowali ministrowi Kasprzykowi za przyznane ich szkole wyróżnienie. Szef UdSKiOR dokonał przeglądu pododdziałów i zachęcił uczniów do dumnego i godnego kontynuowania polskich tradycji wojskowych. W uroczystościach wzięła udział delegacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

--

Od września 2017 roku CXXV Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Milewicza w Warszawie bierze udział w programie Ministerstwa Obrony Narodowej dla klas mundurowych. Służy on ujednoliceniu nauczania z zakresu wojskowości w tych klasach oraz budowaniu rezerw dla armii. W ofercie liceum na rok szkolny 2020/2021 znalazły się 2 klasy wojskowe. Ich uczniowie, oprócz podstawowych przedmiotów, takich jak język polski, matematyka, historia, języki obce, mają w programie nauczania edukację wojskową. Zajęcia z tego przedmiotu są organizowane przy wsparciu między innymi jednostek wojskowych i centrów szkolenia.

Za serwisem UdSKiOR

OBCHODY 100. ROCZNY BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 ROKU W LICEUM W URLACH

W dniu 16.10.2020 r. na terenie Liceum Ogólnokształcącego im. Bitwy Warszawskiej 1920 roku z zachowaniem zasad bezpieczeństwa epidemiologicznego odbyły się Obchody 100. Rocznicy Bitwy Warszawskiej 1920 roku.

Współorganizatorem Uroczystości był Powiat Wołomiński, a Honorowym Patronatem objęta była przez: Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej im. gen. bryg. Jana Tomasza Gorzechowskiego - „Jura” w Mińsku Mazowieckim, Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia w Zielonce, Instytut Pamięci Narodowej, **Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego**, Podlaskie Muzeum Techniki Wojskowej i Użytkowej w Białanach Wąsach.

Oficjalna część uroczystości rozpoczęła się wprowadzeniem pocztu sztandarowego szkoły, podniesieniem flagi państwowej oraz odśpiewa-



niem hymnu narodowego. Następnie odbyła się polowa Msza Święta odprawiana przez ks. kan. Bogdana Lewińskiego Dziekana Jadowskiego oraz ks. Leszka Bieńkowskiego Proboszcza Parafii Urle. Pani Dyrektor mgr Maria Łopuska powitała zaproszonych gości i wszystkich obecnych na uroczystości.

Następnie głos zabrali: Piotr Borczyński Wicestarosta Wołomiński, kapitan Mariusz Tarański w imieniu Komendanta OSŻW w Mińsku Mazowieckim, Ryszard Walczak Doradca Dyrektora WITU w Zielonce.

W dowód uznania dla szkoły Pani dyrektor wręczyła przybyłym gościom pamiątkowe medale i statuetki. Następnie przedstawiciele szkoły podziękowali Pani Dyrektor za poświęcenie i wieloletni wkład pracy w rozwój szkoły.

Na uroczystość przybyli kapitan Mariusz Tarański z OSŻW w Mińsku Mazowieckim, Piotr Borczyński Wicestarosta Wołomiński, Ryszard Walczak Doradca Dyrektora WITU w Zielonce, Jerzy Dobrowolski Członek Światowego Związku Żołnierzy AK Koło „Opocznik”, Andrzej Domański Prezes Salwy Wołomin, Sylwester Chołast Dyrektor Mazowieckiego Zespołu Parków Krajobrazowych wraz z Dariuszem Stopą i Władysławem Krysikiem, Michał Janiszewski Sekretarz Zarządu Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Konrad Rytel założyciel szkoły, Magdalena Suchenek Radna Powiatowa, Radni Gminy Jadów: Danuta Tarach, Rafał Rozpara i Zbigniew Ołówka, Aniela Dobosiewicz Dyrektor ZSZ w Urlach, Karolina Matlińska Wiceprezes Jadowskiego Stowarzyszenia Historycznego, Andrzej Zbyszyński, Tomasz Wójcik, Romuald Kalinowski, a także mieszkańcy Urli, Przyjaciele i Sponsorzy Szkoły, rodzice, uczniowie oraz pracownicy szkoły.



Podczas uroczystości odczytany został list Marszałka Województwa Mazowieckiego Adama Struzika.

Dalsza część uroczystości poświęcona była występom uczniów naszej szkoły, podczas której oddano hołd poległym podczas Bitwy Warszawskiej 1920 roku śpiewając patriotyczne pieśni i recytując wiersze. Część oficjalna zakończyła się pokazem musztry paradowej w wykonaniu uczniów Liceum.

Po zakończonej części oficjalnej oraz pięknym wystąpieniu uczniów naszej szkoły tradycyjnie zaproszeni goście oraz wszyscy obecni na uroczystości mogli skosztować ciepłą grochówkę i domowe wypieki oraz obejrzeć sprzęt wojskowy wyeksponowany na przygotowanym stanowisku przez Pana Mariusza Murawskiego Dyrektora Podlaskiego Muzeum Techniki Wojskowej i Użytkowej w Bielanach Wąsach.

Wszystkim przybyłym na uroczystość gościom, mieszkańcom, rodzinom, oraz całej społeczności szkolnej dziękujemy.

POŻEGNANIE ŚP. JANUSZA MOSZPAŃSKIEGO

„Gazeta Polska KPN”, „Droga”, „Niezawisłość” czy też krajowe wydanie „Rzeczypospolitej”. Wykonywał między innymi fotoklisze do znaczków i okładek robionych metodą sitodruku. Był zatrzymywany i przesłuchiwany przez Służbę Bezpieczeństwa.

Posiadał status działacza opozycji antykomunistycznej.

29 lipca 2015 roku odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności.

Cześć jego pamięci!

W dniu 24 października 2020 roku odszedł na wieczną wachtę Janusz Moszpański.



Janusz od 1980 roku zaangażowany był w ruch Solidarności.

Działacz związku w Przedsiębiorstwie Gospodarki Maszynami – Budownictwa Warszawa. Współpracował ściśle z Komisją Zakładową „S” w Zakładzie Eksploatacji Dźwignic (jeden z zakładów wchodzących a skład PGM-BW).

Od 13 grudnia 1981 działacz podziemia solidarności i grup politycznych. Współorganizator kolportażu ukazujących się w podziemiu pism, książek i innych rzeczy które powstawały z inicjatywy podziemnych struktur „S” na terenie hoteli robotniczych skupionych w Przedsiębiorstwie Usług Socjalnych i w PGM-BW. Organizator pracowni fotograficznej na terenie Domu Kultury, nieodzwonnej do wykonywania zdjęć z akcji protestacyjnych i manifestacji gdzie wykonywano też prace niezbędne do pracy drukarskiej na sitodruku.

Od 1986 działacz Grupy Politycznej „Niezawisłość”.

Od 1987 (po skonfederowaniu grupy) działacz Konfederacji Polski Niepodległej. Współpracownik „Wydawnictwa Polskiego KPN” które ma w swoich osiągnięciach wydanie wielu książek, broszur, znaczków poczty podziemnej oraz takich pism wydawanych w podziemiu jak

TURNUS REHABILITACYJNY W AUGUSTOWIE

W dniach 18–31 października 2020 roku grupa osób posiadających status działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej skorzystało dzięki dofinansowaniu przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych z możliwości podreperowania swo-



jego zdrowia w sanatorium „Pałac na Wodzie” w Augustowie. Ten nowoczesny obiekt poza świetną kuchnią i warunkami socjalnymi oferuje szeroką gamę zabiegów rehabilitacyjnych. Kuracjuszami byli przedstawiciele Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Była to też okazja do uczczenia bohaterów, i tak;

W dniu 25 października 2020 obchodziliśmy 36 rocznicę bestialskiego zamordowania błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki. Delegacja Instytutu nn. im. Andrzeja Ostoja Owsianego w składzie: prezes Andrzej Chyłek, Krzysztof Lancman, Zbigniew Jacek Jackiewicz, oraz osoby towarzyszące wzięli udział w uroczystościach organizowanych przez burmistrza Suchowoli Michała Matyskie-

la i przewodniczącego „NSZZ Solidarność” Regionu Podlaskiego Józefa Mozolewskiego.

W dniu tym zostały złożone wiązanki kwiatów na grobie rodziców ks. Jerzego Popiełuszki, pod jego symbolicznym grobem znajdującym się na terenie Parafii pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Suchowoli i pod jego pomnikiem na placu przed kościołem. Znajduje się tam również symboliczny grób ks. Stanisława Suchowolca zamordowanego przez nieznaną sprawców, za którego pamięć odmówiona została modlitwa.



Po Mszy Świętej odprawionej w intencji bł. ks. Jerzego Popiełuszki burmistrz miasta i władze samorządowe podjęli delegację instytutu uroczystym obiadem. Obecni byli tam też hierarchowie kościoła, przedstawiciele sejmu i senatu, przedstawiciele kół branżowych NSZZ Solidarność, oraz przedstawiciele szkół im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

W czwartek 29 października 2020 przedstawiciel Formacji Niepodległościowej Pan Krzysztof Lancman na wniosek Kapituły Krzyża Służby Niepodległości” powołanej przez Formację Niepodległościową odznaczył Mariannę i Józefa Popiełuszków Krzyżem Służby Niepodległości. Uchwałę i postanowienie kapituły odczytał Andrzej Chyłek.



Świadkami wydarzenia byli między innymi Bogusław i Ewa Falkowscy, Agnieszka Bonisławska, Zbigniew Jacek Jackiewicz oraz zaproszeni goście. Uroczystość wręczenia krzyża odbyła się w „Pałacu na Wodzie” w Augustowie należącym do Państwa Falkowskich, Po uroczystości gospodarze zaprosili na wspólny obiad odznaczonych i gości wydarzenia.

*Relacja i zdjęcia
Zbigniew Lancman*



OSTATNIE POŻEGNANIE SIOSTRY ŁUCJI ANIELI WOJDYNO

W dniu 12 listopada br. odbyły się uroczystości pogrzebowe śp. s. Łucji Anieli Wojdyno – sanitariuszki Powstania Warszawskiego w pułku „Baszta”.

Uroczystości rozpoczęła Msza święta w Sanktuarium Matki Bożej Loretańskiej w Loretto k/Kamieńczyka, której przewodniczył ks. bp. Romuald Kamiński.



– W sposób odpowiedzialny, iście apostołski oddziaływała i kształtowała to społeczeństwo. Nie jesteśmy w stanie dokonać podsumowania dobra, które zrodziło się przez jej pośrednictwo. Pośrednictwo – ponieważ dawcą wszelkiego dobra jest Bóg, ale posługuje się ludźmi. Czasami bywa tak, że skutecznie postawimy tamę tej łasce. Natomiast ona była jak promień, który

przenikał i niósł ze sobą tę moc dobra. To były sprawy bardzo proste, ale kiedy patrzyło się na mnogość tych lat i intensywność tego działania, to widzimy ile dobra uczyniła w sercach ludzi, których na swojej drodze spotkała – powiedział podczas homilii biskup.



Siostra Łucja Aniela Wojdyno została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odroczenia Polski. Odznaczenie w imieniu Prezydenta RP przekazał Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

- Siostra Łucja dobrze zasłużyła się Rzeczypospolitej. Wyrazem wdzięczności i hołdu, jaki ojczyzna jej składa jest również Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, który przed chwilą w imieniu pana Prezydenta miałem zaszczyt wręczyć. W tym odznaczeniu zamknięta jest wdzięczność Prezydenta i całej Rzeczypospolitej dla jej życia, które było świadectwem tego jak kochać Boga, ojczyznę i naród. Dziękujemy dzisiaj Panu Bogu za jej życie będące świadectwem wiary, nadziei i miłości. Wiary w Boga, nadziei, że nawet wtedy kiedy ojczyzna przeżywa trudności istnieje w tej nadziei

światło, które powinno rozpalać umysły i życie, które było świadectwem miłości do Boga, ojczyzny i drugiego człowieka.

Siostro Łucjo, Siostro Kapitan dobrze zasłużyłaś się ojczyźnie. Odpoczywaj w pokoju – powiedział Szef UdSKiOR.



Siostra Łucja Aniela Wojdyno została pochowana na miejscowym cmentarzu zakonnym. Uroczystościom pogrzebowym towarzyszyła asysta wojskowa.

Siostra Łucja Aniela Wojdyno urodziła się 6 grudnia 1925 roku w Nadliwiu, pow. Radzymin. W czasie Powstania Warszawskiego była sanitariuszką, pseudonim „Aldona” w pułku „Baszta”, kompanii ppor. Dariusza Dąbrowskiego „Bożydara”. 4 lutego 2019 roku została mianowana kapitanem Wojska Polskiego.

W 1946 roku wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Loretańskiej. Posługiwała przez wiele lat jako pielęgniarka i katecheta. Trzykrotnie pełniła funkcje przełożonej domu.

Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego reprezentował Mirosław Widlicki członek Rady Programowej.

„POMAGAMY ZASŁUŻONYM DLA NASZEJ WOLNOŚCI”

W tym ciężkim czasie pandemii koronawirusa, w dniu 17 listopada 2020 roku Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego dzięki dofinansowaniu przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych rozpoczął realizację programu *„Pomagamy zasłużonym dla naszej wolności”*.



Program zakłada dostarczenie materiałów sanitarnych (maseczki, płyn dezynfekcyjny, rękawiczki jednorazowe) oraz codziennych obiadów 49 osobom posiadającym status działacza opozycji antykomunistycznej lub uprawnienia kombatanckie przez okres 31 dni.

Program realizowany jest we współpracy z „Restauracją Widoczną” a koordynuje go członek zarządu Instytutu Krzysztof Lancman.



The background features a minimalist design with two large, light gray triangles. One triangle is in the top right corner, and the other is in the bottom right corner, meeting at a diagonal line that runs from the top right towards the bottom left. The rest of the background is white.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

KRAJOWA ADMINISTRACJA SKARBOWA – OD KONCEPCJI DO REALIZACJI

Kiedy 19 listopada 2015 r. dane mi było ponownie obejmować urząd podsekretarza stanu w Ministerstwie Finansów a od 28 listopada także urząd Szefa Służby Celnej zdawałem sobie sprawę, że czeka mnie niezwykle ciężkie (i jak wielu wówczas sądziło) wręcz niemożliwe zadanie związane z naprawą szeroko rozumianej administracji podatkowej.

Administracja podatkowa i celna jaką wówczas zastałem posiadała bowiem rozproszoną strukturę terenową, skupioną w trzech niezależnie funkcjonujących pionach tj. **administracji podatkowej** (16 izb skarbowych oraz 400 urzędów skarbowych), **Służby Celnej** (16 izb celnych, 45 urzędów celnych wraz ze 141 oddziałami celnymi) oraz **kontroli skarbowej** (16 urzędów kontroli skarbowej).

Dla zobrazowania sytuacji wskazać należy, że w ramach służby skarbowej funkcjonowało w takim układzie na poziomie regionalnym 48 jednostek (izby skarbowe, izby celne, urzędy kontroli skarbowej), którym podlegały dalsze 594 jednostki lokalne (urzędy skarbowe, urzędy celne, oddziały celne oraz oddziały zamiejscowe UKS) dysponujące budżetem w wys. ponad 5,4 mld zł i zatrudniające ponad 65 tys. pracowników.

Dostrzeżone wówczas problemy związane z omijaniem przepisów podatkowych i celnych, a także uniemożliwienie przeprowadzania wspólnej i jednoczesnej kontroli skarbowej i celnej – stały się kluczowymi powodami przeprowadzenia reformy administracji podatkowej, której celem miało być m.in.:

- ograniczenie skali oszustw podatkowych, zwiększenie skuteczności poboru należności podatkowych i celnych

- zwiększenie poziomu dobrowolności wypełniania obowiązków podatkowych, zapewnienie obsługi klienta na wysokim poziomie,
- obniżenie kosztów funkcjonowania administracji skarbowej
- oraz rozwój profesjonalnych kadr administracji podatkowej.

Powyższe cele stały się ostatecznie – treścią uzasadnienia do poselskiego projektu ustawy o Krajowej Administracji Skarbowej, który wpłynął do Sejmu 3 czerwca 2016 r. (druk nr 826).

W tym zakresie w sposób szczególny dziękuje wszystkim 49 posłom, którzy wówczas zgodzili się ze mną i dostrzegli ogromny potencjał w konsolidacji służb skarbowych i celnych i jednocześnie stali się wnioskodawcami projektu (pozwólcie Państwo, że wymienię choć kilka nazwisk: Wiesław Janczyk, Krzysztof Jurgiel, Kazimierz Moskał, Krystyna Pawłowicz, Dominik Tarczyński, Robert Telus, Rafał Weber).

Warto zaznaczyć, że 116 obecnych w dniu 22 września 2016 r. w Sejmie posłów Platformy Obywatelskiej głosowało za odrzuceniem projektu ustawy o Krajowej Administracji Skarbowej już w pierwszym czytaniu. Ostatecznie za ledwie dwóch na 123 posłów Platformy Obywatelskiej (Łamczyk Stanisław, Mroczek Czesław) – głosowało za uchwaleniem ustawy o Krajowej Administracji Skarbowej.

Używając pewnej historycznej analogii można powiedzieć, że tak jak kiedyś ustawą z dnia 5 czerwca 1764 r. powołano Komisję Skarbu dla Korony, której najważniejszym osiągnięciem było uchwalenie pierwszego w Polsce budżetu z roku 1768 r. zaś podstawowym zadaniem było administrowanie finansami państwa, czuwanie nad ich stanem i równowagą budżetową, kierowanie i kontrolowanie terytorialną administracją skarbową – Tak dziś funkcje te pełni powołana do życia Ustawą z dnia 16 listopada 2016 r. Krajowa Administracja Skarbowa, która troszczy się o bezpieczeństwo finansowe Rzeczypospolitej Polskiej.

Misją Krajowej Administracji Skarbowej było i jest w szczególności zapewnienie stabilnych, efektywnych i zrównoważonych finansów publicznych.

Dzięki Utworzeniu Krajowej Administracji Skarbowej **zaledwie w 27 miesięcy** (od 1 marca 2017 do 4 czerwca 2019 tj. do czasu po-

wołania mojej osoby przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Pana Andrzeja Dudę na stanowisko Ministra Finansów) udało się uzyskać następujące efekty:

1. **Łącznie dochody sektora publicznego wzrosły** w latach 2015-2018 z poziomu poniżej 39% PKB do ponad 41% PKB₅, czyli o 2,3 % PKB

2. **Zmniejszyliśmy lukę VAT** (z ponad 24,2 % potencjalnych wpływów w 2015 roku do 12,1 % w 2019 roku) i dzięki temu osiągnęliśmy znacznie większe wpływy z podatku VAT (dla porównania w 2015 roku – 123 mld zł, a w 2019 roku – 180 891 mld zł)

3. **Wzmocniliśmy bezpieczeństwo** podatników VAT w obrocie gospodarczym i ograniczyliśmy możliwość wykorzystywania przez zorganizowane grupy przestępcze sektora finansowego do dokonywania oszustw podatkowych.

4. **Zredukowaliśmy szarą strefę w paliwach.** Pakiet paliwowy uporządkował zasady przywozu paliw do kraju, dzięki czemu bardzo szybko dokonała się rewolucja rynku paliw w Polsce. Legalna sprzedaż paliw wyrzuciła, a szara strefa została potężnie ograniczona.

5. **Zredukowaliśmy szarą strefę w wyrobach tytoniowych** (w 2015 roku kształtowała się ona na poziomie 19 %, a na koniec 2018 roku wynosiła niewiele ponad 11 % całkowitej konsumpcji i jest najniższa w historii).

6. **Zlikwidowaliśmy lukę w nadzorze** nad przemieszczaniem się przez terytorium Polski tzw. towarów wrażliwych.

7. **Uszczelniliśmy system podatków dochodowych.** Nie tylko zmniejszyliśmy lukę CIT i dzięki temu osiągnęliśmy wzrost wpływów w podatku CIT (w 2019 roku dochody z CIT wyniosły niemal 40 mld zł, dla porównania – w 2015 roku było to nieco ponad 25 mld zł), ale także osiągnęliśmy wzrost wpływów w podatku PIT (w 2019 roku z PIT zgromadziliśmy ponad 66 mld zł, dla porównania – w 2015 roku było to około 45 mld).

Tylko w latach 2016-2019 dochody podatkowe z podatku: VAT, CIT, PIT, Akcyzy, z podatku od Gier, od wydobywania niektórych kopa-

lin oraz z podatku od instytucji finansowych wyniosły: 1 305 033 bin. zł (jeden bilion trzysta pięć miliardów trzydzieści trzy miliony zł). Natomiast w analogicznym okresie czasowym tj. w latach 2012-2015: 1 004 378 bin. zł (jeden bilion cztery miliardy trzysta siedemdziesiąt osiem milionów zł).

Różnica w wysokości 300 655 mld zł (trzysta miliardów sześćset pięćdziesiąt pięć milionów zł) dodatkowych dochodów podatkowych do budżetu państwa – stanowi niepodważalny fakt świadczący za celowością podjętych z mojej inicjatywy działań związanych z powołaniem Krajowej Administracji Skarbowej oraz jest dowodem ogromnej skali nadużyć z którą przyszło mi walczyć – a za których wykrycie dziś wielu – próbuje zdevaluować dorobek mojego życia oraz moją pracę na rzecz Państwa Polskiego. Przykładowo działania Krajowej Administracji Skarbowej, które spowodowały, że do budżetu Państwa trafiło dodatkowych ponad trzysta miliardów zł umożliwiając realizację programu Rodzina 500 Plus przez następnych 7 lat ! (przypominam, że w 2020 r. na program Rodzina 500 plus przewidziano kwotę 41,2 mld zł).

Spektakularne sukcesy polegające na odbudowie bazy podatku VAT, CIT i PIT zostały osiągnięte dzięki przejściu od represyjnej, ale nieefektywnej administracji podatkowej do responsywnego modelu działania KAS. Obecnie działania kontrolne są precyzyjne, a jednocześnie mniej uciążliwe dla podatnika. Położono w nich nacisk przede wszystkim na eliminowanie z obrotu gospodarczego oszustów podatkowych i podmiotów naruszających zasady uczciwej konkurencji. Ponadto w efektywnym poborze podatków wspierają nas nowoczesne systemy analityczne i informatyczne (np. JPKVAT, SENT, STIR itd.)

Reasumując dochody podatkowe systematycznie rosną zasilając budżet państwa, który może realizować niezbędne wydatki społeczne w ramach prowadzonej polityki odpowiedzialnego rozwoju – czego nie można było dokonać w latach 2007-2015. **Definitywnie zakończyliśmy epokę, że podatki płacili tylko najbiedniejsi obywatele a duże**

korporacje i nieuczciwi przedsiębiorcy wykorzystując swoją dominującą pozycję na rynku unikali płacenia podatków.

Ostatecznie reforma dotychczasowych struktur administracji skarbowej (połączenie administracji podatkowej, kontroli skarbowej i Służby Celnej), umożliwiła lepsze wykorzystanie zasobów kadrowych, finansowych i organizacyjnych. W efekcie reformy powstała nowoczesna organizacja, która potrafi sprostać potrzebom i oczekiwaniom – szczególnie cyfrowym – obywateli i gospodarki.

DR DARIUSZ MACIEJ GRABOWSKI

O EKONOMII I NIE TYLKO...

**SPÓR O URZĘDOWĄ PŁACĘ MINIMALNĄ,
A PROFESOROWIE I ... BISMARCK**

Ponad pięćdziesięciu „wybitnych polskich ekonomistów z różnych pokoleń i ośrodków akademickich” dzienniki Rzeczpospolita i Parkiet zaprosiły do debaty i skomentowania polityki gospodarczej, w tym urzędowej podwyżki płacy minimalnej w 2021 roku. Dominowało przyzwolenie i aprobatę, a główne wątki i argumenty można zgrupować w pięciu punktach.

Punkt pierwszy – ponieważ wydajność pracy krańcowego pracownika jest wyższa od wynagrodzenia, które w postaci płacy otrzymuje, wobec tego płacę minimalną można podnosić przynajmniej do poziomu zrównania z krańcową wydajnością. Punkt drugi – urzędowy wzrost płacy minimalnej spowoduje wzrost popytu na pracę „jakie daje wolny rynek”. Punkt trzeci – ponieważ najniżej zarabiający nie oszczędzają, a praktycznie całą płacę przeznaczają na konsumpcję to oznacza, że „podniesienie płacy minimalnej szybciej podnosi popyt niż koszty produkcji”. Punkt czwarty – szybki wzrost płacy minimalnej wymusi modernizację firm poprzez inwestowanie, głównie w automatyzację. W efekcie wzrośnie wydajność pracy i wartość dodana. Punkt piąty – „tempo wzrostu płac najbiedniejszych Polaków powinno być kluczowym celem polityki gospodarczej... przyczynić się do stabilizacji lub spadku nierówności i zwiększenia inkluzji społecznej”.

Pozwolę sobie przedstawić moje kontrargumenty.

Uważam, że trzeba dokonać rozróżnienia między płacą a dochodem. Sądzę, że płaca coraz mniej waży w dochodach osób i rodzin najuboższych, coraz więcej ważą świadczenia społeczne i różne formy pomocy. Jest to sprzeczne z gospodarką rynkową i zdrową gospodarką jako taką. Dlaczego? Bo dochód coraz mniej zależy od wydajności i efektu pracy. Zmniejsza to motywację do szukania zatrudnienia. A oto dane za rok 2018. W strukturze dochodów gospodarstw miejskich dochody z pracy stanowią 55%, dochody ze świadczeń społecznych 31%, a 9,4% stanowią dochody z pracy na własny rachunek. W strukturze dochodów gospodarstw wiejskich dochody z produkcji rolnej to 10%, dochody z pracy najemnej 47,6%, świadczenia społeczne 31,5%. Zwrócę uwagę, że są to dane przeciętne. Dane krańcowe dla grup o niskich dochodach wyraźniej ukazałyby uzależnienie dochodów nie od płac, a od świadczeń społecznych.

Po drugie. Dane odnośnie zatrudnienia i płac są obciążone błędem wynikającym z nieuwzględnienia zatrudnienia „na czarno” ponad miliona obcokrajowców, głównie Ukraińców.

Po trzecie. W Polsce aktywnych zawodowo jest około 50% ludności w wieku produkcyjnym (w Europie wskaźnik ten oscyluje wokół 70%). Oznacza to, że mają inne źródła dochodów, pracują „na czarno”, bądź żyją ze świadczeń społecznych. Trudno tu mówić o wydajności pracy. Można raczej wskazywać na negatywne oddziaływanie polityki socjalnej na skłonność do podejmowania zatrudnienia.

Po czwarte. Ponad dwa miliony Polaków wyemigrowało za pracę i kolejne roczniki dorastającej młodzieży deklaruje gotowość wyjazdu. Oznacza to, że (rynek pracy w Polsce nie jest odgródzony od rynku europejskiego) polityka kształtowania dochodów przez władze miast motywować do pozostania, zachęca do wyjazdu.

Po piąte. Dochody rozporządzane na osobę na wsi w okresie 2004-2018 wzrosły o 158%, gdy w miastach o 119%. Nie mam wątpliwości, że jest dokładnie odwrotnie – wydajność pracy w miastach rośnie szybciej niż w rolnictwie. Przypomnę, że ponad 53% gospodarstw rolnych (ponad 700 tysięcy) ma obszar mniejszy niż 5 hektarów i osiąga

dochody głównie z pracy najemnej, polityki socjalnej i dopłat z Unii Europejskiej.

Po szóste. Urzędowe podniesienie płacy minimalnej odbiera przedsiębiorcom narzędzie, jakim jest polityka płacowa wewnątrz firmy. W efekcie rosną żądania płacowe robotników i kadry. W czasie kryzysu, którego jesteśmy świadkami wydaje się oczywiste, że część przedsiębiorstw na podwyżki nie stać i mogą zbankrutować. Część firm zmuszona będzie do zatrudniania i płacenia „pod stołem”. Miast uporządkowania rynku pracy pogłębi się panująca na nim anarchia.

Po siódme. Ten argument uznaję za fundamentalny. W czasie kryzysu wzrost płacy oznacza spadek zysku i spadek funduszu, który można przeznaczyć na inwestycje w firmie. Polska mała i średnia przedsiębiorczość inwestuje coraz mniej, a banki odmawiając bądź utrudniając otrzymanie kredytu walnie się do tego przyczyniają.

Po ósme. Urzędowe podniesienie płac minimalnych przyczynia się do wzrostu tempa inflacji. Takie są fakty. Dżentelmeni podobno z faktami nie dyskutują. Moim zdaniem wskaźnik inflacji podawany przez GUS jest zaniżany, co wynika jak sądzę, z nacisków rządu, gdyż jego wysokość ma wpływ na zobowiązania, głównie płacowe budżetu państwa.

Po dziewiąte. Ponad półtora miliona Polaków pracuje na zasadzie samozatrudnienia celem uniknięcia wysokiej składki ZUS i innych narzutów na płace. Oznacza to, że równe reguły gry wyznaczane przez rynek w odniesieniu do płac są przez rządzących systematycznie anarchizowane.

Po dziesiąte. Urzędowe podniesienie płacy minimalnej doprowadzi do zwolnień i wzrostu bezrobocia.

Po jedenaste. Konsekwencją urzędowego podniesienia płacy minimalnej jest... odmowa podwyżki wynagrodzeń dla nauczycieli. Samorządy nie mają pieniędzy, dlatego płaca nauczyciela stażysty z wyższym wykształceniem wyniesie 2.949 złotych brutto i będzie wyższa o 149 złotych od płacy minimalnej. Najwyższe wynagrodzenie nauczycielskie wyniesie 4.046 złotych. Jest to efekt braku środków dla jednych, gdy dba się o drugich. A podobno według Jana Zamoyskiego „Takie będą Rzeczypospolite jakie ich młodzieży chowanie”.

Moim zdaniem jedynym konstruktywnym rozwiązaniem problemu zatrudnienia i wynagrodzeń powinna być natychmiastowa radykalna podwyżka kwoty wolnej od opodatkowania sięgająca 50 tysięcy złotych rocznie. Takie rozwiązanie umożliwiłoby przedsiębiorcom podnoszenie płac bez pogarszania rentowności firm, zlikwidowało „płacenie pod stołem”, a pracownikom przywróciło poczucie godności z dobrze wykonywanej i opłacanej pracy.

Teza o pozytywnym wpływie podnoszenia płacy minimalnej na popyt globalny jest powabna. Jest ona kontynuacją strategii rozwoju gospodarczego PiS, opierającej się nie na oszczędnościach i inwestycjach, a na stymulowaniu konsumpcji. Moim zdaniem taka strategia na dłuższą metę jest dla polskiej gospodarki zgubna. Dlaczego?

Po pierwsze. Spadają inwestycje polskich małych i średnich przedsiębiorstw.

Po drugie. Poza usługami i częścią żywności większość dóbr konsumpcyjnych pochodzi z importu. To zagraniczne firmy jako pierwsze korzystają ze zwiększonych wydatków konsumpcyjnych Polaków. Przykładem dobitnym jest tu import ponad miliona używanych samochodów w 2019 roku (głównie ponad 10-letnich, ekologicznie szkodliwych). Łączny koszt importowanego do Polski samochodowego „złomu” wraz z wydatkami na paliwo był bliski rocznym wypłatom z puli 500 plus i wyniósł ponad 20 miliardów złotych.

Po trzecie. Rodziny najuboższe i nie tylko takie kupują głównie w: Biedronce, Lidlu, Kauflandzie – zagranicznych sieciach handlowych. To na ich konta w pierwszym rzędzie popłyną złotówki z podniesionej płacy minimalnej. Dodać należy, że firmy te praktycznie nie płacą podatków dochodowych w Polsce i nie podlegają żadnej kontroli. Jednocześnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba polskich sklepów zmniejszyła się o ¼ czyli o ponad 100 tysięcy. Dodajmy, że w nabywanych przez Polaków dobrach konsumpcyjnych ponad 20% stanowi podatek VAT, który „wróci” do budżetu państwa. Pomniejsza on konsumpcję.

Dlatego od lat apeluję i powtarzam. Jeśli chcemy podnosić konsumpcję najuboższych, to należy radykalnie obniżyć podatek VAT

na dobra konsumowane przez tę część obywateli. W przeciwnym razie stymulowanie popytu i wzrostu gospodarczego przez wzrost płacy minimalnej skutkuje podniesieniem dochodów kapitału zagranicznego i umocnieniem jego pozycji na polskim rynku, przy pogarszającej się konkurencyjności polskich przedsiębiorstw.

Moim zdaniem analiza wydajności pracy i płac w Polsce w skali mikro, w odniesieniu do polskich małych i średnich przedsiębiorstw prowadzi do wniosku, że marża zysku w przedsiębiorstwie jest z reguły niska i pole na podwyżki płac niewielkie. A kryzys sytuację bardzo pogorszył. Jednocześnie w sektorach zmonopolizowanych, państwowych i zagranicznych wydajność pracy nijak się ma do astronomicznych wynagrodzeń.

W skali makro wydajność pracy w Polsce jest niska ze względu na niską skłonność do podejmowania zatrudnienia, co jest efektem anarchizującej polityki dochodowej prowadzonej przez państwo wynikającej zarówno z przepisów prawa, jak systemu podatkowego i innych.

Teza o korzystnym wpływie wzrostu płac na modernizację przedsiębiorstw w obecnej sytuacji polskich małych i średnich firm jest więcej niż dyskusyjna.

Inwestycje z reguły skutkują wzrostem produkcji – a zatem musi nastąpić rozszerzenie rynku bądź istnieć ku temu poważne przesłanki. Tymczasem obserwujemy zmiany zachowań konsumentów polegające głównie na ograniczeniu wydatków konsumpcyjnych, na „szanowaniu pieniędzy”. Taka perspektywa zniechęca do inwestowania, ryzyko straty jest zbyt duże.

W usługach, które zatrudniają ponad 50% pracujących w Polsce automatyzacja nie postępuje zbyt szybko. Podniesienie płac oznaczać będzie podwyżkę cen usług, a to w konsekwencji podroży koszty robocizny w przemyśle, rolnictwie czyli całej gospodarce.

Inwestowanie, modernizacja firmy wymaga kredytu, a ten dziś stał się bardzo drogi i trudno dostępny. Dla małych i średnich firm prawie nieosiągalny. To, że inwestycje są zbyt ryzykowne dowodzi gwałtowny wzrost depozytów w bankach w Polsce (w PKO BP i PKO S.A. wzrosły one w II kwartale o ponad 33 miliardy złotych, co dowodzi że firmy

wolą poczekać). Oznacza to jednocześnie, że rozdział środków z tzw. tarcz antykryzysowych był ułomny. Ogromne pieniądze trafiły do tych, którzy ich nie potrzebowali, a nie do tych którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Przewiduję, że znaczna część dotacji z tarcz zostanie wytransferowana zagranicę bądź ulokowana w nieruchomościach. Argumentem, że inwestować w Polsce nie warto są rosnące inwestycje Polaków na giełdach zagranicznych. Według oficjalnych szacunków tylko w czerwcu wyniosły one ponad 2 miliardy złotych. Moim zdaniem szacunki te to wierzchołek góry lodowej, a prawdziwe kapitały wytransferowane z Polski i ulokowane na giełdzie nowojorskiej są wielokrotnie większe. To jednocześnie dowód, że z warszawskiej giełdy prawdziwi inwestorzy „uchodzą w popłochu” wobec skali spekulacji, podejrzanych wzlotów i upadków – na które nie ma żadnej reakcji ze strony instytucji nadzorujących.

Szczególny mój sprzeciw budzi teza, że kluczowym celem polskiej gospodarki powinien być wzrost płacy najbiedniejszych.

Takie postawienie sprawy oznacza całkowite oderwanie dochodów od wydajności pracy. Takie sformułowanie celu polityki gospodarczej cofa nas w myśleniu do epoki urawniłowki i hasła „czy się stoi, czy się leży...2800 się należy”. Takie sformułowanie celu polskiej gospodarki eliminuje nas z wyścigu w gospodarce globalnej. Walka z nierównościami społecznymi nie może oznaczać, że wysoka i niska wydajność pracy są wynagradzane tak samo. To zachęta do emigracji wykształconych, energicznych, twórczych Polaków. We współczesnym świecie wiedza, pomysł, oryginalność wyniesione zostały na piedestał i opłacane są najwyżej. Jeśli nie zdecydujemy się godnie i wysoko wynagradzać kreatywnych to nie będziemy ich mieli, a wtedy tych, którzy w Polsce pozostaną skazemy na biedę. Popyt na pracę rośnie głównie w działach nowoczesnych technologii. Jeśli będziemy tracić tu wykształconych młodych Polaków, a troszczyć się przede wszystkim o nisko wykwalifikowanych to aktywność zawodowa, tak przecież niska, będzie maleć, a rosnać będą płace i udział w zatrudnieniu obcokrajowców, głównie Ukraińców.

Kibicuję i pochwalam inicjatywę dzienników Rzeczpospolita i Par-

kiet. Raz – bo wzywa do dyskusji o sprawach ważnych, dwa – bo ukazuje jak kontrowersyjne są stanowiska polskich naukowców. Przywołuje mi to na pamięć zdanie Bismarcka „Hundert Professoren und das Vaterland ist verloren (stu profesorów i ojczyzna zgubiona). Obym się mylił.

POLSKI PRZEDSIĘBIORCA WOBEC USTAWY O OCHRONIE ZWIERZĄT Z ROKU 2020

Brakuje rzetelnych danych o strukturze własności ziemi w Polsce, udziale podmiotów zagranicznych w wytwarzaniu, skupie, przetwórstwie i handlu produktami pochodzenia rolniczego. Fakt ten daje do myślenia i uznać należy za naganny. Tym niemniej trzeba zauważyć, że od momentu wstąpienia Polski do UE w roku 2004 eksport naszych produktów pochodzenia rolniczego gwałtownie wzrósł i osiągnął w 2019 roku poziom 31,8 mld euro. Rolnictwo stało się eksporterem netto. Dla przykładu – Polska jest trzecim co do wielkości eksporterem wołowiny w UE, największym eksporterem pieczarek, znaczącym eksporterem drobiu, przetworów mlecznych, owoców, tytoniu. Radykalna przemiana, modernizacja a często budowa od podstaw dokonała się w przetwórstwie, dystrybucji surowców i produktów pochodzenia rolniczego. Można śmiało powiedzieć, że branża rolno-spożywcza a także transport samochodowy to dwie dziedziny, które dobrze wykorzystały szansę wynikającą z otwarcia rynku unijnego oraz dostępu do funduszy unijnych. Trzeba jednak pamiętać, że w handlu a zatem tam, gdzie zarabia się najwięcej kapitał zagraniczny (niemiecki, holenderski, włoski, nawet ukraiński i inne) dominuje zagarniając marżę ze szkodą dla polskich rolników i przetwórców rolnych.

Wzrost udziału polskich producentów żywności w podaży na rynek unijny wywołał nerwowe reakcje ze strony konkurentów. Znalazło to wyraz w kwestionowaniu jakości polskich owoców i warzyw (przykładem Szwecja, Czechy), mięsa drobiowego i innych. Szczególnym zja-

wiskiem stały się kampanie medialne dyskredytujące jakość polskich produktów rolnych.

Jednocześnie podjęte zostały działania mające na celu wyeliminowanie polskiej konkurencji na międzynarodowym rynku produktów rolnych za sprawą... polskich środowisk – nazwijmy ich po imieniu „terrorystów ekologicznych”. Pierwszym tego przykładem była ustawa o zakazie tuczu gęsi procedowana w polskim parlamencie z inicjatywy pani poseł Katarzyny Piekarskiej (1999 rok). Drugim – obowiązujący do dziś zakaz eksportu polskiej żywności do Rosji. Równocześnie firmy z Europy Zachodniej, głównie holenderskie i niemieckie, nie tylko zajęły nasze miejsca w eksporcie do Rosji, ale co więcej, zbudowały, wyposażyły oraz przeszkoliły personel w nowopowstałych ogromnych przedsiębiorstwach rolno-spożywczych w Rosji. Dziś Rosja i Ukraina są już znaczącymi eksporterami produktów rolnych sprzedawanych po bezkonkurencyjnie niskich cenach.

Obecnie procedowana ustawa to pod pretekstem ochrony zwierząt perfekcyjnie realizowana strategia eliminowania polskich rolników i przetwórców rolnych z tych rynków, na których stali się groźni dla zachodnich producentów.

Użyto ideologii wykorzystującej „troskę o zwierzęta” angażując w kampanię środowiska pseudoekologów, celebrytów, media i co najgorsze, nieświadomych wagi sprawy obywateli. Pomocna okazała się także naiwność, niewiedza ale też „usłużność” polskich polityków i urzędników państwowych.

Tymczasem warto pamiętać, że likwidacja lub ograniczenie skali działalności jednej branży w rolnictwie pociąga za sobą spadek produkcji w innych. Przykładowo – do ferm drobiarskich potrzebne są ziarno i inne surowce rolne. Pozostałości po przetwórstwie drobiu, by uniknąć kosztownej utylizacji są skarmiane na fermach zwierząt futerkowych. W rolnictwie obowiązuje zasada „naczyń połączonych” i trzeba mieć świadomość, że konsekwencją ograniczeń narzuconych ustawą w stosunku do jednej branży rolnej będzie spadek produkcji i dochodów w kilku innych włączając przetwórstwo i handel.

Osobnym problemem jest tu perspektywa znalezienia zatrudnienia dla ludzi, którzy tracą pracę w likwidowanej branży rolnej. Rodzą się też pytania, co z ziemią, co ze splatą zaciągniętych zobowiązań. Należy też wskazać na przykład przedsiębiorstwa Ursus, które jako jedyny polski producent traktorów i maszyn rolniczych zamiast być wspierany w swej działalności jest konsekwentnie niszczone przez polskie urzędy, instytucje i banki.

Współczesne rolnictwo by było efektywne, czyli wytwarzało tanio i dobrej jakości produkty, wymaga odpowiednich rozmiarów rynków zbytu. Polski rynek wewnętrzny jest dla wielu produktów zbyt wąski – przykładem wołowina. Zatem ograniczenie eksportu danego produktu skutkować będzie nie tylko spadkiem produkcji, ale także wzrostem kosztów wytwarzania, wzrostem ceny na rynku rodzimym, a w konsekwencji może prowadzić do zastąpienia polskiego surowca tańszym z importu. W sumie oznaczać to będzie postępującą likwidację branży, a w dalszej perspektywie, po osiągnięciu na rynku pozycji dominującej, wzrost ceny dla polskiego konsumenta. Tak oto konsumpcja żywności na rodzimym rynku miast tanieć, zacznie drożeć.

Przedstawione tu stanowisko jednoznacznie przemawia za odrzuceniem ustawy. Przedsiębiorcy i producenci rolni powinni połączyć siły w obronie wspólnych interesów. Niech powstanie realny sojusz wszystkich polskich podmiotów gospodarczych: z przemysłu, handlu, usług, rolnictwa na rzecz zwycięstwa w walce z globalną konkurencją.

Sumując:

Polskim rolnikom i hodowcom grozi:

- wykup polskiej ziemi przez zagraniczny kapitał,
- bankructwa gospodarstw rodzinnych z powodu spadku dochodów i zadłużenia,
- likwidacja branż: futerkowej, trzody chlewnej, bydła i innych z powodu „wdzięczenia się” władz do środowisk pseudoekologicznych, braku skutecznego nadzoru weterynaryjnego a także niekontrolowanego pod względem jakościowym i sanitarnym importu żywności,
- upadek nowoczesnych, towarowych gospodarstw z powodu nie-

uczciwej konkurencji, braku dostępu do rynku krajowego za sprawą zagranicznych sieci handlowych oraz blokowanie eksportu przez zagraniczne koncerny,

- przymus zaopatrywania się w bardzo drogie maszyny i środki produkcji dla rolnictwa w zagranicznych firmach i koncernach z powodu likwidacji polskich przedsiębiorstw wystawionych dziś na nieuczciwą konkurencję i politykę rządu faworyzującą zagraniczne firmy,

- przymus sprzedaży swych produktów po zaniżonych cenach, w skrajnie niekorzystnych warunkach zagranicznym sieciom handlowym z powodu likwidacji, bankructw polskich sklepów i przedsiębiorstw handlowych niszczonej dziś błędną polityką rządu preferującą zagraniczne koncerny,

- pogorszenie opłacalności i ograniczenie eksportu na skutek kampanii szkalujących jakość polskiej żywności i brak właściwej reakcji ze strony polskiego Ministerstwa Rolnictwa.

Polskiemu konsumentowi – Tobie, mnie, naszym dzieciom i rodzinom zagraża;

- import dotowanej żywności zawierającej ogromne ilości konserwantów, stabilizatorów, utrwalaczy i innych preparatów chemicznych,
- utrudniony dostęp do polskich produktów żywnościowych eliminowanych z wielkich sieci handlowych,
- fałszowanie danych o producencie, „podszywanie się” pod polskie marki i polską flagę,
- wzrost cen produktów żywnościowych po wyeliminowaniu z rynku bądź znacznym ograniczeniu sprzedaży polskich produktów rolnych.

Polski rolnik nie ma przyszłości bez zamożnego polskiego konsumenta.

Polski konsument jest i będzie jego najlepszym klientem.

Polski producent i handlowiec współpracujący z rolnictwem nie ma przyszłości bez zamożnego polskiego rolnika.

Polski rolnik chce kupować środki produkcji i handlować z polskimi producentami i handlowcami.

Należy;

Wprowadzić pod obrady Sejmu projekt ustawy powołującej do życia Państwową Inspekcję Jakości i Kontroli Żywności, przede wszystkim tej z importu.

Oddłużyć polskie rolnictwo i wstrzymać egzekucję gospodarstw rolnych.

Podnieść wydatki z budżetu państwa na polskie rolnictwo do poziomu 1,2% PKB.

Wspierać organizacje, spółki, klastry, stowarzyszenia rolnicze wprowadzające na rynek zdrową, taną, smaczną polską żywność.

Zinwentaryzować i podać do publicznej wiadomości obszar polskiej ziemi wykupionej przez podmioty zagraniczne, w tym spółki z przewagą kapitału zagranicznego.

Naprawić funkcjonowanie Inspekcji Weterynaryjnej, ARiMR-u i KRUS-u.

Wprowadzić politykę wsparcia finansowego, promocyjnego i innych polskiego przemysłu i handlu współpracującego z rolnictwem oraz długookresowej strategii promowania polskiego eksportu żywności.

WĘGLOWY OBLĘD CZYLI ZDRADA NARODOWA RZĄDU MATEUSZA MORAWIECKIEGO

W piątek 25 września br. rząd premiera Mateusza Morawickiego dość hucznie ogłosił zawarcie porozumienia ze związkami zawodowymi, na czele z górnictwem „Solidarność”, z Międzyzwiązkowego Komitetu Protestacyjno-Strajkowego, o całkowitej likwidacji polskiego górnictwa węgla kamiennego do roku 2050. Tak więc po 5-ciu latach cynicznego okłamywania polskiej opinii publicznej, a śląskiej społeczności regionalnej w szczególności, o tym, że górnictwo węglowe będzie rozwijane, włącznie z budową nowych kopalń, rząd Morawickiego ujawnił rzeczywiste, a skrzętnie ukrywane przez 5 lat cele i intencje swej polityki energetycznej.

Całkowita likwidacja polskiego górnictwa węglowego

Aby zdjąć z siebie choć częściowo odium tej niebywałej w skali światowej historii decyzji, ma ona być zalegitymizowana „umową społeczną”, która ma zostać opracowana do 15. grudnia br. I aby nie można było się z tej likwidacji w przyszłości już wycofać, ma ona być przedstawiona do akceptacji (!) Komisji Europejskiej, by uzyskać dotacje na likwidację kopalń. Chodzi o to, aby w przypadku, gdy kolejne rządy chciałyby się tego wycofać, kopalnie musiałyby zwracać dotacje, co już ekonomicznie zmusiłoby je do samolikwidacji.

Decyzja o likwidacji wydobycia węgla została ogłoszona ot tak – ni stąd, ni zowąd, z piątku na sobotę, co jest nawet jak na polskie warunki ostatnich 30. lat przejawem niepokohamowanej już buty i pychy władzy.

Nie poprzedzono ją żadną debatą publiczną – od jarmarcznej telewizji rządowej Jacka Kurskiego, po polskojęzyczne media elektroniczne i prasowe. Nie przedstawiono żadnych argumentów i analiz ekonomicznych. A, że polskie nauki ekonomiczne i społeczne nie istnieją, gwarantuje to bezmyślną akceptację polityki rządu.

Cel polityki rządu Morawieckiego otwartym tekstem przedstawił pełnomocnik rządu ds. transformacji górnictwa, Artur Soboń, o charakterystycznych dla tego rządu kompetencjach zawodowych – wieloletniego członka partii prawicowych i posła PiS oraz absolwenta historii KUL. Jest nim, jak po prostu oświadczył – „likwidacja produkcji węgla kamiennego w Polsce”.

Brak debaty i dyskusji jest celowy, gdyż chodzi o ukrycie przed opinią publiczną podstawowych faktów ekonomicznych i skuteczną możliwość propagandy kłamstw o nierentowności wydobywania polskiego węgla i konieczności zamykania kopalń. A to kłamstwo węglowe jest nieustannie propagowane od 1989 roku.

Jest to więc celowa polityka narzucenia społeczeństwu sprzecznych z jego podstawowymi interesami narodowymi decyzji. Tak jak celowa jest kontynuacja polityki niszczenia polskiego górnictwa węglowego rozpoczęta z 1989 rokiem.

Likwidacyjna restrukturyzacja 1989–2004

W latach 1990–2004 śląskie górnictwo węgla kamiennego było celowo niszczone ekonomicznie i technicznie. To celowe niszczenie realizowane oficjalną polityką kolejnych rządów dokonywało się w ramach polityki tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego, której publicznie deklarowanym celem miało być dostosowanie górnictwa do warunków gospodarki rynkowej. Rzeczywistym celem tej „restrukturyzacji” było zniszczenie ekonomiczne i techniczne zdolności wydobywczych górnictwa, tak aby Polska z wielkiego światowego eksportera węgla, stała się jego importerem netto.

Rzeczywistym bowiem, a ukrywanym celem było wyeliminowanie Polski jako wielkiego eksportera węgla kamiennego z rynków światowych w interesie głównych konkurentów polskiego węgla czyli przede wszystkim USA, Australii, Kanady i RPA. Tezę tą po raz pierwszy publicznie sformułował w 1990 roku nieżyjący już doc. dr Gabriel Kraus. Jak twierdził, chodziło o przejęcie polskich rynków eksportu węgla wartego od 1 do 1,5 mld ówczesnych dolarów rocznie. Był to program restrukturyzacji opracowany przez Bank Światowy, a realizowany przez kolejne polskie rządy, zarówno postsolidarnościowe, jak i postkomunistyczne, w latach 1990 – 2004. Bank Światowy realizował tu politykę rządu Stanów Zjednoczonych, starającego się wpływać, a nawet kontrolować w skali światowej podaż surowców energetycznych, czyli ropy naftowej, gazu i węgla kamiennego.

W rezultacie tej niszczącej restrukturyzacji Polska z wielkiego eksportera światowego węgla kamiennego na poziomie ponad 30 mln ton w 1990 roku, stała się ostatecznie od 2008 roku jego importerem netto na poziomie ponad 10 mln ton i to stale rosła.

Celowa spirala zadłużania kopalń

Mechanizm niszczenia ekonomicznego i technicznego został oparty na finansowym zadłużaniu kopalń, poprzez sterowanie cenami zbytu węgla dla potrzeb państwowej elektroenergetyki poniżej kosztów wydobycia oraz blokowaniu zyskowego eksportu węgla. W 1990 roku po uwolnieniu prawie wszystkich cen produktów i usług spod państwowej kontroli, ceny węgla były ustalane urzędowo poniżej kosztów wydobycia, a na eksport węgla nałożono 80-procentowy podatek eksportowy. Mechanizm sterowania przez kolejne rządy cenami węgla poniżej kosztów jego wydobycia, w tym poniżej ceny parytetowej węgla, po jakiej musiałby on być importowany do Polski, utrzymano bowiem po 1990 roku. Tak uruchomiono spiralę zadłużenia kopalń. Z wysoce rentownego podsektora uczyniono w sposób celowy finansowego bankruta.

Skuteczne ogłupianie opinii publicznej oparto na propagandowym kłamstwie kolejnych rządów utożsamiającym ujemne wyniki finansowe kopalń tworzone przez sterowane zadłużanie, z rentownością ekonomiczną wydobywania węgla. Zadłużone zaś kopalnie likwidowano celowo niszcząc fizycznie dostęp do ich złóż poprzez zamulanie i zasypywanie korytarzy i szybów, aż po ich wysadzanie materiałami wybuchowymi, jak w przypadku kopalni „Morcinek” w 2000 roku. Chodziło o to, aby nie móc powrócić już do wydobywania tam węgla.

Doprowadzenie do kilkuset miliardów złotych strat gospodarczych z powodu ekonomicznego i technicznego niszczenia górnictwa było fundamentalnym naruszeniem narodowych interesów ekonomicznych Polski. Za tę zbrodnię gospodarczą nikomu nie spadł włos z głowy, choć należało oczekiwać co najmniej kilkunastu wyroków kryminalnych po kilkanaście lat więzienia każdy.

Kontynuacja niszczenia górnictwa po 2004 roku

Gdyby nie ten planowy proces, górnictwo węglowe w Polsce okresu 1989–2004 i lat następnych, byłoby wysoce rentowną i przynoszącą stałe zyski branżą, z kilkudziesięciomiliardową akumulacją finansową. „Gdyby polskie górnictwo – pisał w 2015 roku ekspert górniczy Marek Adamczyk – utrzymało zdolności wydobywcze z 1997 roku wynoszące 137,8 mln ton, to wygenerowało zysk przekroczyłby kwotę 12 mld 69 mln złotych”. A od 1990 roku powinno dysponować w 2015 roku nadwyżką rzędu 40–50 mld zł.

Polityka likwidacji mocy wydobywczych górnictwa była kontynuowana również po 2004 roku, acz już w formule „cichej” likwidacji kopalń.

Była minister E. Bieńkowska tak scharakteryzowała sytuację blisko 8-letnich rządów PO-PSL w branży górniczej – „Mówię ci, żenada z tym całym górnictwem i z tą gospodarką, po prostu takie zaniedbania... Prawda jest taka, że właściciel, czyli Ministerstwo Gospodarki, general-

nie w dupie miało całe górnictwo przez całe siedem lat. Były pieniądze, a oni, wiesz, pili, lulki palili, swoich ludzi poobstawiali, sam wiesz, ile zarabiali i nagle pierdyknęło (spadły światowe ceny węgla – WB)”.

Natomiast okres rządów PiS tak scharakteryzował założyciel i lider Obywatelskiego Komitetu Obrony Polskich Zasobów Naturalnych, ekspert górniczy i były dyrektor kopalni „Czeczott” Krzysztof Tytko – „Reforma górnictwa w wydaniu Prawa i Sprawiedliwości prowadzona jest w sposób krańcowo skandaliczny wręcz kryminalny i ma dokończyć niszczycielskiego dzieła rozpoczętego już w 1989 roku... PiS doszło do władzy, by w konsekwencji nie 2,5, ale 8 mld zł przeznaczyć nie na inwestycje, ale na likwidację najlepszych kopalń”.

Symbolem tej polityki PiS stała się likwidacja kopalni „Krupiński”, przekazanej do likwidacji w 2017 roku. Oznacza to zniszczenie 700 mln ton wysokokalorycznego węgla zalegającego na jej obszarze wydobywczym. Jak to podsumował K. Tytko, który stworzył rentowny ekonomicznie model biznesowy tej kopalni, „od momentu uruchomienia 2 ścian wydobywczych na pokładzie 405, pokład ten mógłby być <<czarną żyłą złota>> już od 2021 roku, a pozostałe liczne pokłady węgla <<błękitną żyłą złota>> przez wiele dekad (pokoleń) po wdrożeniu technologii podziemnego zgazowania węgla, która dopracowana jest już na skalę przemysłową”. A zlikwidowaną „trwale nierentowną”, zdaniem rządowych co najmniej idiotów ekonomicznych, kopalnię „Krupiński” zamierza przejąć kapitał niemiecki. „Intencją gremium dążącego do likwidacji kopalni <<Krupiński>> – twierdził K. Tytko – jest umożliwienie niemieckiemu inwestorowi przejęcie kontroli nad jej infrastrukturą techniczną, wraz z jej pracownikami oraz zasobami węgla, które wynoszą 720 mln ton węgla i 3 bln m3 metanu... Regułą „restrukturyzacji” jest, że „nierentownymi” kopalniami są głównie te, które posiadają największe zasoby wysokoenergetycznego lub koksującego węgla. Najlepsze tego przykładem są KWK <<Silesia>>, KWK <<Brzeszcze>>, KWK <<Dębieńsko>>, KWK <<Niwka>>...”

Problem jest wszakże, jak dowodzi tego K. Tytko, jeszcze bardziej fundamentalny i perspektywiczny. Chodzi o będącą już w zasięgu ręki

technologię podziemnego zgazowania złóż węgla, nad wdrażaniem której nie wiedzieć czemu w Polsce zaprzestano prac od ponad 5. lat.. Zasoby węgla w Polsce do głębokości tradycyjnej eksploatacji 1200 – 1300 metrów „wynoszą 50 mld ton, a poniżej tej granicy do poziomu 5000 – 6000 metrów jest go około 10 razy więcej – twierdzi K. Tytko – Energia z tych zasobów może być wydobywana na powierzchnię tylko przez podziemne zgazowanie węgla. Metodą tradycyjną można wydobyć tylko około 10-15% węgla dostępnego, czyli maksymalnie 5 – 7 mld ton, a technologią podziemnego zgazowania – aż 80% jego całkowitych zasobów, czyli około 400 mld ton do 500 mld ton”. A to wystarcza na zaspokojenie potrzeb energetycznych całej Unii Europejskiej. I eliminuje konkurencyjność rosyjskiego i amerykańskiego gazu w całej Europie. Warto się więc bardzo mocno starać aby z tego co najmniej nic nie wyszło, a jeszcze bardziej warto to w przyszłości przejąć.

Trzy fundamentalne fakty potwierdzające węglowy obłęd

Aby uświadomić sobie co najmniej obłęd decyzji o likwidacji wydobycia węgla w Polsce, a w swej istocie zwykłą zdradę narodową rządu Morawieckiego i stojącą za nią szubieniczną beztroskę gospodarczą i cywilizacyjną, trzeba nade wszystko przypomnieć celowo przemilczane, a wręcz przekłamywane przez rodzime i obce agentury wpływu, i to od 30. ponad lat, podstawowe fakty

Pierwszym faktem o fundamentalnym znaczeniu jest to, iż Polska ma 85% do 90% zasobów węgla kamiennego krajów Unii Europejskiej. Węgiel kamienny jest naszym najcenniejszym bogactwem mineralnym i posiadamy go w ilości zapewniającej nam stabilne bezpieczeństwo energetyczne i konkurencyjność energetyczną przemysłu na co najmniej pół wieku. Zasoby węgla kamiennego szacuje się przy obecnej technologii klasycznego wydobycia na ponad 50 mld ton.

Polska nie jest Kuwejtem węglowym Europy. Polska jest Kuwejtem, Arabią Saudyjską i Iranem węglowym Europy równocześnie.

Posiadając prawie cały węgiel Unii Europejskiej, Polska od 2008 roku jest jego importerem netto, stale zwiększając jego import do obecnego poziomu (2019) 16,7 mln ton, a ograniczając własne wydobycie do obecnego poziomu (2019) 61,6 mln ton, a sprzedaży 58,4 mln ton, w sytuacji krajowej elektroenergetyki opartej na spalaniu węgla. Przy zalegających zwałach polskiego węgla, stale zwiększał się import droższego węgla z zagranicy, głównie z Federacji Rosyjskiej. Według raportu dr Dawida Piekorza, w latach 2010-2019 średnia cena węgla importowanego była o 42 zł droższa na tonie niż węgla krajowego. Jak zaś dowodzi Marek Adamczyk za okres 2007 – 2014, koszty pozyskania węgla z Rosji były o 25% wyższe niż te, które były w przypadku stosowania polskiego węgla...” Pokazuje to skalę kryminalizacji w funkcjonowaniu branży paliwowo-energetycznej w Polsce. Jest to tylko wierzchołek góry lodowej tego, co dr Janina Kraus jeszcze w latach 90. XX wieku nazwała mafią węglową, a która, jak wiele na to wskazuje panuje w tym sektorze od kilkudziesięciu już lat. Była minister Elżbieta Bieńkowska określiła w 2015 roku zarządzania w górnictwie jako sytuację, w której – „Banda na bandzie, bandą pogania”.

Drugim faktem o fundamentalnym znaczeniu jest to, iż energia elektryczna produkowana z węgla kamiennego (i brunatnego) jest najtańszą energią w skali światowej. Węgiel kamienny (i brunatny) jest najtańszym nośnikiem energii elektrycznej. W skali światowej stale zwiększa się podaż energii elektrycznej produkowanej z węgla. Produkcja taniej energii z węgla zapewnia światową konkurencyjność produkcji przemysłowej w wymianie międzynarodowej i tanieść warunków życia i pracy narodowego społeczeństwa. Produkcja węgla na świecie przez ostatnie 30 lat stale rosła i rośnie, z 4,7 mld ton z końcem lat 90. XX wieku, do blisko 8 mld ton w 2018 roku.

Trzecim zaś faktem o fundamentalnym znaczeniu jest to, że polityka klimatyczna zmierzająca do likwidacji spalania węgla jako źródła energii jest oparta na globalnym kłamstwie o wpływie człowieka na ocieplenie klimatu dzięki emisji dwutlenku węgla. Jest to globalnie propagowane kłamstwo analogicznie do tego z lat 70. i 80. XX wieku, o rozszerzają-

cych się na biegunach Ziemi pod wpływem emisji przez człowieka gazów technicznych typu freon, „dziurach ozonowych”, które miały unicestwić życie planetarne.

Z zasadniczą argumentacją naukową przeciw tezom propagujących globalne oszustwo klimatyczne kolejnych raportów IPCC, powstałego w 1986 roku organu ONZ, wystąpił w 2007 roku Pozarządowy Międzynarodowy Zespół ds. Zmiany Klimatu (NIPCC), z międzynarodowym składem naukowców pod kierunkiem jednego z najbardziej wybitnych naukowców w USA, profesora nauk środowiskowych dr S. Freda Singera, który m.in. był w latach 80. wiceprzewodniczącym Narodowego Komitetu Doradczego ds. Oceanów i Atmosfery USA. Polskę reprezentował w nim zmarły już prof. Zbigniew Jaworowski. W 2008 roku NIPCC opublikował swój raport „Przyroda, a nie aktywność człowieka rządzi klimatem”. NIPCC zarzucił IPCC, iż jest zaprogramowane na celowe tworzenie raportów, by wspierać tezę o antropologicznym ociepleniu i kontroli gazów cieplarnianych. Główną zaś tezę raportu NIPCC jest natomiast opozycyjne twierdzenie, że to przyrodnicze przyczyny są najprawdopodobniej dominującą przyczyną współczesnego ocieplenia: „Nie mówimy, że antropogeniczne gazy cieplarniane (...) nie mogą wytwarzać jakiegoś ocieplenia. Nasza konkluzja brzmi, iż dowody wskazują, że nie grają one znaczącej roli”.

Za globalnym oszustwem klimatycznym stoją bowiem globalne interesy strategiczne światowej oligarchii finansowej i elit władzy najbogatszych krajów świata. To oszustwo stało się początkiem procesu utowarowienia powietrza atmosferycznego. Rozpoczęło się wyznaczanie limitów emisji CO₂ do atmosfery i handel wielkościami tych emisji pomiędzy państwami, co uczyniło z powietrza dobro rzadkie i przekształciło go w towar o określonej wartości wymiennej. Stworzyło sztuczny globalny rynek powietrza i globalny handel prawami emisji dwutlenku węgla. Reguły tego rynku będą starały się ustalać najsilniejsze kraje światowego centrum rozwoju.

Światowe licytacje praw emisji dwutlenku węgla skazują kraje światowych peryferii i semiperyferii jak Polska, na zablokowanie możliwo-

ści rozwoju cywilizacyjnego, a koncentrują takie możliwości w bogatych krajach światowego centrum. Takie licytacje mogą być wyrokiem śmierci cywilizacyjnej dla tych krajów. Coraz większe ograniczanie praw poszczególnych krajów do emisji dwutlenku węgla, to coraz silniejsze blokowanie wytwarzania energii elektrycznej i ciepłej dla potrzeb przemysłowej gospodarki w oparciu o spalanie węgla i ropy naftowej.

Decyzja o likwidacji polskiego górnictwa jest zdradą narodową rządu PiS

Jeśli zdradę stanu, czyli zdradę własnego państwa definiuje się jako „przestępstwo polityczne będące zamachem na wewnętrzne bezpieczeństwo państwa, na jego ustrój, rząd, osobę sprawującą najwyższą władzę” (Słownik języka polskiego PWN, 1995), to zdradę narodu lub zdradę narodową należałoby zdefiniować jako zbrodnię polityczną będącą zamachem na wewnętrzne bezpieczeństwo społeczeństwa narodowego, na jego podstawy egzystencji politycznej, społecznej, ekonomicznej i biologicznej.

Decyzja rządu Morawieckiego o likwidacji górnictwa węglowego jest zamachem na bezpieczeństwo energetyczne Polski, ponieważ pozbawia ją własnych źródeł energii i niszczy jej samowystarczalność energetyczną. Polska jako kraj i państwo dysponujące zasobami najtańszego w świecie surowca energetycznego i to w perspektywie co najmniej pół wieku, całkowicie zaspakajającej jego zapotrzebowanie, miała zapewnione zasadnicze bezpieczeństwo energetyczne. To perspektywiczne bezpieczeństwo energetyczne jest równie ważne jak bezpieczeństwo militarne. Gwarantuje bowiem podstawy bezpieczeństwa ekonomicznego rodzimej produkcji przemysłowej i rolniczej. Gwarantuje światową konkurencyjność własnej produkcji przemysłowej. Gwarantuje taniość warunków pracy i życia polskiego społeczeństwa narodowego. Jest gwarancją biologicznego bezpieczeństwa polskiego narodu.

Decyzja rządu Morawieckiego o likwidacji górnictwa więc zbrodni-

czym politycznie zamachem na wewnętrzne bezpieczeństwo społeczeństwa narodowego, na jego podstawy egzystencji społecznej, ekonomicznej i biologicznej.

Decyzja rządu Morawieckiego o likwidacji górnictwa węgla kamiennego jest więc oczywistą zdradą narodową.

Z perspektywy zaś możliwości podziemnej gazyfikacji węgla i to w ciągu góra dwóch dekad, ta decyzja jest zabójcza wręcz historycznie, gdyż może przekreślić historyczne i cywilizacyjne szanse Polski i polskiego społeczeństwa narodowego na gigantyczny skok w ekonomicznym poziomie życia i pracy.

Brak narodowych elit przywódczych

Ta decyzja pokazuje nie tylko nędzną jakość moralną, ideową i intelektualną polskich grup władzy politycznej i aktualnego rządu. Ona pokazuje nędzę narodowego przywództwa w Polsce. Odsłania bowiem nędzę moralną, ideową i intelektualną wszelkich grup nominalnie przywódczych w Polsce. Od politycznych, przez naukowe, artystyczne, aż po medialne. Przez miesiąc czasu nie odezwały się publicznie głosy potępiające tę polityczną zbrodnię zdrady narodowej. Nie odezwały się głosy potępienia z żadnego z nominalnie przywódczych grup i środowisk w naszym kraju – milczały wszystkie partie i środowiska polityczne, milczały wszystkie środowiska akademickie i naukowe, milczały wszystkie środowiska artystyczne i kulturalne, milczały wszystkie główne media i ich publicystyczni i dziennikarscy liderzy. (Pomijam tu zbiorowy głos poparcia 51 profesorów Uniwersytetu Śląskiego, którzy zażądali jeszcze szybszej likwidacji wydobywania węgla na Górnym Śląsku. Pokazuje on bowiem tylko poziom zidiocenia kadry profesorskiej polskich uczelni wyższych, w pełni pogłębiony reformą nauki i szkolnictwa wyższego byłego ministra PiS Jarosława Gowina).

Najgłębszym zaś źródłem tej nędzy narodowego przywództwa jest decydująca dla jakości polskiego państwa jakość grup władzy politycz-

nej. To władza polityczna jest bowiem decydująca dla tworzenia infrastruktury przywódczej życia narodowego w Polsce. A jej nędzny poziom jest wynikiem 30 lat negatywnej selekcji do polskiej polityki, a szerzej politycznej władzy państwowej, dzięki partyjnej ordynacji proporcjonalnej w wyborach do Sejmu. To dzięki niej żyjemy w ustroju partyjnej oligarchii wyborczej, w której nie można dokonać wymiany grup władzy politycznej, gdyż jako obywatele nie możemy bezpośrednio kandydować do Sejmu, a jako wyborcy możemy głosować tylko na tych, którzy przez oligarchię partyjną zostali już wybrani na partyjne listy wyborcze. Jak to mawiał Stan Tymiński, „Polacy są jak Murzyni w południowych stanach USA w latach 50. XX wieku. Mają prawa wyborcze, ale nie mogą z nich korzystać, gdyż nie mają na kogo głosować, a sami nie mogą kandydować”.

Czas najwyższy zacząć się organizować politycznie i to jak najszybciej na nowe wybory z hasłem likwidacji ustroju partyjnej oligarchii wyborczej i stworzenia ustroju politycznej demokracji obywatelskiej. Możemy bowiem przepaść w pomroce nie tylko historycznych dziejów, ale i pomroce najbliższych 30 lat.

25.10.2020

The background features two large, solid gray triangles. One triangle is in the top right corner, pointing downwards and to the left. The other is in the bottom right corner, pointing upwards and to the left. They meet at a diagonal line that runs from the top right towards the bottom left, creating a large white triangular area in the center-left of the page.

HISTORIA

KOPIEC KOŚCIUSZKI W KRAKOWIE.
200 LAT SYMBOLU NIEPODLEGŁOŚCI

KOŚCIUSZKO – polski i amerykański generał, człowiek wielu talentów: z wrażliwą duszą artysty, żołnierz i wódz, wybitny twórca architektury *militaris* szczerzący krew przelewana na polach bitew za cenę potu przy budowie fortalicji, ale też projektant rezydencji i ogrodów, człowiek pięknych przymiotów ducha, dokonujący rzeczy wielkich a bezprzykładnie skromny. Przejęty ideami braterstwa ludzi różnych narodowości, religii, koloru skóry. Za hańbę ludzkości uważał niewolnictwo Murzynów a za największe zło w Polsce poddaństwo chłopów. Prekursor współczesnych praw człowieka.

Bohater wstawiony w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych i honorowy obywatel Republiki Francuskiej, gorliwy republikanin. Nie był systematycznym myślicielem, a jednak kościuszkowska koncepcja państwa i prawodawstwo czasu Insurekcji „to szczytowy stan polskiej myśli oświeceniowej”.

Polski Leonidas, choć życia nie zakończył na maciejowickich naszych Termopilach. „...o niego, bezsilnego, biednego starca jeszcze spierali się Napoleon i Aleksander najwięksi mocarze świata”.

Dla nas Polaków fenomen Kościuszki jest w tym, że wokół niego skupił się Naród, w swym instynktownym odczuciu polskiej racji stanu. Jako Naczelnik Insurekcji stał się Kościuszką wyrazicielem Narodu. „Był samą Polską” – napisał o nim przyjaciel Mickiewicza Jules Michelet; „jego imię jest Polska” powiedział o nim Szymon Askenazy.

Kościuszkowska postawa polega na przeświadczeniu, że o niepodległość Polski należy walczyć do końca i raczej być pokonanym niż się

poddać. W proklamacji powstania napisał: *Zwyciężyć lub zagrzebać się w ruinach własnego kraju*, a pod Maciejowicami wykrzyknął: *Nie masz tu miejsca do rejterady, tu się zagrzebać lub zwyciężyć potrzeba*.

Insurekcja upadła, ale uratowała honor Narodu i wydała owoc na przyszłość. Rzymianie mówili; GLORIA VICTIS, którzy padli w słusznej sprawie. Zniknęła Rzeczpospolita z mapy Europy, ale Polska przez czas zaborów – nigdy – nie przestała istnieć, bo – jak powiedział: „Polska [...] jest nieśmiertelna”. Gdy umarł, naród położył go w wawelskich kryptach, wśród Zygmuntów, Batorych, Sobieskich i postanowił wznieść mu „pomnik prosty a trwały”, „z ojczyznej ziemi i głazu krajowego” na podobieństwo przedhistorycznych krakowskich kopców – legendarnych mogił Kraka i Wandy.

Dokładnie 200 lat temu 16 października 1820 roku, w poniedziałek, nazajutrz po trzeciej rocznicy zgonu Kościuszki, na Górze Bł. Bronisławy skąd piękny jest widok na Kraków założono podstawę pod mającą się wznieść tę ogromną symboliczną mogiłę – Kopiec Kościuszki.

Po mszy św. Dziekan Kapituły Katedralnej Wawelskiej ks. Karol Skórkowski poświęcił plac budowy i narzędzia pracy. Przemawiał gen. wojsk polskich Księstwa Warszawskiego Franciszek Maksymilian Paszkowski – przyjaciel i ostatni sekretarz Tadeusza Kościuszki. W mowie swej podkreślił, że „nic droższego nad wolność i niepodległość”, odniósł się też do chłopów „bez których nic prawdziwie wielkiego, nic doniosłego dokonać się nie może”. Spisano w postaci aktu notarialnego tę uroczystą inaugurację budowy, który w zabezpieczeniu szklanym i wydrążonej kamiennej kolumnie umieszczono, obok złożono ziemię z raclawickiego poboju i pamiątki tej bitwy. Obecni byli przedstawiciele władz Rzeczypospolitej Krakowskiej z prezesem Senatu Rządzącego Stanisławem hrabią Wodzickim, przedstawiciele Uniwersytetu Jagiellońskiego i liczni krakowianie oraz mieszkańcy Rzeczypospolitej Krakowskiej, ale też Polacy z różnych zaborów, przedstawiciele wszystkich stanów. Obecni byli też cudzoziemcy: włoska śpiewaczka europejskiej sławy Angelika Catalani, która w przeddzień dała koncert przeznaczając swe honorarium na filantropię i budowę pomnika. Był

też obecny duński rzeźbiarz Bertel Thordwalsen, autor warszawskiego pomnika konnego księcia Józefa Poniatowskiego.

Po oficjalnych obrzędach obecni rzucili się do „sypania” mogiły wokół trzydziestometrowego pnia jodły przywiezionego ze śląskich lasów pod Jaworzniem. Dzień był pogodny, pracowano do późnego wieczora. Uroczystość przebiegła w aurze święta narodowego. Pośród śpiewów dało się słyszeć *Mazurkę Dąbrowskiego*, tę niepodległą pieśń, która przekreślała rozbiory Polski. W tym samym dniu rabin Hirsz Dawid Lewi zwołał gminę żydowską Kazimierza do synagogi by modłami i przemową uczcić Kościuszkę.

Zaraz po uroczystej inauguracji „sypania” Kopca powstał Komitet mający zarządzać budową tego Pomnika. Wznosił go naród w romantycznym porywie serc nakładem pieniężnym i fizycznym wysiłkiem przez trzy kolejne sezony budowlane, ale już 16 października Kopiec Kościuszki zaistniał w świadomości narodu. Pierwszy prezes Komitetu gen. Franciszek Maksymilian Paszkowski rozesłał wieści o budowie tego pomnika do przyjaciół Kościuszki we Francji, Anglii i w Stanach Zjednoczonych, gdzie pisała o tym prasa. Po zbudowaniu Kopca, Komitet zarządzający jego budową nie rozwiązał się lecz stanął na straży tej narodowej pamiątki. Komitet Kopca Kościuszki miał szacunek nawet władz zaborczych. A kiedy austriackie władze wojskowe w połowie XIX wieku zbudowały wokół Kopca Kościuszki wielki fort na gruntach odstąpionych przez Komitet, to sam Kopiec pozostał nadal pod zarządem Komitetu, który nigdy nie uiszczal żadnych opłat z tytułu władania Kopcem.

W 1860 r. drugi prezes Komitetu Piotr Moszyński sprowadził z dolin Kasprowego trzytonowy głaz tatrzańskiego granitu, którym zwieńczono szczyt Kopca i wyryto na nim najlakońniczej inskrypcję: KOŚCIUSZCE.

U podstawy złożona była ziemia z Raclawic. W trakcie budowy składano w Kopcu ziemię z poboju pod Dubienką, ze Szczekocin i z Maciejowic. Można więc rzec, że na zasadzie *pars pro toto* Kopiec ten zbudowano z ziemi zroszonej krwią i zmieszanej z popiołami bohaterów walk o wolność i niepodległość. „Kopiec ten – jak powiedziano – jest

prawdziwie narodową własnością, bo każdą bryłkę ziemi na tę Mogiłę dłoń polska zaniósł”. Ta jedna morga wiedeńska u podstawy pomnika była ostatnim skrawkiem wolnej ziemi dawnej Rzeczypospolitej.

Kiedy w Paryżu, na polistopadowej emigracji umierali towarzysze broni Kościuszki Julian Ursyn Niemcewicz i gen. Karol Kniaziewicz to życzyli sobie do swego grobu w Montmorency rzucić garść wolnej ziemi polskiej z Kopca Kościuszki. Było w zwyczaju krakowian gremialnie spacerować na Kopiec Kościuszki w drugi dzień świąt Wielkanocnych. Był to manifestacyjny wyraz wiary w zmartwychwstanie Polski i odzyskanie niepodległości. Z tą samą wiarą pielgrzymowali na tą „górzę” Polacy ze wszystkich zaborów i z uchodźstwa, zabierali stąd garstkę ziemi do swych grobów na obczyźnie. Był ten Kopiec znakiem wiary w niepodległość. Po 1918 roku stał się znakiem spełnienia i pozostał symbolem niepodległości.

W 1926 r. w głowicy Kopca złożono ziemię z Jorktown i z Saratogi na świadectwo udziału generała Kościuszki w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych..

Władze II Rzeczypospolitej podpisały z Komitetem Układ jako z suwerenem na Kopcu Kościuszki opiekującym się nim w imieniu narodu. W lipcu 1926 r. Kopiec odwiedził Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki. W roku 1935 wpisano Kopiec Kościuszki do rejestru zabytków prawem chronionych. Lata II wojny i okupacji były groźnym czasem dla Mogiły Naczelnika. Jego sylweta widoczna z Wawelu drażniła gubernatora Franka, który planował go zniwelować, do czego szczęśliwie nie doszło. Komunistyczne władze po wojnie deklarując cześć dla demokracji Kościuszki, czemu dano wyraz w krakowskich obchodach 200-lecia urodzin Kościuszki w 1946 roku, kiedy po jednej stronie Rynku fetowano Naczelnika a po drugiej, pod kościołem Mariackim pacyfikowano uczestników trzeciomajowego obchodu – to jednak o Kopiec nie dbały. Tym czasem z latami ta ziemna budowla ulegała degradacji. Ulewne deszcze w 1997 i 1998 roku doprowadziły Kopiec do stanu katastrofy budowlanej. Odbudowaliśmy go, a pod pomnikowym głazem granitu złożyliśmy pamiątki ostatnich zmagania o niepodległość a to, plakietkę Solidarności,

czarno emaliowany krzyżyk z Orłem z okresu podziemnej Solidarności w stanie wojennym, Konstytucje III Rzeczypospolitej i nr „Tygodnika Powszechnego” z orędziem miłosierdzia Papieża Jana Pawła II, ogłoszonego świata w Łagiewnikach 17 sierpnia 2002 roku.

Mija więc 200 lat od zaistnienia Kopca Kościuszki w przestrzeni Krakowa. Jest on drugą obok bryły Wawelu znaczącą subdominantą w krajobrazie starej stolicy. Wawel streszcza dzieje Polski dawnej, Polski Piastów i Jagiellonów, Kopiec Kościuszki zaś – jest wyrazem tęsknot Polaków do odzyskania niepodległości i zmagania o tą niepodległość. Nie są to więc tylko zabytki przeszłości, ale – jak powiedział św. Jan Paweł II „znaki naszej tożsamości”. Kopiec Kościuszki więc nie jest tylko „jednym z symboli Krakowa, chętnie odwiedzanym przez turystów” jak to z upodobaniem lubią powtarzać dziennikarze, ale jest ważnym punktem polskiej przestrzeni i całego Globu.

Nad Kopcem codziennie powiewają flagi biało-czerwone, 4 lipca rok rocznie w święto narodowe Amerykanów obok flagi polskiej powiewa flaga Stanów Zjednoczonych. Zaś 14 lipca obok flagi polskiej powiewa flaga Francji, wszak jest Kościuszką obywatelem honorowym Republiki Francuskiej. W polskie święta narodowe 3 maja i 11 Listopada ze szczytu Kopca Kościuszki do podstawy spływają ogromne, widoczne z daleka barwy Biało-Czerwone.

Mija też 200 lat od ustanowienia Komitetu, który odnawiając się w każdym pokoleniu przez kooptację, pod zarządem jedenastego prezesa działa do dziś. Rocznicą to zawsze okazja do janusowego spojrzenia w tył i w przód, w czas miniony i przyszły.

Komitet nasz działa honorowo przy pomocy nader szczupłych sił etatowych Biura Komitetu, podlegających prezesowi Komitetu. Opiekujemy się przede wszystkim Kopcem, który jako budowla ziemna jest „istotą jakby żywą” i pielęgnujemy pamięć o bohaterze, pozostając w kontaktach ze środowiskami kościuszkowskimi w Polsce i na świecie. Zbudowaliśmy transatlantycki most wspólnoty idei z Towarzystwem Kościuszkowskim w West Point, a filarami tego ogromnego przęsła wspólnoty idei jest Kopiec Kościuszki i kolumna Kościuszki nad Hud-

son. Mamy kontakt z organizacją Kościuszkowską w Australii a przez nią z Aborygenami z klanu Ngarigo zamieszkującego obszar Gór Śnieżnych w których wznosi się Kosciuszko Mt.

Działamy na niwie szeroko pojętej kultury, na polu historii, ochrony dziedzictwa narodowego, edukacji młodzieży i dzieci w duchu patriotyzmu, troszczymy się o narodową tożsamość w otwarciu na współczesny świat. Odrestaurowaliśmy Kopiec po katastrofie spowodowanej ulewami 1997 i 98 roku, dzwignęliśmy z ruiny część tego Fortu przekształcając dzieło architektury obronnej w świątynię Muz i miejsce spotkania. Pan Prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda uznał Kopiec Kościuszki z otoczeniem za Pomnik historii. Wspólnie z Prezydentem miasta Krakowa prof. Jackiem Majchrowskim zorganizowaliśmy w 2017 r. światowe uroczystości ogłoszonego przez UNESCO Roku Kościuszki. Pośród przyjaciół Kościuszki z 8. krajów z 4. kontynentów była u nas w Krakowie delegacja Aborygenów Ngarigo. Brali udział w światowych obchodach 200-lecia zgonu Kościuszki. Mówiliśmy im, kim był Kościuszko i – gdyby był w Australii po odkryciu ich kontynentu przez admirała Jamesa Cooka, to na pewno byłby ich obrońcą i przyjacielem. Gratulowaliśmy Im zaszczytnej nazwy najwyższej góry na kontynencie australijskim i życzyliśmy by tak już zostało do końca świata. Okazało się też, że poprawne wysłownienie nazwiska Kościuszki przez Aborygenów nie jest wcale takie trudne.

W ostatnich latach realizowaliśmy kosztowny program inwestycyjny – Muzeum Kościuszkowskie, na który złożyło się m. in. nowoczesna wystawa kościuszkowska, biblioteka, archiwum, magazyn zbiorów, makieta Kopca i Fortu, ogród Kościuszki na tamburze Kopca. W rewaloryzowanych przez nas obiektach zabytkowych zostały zastosowane najnowsze rozwiązania energetyczno-ogrzewcze, które są ekologiczne i ekonomiczne. Pamiętaliśmy też o naszych Bliźnich z niepełnosprawnością i o najmłodszych, dla których pod Kopcem Kościuszki znalazł się specjalny plac zabaw.

Otwarcie tego muzeum jest spełnieniem marzeń Komitetu pielęgnowanych od pierwszych chwil jego istnienia. Już gen. Paszkowski przy-

wiół z Solury po śmierci Kościuszki pamiątki po bohaterze z myślą o jego muzeum w Krakowie. Pewnie inaczej wyobrażał go sobie gromadzący zbiory Kościuszkianów jako prezes Komitetu profesor Karol Estrajcher. Ocenę tej interaktywnej i multimedialnej wystawy muzealnej pozostawiamy naszym Gościom, wszystkim, którzy ją odwiedzają. Staraliśmy się pokazać na tej wystawie przebieg życia i dokonania Kościuszki, jego zasługi dziejowe, które są uniwersalne i ponadczasowe. Rzeczywista wielkość nie ulega przedawnieniu. Ludzie prawdziwie wielcy nie przemijają, i dla tego Kościuszki nie da się zamknąć w muzeum. Jest bohaterem wciąż potrzebnym.

Nasz księgozbiór Kościuszkianów – będzie bazą przyszłych prac nad szczegółowym kalendarium życia i dzieła generała Kościuszki. Mamy w planach starania o Narodowy Instytut Tadeusza Kościuszki, skoro ma taki Instytut i Chopin i Mickiewicz a niema go jeszcze Kościuszko.

Nie zrobilibyśmy tak wiele, gdyby nie życzliwość wspierającego nasze poczynania Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa, zwłaszcza za kadencji nieodżałowanej pamięci profesora Franciszka Ziejki – byłego rektora uniwersytetu Jagiellońskiego i naszego członka honorowego; nie zrobilibyśmy tak wiele – gdyby nie dotacje Sejmiku z Funduszy Europejskich i gdyby nie życzliwość Prezydenta Miasta.

Ten splendor, ta aura, która spowiła to czego udało się nam dokonać, to jakby światło odbite właśnie od tych osób i instytucji, które nas wspomagały. Muszę przywołać osobę kardynała Franciszka Macharskiego, naszego członka honorowego i wielkiego przyjaciela.

16 października b.r. zainaugurowaliśmy obchody 200-lecia Kopca Kościuszki i jego Komitetu. Zostało otwarte Muzeum Kościuszkowskie i odbył się koncert, na który złożyły się utwory Chopina i Kościuszki w wykonaniu Natalii Czekały i recytacje Jerzego Treli, niezapomnianego Gustawa-Konrada z *Dziadów* w reżyserii Konrada Swinarskiego w Teatrze Starym w Krakowie 1973 roku.

Uroczystość miała więc charakter podwójnego jubileuszu Kopca i Komitetu, ale zarazem była zwieńczeniem naszych dokonań ostatnich lat.

Nasz jubileusz, który swym wysokim patronatem honorowym objął Prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda będzie trwał przez najbliższe trzy lata. Zapraszamy wszystkich do odwiedzenia Kopca Kościuszki i Muzeum Kościuszkowskiego pod Kopcem.

KS. JÓZEF ROMAN MAJ

PIEŚŃ USZŁA CAŁO
FORMY PAMIĘCI O WOJNIE 1920 ROKU
W WARSZAWSKIM ŚRODOWISKU AKADEMICKIM
PODCZAS KOMUNIZMU STAREJ I NOWEJ WARSZAWIE

WSTĘP

Polacy są przyzwyczajeni do tego, że raz po raz przychodzą okoliczności historyczne, w których nie władze narodowe bo takich nie ma lub są narzucone przez obcych ale sami muszą wziąć w swoje ręce dbałość o jakiś wymiar dobra narodowego. Tak stało się i po 1945 roku kiedy to władza nominalnie polska służyła interesom obcego a do tego wrogiego państwa.

Ta okoliczność spowodowała, że jedno z największych, a może nawet największe militarne zwycięstwo Polaków, zwycięstwo w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku było otoczone kłamliwym milczeniem. Ludzie jednak w prywatnych rozmowach, szczególnie w tych rodzinach, które poniosły straty w 1920 roku, lub pośród których żyli uczestnicy Wojny 1920 Roku nie zapominali o tym jaką chwałą otoczone zostały Wojska Polskie w tej wojnie. W takiej atmosferze w warszawskim środowisku akademickim zrodziła się wśród seniorów tego środowiska zorganizowanych w formach funkcjonowania Duszpasterstwa Akademickiego myśl o tym by w sposób publiczny wypracować społeczne formy pamięci o 1920 roku. I o tym jest właśnie niniejszy tekst, o tym by mimo wszelkich trudności trwała pamięć o jakże wspaniałych chwilach polskiej historii i wielkości polskiego dziedzictwa narodowego aby ta pamięć trwała w formach nieco szerszych niż tylko przekaz rodzinny bo i w życiu społecznym.

To oczywiście rodziło rozdrażnienie władz, ale dzięki odwadze pa-

sterskiej Stefana Kardynała Wyszyńskiego, dzięki wielkiej roztropności biskupa Jerzego Modzelewskiego Przewodniczącego Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Akademickiego żadne naciski władz publicznych w tej sprawie nie przyniosły najmniejszego rezultatu. Dzięki temu Koło Weteranów Wojny Polsko Bolszewickiej 1920 Roku funkcjonowało u św. Anny jakby komunizmu nie było, jakby Sowietów w Polsce nie było. Tym charakteryzowały się również, zarówno rozmowy uczestników spotkań tego środowiska, jak i ich wystąpienia na Mszach św. akademickich. To działalność takich grup jak „Koło Weteranów Wojny 1920 Roku” było przyczyną odbioru św. Anny przez społeczeństwo jako „kawałka Wolnej Rzeczypospolitej”.

Tekst ma charakter wspomnieniowy, co więcej oparty na pamięci jednego człowieka. Nie prowadzono kroniki spotkań „Koła”, bowiem słusznie czy niesłusznie, nie chciano zostawiać trwałych śladów z racji bezpieczeństwa. Zatem poniższy zapis obarczony jest skutkami słabości pamięci ludzkiej. Na pewno chciałem skrupulatnie przekazać czytelnikom to co jak mi się wydaje zapamiętałem ale świadom jestem możliwości zaistnienia mimowolnych błędów, pominięć, czy nieścisłości będących skutkiem naturalnych luk w ludzkiej pamięci. Proszę więc łaskawych czytelników o wyrozumiałość w tym względzie, a może starym zwyczajem i dopisywanie na marginesach stron własnych informacji. Ważną dla tego tekstu okolicznością jest i to, że bieg zegara biologicznego spowodował iż środowisko, którego bezpośrednio dotyczą niniejsze wspomnienia przestało już istnieć. Nie miałem więc z kim konsultować tekstu, jedynie z niektórymi rodzinami dane biograficzne wspominanych osób. Wydaje się jednak, że mimo tych braków warto jest ocalić od niepamięci choć fragmenty wiedzy o tym jak w ekstremalnie niesprzyjających okolicznościach chciano ocalić wśród Polaków pamięć o czymś wielkim, o Zwycięstwie nad Bolszewikami w 1920 Roku.

Starłem się dość wiernie przekazać sprawy, które nurtowały środowisko we wszystkich trzech formach jego funkcjonowania. Poza jednym - „Piłsudski a sprawa budowy Pomnika Zwycięstwa 1920 Roku”. To są problemy dla zawodowych historyków. Podobna sprawa istnienia – nie-

istnienia odręcznego, osobistego rysunku - „projektu” - pomnika narysowanego przez Marszałka. Podobno nawiązywał do Łuku Triumfalnego Konstantyna znajdującego się w Rzymie niedaleko kolumny Trajana. Ale to też sprawa zawodowych historyków architektury, ja osobiście nie mam na ten temat żadnych wiarygodnych informacji. Choć doskonale pamiętam

jak ta sprawa rozpalala zebranych w dyskusjach, pamiętam deklarację profesora Zina, że „nasz” projekt będzie nawiązywał do propozycji Piłsudskiego to z wyżej wymienionych powodów ten wątek zupełnie pominąłem.

Pominałem też opis najrozmaitszych wydarzeń, którymi władze umilały nam życie, pominąłem by w tekście nie było takich zapisów, które dawałyby podstawę do posądzania autora o „bohaterszczyznę”. Poza wszystkim w środowisku od początku do końca autentycznie panowała atmosfera, którą można by streścić w słowach: „czynimy cośmy powinni wykonać”, a to czego wszyscy pragną to ocalić od niepamięci niebawym wysiłek całego Narodu – i to wszystko.

KOŁO WETERANÓW WOJNY POLSKO BOLSZEWICKIEJ 1920 ROKU

W okresie komunizmu wiedzę o wojnie Polsko Bolszewickiej z 1920 Roku w przekazie informacyjnym o tym wydarzeniu historycznym wypychano systematycznie i zdecydowanie z pamięci narodowej. Dla przeciwstawienia się tej polityce władz w kościele akademickim św. Anny w Warszawie powołano "Koło Weteranów Wojny 1920 Roku". Nie wiem dokładnie kiedy powstało ale na pewno po 1967 roku bowiem jednym z jego inicjatorów był książę Janusz Radziwiłł a ten zmarł w 1967 roku. i o ile wiem już nie uczestniczył w przedsięwzięciach organizacyjnych. Pierwszy raz o tym środowisku usłyszałem i spotkałem jego ludzi w 1975 roku na spotkaniu przygotowawczym obchody jubileuszu 50-lecia Duszpasterstwa Akademickiego w Polsce. Prowadzący nie wiem,

czy był to Janusz Krupski czy Tadeusz Krawczak, poinformował nas, że właśnie to Koło będzie reprezentować Legię Akademicką na obchodach Jubileuszu. Opiekę duszpasterską nad "Kołem" sprawował wówczas osobiście Rektor kościoła św. Anny ksiądz Prałat Tadeusz Uszyński.

Początki

Wiem z późniejszych rozmów z uczestnikami, że inicjatywę powołania u św. Anny koła uczestników wojny 1920 roku zaprezentowali wspólnie dwaj dobrzy koledzy, choć nie z pola walki, hrabia rotmistrz Prądzyński Andrzej, oraz rotmistrz Kudelski. Ks. Rektor, jak sam mi powiedział, chętnie przyjął inicjatywę, bo jak mówił "oni samą swoją obecnością będą naszej młodzieży przypominać 1920 rok", ale odesłał ich do Kardynała Wyszyńskiego by ten osobiście podjął decyzję w tej sprawie.

Rotmistrz Kudelski był bardzo aktywny. To on po zaprezentowaniu inicjatywy kardynałowi Wyszyńskiemu i po uzyskaniu jego akceptacji dość szybko dokończył sprawy organizacyjne środowiska, któremu siłą rzeczy w wymiarze ogólnopolskim przewodniczyli wspólnie i zgodnie obaj wspomniani panowie. Ta decyzja, decyzja o wspólnym kierownictwie okazała się bardzo szczęśliwą w przyszłości, bowiem kiedy pan Prądzyński odzyskał niespodziewanie majątek w ramach decyzji dotyczącej nieruchomości pani Denhoff, wyprowadził się z Warszawy na Pomorze to pan Kudelski mieszkający stabilnie w Warszawie mający już zdobyte wspólnie doświadczenie, mógł bez uszczerbku praktycznie samodzielnie prowadzić Koło Weteranów.

Wiem, że po paru miesiącach istnienia Koła obaj starsi panowie Prądzyński i Kudelski zwrócili się do synów swoich kolegów dobrze im znanych żołnierzy 1920 roku, do pana inż. Andrzeja Ślaskiego i do pana pułkownika Andrzeja Kubickiego by pomogli im w prowadzeniu Koła. Ci przyjęli tę propozycję chętnie. Przywództwo całego środowiska ludzi pamiętających o 1920 roku pozostało w gestii panów Kudelskiego i Prądzyńskiego w takich formach i zakresie jak dotychczas ale poszerzył się zakres personalny środowiska decyzyjnego. W skali kraju Koło liczyło ponad 120 osób, najliczniejsze było w Warszawie bo ponad 40 osób

i sądzę, że to była zasadnicza przyczyna, że tylko w Warszawie odbywały się regularne spotkania środowiska o charakterze formacyjnym i informacyjnym.

Uzgodnili z księdzem Rektorem, że będą one odbywać się co miesiąc, ale to nie wyszło i spotykali się co dwa miesiące. Myślę, że okolicznością skłaniającą uczestników do takiej decyzji było to, że niektórzy przyjeżdżali z daleka a przecież byli już dobrze starszymi ludźmi. Tematy choć interesujące ale nie piliły natarczywością. Wiem z rozmów prowadzonych w „Kole” już podczas mojej obecności, że dużo, dużo wcześniej, bo na pierwszych spotkaniach „Koła” podczas formalnego głosowania, przyjęło ono idąc za opinią gen. Józefa Hallera, nazwę: „Koło Weteranów Wojny Polsko Bolszewickiej 1920 Roku”. To oznacza, że środowisko odrzuciło nomenklaturę: „Najazd Bolszewicki na Polskę” i tym podobne nazwy wydarzenia jako nie mające uzasadnienia w prawdzie historycznej, a jedynie w potrzebach bieżącej, t.j. podczas działań wojennych, propagandy. To nazwanie konsekwentnie funkcjonowało w sposób formalny, tak wobec „Koła” jak „Komitetu” czy „Fundacji”. Te dyskusje to była istotna próba „stanięcia w prawdzie” Weteranów Wielkiej Wojny 1920 Roku.

Ksiądz Rektor Tadeusz Uszyński był człowiekiem ponad miarę zajęтым stąd nie miał dla spotkań "Koła Weteranów" wiele czasu, ponadto asystowanie temu środowisku rodziło kłopoty formalne w jego koniecznych kontaktach z władzą. Często jedynie "wpadał" do nich na chwilę, tak, że czasami nawet modlili się sami. Myślę, że z powodów ostrożności proceduralnej nie brał też udziału w wykładach, spotkaniach organizacyjnych a głównie w okolicznościowych uroczystościach. Zorganizowali pielgrzymkę autokarową środowiska w maju 1978 roku z Warszawy do Częstochowy, choć było wiele osób z kraju, ciężar organizacji wzięli na siebie warszawiacy. Ksiądz Rektor miał z nimi jechać ale coś mu wypadło i nie mógł. Oni jednak nie wyobrażali sobie pielgrzymki bez księdza więc z ogromną natarczywością naciskali go by "coś zrobił". W takiej sytuacji zwrócił się do mnie, który już od 1973 roku opiekowałem się senioratem u św. Anny bym pojechał z nimi i tę pielgrzymkę poprowa-

dził. Przysłałem pod warunkiem by zwolnił mnie u ks. Jana Flazińskiego z obowiązków parafialnych na ten dzień, co uczynił. Na spotkaniu przedwyjazdowym po raz pierwszy poznałem tę grupę, choć niektórzy czego nie byłem zupełnie świadomy, byli mi też z innych powodów dobrze znani.

Pielgrzymka odbywała się pod hasłem: "Boże skróć ten miecz co siecze Kraj", w autokarze ktoś umieścił w widocznym miejscu nieco większy obrazek "Matki Bożej Hallerowskiej", czyli obrazek "Matki Bożej Niepokalanej Zwyciężającej Węża", który na ten cel wypożyczył ksiądz proboszcz z Mińska Mazowieckiego. W drodze do Częstochowy atmosfera w autokarze była bardzo naturalna taka jakby sowietów w Polsce nie było jakby komunizmu nad nami nie było, jakby byli w wolnej Ojczyźnie. Na pewno dużym przeżyciem było wejście naszej pielgrzymki do Kaplicy M.B. Częstochowskiej pod szpalerem szabel, szabel oryginalnych z 1920 Roku. Trzymali je starcy, ci, którzy walczyli autentycznie w wojnie Polsko Bolszewickiej. Wchodziliśmy przy dużym zainteresowaniu obserwatorów z prawdziwą dumą na czele ze mną, gen Borutą Spiechowiczem i rotmistrzem Kudelskim. Czekala na nas pusta kaplica Królowej Polski i przeor Jasnej Góry w towarzystwie O.O. Paulinów, który nas oficjalnie przywitał.

Do nas przybyłych uroczyste na mszę świętą, którą koncelebrowałem w Kaplicy Cudownego Obrazu, dołączyli jeszcze ci co przyjechali samochodami, ale nie wiem jak licznie. Zarządy wszystkich Kół koniecznie choć krótkiej rozmowy ze mną. Pamiętam, że się odbyły na dziedzińcu przed Kaplicą Jasnogórską przy wymarzonej pogodzie. Zajęły trochę czasu tak, że nie mogłem uczestniczyć we wspólnym obiedzie zorganizowanym z fasonem w formie pikniku na terenach klasztornych przy parkingu. Sama nasza obecność na Jasnej Gorze przez zwykłe ogłoszenie intencji Mszy św. i nazwanie grupy była okazją przypomnienia tysiącom ludzi wydarzeń 1920 roku, Największe wrażenie na wszystkich zrobiła modlitwa, którą przed Cudownym Obrazem wypowiedział generał Mieczysław Boruta Spiechowicz w imieniu nas wszystkich. Było to słowo wprost niesamowite, ni przedtem ni potem nie dane mi było

przeżyć podobnej sytuacji – tak pokornej modlitwy człowieka, wprost zebrania przed Matką Bożą za Polskę. Wielu ludzi płakało, podobnie jak braciszczkowie paulińscy posługujący do tej Mszy św.

Sceny dużej życzliwości ze strony ludzi były dla nas bardzo satysfakcjonujące. Ja natomiast przeżyłem raz jeden w życiu sytuację, którą otaczam szczególną pamięcią i którą uważam za szczególnie dla mnie ważną. Po Mszy św. spotkaliśmy się przed kaplicą w celach porządkowych. Rozmawiałem z którymś z naszych pielgrzymów gdy podszedł do mnie bardzo starszy ksiądz, nie przedstawił się lecz zapytał: „Czy to ksiądz opiekuje się tą grupą?” Trochę na wyrost powiedziałem „Tak”. On ku mojemu pełnemu zaskoczeniu ucałował moją rękę, rękę młodziutkiego księdza i powiedział „Niech księdza Bóg strzeże”. Odszedł bez słowa, a mnie rzeczywiście Bóg strzegł w jakże trudnych i niebezpiecznych sytuacjach mojej posługi kapłańskiej, strzegł jakby na mocy tego słowa.

W każdym bądź razie „weterani” rzeczywiście zaakceptowali mnie i po pielgrzymce poprosili księdza Rektora bym był "ich księdzem". I tak się stało. Jakoś w końcu września lub w pierwszych dniach października 1978 roku otrzymałem formalną nominację do pracy duszpasterskiej nad całością nad obydwoma grupami "seniorów duszpasterstwa akademickiego". Nie było w tym dokumencie ani słowa o charakterze tej nowej grupy, o „Legii Akademickiej” czy wojskowym zaangażowaniu ludzi z tej grupy. Pierwsze ich spotkanie ze mną było zupełnie nietypowe. Z zaskoczenia, całkowicie spontanicznie bez jakiegokolwiek planowania. Przyjechali do mnie na Grochów, gdzie prowadziłem Ośrodek Akademicki "Arka" dwoma czy trzema samochodami, w następny dzień po wyborze Jana Pawła II – 17 października 1978 roku po mszy św. akademickiej, czyli musiało to być już po godz. 19-tej. Było już ciemno, pusto, bo życie parafialne parafii Nawrócenia św. Pawła kończyło się około 18.30 gdy przy drzwiach usłyszałem żywy gwar. Schowaliśmy szybko rozłożone już materiały do nielegalnego pisma lokalnego „Głos wołającego na puszczy” i dopiero wtedy otworzyłem drzwi. Patrząc a tu poza dwoma młodymi ludźmi, których nie znałem a którzy jak się później okazało byli kierowcami – wszyscy to uczestnicy pielgrzymki majowej.

Z wrażenia zupełnie nie zapamiętałem kto był w odwiedzającej mnie grupie, ale na pewno była wśród nich pani Maria Ślaska. W rozgorączkowaniu, przekrzykując się wzajemnie mówili do mnie: "Proszę księdza Matka Boża nas wysłuchała. Polska będzie wolna". „A czy ksiądz wie, że Papież jest z 20-go roku?”. „Słyszał ksiądz dzisiejsze słowa papieża do Polaków" itp. Pytam: to co robimy?, a ktoś z nich: nic tylko się pomodlimy, tylko jedno "Zdrowaś Maryja" zmówimy". Pytam a w jakiej intencji?. Pamiętam jak dziś jak pani Maria podniosła na mnie oczy wilgotne od łez, zapamiętałem do dziś dziwnie wtedy piękną jej twarz i to jak do mnie spontanicznie powiedziała: "Też pytanie. Za Polskę"

Pomodliliśmy się a co też ważne, może nie najważniejsze ustaliliśmy treść telegramu okolicznościowego jaki w imieniu całego środowiska wysłać do Watykanu pan Andrzej Ślaski. Telegram miał być na polskim oryginalnym blankiecie pocztowym z 1920 roku napisany i po przepisaniu na poczcie wysłany opieczetowany oryginał miał być też na poczcie i pilnowany w środowisku ale w końcu nie wiem czy tak się stało bo nigdy później takiego dokumentu nie spotkałem. Żywiołowa, radosna rozmowa, spontaniczna wymiana myśli i wzajemne przekazywanie wiadomości trwałyby pewno długo, gdyby nie to, że czekała na mnie coraz liczniej zbierająca się na rutynowe zajęcia młodzież. Najprawdopodobniej Marek Lubański „przekrzykując” zebranych zwrócił się do mnie z pytaniem „proszę księdza a co to za grupa” Poprosiłem wówczas panią Ślaską by powiedziała na ten temat co uważa. Rzeczywiście zrobiło to wrażenie na studentach bo już podczas tego wieczoru zwrócili się do mnie z propozycją by zorganizować im spotkanie z tą grupą. Spotkań na Grochowie w Ośrodku Akademickim „Arka”, spotkań regularnych przedstawicieli „Kola Weteranów Wojny Polsko Bolszewickiej 1920 Roku” było trzy oraz jedno spotkanie „w drodze” z Panem Andrzejem Ślaskim podczas pielgrzymki akademickiej na Jasną Górę w sierpniu 1979 roku. Inne grupy poza pomarańczową gromadzącą młodzież z Pragi, też go zapraszały. Po trzech czy czterech dniach takiego maratonu, wykończony ale szczęśliwy pan Ślaski odjechał od nas do Warszawy. Wszystkie te spotkania czy w Ośrodku, czy na pielgrzymce owocowały omawiającymi

je artykułami w „Głosie wołającym na puszczy”, piśmie akademickim wieszanym początkowo na ogrodzeniu a później w specjalnej gablocie. Czytały go z dużym zainteresowaniem setki, setki jeśli nie tysiące osób. Ta studencka gazeta „na płocie” cieszyła się wśród ludzi prawdziwą sympatią, co oczywiście bardzo denerwowało władze.

O mojej posłudze dla tej grupy, nie wiem jakim sposobem, dowiedział się kardynał Andrzej Descur z Rzymu. Muszę powiedzieć, że bardzo interesował się tym co się w tym konkretnym środowisku działo. W moich z nim spotkaniach na Watykanie, ten temat był stale obecny. On na to wyraźnie czekał. To właśnie na okoliczność tych rozmów nauczył mnie i przekonał mnie do intencji modlitewnej: „Za Polskę i Jej władze” za Polskę taką jaka jest i za jej władze takie jakie są. Zostało to we mnie po dziś.

Spotkania Koła Weteranów u św. Anny odbywały się w Sali Miłosierdzia. Choć schody do niej prowadzące były okropnie źle zwymiarowane, więc niewygodnie było do niej wchodzić i wychodzić szczególnie ludziom w podeszłym wieku to jednak do swoich spotkań wybrali tę salę. Przeważało jej wyizolowanie, lokalizacja w podziemiu wyizolowany przedsięwzięcie dawało spotkaniom intymny charakter, rodziły poczucie bezpieczeństwa, chroniły przed przypadkowymi ludźmi, również tylko ciekawskimi, ponadto to była jedyna sala w całej św. Annie wyposażona w duży, duży stół. Lubili odbywać swoje spotkania przy tym stole a chcieli żeby i na stole było małe co nieco.

Robili zrzutkę i Siostry Dominikanki przygotowywały im kanapki a czasami piekły im zapiekanki, w czym zresztą były niezrównane. Płyny były tylko na zimo, organizowali je sobie sami. Na tę okoliczność św. Anna wzbogaciła się o ufundowane przez nich literatki, bo szklanki były za duże na tę ich "oranżadę", więc i prawdziwą pili z literatek. W tym aspekcie środowiska wojskowego nie da się zreformować, człowiek od początku stoi na przegranej.

Na spotkania do św. Anny regularnie przychodziło ich od kilkunastu do dwudziestu kilku osób. Oczywiście na opłatek czy na jajeczko przychodziło ich dużo więcej, bo ponad 40 osób. Spotkania na takie uroczy-

ste okoliczności odbywały się we wszystkich kołach terenowych "Weteranów" w Polsce, spotkania regularne, robocze połączone z pewną pracą intelektualną a może nawet i w pewnym wymiarze pracą formacyjną tylko u św. Anny w Warszawie. Trzeba jednak przyznać, że informacja się rozchodziła, że to co się u nas działo budziło zainteresowanie w kraju i telefonicznie pytano "co się mówi lub co się robi w Warszawie". To było ważne dla całego środowiska w Polsce, a „w Warszawie” oznaczało to oczywiście „u św. Anny”.

Niestety nie pamiętam już wszystkich nazwisk osób biorących udział w tych spotkaniach, nie pamiętam niektórych imion ale pamiętam niepowtarzalną atmosferę tych spotkań. Ja ich po prostu polubiłem. Była to bardzo sympatyczna mieszanka arystokracji, szlachty i ludzi z przedwojennym wyższym wykształceniem. Nie tylko trzon organizacyjny ale i zdecydowana większość uczestników stanowili byli żołnierze Legii Akademickiej. Zebrani w swoim gronie przywoływali jakby do istnienia miniony świat, utrwalili pamięć ale i budowali współczesnych swą kulturą bycia. Cieszyli się sympatią wśród świętoannowej młodzieży. Byli zapraszani chętnie na spotkania z grupami ze św. Anny a nawet na spotkania międzyśrodowiskowe i międzyośrodkowe w których uczestniczyli studenci od Najświętszego Zbawiciela, św. Jakuba i inni. Bardzo doceniona była ich zorganizowana obecność na uroczystościach jubileuszowych 50-cio lecia Duszpasterstwa Akademickiego w Polsce a ich wypowiedzi były słuchane z wyraźną uwagą. Mówili oczywiście o roku 1920 co dla zdecydowanej większości słuchaczy było jak objawienie. Zresztą trzeba przyznać że członkowie „Kola Weteranów Wojny 1920 Roku” wykorzystywali każdą godziwą a sposobną ku temu okoliczność by mówić o wojnie z bolszewikami. Ta taktyka przyniosła owoce. To naturalnie rodziło zdenerwowanie w środowiskach władzy.

Skład

Warto się przyjrzeć kim byli ci ludzie którzy tworzyli to środowisko, ludzie którzy mieli odwagę przeciwstawić się totalitarnemu państwu. Warto przypomnieć, chociaż tych których zapamiętałem, ich dane oso-

bowe, bo to właśnie tacy jak oni niekoniecznie słowami wypowiedzianymi przez hrabiego Prądzyńskiego ale mówili publicznie to samo co on "Polacy nie mogą zapomnieć 1920 roku". Aby takie słowa wówczas mówić trzeba było być człowiekiem odważnym i mądrym, trzeba było być Polakiem zanurzonym w losy swojego narodu – a oni takimi byli. Zapamiętałem następujące osoby spośród tych którzy w trudnej, powojennej rzeczywistości polskiej, z potrzeby serca strzegli pamięci o wydarzeniach 1920 roku wśród inteligencji polskiej a nade wszystko wśród warszawskich studentów. Nie zapominajmy działo się to wszystko u św. Anny.

– **Biernacki Zbigniew**, syn uczestnika walk 1920 roku, podoficera z tego czasu pochodzącego z Buska Zdroju lub z ziemi buskiej, mieszkał w Warszawie a później w Łomiankach, przedsiębiorca wieloletni prezes Komitetu Budowy Pomnika 1920 roku i będącej jego kontynuacją Fundacji Budowy Pomnika Zwycięstwa w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku.

– **Boruta-Spiechowicz Mieczysław**, uczestnik walk 1920 roku, generał, niestrudzony prelegent, bardzo ceniony autor literatury wspomnieniowej, najchętniej mówił o wojnie polsko – bolszewickiej, mieszkał w różnych miejscach w Warszawie i pod Warszawą a najczęściej i chyba najchętniej w Zakopanem. Pokochał spotkania wakacyjne z młodzieżą akademicką w „Majówce”, u Muliców w Ratułowie. Górale bardzo go szanowali więc po pojawieniu się jego u nas aktywa nasze wśród górali bardzo wzrosły. Generała osobiście poznałem dużo wcześniej ale drogę do Muliców wskazał generałowi jeśli się nie mylę Tadzio Krawezak dzisiejszy Dyrektor Archiwum Akt Nowych. Generał przylgnął do nas całym sercem. Mam podstawy sądzić, że jeśli nie każda to zdecydowanie większość moich grup wakacyjnych spotykała się tam z generałem. Był wspaniałym gawędziarzem. Pamiętam dobrze jak do swojego Staszka, do Zakopanego dzwonił dobrze po 11.00-tej by przyjechał go zabrać od nas do domu. Pamiętam dobrze jego spotkanie z młodzieżą u Muliców na temat generała Tadeusza Rozwadowskiego. Nie wiem co wtedy się stało z generałem ale mówił do tej młodzieży, suchym, żołnierskim językiem, o szczegółach przebiegu linii frontów dowodzonych przez Rozwadow-

skiego, o udziale rodzajów broni w poszczególnych starciach, o relacjach do innych linii frontu, o organizacji zaplecza frontowego i innych podobnych rzeczach. Studenci nudzili się niepomrotnie, w pewnym momencie Maryla Mariańska swoim romantycznym głosem mówi „Panie generale a kiedy pan zacznie mówić o wojnie 1920 roku” Generał: „No przecież mówię”. Wszyscy w śmiech. Wtedy generał zorientował się, że nie prowadzi odprawy ze swymi oficerami liniowymi lecz spotyka się ze studentami. I „zaczął o wojnie 20-go roku” ale w sposób na który wszyscy czekali.

– **Jankowski Zenon**, uczestnik walk 1920 roku jako 15-to latek, halerczyk, zacięty w walce, niezrównany w starciach na białą broń, chorąży, po wojnie gen. Haller odznaczył go Krzyżem Walecznych, po 1989 roku awansowany na wyższe stopnie, autorytet w środowiskach patriotycznych na Mazowszu, nauczyciel muzyki, pochodził z ziemi włocławskiej, pamiętał wiele szczegółów z okresu wojny 1920 roku mieszkał w Sierpcu, Legia Akademicka, nie wiem jakim sposobem.

– **Knabe Henryk**, uczestnik walk 1920 roku, awansowany na polu walki na stopień porucznika, późniejszy wybitny profesor Politechniki Warszawskiej, ten sam któremu jako studentowi rektor Politechniki Warszawskiej, profesor Ignacy Radziszewski zlecił opiekę nad żołnierzami generała Józefa Hallera i oddziałem wileńskim ochotników harcerskich zakwaterowanymi w potrzebie 1920 roku w gmachach Politechniki Warszawskiej. Pochodził rodzinnie najprawdopodobniej ze Lwowa ale rodzina przeprowadziła się po 1902 roku do Łodzi gdzie się urodził. warsawianista, rozmiłowany w Mokotowie gdzie mieszkał Legia Akademicka, Nie znałem drugiego profesora Politechniki, który by tyle wiedział o swojej uczelni. On po prostu kochał Politechnikę Warszawską. To on został wybrany przez członków „Koła Weteranów Wojny 1920 Roku” by reprezentował środowisko Legii Akademickiej w kierownictwie Senioratu św. Anny któremu formalnie podlegało i Koła Weteranów. Z umocnienia Rektoratu, kierowała całością Wacława Śliwowska, świadek w procesie beatyfikacyjnym księdza Rektora Edwarda Detkensa, uczestnik Powstania Warszawskiego, uczestnik drugiej konspiracji

jakże zasłużona nauczycielka w warszawskich szkołach średnich. Była stale jakby z obowiązku zapraszana na spotkania Koła Weteranów ale bardzo rzadko przychodziła.

– **Knabe Jerzy?**, młodszy brat profesora, uczestnik walk 1920 roku w służbie pomocniczej sanitarnej ze względu na młody wiek, późniejszy lekarz wojskowy dla kawalerii, popularyzator kodeksu Baziewicza, sekundant w pojedynkach, pochodził rodzinnie najprawdopodobniej ze Lwowa, urodził się w Łodzi, mieszkał w Warszawie. Za staraniem brata mimo że był uczniem nie studentem włączono go do Legii Akademickiej. Organizował pomoc medyczną dla środowiska „Koła Weteranów 1920 Roku”.

– **Korecki** niestety nie pamiętam imienia ani nie znam jego stopnia wojskowego z wojny 1920 roku ale pamiętam doskonale jego szlachetną postać. Był opiekunem mojego stażu technicznego w Kieleckich Zakładach Wytwarzania Metalowych. Był inżynierem, prawdziwym filarem KZWM-u o wszechstronnym i ugruntowanym wykształceniu technicznym. Choć był tylko majstrem na jednym z wydziałów bo nie chciano go w ogóle awansować to „drugie śniadania” w jego kajucie były prawdziwymi odprawami technicznymi fabryki. To był powód dla którego dyrektor Soból osobiście chronił go przed aresztowaniem i odrzucał wszystkie wnioski POP o wyrzucenie go z pracy. On szczęśliwie mieszkał w dużym wygodnym mieszkaniu rodzinnym sprzed wojny w Kielcach i tam była baza dla Kieleckiego Koła Weteranów. Było ono jednym z większych bo równe krakowskiemu 11–12 osób. Na ich spotkania przyjeżdżali też ludzie z Tarnowa pośród których wiem, że był jakiś kuzyn Witosa. Pan Korycki ze względu na stan zdrowia nie mógł przyjeżdżać do św. Anny ale utrzymywał z nami bardzo systematyczne i rzetelne relacje.

– **Kubicki Andrzej**, syn uczestnika walk 1920 roku, pułkownik, zasłużony dla podtrzymywania dobrych tradycji wojskowych tak w okresie PRL-u jak i po 1989 roku, zaangażowany w działalność opozycyjną podczas transformacji ustrojowej w Polsce. Zdecydowany obrońca dobrego imienia pułkownika Kuklińskiego, mieszkał w Warszawie, za-

wsze wnosił na spotkaniach dużo życia i humoru, pomagał środowisku w sprawach organizacyjnych.

– **Kudelski Mieczysław**, uczestnik walk 1920 roku, rotmistrz, wojskowy z wykształcenia, po rocznym przeszkoleniu w Grudziądzu, towarzysz walk młodego Przeździeckiego, związany jakoś z Baranowiczami, inżynier po Dyneburgu, mieszkał w Warszawie, Legia Akademicka.

– **Manteufel Ryszard**, uczestnik walk 1920 roku, młodociany ochotnik, wslawił się szarżą artyleryjską pod Płockiem, późniejszy profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ceniony w środowisku za rzetelną postawę życiową i szlachetność. Mapę Polski przedwojennej i obecnej miał ze szczegółami w głowie, stąd, ale także z tego powodu, że miał pamięć do szczegółów był cennym uczestnikiem spotkań, pochodził rodzinie z Inflant, ziemianin, mieszkał w Warszawie, Legia Akademicka.

– **Niedźwiedzki Stanisław**, niektórzy utrzymywali, że jego prawdziwe nazwisko to „Miedźwiecki”, uczestnik walk 1920 roku, w służbach technicznych najprawdopodobniej w łączności, kolega Turskiego z czasów wojny, związany później jakoś z matematykami którzy rozpracowali szyfr "Enigmy", inżynier zainteresowany problemami technicznymi natury wojskowej, pochodził z Kielecczyny, najprawdopodobniej z rodziny ziemiańskiej, mieszkał w Kielcach, Legia Akademicka. Nieustannie podtrzymywał w środowisku pamięć o Janie Hrabi Przeździeckim.

– **Prądyński Andrzej**, hrabia, rotmistrz, niezrównany znawca i miłośnik koni, zafascynowany jeździectwem, dozgonny przyjaciel Wyścigów Konnych na Warszawskim Służewie. Uczestnik walk II-iej Wojny Światowej, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, ocalony przez Amerykanów. Po zakończeniu wojny zajął się bardzo owocnie rewindykacją koni polskich zrabowanych przez Niemców hitlerowskich podczas okupacji. Wrócił do Polski w 1947 roku wraz z ostatnim odzyskanym taborem końskim. Nie wiem, co go skłoniło do zaangażowania się w inicjatywę Księcia Radziwiłła, rotmistrza Kudelskiego a pewno i innych by zaangażować się w powołanie „Koła Weteranów Wojny 1920 Roku”. Można jedynie przypuszczać, że była to pamięć o generale Andrzeju Prądyńskim,

jakże zasłużonym w 1920 roku i o postawie jego ojca Lucjana Prądyńskiego, który był bardzo wybitnym działaczem wielkopolskim niepodległościowym w latach 1917–1921. To właśnie Prądyński miał odwagę powiedzieć Edwardowi Gierkowi w oczy „Polacy nie mogą zapomnieć 1920 roku”, powtórzył mu te same słowa którymi wcześniej uzasadniał najpierw Księdzu Rektorowi Uszyńskiemu a potem Kardynałowi Wyszyńskiemu potrzebę powołania „Koła Weteranów Wojny 1920 Roku” Mieszkał w Warszawie a potem przeniósł się gdzieś na Pomorze.

– **Przeździecki Jan Maryjan**. To naprawdę zupełnie jednostkowy przypadek. Oczywiście nie mógł być i fizycznie nie był na spotkaniach Kola, ale jego obecność była jakby nieustannie przywoływana trwałą i intensywną pamięcią środowiska. Najczęściej wspomnienia o nim zaczynał Niedźwiedzki jako o koledze z łączności ale też niezmiennie przypomniano w tak sprowokowanych rozmowach, że podobnie jak on hrabia Przeździecki, a była to przecież rzecz rzadka, przeszedł cały szlak bojowy 1920 – go roku od Warszawy do Augustowa. Raz po raz z podziwem przypomniano jego bojowe zasługi ale i inżynierskie zdolności, nade wszystko w dziedzinie łączności.

Hrabia Jerzy Przeździecki, syn Jana, którego odwiedziłem 1 marca 2020 roku w rozmowie przypominał, że jego ojciec w 1920 roku, ukończył studia inżynierskie o specjalności elektrycznej w belgijskim Liege. Kiedy doszły do niego wiadomości o ruszeniu bolszewików na Polskę nie patrząc na nie porwał statek i przyплыł nim do Gdańska. Stąd nie odwiedzając mijanej rodziny, przyjechał pociągiem do Warszawy a tu meldując się niezwłocznie w dowództwie został włączony do Telegraficznej Kompanii Warszawskiej. To właśnie oni z udziałem Przeździeckiego, opracowali skuteczne metody zagłuszania podsłuchu sowieckiego między innymi przez nieustanną lekturę Pisma Świętego. To właśnie ta kompania przez działania typu propagandowego w sposób istotny przyczyniła się do strategicznego związania Budionnego z Przemyślem, a ten obawiając się utraty zdobyczy nie przyszedł Tuchaczewskiemu z pomocą pod Warszawą. Manewr ten obmyślił Piłsudski i on osobiście zlecił Kompanii wykonanie zadań z tego zakresu.

Prawdziwym „białym krukiem” jest zachowane u Jerzego Przeździeckiego zaświadczenie wojskowe z 1920 roku w którym są zawarte informacje o służbie hrabiego Jana Przeździeckiego w potrzebie wojny polsko – bolszewickiej i o skierowaniu go do pracy w Centralnych Składowach Telegraficznych w Warszawie. Wojskowym nie przestał on być nigdy, wyspecjalizował się w sprawach łączności radiowej. Dość powiedzieć, że chociaż w rok, półtora po zakończeniu wojny 1920 roku został dyrektorem kopalń francuskich w Zagłębiu, a sprawował swe obowiązki wręcz wzorowo, to w 1939 roku od razu został zaprezentowany w sztabie jako wybitny oficer łącznikowy. O ile mnie pamięć nie myli mówiono, że był jakoś powiązany z ekipą rozpracowującą „Enigmę”. W każdym bądź razie Niedźwiecki był przekonany, że w Dąbrówce spotkał go co najmniej ze dwa razy. W czasie wojny hrabia Przeździecki wypełnił polecenia dowództwa AK natury bardzo indywidualnej i o bardzo wysokim stopniu trudności.

Po 1920 roku zamieszkał w Bytomiu, gdzie był człowiekiem bardzo szeroko znanym i autentycznie szanowanym ale tak naprawdę wolitywnie, intelektualnie i emocjonalnie to był związany z Warszawą. A mówiła mi o tym bardzo wiarygodna Izabella Radziwiłłowa, która nie mogła mu zapomnieć, że pół balu u Tarnowskich zmarnowała na rozmowie z nim. Pamiętam relację skończyła słowami: „ale to on miał rację bo niedługo potem przyszedł 39-ty rok. To była nasza ostatnia rozmowa”.

Hrabia Jan Przeździecki został aresztowany w dzień odwrotu Armii Radzieckiej z Bytomia w 1945 roku, najprawdopodobniej przez Urząd Bezpieczeństwa i wszelki ślad po nim zaginął. To może sugerować, że zabrały go służby sowieckie, bo też i aresztujący nie przedstawili się kim są. Jedno wiem, że dla szeroko pojętego środowiska „Koła Weteranów Wojny 1920 Roku” był on autentycznym symbolem jak nikt inny. Z nim się wszyscy identyfikowali dlatego pozwoliłem sobie włączyć go do prezentowanych wspomnień. To dziwne ale na naszych spotkaniach on był, był naprawdę jako „Wielki Nieobecny”.

– **Radziwiłł Janusz**, uczestnik walk 1920 roku, ksiądz, był prawdziwą legendą środowiska, rotmistrz, ze względu na stan zdrowia skiero-

wany do służby w logistyce w której wykazał się dużymi talentami, ze względu na znajomość języków przywoływany do sztabu jako tłumacz przede wszystkim dla potrzeb kontaktów z cudzoziemskimi obserwatorami, po powrocie z uwięzienia w Krasnogórsku pod Moskwą zamieszkał w Warszawie nie brał już udziału w spotkaniach Koła Weteranów najprawdopodobniej ze względu na chorobę i śmierć w 1967 roku. O ile dobrze pamiętam walczył u Dowbór Muśnickiego, z Sybiru wrócił w 1947 roku. Jeden z zasadniczych inicjatorów zawiązania Koła Weteranów Wojny 1920 roku z centrum u św. Anny, co w środowisku bardzo pamiętano.

– **Szlenk Zbigniew**, uczestnik walk 1920 roku, jako student IV-go roku medycyny warszawskiej pełnił bardzo niebezpieczną funkcję felczera frontowego, odznaczony po wojnie za ofiarne niesienie pomocy ran-nym żołnierzom, miał doskonałą pamięć, lubiano go słuchać ze względu na bardzo żywy charakter jego wspomnień, był chętnie słuchany nawet przez dzieci. Hrabia Prądzyński skomentował krótko jego 2-u godzinną gawędę "Wojna widziana bardzo młodymi oczami", po studiach lekarz wojskowy – laryngolog i jako dr nauk medycznych pracownik naukowy na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, pochodził prawdopodobnie z Łomżyńskiego, mieszkał w Warszawie, Legia Akademicka. Organizował w okresie schyłkowym komunizmu wraz z doktorem Knabe pomoc medyczną dla środowiska, co w ówczesnych warunkach było bardzo ważne ze względu na powszechny brak leków. Cieszył się bezgranicznym zaufaniem Księdza Rektora Uszyńskiego.

– **Szurmiej Szymon**, uczestnik walk 1920 roku, wyznania mojżeszowego z mieszanej rodziny polsko-żydowskiej, patriota polski, podczas wojny służył przy redagowaniu, wydawaniu i kolportażu frontowej prasy żołnierskiej i ulotek, aktor, mieszkał w Warszawie, być może był w Legii Akademickiej i z niej został oddelegowany do powyższej pracy. Nie znam o nim więcej informacji ale też i na spotkania Koła przychodził bardzo rzadko. Pamiętam, że traktował mnie serdecznie jakby po przyjacielsku, a w kwestiach żydowskich często w poglądach różnił się z Żydami, także z poglądami głoszonymi oficjalnie przez gminę.

– **Ślaski Andrzej**, syn uczestnika walk 1920 roku, sławnego rotmistrza Jana Ślaskiego, inżynier przedsiębiorca, rozumiał i wspierał środowisko weteranów 1920 roku, także przez organizowanie potrzebnych funduszy, organizował odwiedziny a często sam osobiście odwiedzał chorych weteranów nie tylko w Warszawie ale i na Mazowszu, to on też organizował im pomoc. Różnymi sposobami nagłaśniał potrzebę budowy pomnika polskiego zwycięstwa w wojnie polsko – bolszewickiej, pochodził z rodziny ziemiańskiej, mieszkał w Warszawie, zaangażowany w transformację ustrojową w Polsce. Mama jego, pani Maria Ślaska opowiadała o odbiorze problemów polskich na Skandynawii bo często tam wyjeżdżała, bardzo nas to budowało ale największe wrażenie wywarła opowieść pana Andrzeja Ślaskiego na jednym ze spotkań o ochotnikach szwedzkich w Polsce w 1920 roku. Wraz z pułkownikiem Kubiekiem pomagali organizacyjnie panom Kudelskiemu i Prądyńskiemu w prowadzeniu środowiska. Często byli upoważniani do jego reprezentowania. Bardzo cenną była jego ofiarna pomoc środowisku jako kierowcy posiadającemu wygodny samochód a ponadto nieskrępowane dojście do benzyny, co wtedy było nie lada sztuką. Wraz z panem Kubiekiem był zaangażowany w obronę dobrego imienia pułkownika Kuklińskiego, którego uważał za kontynuatora ideałów polskich z 1920 roku, co bez skrępowania mówił publicznie.

– **Teraganian Leon**, uczestnik walk 1920 roku związany z wywiadem, związany z Baranowiczami, Ormianin, wsławił się samotną likwidacją pięcioosobowego zwiadu bolszewickiego w Lasach Nadliwskich, pochodził ze Lwowa, mieszkał w Warszawie, Legia Akademicka. Czasami na opłatek przychodził z panią Norą Ormianką, która pięknie nam śpiewała.

– **Turski** uczestnik walk 1920 roku, kolega Niedzwiedzkiego z pól walki, niezrównany zwiadowca, zaangażowany w gromadzenie funduszy dla potrzeb wojska w trakcie wojny 1920 roku, ciężko ranny w tej wojnie, ziemianin najprawdopodobniej z mławskiego, Legia Akademicka, mieszkał w Warszawie.

– **Zientara Władysław**, uczestnik walk 1920 roku, piechota, wsławił

się bardzo brawurowym atakiem na bolszewików pod Radzyminem, pochodził z rodziny chłopskiej najprawdopodobniej z okolic Krakowa, Legia Akademicka, dobry polonista, nauczyciel w szkole średniej w jakimś podwarszawskim mieście, organizował konkursy recytatorskie.

Na spotkanie "Koła Weteranów Wojny 1020 Roku" regularnie przychodziły dwie panie związane rodzinnie z bohaterami tej wojny. Zawsze wносиły swoją obecnością dobrą atmosferę. Były to:

– **Paderewska – Chrościcka Emilia**, bratanica premiera Paderewskiego, nieustraszonego obrońca życia nienarodzonych, lekarz, przychodziła ze względu na Paderewskiego, pochodziła z Ponidzia z rodziny ziemiańskiej, mieszkała w Warszawie.

– Ślaska Maria, wdowa po rotmistrzu Janie Ślaskim, bohaterze walk nad Styrem w 1920 roku. Przychodziła ze względu na niego, miała bardzo dobrą pamięć szczegółów czym ubogacała nasze spotkania, z rodziny ziemiańskiej, mieszkała w Warszawie.

Rzadko, ale przychodziły na spotkanie panie:

– **Branicka Wolska Anna**, myślę, że z powodu zainteresowań osobistych, w tym ze względu na zaangażowanie rodziny, głównie jej ojca Ksawerego Branickiego ogromnie zasłużonego w potrzebie 1920 roku, po powrocie z Sybiru mieszkała w Warszawie, pracowała w PAN-ie.

– **Osuchowska Zofia**, pochodziła z Bielańskich ale przychodziła ze względu na starą ziemiańską rodzinę męża Osuchowskich ze Śmiłowic z Ponidzia, która licznie uczestniczyła w potrzebie 1920 roku, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Dwa albo trzy razy była obecna na spotkaniu księżna Izabella z Radziwiłłów Radziwiłłowa Pamiętam jak podczas jednej z dyskusji poruszyła sprawę form aktywności Polaków z różnych krajowych Związków Maltańskich celem pomocy Polakom w 1920 roku, mieszkała w Warszawie. Raz na spotkaniu była ze swoim mężem Edmundem Radziwiłłem z Ołyki. Nie mogę nic powiedzieć o innych spotkaniach czy sporadycznie pojawiających się paniach ale odnosiłem wrażenie, że były one z rodzin uczestników.

Chcę jednak powiedzieć o jednym. Spotkałem się na pewną okolicz-

ność z panem Andrzejem Dembińskim z Paryża. Oczywiście opowiedziałem mu o zaangażowaniu się naszego środowiska w dbałość o trwanie pamięci wśród Polaków o roku 1920. Rozpaliła go ta informacja. Podczas rozmowy powiedział rzecz o której nic nie wiedziałem. Pani Antoinette Muet, wdowa po ostatnim gubernatorze Maroka oraz pani Christine Chausson, wdowa po wybitnym przedsiębiorcy francuskim opowiadały mu, że jako młode dziewczęta w czasie gdy bolszewicy szli na Warszawę, biegały z ochotą nocami do kościoła Notre Dame de Victuaire lub do Bazyliki na Montmorte by modlić się o zwycięstwo Polaków. Okazuje się, że modlitwa w tej sprawie była nie tylko w Polsce. Dosłownie resztkami pamięci ogarniam obecność innych osób. Pamiętam, że przychodził z wnuczką o takim samym nazwisku schorowany pan Pilch ale nie pamiętam jego bliższych danych. W rozmowach padało nazwisko sędziego Bronisława Dobrzańskiego w formie: „kolega Dobrzański” co by mogło wskazywać, że był ze środowiska żołnierzy 1920 roku. Był osobą bardzo szanowaną, ale nie kojarzę go ze spotkaniami Weteranów 1920 roku u św. Anny. Spotkałem go bowiem osobiście na innym gruncie, najczęściej u państwa Mejro czy u mec. Grabińskiego i być może, że to właśnie zasłoniło mi pamięć o jakimś spotkaniu z nim u św. Anny.

„Koła Weteranów Wojny 1920 Roku” poza św. Anną w Warszawie istniały jeszcze jeśli dobrze pamiętam w Krakowie, Kielcach, Tarnowie, Rzeszowie, Wrocławiu, Grudziądzu, Bydgoszczy, Włocławku, Poznaniu, Płocku, Sierpcu Lublinie. Największe bo 11 – 12 osób liczące były w Krakowie i Kielcach, inne były mniejsze ale wszystkie były de facto federacjami indywidualnych osób. Spotkania mieli co najmniej raz, dwa razy w roku bo na opłatek i wielkanocne ale to co było bardzo interesujące w napływających od nich informacjach, swoistego rodzaju „sprawozdaniach” to to, że przekaz informacyjny o 1920 roku przez nich realizowany dokonywał się bardzo często przez struktury duszpasterskie parafialne.

Działalność

Jak było przede mną – nie wiem, natomiast w latach 1978–1980 spotkania członków "Koła Weteranów Wojny 1920 Roku" miały charakter wspomnieniowy. Oczywiście, żeby to było jasne, ja mówię o świętoannowych spotkaniach środowiska, ale przecież dobrze wiem, że obok tego istniało wcale ciekawe życie towarzyskie o którym siłą rzeczy nie mam świadomości, bo w nim na ogół nie uczestniczyłem. Zawsze modliliśmy się za poległych i zmarłych w tej wojnie nie wykluczając bolszewików spotkania te na ogół odbywały się we własnym gronie albo z udziałem zaproszonych gości, których listę ustalano bez mojego udziału. Niestety dziś pamiętam tylko niektóre z nich, ale trzeba jasno powiedzieć, że wszystkie były organizowane z pożytkiem dla środowiska. Mówię dla środowiska, bo takie rzeczywiście istniało a teksty były nagrywane na taśmy i wysyłane w kraj. Niektóre ze spotkań pamiętam od strony osobowej i tematycznej, ale nie pamiętam ich już od strony chronologii:

– z gen. **Mieczysławem Borutą Spiechowiczem**, który omawiał dynamikę frontu wojny 1920 roku w oparciu o posiadane przez niego i zaprezentowane oryginalne mapy wojskowe. Podczas dyskusji po referacie niektórzy zarzucali generałowi stronnictwo na rzecz Piłsudskiego i mieli krytyczne uwagi co do jego opinii na temat bitwy pod Płockiem, ale naturalnie „in genere” referat był przyjęty entuzjastycznie.

– z generałem **Romanem Abrahamem**. Mówił już wtedy z dużym trudem a mówił o podobieństwach w strategii generałów Józefa Hallera, Tomasza Rozwadowskiego i Andrzeja Prądyńskiego. To był bardzo specjalistyczny referat o wiele milej nam się słuchało gdy mówił krótko o szczególnej roli Legii Akademickiej i ochotniczych oddziałów harcerskich w tej wojnie. Generał prezentował swoje własne rysunki sztabowe a co najważniejsze biła z jego postawy prawda, jakieś osobowe potwierdzenie autentyczności mówiącego świadka. Biła z niego jakaś pewność, że to o czym zdecydował, co osiągnął w tej wojnie było czymś dobrym. Pamiętam życzliwy, bardzo sympatyczny nastrój wśród młodzieży wobec jego osoby.

– z siostrą ze "Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących",

jeżeli mnie pamięć nie myli to z **siostrą Barbarą Wycech**, która mówiła o otwartej postawie ich Matki Kazimiery Gruszczyńskiej, gdy ówczesne władze polskie zwróciły się do zgromadzenia by wyszło naprzeciw potrzebom wojska w tej wojnie. Mówiła z dużą skromnością o formach, zakresie podjętych przez siostry obowiązków, ale i o bohaterstwie sióstr tego Zgromadzenia, które z oddaniem służyły rannym żołnierzom polskim w przyfrontowych leprozoriach nieustannie przecież zagrożonych. Pamiętam dobrze jakże wzruszający fragment jej relacji, gdy opowiadała jak księża kapelani w rozgardiaszu wojennym, w sytuacjach bojowych mówili siostronom gdzie widzieli zostawionych swojemu losowi rannych. A siostry szły do nich później a zdarzało się nawet że i pod kulami.

– z panem profesorem **Stanisławem Herbstem**, historykiem, warszawianinem z Uniwersytetu Warszawskiego. Rozpalił do białości zebrane towarzystwo wystąpieniem na temat: "Jak ocalono miasto". Oczywiście było to o Warszawie. Dużą wartością wspomnianego referatu było zaprezentowanie przez profesora sowieckiej obudowy propagandowej tego ataku na Polskę w tym i instrukcji Tuchaczewskiego dla żołnierzy oraz o odprawach prowadzonych osobiście przez Budionnego ale trzymał wszystkich w napięciu gdy przedstawiał jak krok za krokiem żołnierze Armii Ochotniczej odsuwali od Warszawy natarcie bolszewickie. Nie spotkałem nigdy wcześniej czy później relacji naukowej o tym jakie znaczenie ma starcie jeden do jednego w całokształcie wyników bitwy. To było fascynujące w wystąpieniu profesora Herbsta. Szczególną wartością wieczora była też jego informacja o tym co działo się w poszczególnych dzielnicach miasta podczas bolszewickiego oblężenia i o postawie obywatelskiej warszawiaków w tej opresji.

– niemożliwy do zapomnienia był "Wieczór z wnukami". Prowadziła go **Basia Wachowicz**, moja koleżanka z czasów studiów na warszawskiej polonistyce. Najsympatyczniejsze spotkanie jakie przeżyłem w tym środowisku. Starsi panowie przyprowadzili na nie swoich wnuków. Byli to prawie sami mężczyźni lub chłopcy, osoby w różnym wieku. Trzeba powiedzieć, że członkowie naszego "Koła" byli starannie przygotowani do wystąpień bo każdy chciał dobrze wypaść wśród swoich, ale mieli też

świadomość, że będą mówić w środowisku dość dobrze zorientowanym. Rozgrzani emocjonalnie mówili rzeczy ważne i ciekawe. Basia przeplatała wystąpienia panów fragmentami literatury polskiej. To był bardzo udany wieczór, wszyscy byli zadowoleni i ci młodzi też. Zdumiewająca okazuje się w takiej sytuacji wielkość literatury narodowej oraz jej rzeczywisty związek z życiem Narodu.

Ostatnie tego typu spotkanie odbyło się na początku roku akademickiego 1980/ 1981, ale już nie pamiętam z Kim.

KOMITET BUDOWY POMNIKA ZWYCIĘSTWA W WOJNIE POLSKO BOLSZEWICKIEJ W 1920 ROKU

Rok 1980 przyniósł istotne zmiany w funkcjonowaniu "Koła Weteranów wojny 1920 roku" szczególnie w warszawskiej jego części ale też i w wymiarze całego kraju. W zasadzie główną przyczyną zmian był dramatyczny ubytek członków. Kiedy obejmowałem opiekę nad "Kołem" znanych nam utrzymujących z nami kontakt żyjących uczestników wojny 1920 roku było w Polsce 127osób, w 1980 roku w sierpniu doliczyliśmy się ich piętnastu. Przyczyna tego zjawiska była zupełnie naturalna bowiem nasi członkowie stanowili grupę równolatków urodzonych w latach 80-tych, 90-tych XIX wieku lub na początku XX wieku a zegar biologiczny na ogół bije podobnie dla ludzi.

Okolicznością niebagatelną były wyzwania jakie przyniosła transformacja ustrojowa w kraju i zaistnienie ruchu "Solidarność". W te gorące sprawy publiczne zaangażowali się panowie Kubicki i Slaski, którzy dotychczas bardzo owocnie pomagali panom Prądyńskiemu i Kudelskiemu. Stąd w grupie warszawskiej, by zaradzić potrzebie zwrócono uwagę na trwałą w niej obecność pana Zbigniewa Biernackiego, też syna uczestnika walk z 1920 roku. Panowie Prądyński i Kudelski zaproponowali mu bardziej oficjalne formy jego zaangażowania w sprawy grupy warszawskiej. Pan Biernacki propozycję przyjął i przygotował ostatnie spotkanie "Koła Weteranów Wojny 1920 roku".

Odbyło się ono u św. Anny 10 listopada 1980 roku, a podjęto na nim bardzo ważne decyzje:

- rozwiązano "Koło Weteranów Wojny 1920 Roku" tak w wymiarze Kraju jak i Warszawy

- przyjęto rezygnację panów Kudelskiego i Prądyńskiego z funkcji przewodniczenia Kołu

- przyjęto rezygnację panów Kubickiego i Ślaskiego z różnych form zaangażowania w sprawy środowiska

- powołano pana Zbigniewa Biernackiego do samodzielnego kierowania sprawami środowiska i przekazano mu „dokumentację”

- zaakceptowano w pełni i jednomyślnie koncepcję pana Biernackiego by na miejsce "Koła Weteranów Wojny 1920 roku" powołać "Komitet Budowy Pomnika Zwycięstwa Polskiego w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku" o charakterze ogólnopolskim i międzynarodowym:

- Pan Biernacki poprosił mnie bym nadal kapelanował sprawie mimo zupełnie nowej sytuacji środowiska. Propozycję przyjąłem ponieważ Kuria Metropolitalna Warszawska wiedząc o wszystkim nie odwołała mnie z tego kapelaństwa a sprawie byłem osobiście bardzo życzliwy.

- aktywa "Koła" tak zarządu jak i grup terenowych, jeśli takowe będą, miały być przekazane Komitetowi po otwarciu konta.

- Zachowano ogólnopolski charakter Komitetu, taki jaki miało Koło.

Spotkanie zakończyło się Mszą św. dziękczynno-błagalną w kaplicy Patrona Warszawy błog. Ładysława z Gielniowa, a po niej była uroczysta kolacja w Rektoracie. Pan Zenon Jankowski w towarzystwie pani Marii Ślaskiej podziękował przy deserze Księdzu Rektorowi za gościnę wieloletnią, Siostrom Dominikankom za życzliwość, panom Kudelskiemu i Prądyńskiemu za przewodniczenie środowisku i odważne przypomnianie 1920 roku, panom Kubickiemu i Ślaskiemu za zaangażowanie i wnoszenie życia w grupę oraz mnie za asystencję.

Powołanie „Komitetu” wniosło w funkcjonowanie środowiska istotne zmiany. Zaprzestano organizować spotkania o dotychczasowym charakterze intelektualno – formacyjnym spotkania o zasadniczym znaczeniu dla „Koła Weteranów Wojny 1920 Roku”. Na ich miejsce pojawiły

się spotkania organizowane w różnych częściach Warszawy, rzadko u św. Anny, które miały najwyraźniej roboczy charakter. Skład uczestników spotkań stał się bardzo zmienny, zmienny bo Komitet w odróżnieniu od „Koła” był zarejestrowany w KRS-ie, choć nie pamiętam jaki był zapis co do składu samego Komitetu. Tak naprawdę stabilny był tylko prezes – pan Biernacki i Kapelan. Wiem, że były bardzo częste zmiany w zapisie Krajowego Rejestru Sądowego. Poza osobą prezesa, jako osoby zaangażowane w działalność Komitetu pozostały mi w pamięci pan Bogdan Kurant i pani Agnieszka Bogucka. W sprawach papierowych o ile pamięć mnie nie myli pomagała Zarządowi Komitetu pani Aldona Biernacka – małżonka Prezesa. Spotkania robocze nie będące siłą rzeczy spotkaniami tematycznymi i środowiskowymi nie wchodziły wyraziście do kalendarium środowiska ale niewątpliwie podtrzymywały jego żywotność.

Wspomniane wyżej decyzje zmieniły zdecydowanie charakter i sposób funkcjonowania środowiska. Obdarzony zaufaniem pan Zbigniew Biernacki był wtedy stosunkowo młodym emerytem, miał możliwości poświęcenia czasu tak dla organizacji i prowadzenia Komitetu jak i dla prac przygotowawczych do budowy Pomnika. Był przedsiębiorcą, człowiekiem praktycznym co ułatwiało mu realizację podjętego, trzeba powiedzieć podjętego bardzo chętnie zadania. Zaanonsowaną 10 listopada ideę tworzenia Komitetu doprowadził szybko do skutku.

Zaprezentował go już w pełnym składzie podczas opłatka w grudniu 1980 roku. Na czele komitetu stanął on osobiście zaś na członków powoływał najczęściej osoby ze środowiska swoich znajomych. Ostatnia zmiana w zapisie w Krajowym Rejestrze Sądowym co do Komitetu była w roku 2008. „Komitet Budowy Pomnika Zwycięstwa w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku” był organizacją społeczną, otwartą na społeczne formy funkcjonowania. Rozwój wypadków spowodował konieczność relacji instytucjonalnych. To była zasadnicza przyczyna przekształcenia Komitetu w „Fundację Budowy Pomnika Zwycięstwa w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku”. To przyniosło za sobą konieczność sformalizowania relacji wewnętrznych i zewnętrznych Funda-

cji oraz poszerzenie jej składu o środowiska pozawarszawskie, wtedy los padł na Kraków, a żyjący jeszcze Weterani z Krakowa wskazali na prof. Zina i jego małżonkę. Ponadto Fundacja dała Zarządowi możliwość oficjalnego funkcjonowania w wymiarze gospodarczym – finansowym, co bardzo ożywiło relacje prezesa z Polonią. Podobnie jak Komitet Fundacja funkcjonowała praktycznie poza św. Anną. Tu, dla podkreślenia korzeni, spotkania odbywały się na okoliczności uroczyste jak 3 maja, 15-go sierpnia czy 11-go listopada. Komitet przemieniono na Fundację także z powodów praktycznych.

FUNDACJA BUDOWY POMNIKA – MUZEUM BITWY WARSZAWSKIEJ I WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ

Ostatnich zmian zapisu w Krajowym Rejestrze Sądowym prezes Biernacki dokonał 26 października 2010 roku. Numer rejestru pozostał niezmienny KRS 0000263693 ale zmienioną w 2008 roku nazwę "Komitet Budowy Pomnika Zwycięstwa w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku" na „Fundację Budowy Pomnika Zwycięstwa w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 Roku” zmieniono tym razem na: "Fundację Budowy Pomnika – Muzeum Bitwy Warszawskiej i Wojny Polsko Bolszewickiej 1920 R." Adres pozostał niezmienny: Warszawa ul. Foksal 2, nadzór nadal miało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Skład władz Fundacji był następujący:

Prezes Zarządu: Biernacki Zbigniew
 Członek Zarządu: Walczak Ryszard
 Rada Fundacji: Zinn Wiktor
 Murzański Stanisław Roman
 Zinn Aleksandra
 Bogucka Agnieszka
 Drzewiecki Wiesław
 Kurant Bogdan

– **Biernacki Zbigniew**, przedsiębiorca, syn uczestnika wojny 1920

roku, mąż zaufania Ambasady Amerykańskiej, działacz „Solidarności” w środowisku rzemieślniczym na Mazowszu i w kieleckim, członek senioratu Duszpasterstwa Akademickiego św. Anny prezes wielu organizacji związanych z Duszpasterstwem Akademickim w Warszawie.

– **Walczak Ryszard**: działacz społeczny, działacz "Solidarności" i organizacji upamiętniających postać błog. Ks. Jerzego Popiełuszki, pochodził z Mazowsza, mieszkał w podwarszawskich Ząbkach

– **Zinn Wiktor**: artysta plastyk, wybitny rysownik z Krakowa, prawy polski patriota, Lwowiak, o ile wiem z dawnej rodziny austriackiej, spolonizowanej w XVII wieku. Jeśli idzie o budowę pomnika był zwolennikiem realizacji koncepcji przedwojennej usytuowanej na Polach Mokotowskich w osi Świątyni Bożej Opatrzności. Nie znam już szczegółów ale wiązał to też jakoś z koncepcjami Marszałka Józefa Piłsudskiego. Z przyjemnością patrzyliśmy na jego odręczne rysunki na których zawsze Pomnik nawiązywał do charakteru łuku Triumfalnego i miał zawsze coś ze starożytności. Nie wiem co się z tymi rysunkami stało.

– **Murzański Stanisław**: pisarz, podkomendny i współpracownik Łukasza Cieplińskiego w ramach WiNN, członek Towarzystwa im. Stanisława ze Skalbunierza, gorący polski patriota, pochodził z Sądecczyzny z rodziny inteligenckiej, mieszkał w Warszawie, więziony we Wronkach i na Mokotowie

– **Zinn Aleksandra**: małżonka Wiktora, wybitny humanista, autorka bezcennych not biograficznych, pracownik naukowy U J-tu, niestety śmierć przerwała jej pracę nad słownikiem biograficznym 1920 roku, który miał być wydany przez naszą „Fundację”, nie znam losów zgromadzonych już przez nią materiałów w tym zakresie i losu zespołu współpracowników.

– **Bogucka Agnieszka**: wieloletni pracownik "Wspólnoty Polskiej", oddana sprawie 1920 roku, najmłodsza córka uczestnika wojny polsko - bolszewickiej 1920 roku co było powodem jej zaangażowania się w nasze prace, bezcenna była jej pomoc w relacjach z instytucjami tak państwowymi jak społecznymi i samorządowymi.

– **Drzewiecki Wiesław**: inżynier, członek Rady Miasta Stołecznego

Warszawy w dwu kadencjach, wnuk uczestnika wojny polsko - bolszewickiej z 1920 roku, pochodzący z warszawskiego Grochowa, biorący żywy udział w pracach Ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego „Arka” na Grochowie, zasłużony dla zachowywania pamięci historycznej miasta

– **Kurant Bogdan:** chemik, odznaczony przez Księdza Prymasa Józefa Kardynała Glempa Medalem Prymasowskim za owocną współpracę w prowadzeniu Muzeum Porczyńskich, pochodzący ze Lwowa, mieszkaniec Warszawy, gorliwie przypominający potrzebę upamiętnienia Bitwy Warszawskiej

Ja zgodnie ze złożoną obietnicą przyjąłem najpierw funkcję Kapelana „Komitetu”, nie wpisanego do Krajowego Rejestru Sądowego, a później funkcję kapelana „Fundacji” też bez wpisu do KRS-u.

Kierowany przez pana Biernackiego Komitet odszedł od działalności o charakterze bardziej intelektualnym i formacyjnym, co było typowe dla Koła Weteranów a przekształcił się w swego rodzaju "grupę zadaniową". W związku z tym liczba członków komitetu była dość ograniczona a oni dobierali sobie współpracowników według ich przydatności do realizowanych zadań. Taka forma funkcjonowania Komitetu powodowała, że ludzie zmieniali się w nim jak w kalejdoskopie a zdobywanie potrzebnej wiedzy do realizacji celów odbywało się indywidualnie. Preceptora każdy dobierał sobie według własnego gustu.

Na pewno bardzo ważnym wymiarem funkcjonowania środowiska było życie towarzyskie. Trudno mi jest o wszystkim opowiedzieć ale wiem na pewno, że spotkania u Milewskich na Sadybie czy u Potworowskich na Saskiej Kępie, czy w ogrodach u Ślaskich na Mokotowie, czy na ganku Anny Branickiej nie tylko ożywiały środowisko ale były okolicznością sprzyjającą integracji środowiska, ożywienia więzi, przypominania wspomnień a nade wszystko funkcjonowania wśród ludzi pamięci o wciąż żywych wartościach. Te spotkania miały w sobie coś z dawnych dworskich spotkań podczas których wspominało się to co autentycznie integrowało ludzi. To ważne, że były to spotkania autentycznie przyjemne, pięknie organizowane, wnoszące taką zwykłą ludzką radość, jednak najbardziej istotne to to, że miały one zawsze odniesienie

do tego co najważniejsze, do tego co polskie. Jakież to miało znaczenie pośród komunistycznej nocy.

W takiej sytuacji nie uczestniczyłem w pracy tych grup zadaniowych ponieważ na wielu sprawach praktycznych się nie znałem i nie czułem bym był uczestnikom do czegokolwiek potrzebny. Brałem natomiast systematyczny udział w spotkaniach opłatkowych, w których uczestniczył prezes i dwie lub trzy osoby z Komitetu oraz najczęściej ponad 20 osób zaangażowanych w ciąg minionego roku w realizację dzieł Komitetu. Najczęściej były to osoby o więcej niż średnim wieku i harcerze.

Utrzymywałem świadomie żywy, ciągły i bardzo intensywny kontakt z panem Biernackim ponieważ mi zależało bym był na bieżąco poinformowany o aktualnych zaangażowaniach Komitetu. Umiał on inspirować ludzi do podejmowania zadań i współpracy na zasadzie wolontariatu. On osobiście również owocnie działał w Komitecie na takiej zasadzie. W każdym bądź razie była to żywa grupa, ciągle coś się działo.

Kontakty z pojedynczymi osobami prywatnymi czy środowiskami, czy organizacjami pozarządowymi pan Biernacki realizował sam natomiast do urzędów czy to administracji państwowej czy samorządowej chodziliśmy zawsze we dwóch. Była to nasza forma samoobrony przed manipulacjami ubeckimi którą wypracowaliśmy w 1979 roku i tak zostało. Jeśli idzie o stronę kościelną to po pewnym wydarzeniu zaistniałym w Kurii Metropolitarnej Warszawskiej w roku 1981, które obróciło się bardzo na niekorzyść Komitetu utrzymywaliśmy kontakt jedynie z każdorazowym biskupem ordynariuszem Warszawy, ale też we dwóch.

Do 1984 roku Komitet formalnie był związany ze św. Anną, od 1984 roku po przeniesieniu mnie na Służew formalnie funkcjonował przy św. Katarzynie Warszawa ul. Fosa 17. Było to miejsce oficjalne dla Komitetu od strony kościelnej. Raz tylko spotkanie robocze odbyło się na Wawelu w Krakowie w związku z uroczystościami Piłsudskiego i raz na Jasnej Górze w związku z jakąś inicjatywą budowy kaplicy patriotycznej przy wałach, ale nie ogarniam tego wystarczającą pamięcią.

Z biegiem czasu Komitet stał się organizacją jakby autonomiczną, na przykład działał zachowując naturalną ciągłość i po śmierci ostatnich

dwu członków Koła Weteranów Zenona Jankowskiego oraz Stanisława Niedźwieckiego. Uważaliśmy że Niedźwiedzki był ostatnim żyjącym oficerem 1920 roku. Uznaliśmy, że jego pogrzeb w Kielcach w 2006 roku zamyka w Polsce epopeję wydarzeń ludzkich związanych z tą wojną. Dźwignęła nas bardzo frekwencja na tym pogrzebie, pełny kościół na pogrzebie bardzo starego człowieka. To nie jest częste. Właśnie w związku z tym pogrzebem skonstatowałem z satysfakcją i radością "Pieśń uszło cało", pamięć o wojnie dwudziestego roku żyje.

Jak już wspominałem jedynymi spotkaniami grupowymi w jakich uczestniczyłem po zaistnieniu Komitetu były opłatki. Odbýwały się bardzo uroczyste w restauracji na Chłodnej, mieszczącej się w kamienicy dawnej strażaków na wprost kościoła. Fundatorem zawsze był restaurator. Istotnym pożytkiem dla mnie było to, że podczas opłatka odbywała się prezentacja przez prezesa każdego uczestnika wraz z informacją co uczynił dla Komitetu, dzięki czemu jest razem z nami na opłatku. W związku z tym skład był bardzo zmienny, stałymi uczestnikami tak naprawdę to był restaurator, prezes i ksiądz. Ważnym faktem było też i to że na spotkania opłatkowe prezes zapraszał polonusów z zagranicy. Informacje o żołnierzach 1920 roku żyjących poza Polską mieliśmy więcej niż skąpe, więc każdy kontakt umożliwiający przekaz informacji na ten temat był bardzo cenny. O ile dobrze pamiętam informacje w tym zakresie zbierała skrupulatnie pani Agnieszka Bogucka.

Na pewno istotną częścią działalności Komitetu były spotkania jego członków z uczniami szkół średnich i hufcami harcerskimi o różnym przedziale wiekowym. Na pewno miało swoje znaczenie ich spotkanie z uczniami szkoły amerykańskiej spod Konstancina. Dość długotrwałą dyskusję zainicjowało spotkanie środowiskowe ludzi z Niezależnego Zrzeszenia Studentów podczas którego postawiono pytanie o motywację zaangażowania się pokolenia dzieci żołnierzy 1920 roku w trwanie pamięci o Wojnie Polsko Bolszewickiej. Na pewno w odpowiedzi na to pytanie istotne znaczenie miało dostrzeganie przez nich, pamiętanej w rodzinach, indywidualne motywacje zaangażowania się ojców w walkę 1920 roku, ich osobista odpowiedź na powszechną potrzebę zaangażo-

wania się w wojnę 1920 roku, potrzebę stanięcia w obronie śmiertelnie zagrożonej Ojczyzny.

Działalność Komitetu, będącego de facto kontynuacją działalności "Koła Weteranów Wojny 1920 Roku" powstałego przed 1970 rokiem, Komitetu, który zaczął istnieć jako osobny podmiot na Boże Narodzenie 1980 roku została zawieszona w 2010 roku, kiedy to Komitet został przekształcony w Fundację Budowy Pomnika 1920 roku. Fundacja natomiast przestała istnieć w 2016 roku na skutek choroby pana Biernackiego, który umarł w 2017 roku.

Kiedy z nim rozmawiałem przed śmiercią i zapytałem "co z „Fundacją?” powiedział, że ją rozwiąże w KRS ponieważ wszyscy członkowie "poza księdzem" albo dochodzą dziewięćdziesiątki, albo są zaangażowani w inne dzieła ale "martwić się nie ma czym bo szczęśliwie naszymi sprawami żywo zainteresował się Jan Pietrzak. To bardzo rzetelny człowiek, na pewno będzie kontynuował naszą pracę w naszym duchu. Niech ksiądz utrzymuje z nim kontakt"

Charakter wszystkich trzech organizacji był bardzo podobny a i cele bardzo ambitne też były podobne choć różniły je sprawy szczegółowe to łączyły je sprawy ideowe „Koło Weteranów Roku 1920” miało charakter towarzysko intelektualny, „Komitet Budowy Pomnika Zwycięstwa 1920 Roku” miał charakter zadaniowy, którego najważniejszym zadaniem było przygotowanie podjętego dzieła od strony logistycznej, „Fundacja Budowy Pomnika – Muzeum Bitwy Warszawskiej i Wojny Polsko Bolszewickiej 1920 Roku” podjęła się już realizacji Dzieła. W związku z tym cele Fundacji zostały dość znacząco poszerzone. Zapis co do Fundacji do Krajowego Rejestru Sądowego zredagowała pani profesorowa Aleksandra Zinnowa, przede wszystkim jeśli idzie o cele Fundacji jak i formy działalności Fundacji. Zaistniałe mimo wszystko umocnienie społeczne zamysłu budowy „Pomnika Zwycięstwa 1920 Roku” przyniosło od strony instytucjonalnej potrzebę bardziej rozbudowanych relacji i tworzenia formalnych struktur, co umożliwił fakt przekształcenia Komitetu w Fundację.

DOKONANIA KOMITETU I FUNDACJI

"Komitet Budowy Pomnika Zwycięstwa w wojnie Polsko Bolszewickiej w 1920 roku" oraz "Fundacja Budowy Pomnika – Muzeum Bitwy Warszawskiej i wojny Polsko Bolszewickiej 1920 roku", która funkcjonowała w latach 2010–2016 biorąc pod uwagę cały okres funkcjonowania obu organizacji (1980–2016) zajmując się ściśle tym co wynikało z celowości ich istnienia, zaangażowane były między innymi w następujące sprawy:

Pielgrzymka na Jasną Górę

– organizacja pielgrzymki samochodowej z Warszawy na Jasną Górę 8 grudnia 1980 roku. Uczestniczyło w niej kilkanaście osób a jechaliśmy czterema prywatnymi samochodami. Zostaliśmy uroczystie przywitani przed Mszą Św. w Kaplicy Cudownego Obrazu dzięki czemu tysiące ludzi usłyszało o idei budowy Pomnika. Była to pielgrzymka mniejsza od tej z 1978 roku i miała charakter dziękczynno błagalny. Dziękczynny za dzieło "Koła Weteranów Wojny 1920 roku" błagalny o opiekę Najświętszej Marii Panny Królowej Polski nad nowopowstałym Komitetem. Mielśmy plakietki, byliśmy więc dostrzegani i życzliwie zaczepiani przez ludzi, ale intensywność przeżycia była mniejsza od tego z 1978 roku.

Kontakt z Weteranami

– aktualizacja danych kontaktowych z żyjącymi weteranami 1920 roku, monitorowanie tego co się z nimi dzieje oraz utrzymywanie z nimi kontaktów połączone z pomocą. Pomoc to paczki na święta, imieniny i na 15-go sierpnia a w razie potrzeby (rzadko) interwencje czy to w sprawach medycznych czy urzędowych. Byli szczególnie nam wdzięczni za przysyłane im leki, cieszyli się z każdego, nawet najkrótszych odwiedzin kogoś związanego z Komitetem. Największą satysfakcję przeżywali gdy zdrowie pozwalało im uczestniczyć w uroczystościach w Radzyminie 15 sierpnia. Pomagaliśmy im wtedy od strony organizacyjnej, ale na ogół przybywali z rodzinami tak, że osobom delegowanym do pomocy przez

Komitet najczęściej zostawało tylko uroczyste asystowanie im podczas całego nabożeństwa i uroczystości cywilnej. Pani Bogucka koordynowała ich wywiady dla prasy, radia czy telewizji.

Leki dla naszych seniorów – weteranów, po zlikwidowaniu Komitetu Pomocy Bliźniemu w 1985 roku, pomagała organizować trójka wspólnych lekarzy dr. Emilia Paderewska – Chrościcka, dr. Kazimierz May mój powinowaty i dr. Zbigniew Szlenk. Rozsyłaniem zajmowali się kołchani przez nas studenci medycyny co koordynował nieoceniony prof. Nielubowicz, życzliwy nam Rektor Akademii Medycznej.

Sekcja do kontaktów ze studentami

To była bardzo ważna sekcja prowadzona osobiście przez panią Bogucką. Dzieliła się na dwie sekcje, pierwszą obejmującą kontakty z Warszawą i drugą otwartą na cały Kraj. Celem działania obu było informowanie młodzieży akademickiej o wydarzeniach roku 1920 ale także zachęta do wchodzenia młodzieży w środowiska zainteresowane Wojną Polsko Bolszewicką. Bardzo ważnym wymiarem funkcjonowania obu sekcji były spotkania z młodzieżą prowadzone przez członków sekcji, bo na tym tle dochodziło do integracji międzyśrodowiskowej i były wypracowywane wspólne formy działania. To nie były tylko sprawy 15 sierpnia ale i uczestnictwo młodzieży w grupach rekonstrukcyjnych czy recytatorskich, które przez swe wystąpienia dawały słuchaczom przekaz natury informacyjnej, prawdziwy przekaz intelektualny o istocie zmagania polsko – bolszewickich w 1920 roku. To jako owoc pracy tej sekcji powstały „sesje wyjazdowe”, po prostu wyjazdy do różnych miejscowości członków tej sekcji by prezentować prawdę o roku 1920, a co nas wszystkich szczególnie fascynowało, to spotkania z młodzieżą w leśniczówkach.

Kontakty z urzędami

Szło tu o kontakty formalne z urzędami i z indywidualnymi ale pełniącymi oficjalne stanowiska ludźmi. Z urzędami Warszawy co do lokalizacji pomnika, z urzędami administracji państwowej celem zapoznania

ich z ideą budowy Pomnika Zwycięstwa 1920 Roku i wymiany myśli co do form współpracy czynników państwowych z Komitetem w tej sprawie, z instytucjami finansowymi co do organizacji całej inicjatywy od strony sponsoringu a z artystami np. z Maciejem Szańkowskim, Andrzejem Bissenikiem, czy architektem Czesławem Bieleckim celem wysondowania ich opinii co do pożądanego wyrazu artystycznego Pomnika, a tym samym przygotowywanie też do konkursu. Na pewno sporego zaangażowania wymagały rozmowy z Marszałkiem Województwa i Wojewodą. Bez względu na realne możliwości budowy Pomnika przez Komitet te formy funkcjonowania powodowały, że była to w Warszawie idea ciągle żywa. Zawsze jedna z pan zajmowała się odpowiedziami na listy które przychodziły z różnym natężeniem, a trzeba przyznać, że z roku na rok zainteresowanie ideą budowy Pomnika rosło wśród ludzi. W wymiarze Kraju, Komitet nabrał znaczenia jako instytucja poważnie zajmująca się tym problemem. Interesował się sprawą pan prezydent Ryszard Kaczorowski a także różne organizacje z Kraju i zagranicy.

Komitet pomocy bliźniemu

28 grudnia 1981 roku powołano do istnienia w oparciu o decyzję ks. Kardynała Józefa Glempa u św. Anny Komitet Pomocy Bliźniemu jako sekcję Komitetu Budowy Pomnika. Celem tej inicjatywy, popartej jednogłośnie w Komitecie, było niesienie pomocy ludziom, którzy znaleźli się w najrozmaitszych trudnościach w związku z wprowadzeniem stanu wojennego. To dzieło na nowo zintegrowało ludzi i to z zaskakującą skutecznością. Z prawdziwym zdumieniem obserwowałem, że nawet na przypadkowym spotkaniu tej sekcji Komitetu gromadziło się więcej ludzi niż na spotkaniu całego Kola Weteranów. Naturalnie wszyscy byli ze środowiska żywej pamiętającego o 1920 roku i o ludziach uczestniczących w tej wojnie.

Szczególną zasługą tej grupy było powołanie, zorganizowanie i prowadzenie "Kącika pierwszej pomocy". Pod tą niewinną nazwą kryła się grupa, która organizowała pomoc dla rannych czy pobitych przez milicję podczas manifestacji, które właśnie koło św. Anny najczęściej się

odbywały. Bardzo piękne aspekty osobowości ludzi z Komitetu Pomocy Bliźniemu objawiły się podczas stanu wojennego. Poza powyższym np. panie z Komitetu organizowały specjalne dyżury by wynosić zmarzłym żołnierzom gorącą kawę, zupę czy herbatę. Św. Anna była najgęściej obstawianym posterunkami miejscem z terenu całego miasta. Stali przy Placu Zamkowym, przy ulicy Miodowej, prawie na wprost kościoła, przy Matce Bożej Passawskiej i przy zejściu od trasy WZ na Mariensztat. Paniom było żal marznących chłopców, bo choć mieli koksowniki to zima była tego czasu mroźna. W rezultacie to myśmy się z nimi zaprzyjaźnili, traktowali nas bardzo serdecznie a mnie to nawet jak na komendę salutowali, za co na moich oczach otrzymali reprimendę od jakiegoś wyższego oficera. Zrobiło mi się po prostu ich żal. Nie wiem dlaczego ale w mojej wyobraźni sytuacja tych chłopców stała się symbolem sytuacji całego naszego narodu. Na pewno Komitet Pomocy Bliźniemu to wielka karta św. Anny z czasu stanu wojennego a zrodził się w środowisku ożywionym pamięcią wydarzeń 1920 roku. O ile św. Marcin koncentrował się na potrzebach osób „zorganizowanych” czy to w „Solidarności”, czy to w „KORZE”, czy w KPN-ie, to św. Anna właśnie przez działalność Komitetu Pomocy Bliźniemu była otwarta na indywidualne potrzeby ludzi, często bardzo starych lub samotnych i to było piękne.

Podczas stanu wojennego odżyła funkcja „łączników”. Sekcją o takiej nazwie kierował bezbłędnie członek „Kola Weteranów” pan Andrzej Ślaski. To przy „milczących telefonach” i „kulejącej poczcie” było po prostu bezcenne. Kontakt z chorymi potrzebującymi pomocy, kontakt z potrzebującymi najprostszych form wsparcia takich jak np. pójście do sklepu to czynili nasi kochani „łącznicy”, studenci nazywani później dumnie „wolontariatem”.

Członkowie Komitetu Pomocy Bliźniemu byli bardzo operatywni a ponadto mieli kontakty z wpływowymi ludźmi za granicą, dzięki temu właśnie darów przychodziło tak dużo, że ku wielkiemu zdenerwowaniu władz szefowie sekcji dzielili się nimi ze szpitalami i więzieniami, które doświadczając bardzo boleśnie braków z zakresu farmakologii ignorowali odgórne zarządzenia i utrzymywali z nami kontakty

jakby nigdy nic. Pamiętam jakie wrażenie zrobił na wszystkich, także na przypadkowych przechodniach, widok kręcącej się wokół św. Anny grupy młodych więźniów, a byli to więźniowie ze sławnych Wronek, którzy przyjechali po dary głównie po leki. Pamiętam, że bardzo już starszy lekarz pan doktor Knabe, bardzo lubił siadać na krzeselku i przyglądać krzątającym się przy darach, przy lekach do paczek paniom, panom i młodzieży.

Z "kącikiem" współpracowała grupa studentek medycyny z duszpasterstwa akademickiego ks. Jerzego Popiełuszki. Przychodziły tylko wtedy gdy były demonstracje, mieszały się z tłumem i bardzo sprawnie przyprowadzały poszkodowanych przez milicję czy przez "panów w jednakowych płaszczach". Szło o to by rannych nie zabierało pogotowie ratunkowe i by nie byli później maglowani przez służby. Dziewczeta zawsze dysponowały samochodem i rannych wymagających hospitalizacji wiozły z kartką od naszego lekarza do zaprzyjaźnionych z nami szpitali: Praskiego, Bródnowskiego i na Stępińskiej.

Spotkanie z Janem Pawłem II

Największym wydarzeniem dla środowiska akademickiego, które w Warszawie, nawet w wolnej Polsce dość samotnie strzegło pamięci 1920 roku, był udział w pielgrzymce Jana Pawła II do Radzyna. Na okoliczność potrzeby zorganizowania obecności weteranów 1920 roku okazało się że byliśmy jedyną grupą w kraju która działała pośród nich w sposób trwały i zorganizowany. To była przyczyna dla której w spotkaniu z papieżem wzięli udział tylko ludzie z naszej grupy.

Pielgrzymka odbyła się 13 czerwca 1999 roku podczas VII Pielgrzymki papieża do Polski. Z naszego środowiska, naturalnie w wymiarze całego kraju, w spotkaniu z papieżem wzięło udział ponad 200 osób a wśród nich dwóch ostatnich żyjących a znanych nam uczestników walk z 1920 roku, panowie Jankowski, Niedźwiedzki oraz legenda naszego środowiska pan Prądyński. Miało ich być pięciu ale dwóch ze względu na stan zdrowia odwołało przyjazd, na ich miejsce weszła pani Anna Branicka Wolska i ksiądz Prałat Tadeusz Uszyński. Obecność tak licznej grupy

i to z całego kraju wymagała dużego wysiłku organizacyjnego, którego podjął się i wykonał Komitet.

Wszyscy trzej nasi weterani wraz z panią Branicką i księdzem Uszyńskim siedzieli w pierwszym rzędzie od tronu papieskiego. To do nich i tylko do nich podszedł papież podczas tej uroczystości i rozmawiał z każdym z nich. Na cmentarzu nie było przewidziane żadne przemówienie papieża, ale jakby przymuszony do tego przez ludzi papież powiedział do nich kilka zdań. Po spotkaniu z weteranami Jan Paweł II wyraźnie zbierał się do wyjścia a wtedy ludzie zaczęli skandować "prosimy o słowo".

Papież powoli podniósł głowę, bolała go bo się przewrócił wieczorem w łazience, nosił bandaż w prawej części czoła, uśmiechnął się i rzekł "słusznie" po czym powiedział: "Chociaż na tym miejscu najbardziej wymowne jest milczenie to czasem potrzebne jest także słowo i to słowo chcę tu pozostawić. Wiecie, że urodziłem się w roku 1920 w maju, w tym czasie kiedy bolszewicy szli na Warszawę. I dlatego noszę w sobie od urodzenia wielki dług w stosunku do tych, którzy wówczas podjęli walkę z najeźdźcą i zwyciężyli, płacąc za to swoim życiem. Tutaj na tym cmentarzu spoczywają ich doczesne szczątki. Przybywam tu z wielką wdzięcznością, jak gdyby spłacając dług za to co od nich otrzymałem. Pragnę wszystkich uczestniczących w tym spotkaniu pobłogosławić w Imię Trójcy Przenajświętszej..."

To błogosławieństwo cały nasz krąg pamięci o 1920 roku, całe nasze środowisko obecne na spotkaniu w Radzynie, odebrało w sposób bardzo osobisty ale też jako błogosławieństwo dla podjętego przez nas wysiłku. Tego samego dnia na spotkaniu z diecezją warszawsko – praską przed katedrą św. Floriana do spotkania w Radzynie papież nawiązywał trzykrotnie. I dla niego było ono dużym przeżyciem. Warto przypomnieć Jego słowa z warszawskiej Pragi:

"Przed chwilą nawiedziłem Radzimin – miejsce szczególnie ważne w naszej historii narodowej! Ciągłe żywa jest w naszych sercach pamięć o Bitwie Warszawskiej jaka miała miejsce w tej okolicy, w miesiącu sierpniu 1920 roku. Mogłem spotkać jeszcze dzisiaj niektórych bohate-

rów tej historycznej bitwy "O Naszą i Waszą wolność" – naszą i Europy. Było to wielkie zwycięstwo wojsk polskich tak wielkie, że nie dało się go wytłumaczyć w sposób naturalny i dlatego zostało nazwane "cudem nad Wisłą".

To zwycięstwo zostało poprzedzone żarliwą modlitwą narodową. Episkopat Polski zebrany na Jasnej Górze poświęcił cały naród Najświętszemu Sercu Jezusa i oddał go pod opiekę Maryi Królowej Polski. Myśl nasza kieruje się dzisiaj ku tym wszystkim, którzy pod Radzyminem i w wielu innych miejscach tej historycznej bitwy (wojny) oddalili swoje życie, broniąc Ojczyzny i jej zagrożonej wolności. Myślimy o żołnierzach, oficerach. Myślimy o Wodzu, o wszystkich którym zawdzięczamy to zwycięstwo po ludzku. Wspominamy między innymi, bohaterskiego kapłana Ignacego Skorupkę, który zginął niedaleko stąd pod Ossowem. Dusze wszystkich poległych polecamy Miłosierdziu Bożemu.

O wielkim "Cudzie nad Wisłą" przez całe dziesiątki lat – jak już powiedział (wasz) biskup trwało milczenie. Na nową diecezję warszawsko – praską Opatrzność Boża niejako nakłada dzisiaj obowiązek podtrzymywania pamięci tego wielkiego wydarzenia w dziejach naszego Narodu i całej Europy, jakie miało miejsce po wschodniej stronie Warszawy..." Po chwili dopowiedział "Amen".

Skończył ale nie odchodzi z miejsca, wziął głowę w ręce, pomyślałem, że go pewno boli po wczorajszym upadku w nuncjaturze, ale nie. Po dłuższym milczeniu z jakąś wewnętrzną natarczywością wraca do tematu wojny polsko – bolszewickiej i mówi:

"Nie mógłbym stąd odjechać nie wspominając jeszcze jednego ważnego szczegółu. Wielu Polaków przybywa do Rzymu, niektórzy odwiedzają też Castel Gandolfo, kiedy znajdują się w kaplicy domowej rezydencji papieża o dziwo spotykają się tam z freskami na ścianach bocznych kaplicy upamiętniającymi dwa wydarzenia z dziejów naszych, polskich. Pierwszy to "Obrona Jasnej Góry" drugi to "Cud nad Wisłą". Jak się to stało? Jak do tego doszło? Otóż te malowidła kazał w kaplicy Castel Gandolfo wymalować papież Pius XI który podczas Bitwy Warszawskiej w 1920 roku był nuncjuszem apostolskim w Warszawie.

To jego decyzja, jego inicjatywa sprawiła, że Papież Polak zastał tam w tej kaplicy, dzieje swojego narodu a w szczególności wydarzenia tak bardzo mi bliskie, bo jak już powiedziałem w Radzyminie – właśnie wtedy w 1920 roku, gdy bolszewicy szli na Warszawę, wtedy się urodziłem i tym.... (brawa). Ze stuleciem lepiej dać spokój (ludzie śpiewali mu "sto lat"), ale osiemdziesiątka jest na karku, zbliża się łatwo policzyć 1920 – 1999. W każdym razie wiem, że wobec tych którzy polegli w bitwie o Warszawę, w "Cudzie nad Wisłą" zaciągnąłem szczególnie dług wdzięczności. I to chciałem wam powiedzieć, a raczej wyznać tu właśnie, w waszej nowej diecezji warszawsko – praskiej, gdzie znajduje się Radzymin i gdzie ślady tego olbrzymiego wysiłku żołnierzy, oficerów, generałów, Marszałka. Wszystko to razem jest tam wpisane, w te mogiły które po nich pozostały".

Spotkanie to dawało całemu naszemu środowisku ogromną satysfakcję a przede wszystkim dźwignęło nas na duchu. Jakże to było ważne w naszym odbiorze że to, co my mówimy w małych zamkniętych grupach zabrzmiało publicznie na całą Polskę i świat. Zabrzmiało po raz pierwszy od 1945 roku. Choć od 1990 roku uroczystości radzyńskie były transmitowane przez środki masowego przekazu w Polsce to wypowiedź papieska nie tylko była syntezą tego przekazu informacyjnego ale sama godność wypowiadającego nadała tym wypowiedziom najwyższą rangę. Wyżej zacytowane słowa Jana Pawła II były otaczane najwyższą estymą, traktowane z najwyższą powagą w naszym środowisku, zanim ukazały się drukiem były przez wiele osób przepisywane z nagrań i kolportowane wśród znajomych. Któraś z pań na opłatku 1999 roku powiedziała, że papież w spotkaniach z Polakami w Rzymie po przyjeździe z Polski aż kilkunastokrotnie poruszył sprawy wojny polsko - bolszewickiej a szczególnie Radzymin. Bez wątpienia spotkanie to zapadło głęboko w serce papieża i w nasze serca. Wydarzenia radzyńskie nadały też nowy wymiar staraniom naszego środowiska. Od 13 VI 1999 roku przestały one mieć charakter zaangażowania grupy zapaleńców nabrały zdecydowanie charakteru sprawy publicznej. Odczuliśmy to w kontaktach z władzami. Byliśmy bardzo zadowoleni, że papież wspomniął ks.

Ignacego Skorupkę, był on bowiem dla nas symbolem setek, setek księży polskich, którzy odważnie stanęli przy żołnierzach naszych w 1920 roku i złożyli niemałą daninę krwi. Dla nas „ludzi od św. Anny” znaczenie istotne miało i to, że był on przecież kapłanem Legii Akademickiej.

Pomnik Ks. Ignacego Skorupki

Starania o budowę pomnika ks. Ignacego Skorupki prowadził pan Zbigniew Biernacki z moją pomocą. Dom rodzinny księdza Skorupki stoi, nie zniszczony przez wojnę, przy dzisiejszym rondzie ONZ w Warszawie. Chcieliśmy w jego pobliżu wybudować pomnik ale niestety nie uzyskaliśmy od władz miasta lokalizacji. Zaproponowaliśmy lokalizację alternatywną – przy ulicy Księdza Skorupki – też nie. Ponieważ nie dano nam żadnej propozycji "w zamian" z problemem poszliśmy do księdza biskupa Głodzia jako Biskupa Polowego. Dał nam obietnicę, że sprawą się zajmie, przekazaliśmy mu posiadaną przez nas dokumentację i obiecaliśmy pomoc z naszej strony.

Rzeczywiście zaangażował się ale i wobec niego zupełnie nie rozumiem dlaczego opór miasta był nieprzeparty. Pomysł jednak szedł za nim i szczęśliwie zrealizował go już jako Ordynariusz Diecezji Warszawsko - Praskiej. Pomnik bohaterskiego księdza kapłana wybudował według znaczenie zmienionego projektu, zharmonizowanego z otoczeniem, na terenie kościelnym przed Katedrą św. Floriana na warszawskiej Pradze. Niektórzy z naszego Komitetu uczestniczyli w pracach praskiego: „Komitetu budowy Pomnika ks. I. Skorupki”, organizowali spotkania na ten temat, wygłaszali referaty. Byliśmy też licznie obecni podczas uroczystości poświęcenia Pomnika.

Udział w uroczystościach radzyńskich

Istotnym wydarzeniem była zawsze pomoc w organizowaniu dorocznych uroczystości w Radzyminie na 15 sierpnia i uczestniczenie w nich z własnym programem. Pomoc nasza była wręcz oczekiwana przez grupę inicjatywną, była rzeczywiście potrzebna bowiem władze gminne i powiatowe nie interesowały się sprawą. Po odzyskaniu przez Polskę Nie-

podległości znowu przejęły inicjatywę w swoje ręce ale za komunizmu wszystko trzeba było wykonywać siłami społecznymi, oczywiście na zasadzie „wolontariatu”.

Do pomocy czy to panu Wojciechowi Ziemińskiemu czy innym organizatorom uroczystości radzyńskich Komitet najczęściej delegował trzy – cztery osoby. Obowiązki ich ustalano według bieżących potrzeb, stałym obowiązkiem kogoś z komitetu było czuwanie nad ołtarzem polowym i kierowanie zmianami harcerzy przy ołtarzu w sam dzień uroczystości. Uczestniczyliśmy w nich angażując się też w sprawy nas bezpośrednio interesujące. Panu Biernackiemu zawsze rezerwowano czas na wystąpienie, w którym niezmiennie najważniejszą częścią była informacja o stanie starań dotyczących budowy pomnika roku 1920 w Warszawie.

Drugim bardzo czytelnym znakiem naszej obecności w Radzyminie była obecność obrazu kopii Matki Boskiej Częstochowskiej związanego bezpośrednio z 1920 rokiem. W dniu uroczystości organizowana była bowiem pielgrzymka samochodowa ze Służewa do Radzymina w latach 1985–2013 z obrazem, który na okoliczność potrzeby modlitwy publicznej o zwycięstwo ofiarował na Służew, do św. Katarzyny ksiądz Kardynał Aleksander Kakowski. Jest to obraz o charakterze dworcowym, z dużym kunsztem malowany na desce, najpóźniej XIX to wieczny. Przed tym Obrazem nieustannie i tłumnie modliła się u św. Katarzyny południowa część Warszawy i okolic od niespór 12 sierpnia do godzin późno wieczornych 15 sierpnia kiedy to do modlących się właśnie na Służewie dotarł goniec z wiadomością o zwycięstwie a modlono się przecież o zwycięstwo oręża polskiego. To dzwony kościoła św. Katarzyny oznajmiły Warszawie wieść o zwycięstwie.

Obraz zawsze był wieziony przez pana Biernackiego samochodem z otwierającą się klapą tak, że wieziony Obraz był widziany przez ludzi. Pielgrzymka miała dwie stacje: pierwsza przed Grobem Nieznanego Żołnierza, gdzie utarł się zwyczaj że na Obraz przy Grobie Nieznanego Żołnierza czekało kilkadziesiąt osób a czasami nawet do stu mimo rannej pory. Druga przed kaplicą w Ossowie czekali tam głównie mieszkańcy

Ossowa. Samochodowi z obrazem towarzyszyło najczęściej trzy, cztery samochody, czasem więcej lub mniej. Pan Zbigniew zawsze też osobiście kierował całością tej pielgrzymki z Obrazem, który był zawsze bardzo oczekiwanym przez ludzi uczestnikiem uroczystości w Radzyminie. Obraz wracał do św. Katarzyny na 21.00 na Apel Jasnogórski, żegnała go o 7.00 zawsze a witała o 21.00 pokaźna grupa parafian służewskich, gorliwiej modlących się o Niepodległość Polski.

Spotkania w szkołach

Spotkania w szkołach, dotyczące naturalnie pomnika zwycięstwa 1920 roku, zaczęły się wiosną 1990 roku. Organizował je pan Biernacki a czasami i osobiście wyjeżdżał do szkół. Ja nie ukrywam, że byłem najbardziej zadowolony gdy do dzieci czy młodzieży wyjeżdżały zaprzyjaźnione z nami nauczycielki bo spotkania z nimi przynosiły wyraźnie większy pożytek. Akcja ta trwała do 2005 roku, kiedy uznano, że pozytywne zmiany w programie nauczania historii jakie w międzyczasie zaistniały czynią te wyjazdy niepotrzebnymi.

Spotkań tych było 5–7 w ciągu roku zatem przez te lata ludzie związani z Komitetem odwiedzili około 80-siąt szkół. Osobno, choć krótką chwilę, ale spotykano się z harcerzami. To właśnie dzięki tym spotkaniom w Radzyminie byli obecni harcerze z wielu regionów Polski. Wiem, że zaczęto w 1992 roku sprawy patronatu związanego z 1920 rokiem dla niektórych szkół ale nie znam ciągu dalszego.

Spotkania z Polonią

Spotkania z Polonią, najczęściej amerykańską, prowadził osobiście pan Biernacki, na ogół nie informował członków komitetu o poruszanych na nich tematach. Spotkania jedno czy dwuosobowe odbywał w różnych kawiarniach, spotkania grupowe z zasady w restauracji na Chłodnej. Wiem, że pan Biernacki wykorzystując swój pobyt u córki w Ameryce odbył w Chicago spotkania z organizacjami polonijnymi i władzami stanowymi, naturalnie mówię o spotkaniach dotyczących 1920 roku. Spotkał się z satysfakcjonującym go zainteresowaniem.

Celem wszystkich spotkań z Polonią tak w kraju jak i zagranicą było przede wszystkim zaznajomienie ludzi z zaistniałą w kraju ideą budowy Pomnika Zwycięstwa w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 roku przekazanie informacji zbiorczych o stanie sprawy oraz tworzenie list adresowych ludzi, którzy zainteresowali się inicjatywą i deklarowali albo osobistą pomoc finansową albo organizowanie zbiorowej pomocy finansowej w sytuacji zaistnienia realnych możliwości budowy tego Pomnika w Warszawie. Ważnym było jego spotkanie w seminarium w Ocherd Leuku zorganizowane przez ks. Prałata Zbigniewa Peszkowskiego. Poza młodzieżą seminaryjną wzięło w nim udział wiele osób z rodzin kleryków ale i zaprzyjaźnionych z seminarium. Takimi drogami idea budowy Pomnika szła do ludzi

Kamień węgielny

Poświęcenie kamienia węgielnego pod przyszły pomnik zwycięstwa polskiego z 1920 roku przez papieża Jana Pawła II było dla osób interesujących się tym periodem polskiej historii bardzo ważnym wydarzeniem. Mieliśmy pełną świadomość, że data rozpoczęcia budowy pomnika nie jest znana i nie wiadomo kiedy będzie znana, ale ludzie pragnęli i to bardzo by kamień węgielny pod ten pomnik poświęcił Papież Polak.

Komitet zwrócił się do mnie o zajęcie się tą sprawą. Wskazano trzy miejsca do podjęcia przeze mnie decyzji skąd będzie wzięty: Radzymin, Jasna Góra, Wawel. Wybrałem ten trzeci wariant ze względu na złożenie właśnie na Wawelu doczesnych szczątków Józefa Piłsudskiego. Znalazłem pełne zrozumienie u ówczesnego proboszcza katedry wawelskiej księdza Stanisława Bielańskiego. Na moją osobistą prośbę ksiądz prałat wyjął z fundamentów najstarszej części Wawelu, kaplicy św. Leonarda odpowiedni kamień. Stało się to w mojej obecności. Wspólnie z księdzem prałatem i towarzyszącymi nam klerykami krakowskimi, którzy ten kamień fizycznie wydobywali, wnieśliśmy go do katedry wawelskiej i położyli na mensie ołtarza św. Stanisława. Odmówiliśmy modlitwę przypadającą tego dnia w brewiarzu, klerycy cudownie odmówili fragment psalmu 135 i wspólnie zaśpiewaliśmy "Salve Regina".

Tak pozyskany kamień został artystycznie oprawiony według inspiracji pana prof. Macieja Szankowskiego przez pana Tomasza Gila, cyzlera ze Służewa. Kamień jest biały ale posiada piękną naturalną patynę starości. Z kamieniem tym w gronie bodaj 9 osób odbyliśmy pielgrzymkę trzema samochodami do Rzymu. Tam dzięki życzliwości i pomocy o. Konrada Hejmo uzyskaliśmy osobistą audiencję u Jana Pawła II w ramach audiencji środowowej.

Tego dnia audiencja odbywała się na Placu św. Piotra przed Bazyliką. Papież z wyraźnym wzruszeniem poświęcił ten kamień i objął go serdecznie rękami. Kamień do poświęcenia trzymaliśmy we dwóch – pan prezes Biernacki i ja. Po poświęceniu Ojciec Święty wcale nie krótko ze mną rozmawiał. Wspominał spotkanie w Radzyminie, wiarę generała Hallera, którą zaraził on nuncjusza Achillesa Ratti, późniejszego papieża Piusa XI i wzruszające formy wiary polskiego ludu. Rozmowę zamknął słowami: "Szczęść wam Boże" w realizacji waszych zamierzeń, ale boję się że jesteście dużymi optymistami". Słowa te okazały się prorocze. Po przywiezieniu do Warszawy kamień ten przez miesiąc czasu był wystawiony na widok publiczny na bocznym ołtarzu kościoła św. Katarzyny na warszawskim Służewie. Poza parafianami nawiedziło wtedy kościół kilka tysięcy osób, głównie z Warszawy ale też i z różnych części Polski, przybyło też kilka szkół głównie warszawskich. Kamień ten ostatecznie został w rękach Zbigniewa Biernackiego. Rodzina do tej pory jeszcze go nie zwróciła.

W samym funkcjonowaniu komitetu najtrudniejsze były naturalnie kontakty z władzami miasta w sprawie lokalizacji pomnika. Spotykaliśmy się z nimi zawsze we dwóch: prezes i kapelan, nie łamaliśmy tej zasady nigdy. Spotkania te to cała epopeja, w każdym bądź razie chcę jak najmocniej podkreślić, że z wyraźną życzliwością, jednoznacznym zainteresowaniem inicjatywą budowy "Pomnika Zwycięstwa Polskiego w Wojnie Polsko Bolszewickiej 1920 roku" spotkaliśmy się u władz Warszawy gdy jej prezydentem był Lech Kaczyński.

Z jego polecenia urbańscy warszawscy opracowali i zaproponowali lokalizację na Placu na Rozdrożu, przekazując ją nam z uwagą by w na-

szych rozwiązaniach szczegółowych uwzględnić wyzwania urbanistyczne jakie przyniesie budowa Muzeum Historii Polski, które miało być wybudowane nad Trasą Łazienkowską. Mając to na uwadze odbyliśmy dwie lub trzy rozmowy robocze z panem Castorem jako przewidywanym dyrektorem tego Muzeum. Odbyła się nawet w Pałacu Kultury sesja różnych służb miasta z jego i naszym udziałem, której celem było ukazanie zakresu i charakteru problemów jakie niesie ze sobą to wskazanie lokalizacyjne.

Niestety dość gwałtowna zmiana władz miasta przyniosła załamanie się tych prac ale nade wszystko i naszych dążeń. Złożyliśmy wizytę pani prezydent Hannie Gronkiewicz-Waltz i przedstawiliśmy sprawę Pomnika w jakieś cztery czy pięć tygodni po wyborze. Powiedziała, że ta chwila jest niesposobna do zajmowania się tą inicjatywą, ale zajmie się ją później. A to "później" okazywało się dla nas coraz gorsze z roku na rok. Przeżyliśmy wiele upokorzeń aż do tej groteskowej sytuacji gdy ze względu na naszą natarczywość dano wskazanie lokalizacyjne naszemu pomnikowi przy szosie białostockiej, jakieś 20 kilometrów od Warszawy.

Obecnie gdy inicjatywę budowy Pomnika przejęły, oby szczęśliwie, Władze Publiczne z naszego grona żyje jeszcze pułkownik Kubicki i ja. Pieśń jednak uszła cało.

ZAKOŃCZENIE

Nie byłoby tego tekstu gdyby nie rozmowa telefoniczna z Janem Pietrzakiem w początkach stycznia 2020 r. To on mnie poinformował o zaangażowaniu się Władz Publicznych w sprawę budowy Pomnika Polskiego Zwycięstwa w 1920 Roku. On też powiedział, że miasto utrzymało wskazanie lokalizacyjne dla tego pomnika z czasu prezydentury warszawskiej Lecha Kaczyńskiego, czyli przy Placu na Rozdrożu. Podczas tej rozmowy powiedział on do mnie bardzo ważne słowa: "Proszę księdza przecież ja wiem o działalności waszego Komitetu. Niech ksiądz coś napisze żeby nie było wrażenia że Polacy w okresie komunizmu ule-

gli amnezji co do 1920 roku. O tych co pamiętali o wojnie polsko - bolszewickiej w sposób zorganizowany wbrew totalitarnemu państwu trzeba pisać". Tak więc napisałem o działalności ludzi dla których nakaz wewnętrzny wynikał z rozumianych szlachetnie i czysto zobowiązań obywatelskich i narodowych. A wszystko to jest naprawdę dziedzictwem sławnych „dziesiątek”, Mszy św. o godzinie 10.00 w niedzielę u św. Anny na której gromadziła się po wojnie niepokorna wobec komunizmu młodzież. To nie było ważne, że Mszę św. odprawiał regularnie ks. prof. Czuj, rektor św. Anny i wciskał tezy komunistycznej propagandy, ważne że była Msza a po niej i spotkanie przed kościołem. To z tej Mszy św. wywodziła się spora część członków „Koła Weteranów 1920 Roku”. To pośród nich przetrwała pamięć o wojnie polsko - bolszewickiej w najgorszych czasach, a później już było tak jak wspominam.

Dziękuję pani Hannie Migda-Pawlak i panu Adamowi Woźniakowi za pomoc przy przepisywaniu tego tekstu z rękopisu, a nade wszystko dziękuję Panu Ministrowi Janowi Józefowi Kasprzykowi, że ten tekst włączył do cenionych publikacji Urzędu d.s. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Jest to bardzo ubogie ale prawdziwe wspomnienie o kombatantach którzy wbrew wszystkiemu, jakże odważnie dawali świadectwo prawdzie i wartościom o które z największym poświęceniem walczyli w młodości. Tak naprawdę jest to bardzo skromna opowieść o maleńkim fragmencie działań Narodu, który nawet w komunistycznych okowach czuł się wolny.

Przepraszam, ale tylko tyle zapamiętałem. Pozwalam sobie jednak sądzić, że przy braku opracowania biograficznego choćby najważniejszych wydarzeń z teatrum wojny 1920 roku nawet tak skromny tekst jak ten ma swoją wartość. Wartością jest również ukazanie jednej z form realizowanego imperatywu patriotyzmu w senioracie akademickim w okresie zniewolenia komunistycznego.

WYWIAD Z LESZKIEM MOCZULSKIM W SETNĄ ROCZNICĘ BITWY WARSZAWSKIEJ

Będzie mowa o cudzie, którego nie było, zapomni się o myśli, trudzie i krwi...

Redakcja: Zbliża się setna rocznica bitwy pod Warszawą z sierpnia 1920 roku, określana zwyczajowo „Cudem nad Wisłą”. Dla większości rodaków jest ona symbolem wielkiego militarnego zwycięstwa oręza polskiego. W jaki sposób Pana zdaniem należałoby upamiętnić to wydarzenie?

L.M.: Oczywiście, Bitwa Warszawska zasługuje na godne upamiętnienie. Ale, moim zdaniem – przede wszystkim przez solidne i rzetelne prace naukowe. Akademie, pomniki – to sprawa drugorzędna. Aby zrozumieć to, co wydarzyło się na przedpolach Wisły sto lat temu, trzeba dobrze poznać historię całej wojny polsko-bolszewickiej. A jak jest obecnie? Być może to będzie zaskakujące odkrycie, lecz po trzydziestu latach istnienia III RP ciągle brakuje pieniędzy na szczegółowe badania tamtej wojny, oparte na źródłach. Zachowały się dokumenty z tego czasu, niezbędne zarówno dla analiz naukowych jak i popularnych publikacji, od ponad ćwierć wieku fragmentarycznie wydawane z inicjatywy półprywatnej, lecz wszystkie prośby i wnioski o dofinansowanie tej cennej inicjatywy trafiają do kosza. Co za tym idzie, brakuje rzetelnych publikacji dotyczących tego okresu. Tymczasem coraz częściej słyszymy o budowie jakichś łuków triumfalnych i innych pomników. W takich sytuacjach budzi się we mnie zdumienie, a nawet złość. Znów obchodzić i chwalić będziemy wydarzenie, którego ani celebrujący dostojnicy, ani szersza

opinia publiczna ani nie zna, ani nie rozumie. Będzie mowa o cudzie, którego nie było, zapomni się o myśli, trudzie i krwi – którą to kosztowało, o uzyskanych skutkach – także podstawowych, które działają do dziś. Gdyby nie to zwycięstwo, rozmawialibyśmy zapewne po rosyjsku. Pomniki tego nie wyjaśniają, ani nie załatwiają.

– Dlaczego? Przecież Bitwa Warszawska ciągle nie jest upamiętniona materialnie, a Polacy bardzo lubią pomniki...

– Proszę panów! Ja też lubię kwieciste skwery, oryginalne budynki, dobrą architekturę – wszystko bez związku z wielkimi wydarzeniami historycznymi. Jeśli jednak znaczące w dziejach fakty i osoby są nieznane i pomijane, to stawianie jakichś pomników na ich cześć wydaje się groteskowe. Trzy dekady po upadku PRL-u historia wojny z lat 1918–1920 jest ciągle tajemnicza, często przekręcana, przedstawiana w nieprawdziwym świetle. Brakuje zbiorów dokumentów i prac opartych na materiale źródłowym, bo nikt nie jest zainteresowany ich wydawaniem. Nie przynoszą zysku. Brakuje obiektywnych monografii. Wini się *obcych*, głównie Żydów i Anglików, że narzucili nam linię Curzona, a w 1920 r. odmawiali pomocy. Trudno zaprzeczyć, że ukazują się również wartościowe prace, lecz często nie dostrzega ich ani opinia publiczna, ani kręgi interesujące się historią. Przykłady? Nie tak dawno prof. Grzegorz Nowik wydał owoc pracy paru dziesiątków lat, książkę „*Odrodzenie Rzeczypospolitej w myśli politycznej Józefa Piłsudskiego 1918-1922*”, niedostrzeżoną na rynku. Kto by tam miał głowę i czas czytać taką cegłę (rzeczywiście, ponad 500 stron). Lepiej wydać erotyczną zagadkę: ileż to kochanek miał niejaki Piłsudski. A może najpierw warto wyjaśnić, co się naprawdę zdarzyło?

– Ogólnie to wszyscy wiedzą...

– Bardzo ogólnie. Po pierwsze, było to już drugie powstrzymanie bolszewickiej inwazji. Pierwsza, o kryptonimie „Wisła”, rozpoczęła się 16 listopada 1918 r., doprowadziła do zajęcia Mińska i Wilna, zatrzymała ją dopiero w lutym 1919 r. pośpiesznie formowana wojska polskie. Strach

pomyśleć, co by się stało, gdybyśmy przyjęli preferowany przez Komitet Narodowy Polski (funkcjonujący w Paryżu) pomysł, aby to Kongres Pokojowy – obradujący od stycznia do czerwca 1919 r., powołał Państwo Polskie i jego rząd. Druga – półtora roku później, rozpoczęła się w zupełnie innej sytuacji. Wojna domowa w Rosji zakończyła się, Czerwoni wygrali na wszystkich frontach, mocarstwa zachodnie wycofały się z interwencji, resztki białogwardzistów schroniły się na Krymie, licząc czas na godziny. Na Kremlu zapadła decyzja: rewolucja wewnętrzna zakończona, teraz pora na zewnętrzną, światową. Nie była to wielka tajemnica; zamiast demobilizować, bolszewicy powiększali i dozbrajali armię.

Piłsudski uderzył pierwszy. Zdobył Kijów, szykował uderzenie wzdłuż Dniepru na północ. Nie zdążył. Bolszewicy skierowali silne oddziały na Ukrainę, w czerwcu rozpoczęli ofensywę, Armia Konna przedostała się na polskie tyły, konieczny był głęboki odwrót, aby odbudować front. 4 lipca rozpoczęła się główna ofensywa rosyjska, dowodzona przez Tuchaczewskiego, półtora miesiąca później dotarła pod Warszawę. Ale to nie był jej punkt docelowy.

– Jak to!! Przecież...

– Warszawa była celem, ustalonym w planie operacji, przyjętym na naradzie polityczno-militarnej w Smoleńsku 10 marca 1920 r. Oba Fronty – zachodni (białoruski) i południowo-zachodni (ukraiński), miały koncentrycznie uderzyć na Warszawę. Plan zmieniono 20 lipca. Błędnie oceniono sytuację. Bolszewicy byli przyzwyczajeni, że pierwsze zwycięstwo rozstrzyga o wszystkim. Kołczak i Denikin ruszyli na Moskwę, lecz po przegraniu pierwszej bitwy ich wojska rozsypywały się i uciekały prawie bez walki. Czerwoni mieli zresztą własne, identyczne doświadczenia, co spowodowało, że zaczęli w każdej dywizji formować *zagroditelnyj otriad* – którego zadaniem było rozwijanie kordonu na tyłach i strzelanie – także z karabinów maszynowych, do uciekających własnych żołnierzy. Zakładali, że z Polakami będzie tak samo. Tymczasem oddziały polskie cofały się na rozkaz i w porządku.

Otóż, nowy plan zakładał (podobnie, jak niektórzy politycy w War-

szawie), że Polacy są już pokonani, dlatego wojska nacierające przez Białoruś tylko częścią sił ruszą na Warszawę, gdy większość nacierać będzie wprost na zachód, w kierunku granicy niemieckiej. Natomiast dwie armie operujące na Ukrainie (XII i XIV) uderzą na Lwów i przez Karpaty wkroczą na Słowację, Węgry, a dalej na Bałkany i może nawet do północnych Włoch. Dzisiaj popularne jest przekonanie, że to z winy Stalina i Budionnego, zamiast na Warszawę, bolszewicy z Ukrainy skierowali się na południowy zachód. To nieprawda, wymyślona później przez Stalina, jako zarzut przeciwko Trockiemu, który miał być głównym winowajcą. Decyzje dotyczące całej wojny podejmowała trójka urzędująca w Moskwie: Lenin, Trocki i Naczelnny Wódz Kamieniew, dowódcy frontów i armii tylko je wykonywali.

Był jeszcze jeden, i to ważniejszy powód do zmiany planu. 24 maja 1920 r. w Berlinie został podpisany tajny układ niemiecko-bolszewicki o charakterze sojuszniczym, dotyczący nie tylko współpracy politycznej, lecz również militarnej i gospodarczej. 5 lipca – dzień po ruszeniu ofensywy Tuchaczewskiego, uzupełniono go, zaciskając współpracę. Ustalono m. in. powrót do przedwojennej granicy rosyjsko-niemieckiej, a Niemcy obiecali, że przystąpią do wojny po stronie bolszewickiej, gdy tylko pierwsze oddziały Czerwonej Armii dotrą do ówczesnej granicy Rzeszy.

– Skąd Pan to wie?

– Przeczytałem w tomie dokumentów polsko-węgierskich, wydanym cztery lata temu przez Naczelną Dyрекję Archiwów Państwowych, przygotowanym przez Endre Laszló Varga i Grzegorza Nowika. Węgierski *attaché* w Berlinie dotarł do tego tajnego dokumentu. Ponieważ Węgrzy traktowali nas jak najbliższych przyjaciół (chcieli nam na pomoc przesłać całą kawalerię!), przypuszczam, że wiadomość ta dotarła do Piłsudskiego.

Lecz spójrzmy na sytuację, jaka wytworzyła się w połowie sierpnia. Tuchaczewski dysponował czterema armiami i korpusem kawalerii, łącznie równowartością dwudziestu dywizji piechoty i dwu kawale-

rii. Cała IV. Armia, prawie nie napotykając oporu, poprzedzana jazdą Gajchana nacierała wzdłuż granicy Prus Wschodnich, dochodząc już do Drwęcy, granicznej rzeki w latach 1815-1914, Najsilniejsza XV. Armia atakowała w stronę Torunia, zamierzała przekroczyć Wisłę we Włocławku, zdobyć Płock. III. Armia podążała za nią prawym brzegiem Wisły, osaczając od północy i wschodu Modlin; jedna jej dywizja przeszła na południowy brzeg Bugu, atakując przedmoście Warszawy. Główne uderzenie na stolicę wykonywała XVI. Armia. Tylko niewiele ponad jedną czwartą wojsk Tuchaczewskiego atakowała Warszawę. Takie ugrupowanie świadczyło dowodnie, że bolszewicy realizowali plan przyjęty 20 lipca: jak najszybciej dotrzeć do granicy niemieckiej i przekroczyć Karpaty. Ponadto, szykowano już wojska, które miały zająć kraje bałtyckie z Finlandią. W takim układzie Warszawa była celem ważnym, lecz drugorzędnym.

– Czy Lenin i Trocki oczekiwali wsparcia ze strony Niemiec? Były one przeciw rozbrojone.

– Nie całkiem. Formacje niemieckie, dość długo po wojnie znajdujące się na Łotwie i Litwie zostały wprawdzie wycofane, lecz jeszcze nie wszystkie rozwiązano. Główny problem polegał na czymś innym. W chwili zakończenia wojny, Niemcy miały uzbrojenie kilkumilionowej armii i potężne zapasy. Część z tego przekazały zwycięzcom, lecz większość – w tym całą artylerię ciężką, czołgi i samoloty miały być zniszczone. Zwlekano z tym, w pierwszej dekadzie lipca 1920 r. w Spa zebrała się Rada Aliancka, a problem tej broni należał do najważniejszych. Niepokoił się tym zwłaszcza premier brytyjski Lloyd George. Po podpisaniu Traktatu Wersalskiego, mocarstwa zachodnie zdemobilizowały swoje armie, Niemcy kończyły ten proces, lecz zwalniani z szeregów zasilali głównie rzesze bezrobotnych – a broń czekała. Pozwalało to pokonanym szybko odbudować swoje siły zbrojne, gdy zwycięzcy – zwłaszcza Anglicy, byli prawie bezbronni.

– **Sami bolszewicy mieli nad nami przewagę.**

– Już nie. W ofensywie zanikają siły, nie tylko z powodu strat bojowych. Atakujący zdobywa teren i musi go kontrolować. Tuchaczewski opanował rozległy obszar od Berezyny po Wisłę i musiał na nim zostawić jakieś siły okupacyjne – i to całkiem znaczne (na granicy łotewskiej pozostawił całą 48 dywizję!). Odbywało się to przecież kosztem frontu. Na początku lipca przewaga bolszewicka na całym froncie była znaczna, teraz – półtora miesiąca później, siły wyrównały się z pewną przewagą Polaków, wspartych – o czym się zapomina, siedmioma dywizjami ukraińskimi (na 22 polskie), wprawdzie o niższych stanach. Wielki wysiłek narodu przyniósł wyniki: walczące dywizje dostawały uzupełnienia, z ochotników uformowano nową dywizję i kilka doskonałych pułków kawalerii, zaczęła napływać pomoc z zachodu, najszybciej brytyjska broń i francuscy oficerowie. Wycofanym wcześniej oddziałom zapewniono parę dni odpoczynku. Kluczowy czynnik był jednak inny: większa część wojsk Tuchaczewskiego zaangażowana była na zachodzie, śpieszyła ku niemieckiej granicy, z każdym dniem oddalała się od pola nadchodzącej bitwy. Na południe od Bugu i Wisły, w rejonie Warszawy i nad Wieprzem, Polacy zgromadzili w dwu zgrupowaniach pięć armii – osiemnaście dywizji i silne zgrupowanie kawalerii, gdy bolszewicy dysponowali tylko jedną – XVI. Armią, sześcioma dywizjami (w tym jedną, podległą III. Armii). Do tego dochodziły trzy dywizje tej ostatniej, znajdujące się na północ od wspomnianych rzek oraz półtora-dywizyjną grupą osłonową od południa. Przewaga zdecydowana, a powiększona przez ugrupowanie naszych wojsk. Pozwoliło to względnie łatwo obronić Warszawę i wykonać silną kontrofensywę znad Wieprza po Białystok i Prusy Wschodnie. Główne siły Tuchaczewskiego zostały odcięte. 45 tys. bolszewickich żołnierzy poległo, ponad 100 tys. wzięto do niewoli albo internowano w Prusach Wschodnich. IV. Armia i połowa XV. Armii zostały całkowicie zniszczone bądź internowane, pozostałe – rozbite i zdziesiątkowane, częściowo tylko przedostały się nad Niemen.

– **Czy współautorem planu tej zwycięskiej bitwy był gen. Tadeusz Rozwadowski? W czerwcu tego roku Rada Warszawy odrzuciła wniosek dotyczący budowy jego pomnika. Słusznie? Rozwadowski był przecież szefem Sztabu Generalnego i odegrał ważną rolę podczas bitwy pod Warszawą.**

– I nie tylko podczas tej bitwy. Po zwycięstwie warszawskim, gdy Naczelnny Wódz Piłsudski bezpośrednio dowodził ofensywą, prowadzoną na północnym wschodzie, polecił Rozwadowskiemu – który był nadal szefem Sztabu, bezpośredni nadzór i kierowanie operacjami na froncie południowym. Po rozbiciu wojsk bolszewickich jeszcze w sierpniu i faktycznym zniszczeniu Armii Konnej, Polacy mieli tam bardzo dużą przewagę. Rozwadowski nie wykorzystał tego w pełni; dopiero w początkach października przekroczył ustaloną na wiosnę 1920 r. przez Piłsudskiego i Petlurę granicę polsko-ukraińską i zatrzymał się. Dość uzasadnione są podejrzenia, że była to decyzja polityczna. Jak wielu Polaków zamieszkałych we wschodniej Galicji, uważał Ukraińców za gorszych wrogów, niż Rosjanie czy Niemcy i był przeciwny utworzeniu państwa ukraińskiego. Być może jednak miało to być zatrzymanie chwilowe, zwłaszcza, że Naczelnny Wódz mógł wymagać wznowienia ofensywy, a blisko połowa wojsk frontu południowego stanowiły dywizje ukraińskie (niemalże 50 tys. oficerów i żołnierzy), które kilka tygodni wcześniej broniły od wschodu polskiego Lwowa (i – samotnie, Zamościa!) przed atakującą ze wschodu XIV. Armią bolszewicką. Rozpoznający sytuację zagon korpusu kawalerii gen. Rómmła dotarł w październiku aż do Korostenia – nie daleko Kijowa (gdzie rozbił bazę przeładunkową uciekających Rosjan), lecz rozejm polsko-sowiecki, podpisany w Rydze, zakończył wojnę. Samotni Ukraińcy ruszyli naprzód i początkowo odnieśli spore sukcesy, lecz ostatecznie musieli się wycofać – i zostali internowani w Polsce. Była to niewątpliwa zdrada sojusznika, Marszałek Piłsudski za to publicznie przepraszał.

Problem Rozwadowskiego był zgoła inny, dotyczy jego charakteru. To jeden z nielicznych, wyróżniających się austriackich dowódców, który mógł się pochwalić znacznymi dokonaniem. Nie przeszkodziło

to, że w 1916 r., w połowie wojny, gdy takich ludzi monarchii bardzo brakowała, generał dostał najwyższe odznaczenie wojskowe i... przeniesiono go w stan spoczynku. Miał bardzo trudny charakter, nie szczędził krytyki swoim zwierzchnikom i sąsiadom na froncie, wywyższał się i pomijał innymi, przywłaszczał sobie cudze zasługi. Ponadto, co było prawnie dozwolone, lecz w armii źle widziane, przed wojną, podczas wojny i po wojnie, bezustannie prowadził operacje finansowe, dorabiając się niemałego majątku. W czasach prezydentury Wojciechowskiego, gdy rozpoczęły się wielkie afery korupcyjne, także w wojsku (największe generałów Żymierskiego i Zagórskiego), Rozwadowski był również podejrzany, lecz – już po przewrocie majowym, sąd go uniewinnił. Piłsudski jeszcze w listopadzie 1918 r. mianował Rozwadowskiego dowódcą armii, obejmującej obrońców Lwowa oraz wojska idące im na odsiecz. Było to wielkie wyróżnienie, gdyż walki o to miasto stanowiły wówczas jedyny polski czynny front. Niestety, w ciągu kilku miesięcy generał pokłócił się z wszystkimi i Piłsudski wysłał go do Paryża, gdzie kierował Misją Zakupów Wojskowych. W krytycznym okresie wojny Wódz Naczelny wezwał go do kraju i 22 lipca 1920 r. mianował szefem Sztabu Generalnego. Zdecydowało, że Rozwadowski należał do nielicznej grupy generałów, przekonanych, że poradzimy sobie sami z najazdem bolszewickim. Nominacja była z wszech miar trafna – choć nowy szef Sztabu prawie natychmiast tak bardzo pokłócił się z gen. Weygandem – szefem Alianckiej Misji Wojskowej, że obaj generałowie przestali z sobą rozmawiać, a sprawy służbowe załatwiali pisemnymi notami – mimo, że pracowali w sąsiednich pokojach.

– To wtedy Rozwadowski uczestniczył w pracy nad planem Bitwy Warszawskiej?

– Niezupełnie, raczej go wykonywał. Plan kontrofensywy – zwany wówczas „*wielką kombinacją*” – czyli operacją decydującą o wyniku wojny, Piłsudski opracował 9 lipca – niespełna tydzień po rozpoczęciu ofensywy przez Tuchaczewskiego. Rozwadowski przebywał wówczas na wspomnianej konferencji w Spa, bezskutecznie usiłując doradzać zde-

sperowanemu premierowi Władysławowi Grabskiemu. Plan przewidywał skupienie uderzeniowej grupy wojsk na południe od pasa natarcia bolszewików, przepuszczenie przed sobą gros ich wojsk (cztery armie polowe) i uderzenie na ich tyły, aż po północną granicę Polski, aby odciąć i zniszczyć główne siły wroga. Operacja przewidywała oparcie ofensywy o twierdzę, gdzie można było zebrać bezpiecznie niezbędne środki walki, osłonę od wschodu opartą o jakąś przeszkodę terenową i wcześniejszy krótki kontratak na prawe skrzydło nieprzyjacielskich wojsk Frontu południowo-zachodniego, aby zapewnić sobie spokój na tyłach. Piłsudski początkowo postanowił oprzeć swoje działania o Brześć nad Bugiem – najsilniejszą twierdzę rosyjską na ziemiach polskich, osłonić się od wschodu bagnami Polesia oraz linią okopów niemieckich, zbudowanych w latach 1915-16, uderzyć w stronę Nowogródka i Grodna, a przedtem zaatakować na Wołyniu Konną Armię, aby utraciła na te kilka dni zdolność bojową. W ten plan Piłsudski wtajemniczył Rozwadowskiego 25 lipca. Uderzenie w Armię Konną w rejonie Brodów udało się, lecz niespodziewania cofające się z Polesia oddziały polskie oddały bez walki Brześć. Przekreśliło to możliwość wykonanie w założonym terminie i miejscu całej operacji. Piłsudski przesunął ją za zachód i oparł o linię Wisły. Osłonę od wschodu zapewniał Bug, podstawę dawała twierdza w Dęblinie, zgrupowanie uderzeniowe skoncentrowano pod osłoną rzeki Wieprzy główna oś natarcia prowadziła z Kocka do Białegostoku i dalej do granicy Prus Wschodnich, poprzedzające uderzenie w wojska bolszewickie, nacierające z Wołynia, miała wykonać 1. Dywizja Legionów, a następnie dołączyć do grupy uderzeniowej. Ponieważ był jeszcze czas, bolszewicy musieli dojść do przygotowywanych pozycji polskich przed Warszawą, Piłsudski odłożył ostateczną decyzję do 6 sierpnia – który uznał za swój szczęśliwy dzień. Nie było żadnego ryzyka. Polski radio-wywiad działał doskonale, przechwytywane rozkazy dowództwa Frontu Zachodniego, stacjonującego w Mińsku oraz sztabów walczących armii do podległych im jednostek dawały pełen obraz ruchów i zamiarów bolszewików. Piłsudski nie przewidywał żadnych zmian w planie działania, musiał tylko

zdecydować, które dywizje wybrać do grupy uderzeniowej. Nie było to łatwe, także z punktu widzenia psychologii społecznej, gdyż trzeba było je zabrać z walczących zgrupowań i wycofać do tyłu, co w opinii społecznej oraz w pozostałych oddziałach mogło stwarzać wrażenie, że jest to początek dalszego odwrotu. Ostatecznie, po bardzo ciężkiej nocy, zdecydował się zabrać z północnego odcinka frontu trzy dywizje 4. Armii – dwie wielkopolskie i jedną podhalańską, oraz z południowego 1. i 3. Dywizję Legionów. Był jednak pełen niepokoju. Wszystkie bez wyjątku rozważania strategiczne dość bogatej literatury przedmiotu twierdziły, że zgrupowanie uderzeniowe powinno być większe od osłaniającego, gdy on pozostawił w rejonie Warszawy i Modlina dziesięć dywizji (i dwie osłaniające skrzydła), a ofensywę miało rozpocząć pięć dywizji. 6 sierpnia rano przedstawił gen. Rozwadowskiemu swoją decyzję: wskazane dywizje należało natychmiast skierować na wyznaczone miejsca; środkowa dywizja grupy uderzeniowej ma się skupić w rejonie Kocka nad Wieprzem i nacierać w kierunku na Radzyń Podlaski – Łuków, po jej lewej stronie staną obie dywizje wielkopolskie, po prawej – Legionowe. Gen. Rozwadowski wysunął propozycję, aby kontrofensywę poprowadzić nie na tak szerokim, lecz w wąskim pasie przy Wiśle, aby zaatakować lewe skrzydło sowieckiej XVI armii – nacierającej na Warszawę, lecz Piłsudski ten pomysł odrzucił; nie chciał pokonać jednej armii wroga, lecz odciąć i zniszczyć wszystkie cztery. Zgodnie z tym rozkazem Wodza Naczelnego, Sztab Generalny jeszcze 6 sierpnia po południu przygotował rozkaz nr 8.358 do bitwy i rozesłał go dowódcom dywizji, przewidzianym do kontrataku. Początek ofensywy wyznaczono na 15 sierpnia, Piłsudski ostatecznie przesunął go o jeden dzień, aby przedłużyć odpoczynek wojsk, lecz być może ważniejszym powodem była chęć, aby główne siły bolszewików przesunęły się jeszcze dalej na zachód, odchodząc od pola przyszłej bitwy. Rozwadowski pilnował działań w rejonie Warszawy, wszystkie istotniejsze decyzje podejmował w uzgodnieniu z Wodzem Naczelnym (rozmawiali przez telegraf trzy razy dziennie), zresztą po paru dniach Piłsudski powrócił do stolicy.

– Wielu autorów – i to dobrych historyków, podkreśla wielki wkład gen. Rozwadowskiego w zwycięstwo, a niektórzy uważają, że plan zwycięskiej bitwy przygotował gen. Rozwadowski jako szef Sztabu Generalnego.

– Niewątpliwie gen. Rozwadowski istotnie przyczynił się do zwycięstwa, sprawnie kierując Sztabem Generalnym – organem wykonującym decyzje podejmowane przez Naczelnego Wodza, lecz możemy wyliczyć niemałą grupę generałów, którzy zasłużyli się bardziej. Na literaturę, dotyczącą wojny polsko-sowieckiej, w decydującym stopniu wpłynęła polityka, zwłaszcza wroga radykalnemu skrzydłu niepodległościowemu. I to realizowana już od rewolucji 1905 r. Endecy podczas wojny światowej jawnie głosili, że Piłsudski jest zdrajcą sprawy narodowej, gdyż Legiony walczyły po stronie mocarstw centralnych. Gdy stanął na czele odrodzonego Wojska Polskiego, uznawali go za szkodliwego dyletanta. Głośny publicysta endecki, prof. Stanisław Stroński, kiedy bolszewicy już podchodzili pod Warszawę, opublikował głośny artykuł „O cud Wisły”. Klęska (domyślnie z winy Piłsudskiego) była już nieuchronna, mógł nas uratować tylko cud. Po zwycięstwie warszawskim retoryka się zmieniła: cud zawdzięczamy Najświętszej Pani. Nie chcę wchodzić we wpływ czynników transcendentnych na wydarzenia ziemskie; patrząc z pozycji militarnych, losy wojny rozstrzygnęło zrównanie poziomu sił obu przeciwników, błąd bolszewików, którzy uznali, że Polacy są już rozbici i wystarczy dotrzeć do granicy niemieckiej, aby rewolucję rosyjską przekształcić w światową oraz dobrze pomyślany i wykonany niewątpliwym plan Piłsudskiego. Już po wojnie ukazało się sporo prac wspomnieniowych, siłą rzeczy subiektywnych, pisanych głównie przez polityków opozycyjnych, gdyż politycy obozu niepodległościowego przez większą część dwudziestolecia zajmowali się głównie sprawami państwowymi czy wojskowymi. Przykładowo, wspomnienia z tego okresu wydał bardzo szybko Dmowski, „Pisma zbiorowe” Piłsudskiego (tylko wcześniej opublikowane) ukazały się dwa lata po jego śmierci. Źródłowe, przestrzegające kryteriów naukowych i względnie nieliczne, zaczęły się ukazywać dopiero od połowy lat '30. Generalnie, w całym okresie międzywojennym, dominowały wydawnic-

stwa stronnice, mała kto z autorów sięgał do archiwów. Po wojnie, pod sowieckim nadzorem, nie tylko publikacje, lecz również programy szkolne i akademickie były otwarcie anty-piłsudczykowski, czego wyraźne ślady trwają do dziś. W tych warunkach można upowszechniać różne mity, bardziej popularne u czytelników, niż prace źródłowe. Choć i te nieraz budzą poważne wątpliwości. Co do gen. Rozwadowskiego, prawica potrzebowała własnego bohatera, a z tymi było krucho. Za Generałem przemawiało, że był jedynym wyższym dowódcą, który na polach bitew nie zaznał nigdy klęski. Nawiasem mówiąc, głównie dlatego, że w dwuleciu wojny ponad rok spędził w Paryżu. Zresztą, sam dbał o własną legendę – i to z dużą przesadą.

– Co ma Pan na myśli?

– W archiwum znajduje się rozkaz nr 10.000, który jest oczywistym fałszerstwem. Gdy w 1924 r. Piłsudski przygotowywał swoją pracę dotyczącą roku 1920, aby skontrolować książkę Tuchaczewskiego, nie znalazł tam rozkazu nr 8.358. z 6 sierpnia, lecz także wzmiankowanego wyżej nr. 10.000 – o którym nigdy nie słyszał. Poskarżył się o ten pierwszy w wywiadzie prasowym – zwłaszcza, że braków było więcej. Po prostu niektórzy oficerowie brali dokumenty na pamiątkę. Spowodowało to, że część tych archiwaliów oddano, uczynił to również gen. Rozwadowski. Wkrótce potem kierownictwo departamentu archiwalnego w MSWojsk. objął gen. Kukiel – historyk, znawca epoki napoleońskiej. Najwyraźniej wówczas ów fałszywy rozkaz nr. 10.000 był już w zbiorach. Ponieważ wszystkie te dokumenty, nobilitowane przez samą obecność w archiwum (do absurdu doprowadził to współcześnie IPN), traktowane są jako autentyczne i zawierające samą prawdę, Bogu ducha winny Kukiel na podstawie fałszywego rozkazu opisał taką bitwę warszawską, jaka się nigdy nie zdarzyła. Piłsudski dostał wówczas szału, potraktował autora tak brutalnie, że aż przykro czytać. Chyba najbardziej go ubodło, że jednoskrzydłowe uderzenie, które dotarło do granicy Prus, pod piórem generała – historyka przerodziło się w operację dwuskrzydłową, modne go wówczas wzorca Kann.

– To silny argument, ale czy wystarczający?

– Sama fałszywka jest wystarczającym dowodem. Składa się ze szkicu obrazującego operację oraz opisu przyjętego planu. Jedno i drugie sporządzone ręką gen. Rozwadowskiego. To jeden z powodów, że przez blisko sto lat uważa się ten dokument za rzeczywisty plan bitwy warszawskiej. Ja zajmuję się rokiem 1920 – wprawdzie z przerwami, od kilkudziesięciu lat, oglądałem ten szkic planu wiele razy i traktowałem go, jako autentyczny. Dopiero względnie niedawno, badając materiały źródłowe, w tym artykuł gen. Kukieła, poddałem ów szkic dokładnej analizie. Oto główne z licznych dowodów fałszerstwa.

(1) Na szkicu przedstawione jest uderzenie wojsk polskich z północnego zachodu na Ostrołękę i dalej. Otóż 8 – 9 sierpnia 1920 r., kiedy miał powstać ten dokument, bolszewicka IV. Armia nacierała już na Ciechanów i Działdowo, mając przed sobą drobne pod-oddziały polskie, głównie miejscowe ochotnicze. Jeszcze w końcu lipca, gdy stosunki Rozwadowskiego z Weygandem były całkiem poprawne, we francuskiej misji wojskowej opracowano projekt kontruderzenia nad północną Narwią, ale go bardzo szybko porzucono.

(2) Na lewym skrzydle polskiego frontu, przy granicy Rzeczypospolitej, walczyła polska 1. Armia, lecz – począwszy od Grodna, wycofywała się ona na południowy zachód i ostatecznie broniła przyczółka warszawskiego. Na północ od Warszawy i Modlina, aż po granicę Prus Wschodnich, nie było żadnych liczących się wojsk polskich.

(3) W rozkazie nr. 10.000 na południowym skrzydle zgrupowanie uderzeniowe skupione jest tuż przy Wiśle i ma atakować południowy skraj bolszewickiej XVI. Armii. Taki pomysł przedstawił Rozwadowski 6 sierpnia rano Piłsudskiemu, lecz Naczelnny Wódz go nie przyjął i szef Sztabu nie protestował. W przyjętym tego dnia planie bitwy, a także w rzeczywistości, jedynie lewoskrzydłowa polska 14 dywizja nacierała na Mińsk Mazowiecki – na tyłach atakującej Warszawę 8 dywizji bolszewickiej, a od zachodu nacierała 15 dywizja ze zgrupowania warszawskiego.

(4) Na szkicu rzekomego rozkazu nr. 10.000 bardziej na wschód nie ma jakichkolwiek wojsk polskich, dopiero linii Bugu broni 1 dywizja

Legionów. W rzeczywistości cała reszta zgrupowania uderzeniowego, które przekroczyło szosę Warszawa-Brześć na wschód od Kałuszyna – a więc na głębokich tyłach XVI. armii, naciera na północny wschód w kierunku Drohiczyzna i Białegostoku.

Dobijającym dowodem jest galeria podpisów, znajdująca się na lewej stronie tekstu rzekomego rozkazu. Konia z rzędem, a na dodatek skrzydła husarskie – pozłacane, temu, kto pokaże mi jakikolwiek ściśle tajny rozkaz operacyjny specjalny, w tym przypadku podpisany rzekomo przez 16 osób (podpisów 4 osób, w tym gen. Weyganda, brakuje), w większości nie mający nic wspólnego z kontraktami polskim znad Wieprza i to sporządzony – co Rozwadowski na początku zaznacza, w celu ich (w tym Wodza Naczelnego!) dokładnego poinformowania, na czym polega plan bitwy. Co za łaskawość!

– Wspomniał Pan o linii Curzona. Co tu zostało przekreścone?

– Samą nazwę stworzyli Sowietci, a z czasem powszechnie się przyjęła. Brytyjski minister spraw zagranicznych lord Curzon podpisał tylko ultymatywną notę brytyjską, wysłaną 12 lipca 1920 r. ze Spaa do Moskwy, lecz nie miał nic wspólnego z jej ustaleniem. W literaturze polskiej przeważa teza, że przyczynił się do jej określenia ówczesny szeregowy pracownik Foreign Office, pochodzący ze spolonizowanej żydowskiej rodziny Ludwik Niemirowski vel Levi Bernsztajn, późniejszy wybitny historyk brytyjski, uszlachcony jako lord Napier, autor ważnych dzieł m. in. dotyczących II wojny światowej, wyraźnie życzliwych dla Polski. Otóż miał ją wykreślić wedle granic etnicznych, a uczynił to stronnictwo, ze szkodą dla Polski. Jedno i drugie nie jest prawdziwe. Jesienią 1919 r. Alianci doszli do wniosku, że należy uporządkować sprawy ziem, położonych we wschodniej Europie. Zgodnie z prawem międzynarodowym, sprawdzili, jakie granice uznawali. Brytyjczycy stwierdzili, że w 1795 r., bezpośrednio po 3 rozbiórce Rzeczypospolitej, uznali nową granicę Rosji¹. Ponieważ Alianci

¹ Zachodnią granicę Rosji Francja uznała w traktacie tylicyckim 1807 r., przy czym Napoleon ofiarował cesarzowi Aleksandrowi I należący do zaboru pruskiego okręg Białostocki. Wielka Brytania tego traktatu nie uznała, Kongres Wiedeński w 1815 r. nie zajmował się zachodnimi

szanowali swoje zobowiązania międzynarodowe i nie mogli decydować o terytoriach państwowych innych krajów, a poza tym byli sojusznikami białej Rosji i interweniowali na jej korzyść przeciwko bolszewikom, musieli tę granicę potwierdzić. Tak powstała tzw. linia 8 grudnia 1919 r. Nie miała nic wspólnego z podziałem etnicznym: w część południowej po stronie zachodniej w pasie przygranicznym przeważała ludność ukraińska i białoruska, w Grodzieńszczyźnie i Wileńszczyźnie polska. Alianci nie traktowali jej, jako granicy państwowej, lecz tymczasowe rozwiązanie terytorialne; ziemie leżące na zachód od niej uznali za bezsprzecznie polskie, a na terytoriach wschodnich miało rozstrzygnąć porozumienie polsko-rosyjskie. Rzeczywiście, takie negocjacje prowadził w Taganrogu wysłannik Warszawy gen. Karśnicki, lecz gen. Denikin nie chciał ustąpić nawet na cal i do porozumienia nie doszło. Linia 8 grudnia kończyła się przy dawnej granicy austriackiej. Rada Sojuszników zajęła się również Galicją Wschodnią. Tylko w tych pracach uczestniczył Niemirowski-Bernsztajn. Zaproponowano trzy warianty granicy: wzdłuż Zbrucza i dwa położone po przeciwnych stronach Lwowa, lecz wszystkie korzystniejsze dla Polski, niż obecne rozgraniczenie. Ostatecznie, po długich wahaniach, alianci (a nie projektanci) wybrali wariant pierwszy.

W początkach lipca 1920 r. przybył do wspomnianej wyżej konferencji w Spaa premier Władysław Grabski, prosić o pomoc. Był to dobry ekonomista, lecz nie znał się całkowicie na polityce zagranicznej, przed wyjazdem z Warszawy nie konsultował się z nikim, nawet z ministrem spraw zagranicznych Eustachym Sapiehą. Zwrócił się do Francuzów o pomoc – i wtedy dopiero dowiedział się, że decydującą postacią konferencji jest premier David Lloyd George. Ten miał pretensję do Polaków,

granicami Rosji, a w 1919 r. Francuzi nie mieli zastrzeżeń do brytyjskiego projektu. Alianci nie uznali również porozumienia pomiędzy mocarstwami centralnymi a Ukrainą, podpisanego w styczniu 1918 r. w Brześciu nad Bugiem, przyznającego temu ostatniemu państwu Chełmszczyznę. Współczesna wschodnia granica Polski w zasadzie odpowiada linii Curzona, tylko w pobliżu Grodna jest przesunięta na zachód i nie dochodzi do Niemna, a w Puszczy Białowieskiej nieco na wschód. Ponadto w 1952 r. przekazano ZSRR skrawek ziemi po tej stronie Bugu (gdzie odkryto złoża węgla) w zamian za równy co do wielkości obszar w Bieszczadach, po wschodniej stronie Sanu.

że wbrew żądaniom aliantów, wznowili wojnę z bolszewikami, gdy mocarstwa zachodnie przerwały interwencję, wycofały swoje wojska z Rosji i rozpoczęły rozmowy z wysłannikami Moskwy. Walijczyk rozumiał dobrze, że upadek Polski otwiera drogę bolszewikom do zachodniej Europy, lecz mimo to postawił ciężkie warunki, m. in. żeby wycofać wojska na linię 8 grudnia, ale także zrezygnować z plebiscytu na Zaolziu (gdzie zwycięstwo Polaków było przesadzone) i oddać decyzję w ręce mocarstw. Warto dodać, że w Spaa przebywał również premier CSR Benesz, który miał doskonałe stosunki z Francuzami i Brytyjczykami, bez porównania lepsze, niż Polacy. Grabski, po krótkich wahaniach, 10 lipca zgodził się na wszystko. Ponieważ Francuzi żądali, aby do noty dołączyć sprawę spłaty długów rosyjskich, Lloyd George zdecydował się wysłać ultimatum do Moskwy tylko w imieniu Wielkiej Brytanii. Zażądał, aby bolszewicy zatrzymali się na linii 8 grudnia i rozpoczęły rozmowy pokojowe z Polską. Ci nie usłuchali wezwania i przekroczyli tę linię, kontynuując wojnę. Wtedy Alianci zaczęli organizować pomoc wojskową dla Polski. Jako pierwszy przybył do Gdańska statek brytyjski z bronią, a ponieważ Niemcy dokerzy odmówili jego rozładunku, Lloyd George polecił wykonać to angielskim żołnierzom, przekonał też przywódcę brytyjskich portowców Bevina (późniejszego ministra spraw zagranicznych w rządzie Labour Party), aby nie sabotowali załadunków. Broń ta bardzo przydała się podczas kontrofensywy sierpniowej. Do Warszawy przybyła też aliancka Misja Wojskowa, dowodzona przez gen. Weyganda.

– **Panuje pogląd, że Lloyd George był wrogo nastawiony do Polaków.**

– To nie takie proste. Zależy do kogo; z Paderewskim nieźle się porozumiewał. Miał niewątpliwie paskudny charakter, co zresztą załamało jego polityczną karierę. Wyglądało tak, że nie lubił nikogo, z wyjątkiem Winstona Churchilla. Przed wojną 1914 r. nazywano ich *dwoma pięknymi Romeo*, choć często przyszyły premier krytykował przyjaciela bez racji. Gdy jednak Winston jako Pierwszy Lord Admiralicji sromotnie przegrał morską inwazję na Dardanele – za co wyrzucono go z rządu –

i wylądował jako dowódca batalionu na biernym odcinku frontu (gdzie zajmował się głównie budową łaźni, gdyż uważał, że żołnierze niezbyt pięknie pachnieli), Lloyd uratował go. Właśnie wybrany premierem, mianował Churchilla ministrem Zaopatrzenia Wojskowego, a później nawet Ministrem Wojny. Lewicę w tym czasie reprezentowała w Parlamencie Partia Liberalna, a Lloyd George był na jej lewym, radykalnym skrzydle. Jest to dla nas o tyle istotne, że gdy w końcu 1915 r. Roman Dmowski przybył do Londynu, przeszła za nim z Petersburga fama, że to przedstawiciel *Czarnej Sotni*. Ocena grubo przesadna, przekazana przez Konstytucyjnych Demokratów, którzy w Dumie rosyjskiej byli głównymi przeciwnikami caratu, gdy polscy Narodowi Demokraci głosowali za rządem. Dla Brytyjczyków Dmowski mógł się ponadto wydawać dziwnym Polakiem. Od trzech pokoleń nad Tamizę przybywali emigranci z Polski, unikający jak ognia Ambasady Rosyjskiej i nie ukrywający swej nienawiści do carskiego zaborcy. Dmowski był całkowicie inny: miał paszport dyplomatyczny, wojażował pomiędzy ambasadami rosyjskimi w Londynie i Paryżu, propagował zwiększenie pomocy dla Rosji. Gdy Manifestem Dwu Cesarzy powołano z niebytu Królestwo Polskie, Francuzi i Brytyjczycy nie mogli zrozumieć, czemu Komitet Narodowy Polski, utworzony przez Dmowskiego w Lozannie, potępił tę decyzję – i to tydzień wcześniej, niż uczynili to Rosjanie.

– **Na ogół twierdzi się, że Dmowski dobrze reprezentował nasz kraj na konferencji paryskiej. Okazał tam wielki talent dyplomatyczny.**

– Szczególny talent, zważywszy, że nigdy, także podczas wielomiesięcznych obrad tej konferencji ani razu nie rozmawiał ani z Lloyd George, ani z Georges Clemeneau – premierami obu mocarstw, a z prezydentem Wilsonem tylko podczas wizyty w Waszyngtonie. Panowie spotykali się podczas obrad, kłaniali się sobie – i to wszystko. Piłsudski bardzo chciał, aby politycy wszystkich opcji, a zwłaszcza Roman Dmowski osobiście, współdziałali w obudowie państwa i jego rangi międzynarodowej. Oddał sprawę konferencji pokojowej i stosunki z mocarstwami zachodnimi

dwom politykom, którzy wcześniej z nimi współpracowali – Dmowskiemu i Paderewskiemu. Stosunki tego ostatniego z całą Wielką Trójką koalicji były dobre, dziękował Lloyd George za utworzenie Wolnego Miasta Gdańska – etnicznie prawie całkowicie niemieckiego i włączenie go do polskiego obszaru celnego. Był jednak premierem – i tylko dorywczo dojeżdżał do Paryża z Warszawy. To powodowało, że faktycznym głównym przedstawicielem Polski na konferencji był Dmowski, który tam zachowywał się tak, jakby był samowładnym władcą Polski.

– Historycy sprzyjający Piłsudskiemu tego nie stwierdzają...

– W okresie międzywojennym dopiero zaczynali badania, skupiając się wyłącznie na ich działalności. Praktycznie żaden nie zajął się sprawami konferencji pokojowej. To była domena badaczy, sprzyjających endecji. W okresie PRL dopuszczalna była lekka pochwała narodowej demokracji, gdy obóz niepodległościowy Piłsudskiego całkowicie potępiano. Poglądów tworzonych w tym półwieczu nigdy nie przełamaliśmy, wpływają one w niemałym stopniu na współczesną historiografię. A ponadto często bywają wstydlive. Powołajmy się na jeden – o ogromnych konsekwencjach, lecz opisany przez samego Dmowskiego².

Najpierw przedstawmy okoliczności. 7 maja 1919 r. alianci przedstawili Niemcom gotowy do podpisu projekt traktatu pokojowego; nie była to propozycja, tylko ostateczny tekst, który Niemcy powinni jedynie podpisać. Traktat określał granicę polsko-niemiecką tak, jak funkcjonowała w dwudziestoleciu, z wyjątkiem jej południowego odcinka, gdyż Polsce przyznano wschodnią część Śląska z Opolem aż po rzekę Nysę Śląską. Tym samym Rzeczypospolita otrzymała całe zagłębie górnośląskie, wówczas drugi co do wielkości w Niemczech ośrodek przemysłu zbrojeniowego. Wraz z ogłoszeniem rozejmu, produkcję przerwano, a pracownicy stali się bezrobotni. Przejście tych ziem przez Polskę pozwalało na prawie natychmiastowe wznowienie produkcji – i to przy ogromnej podzięce mieszkańców. Polska w tym czasie nie miała ani jednej fabryki

² Roman Dmowski, *Polityka polska i odbudowa państwa*, t. II, s. 170–171.

broni, trzeba ją było kupować na Zachodzie. Tak cenny nabytek pozwalał nie tylko rozbudować Wojsko Polskie, lecz także dobroić armię ukraińską – co dawało znaczną przewagę nad bolszewikami.

10 maja sojusznicza Rada Najwyższa potwierdziła wszystkie żądania i zagroziła Niemcom, że jeśli nie podpiszą traktatu, mocarstwa będą interweniowały militarnie (na terenie Niemiec stacjonowało 40 dywizji alianckich, gdy Wehrmacht prawie w całości został już zdemobilizowany). Uznając sprawy zachodnie za rozwiązane, alianci – z inicjatywy Lloyd George – zajęli się wschodnimi, gdzie narastało nowe niebezpieczeństwo. Bolszewicy usiłowali opanować kraje bałtyckie i nacierali już na Libawę³, a na Ukrainie dotarli do Wołynia i nawet przekroczyli granicę Galicji. Z kolei Węgrzy – gdzie władzę przejęli komuniści Béla Kúna, wtargnęli do Słowacji i zmusili do odwrotu wojska czeskie; obecny w Paryżu Benes apelował o pomoc. Alianci postanowili interweniować militarnie. Wsparli Denikina (co mu pozwoliło rozpocząć ofensywę na Moskwę) i postanowili stworzyć silny front od Bałtyku do Morza Czarnego. Była w nim jednak jedna dziura – a mianowicie Galicja wschodnia, gdzie Haliczanie walczyli z Polakami. Ponieważ groziło, że bolszewicy przez ten obszar przedostaną się do Węgier i zaczną rozprzestrzeniać komunistyczną rewolucję na Bałkany, marszałek Foch domagał się, aby jak najszybciej zamknąć tę wyrwę. Lloyd George w pilnym trybie zwrócił się równocześnie do delegata Polski na Konferencję – Dmowskiego i do rządu w Warszawie z żądaniem natychmiastowego zawieszenia broni. Piłsudski docenił wagę sprawy: 24 maja rozejm został podpisany (prawie natychmiast zerwały go ukraińskie formacje frontowe).

Zapewne 22 maja (Dmowski nie podaje daty) delegata polskiego odwiedził Estme Howard – delegat brytyjski, bardzo życzliwy Polsce (we-

³ W niezamierzającym porcie Libawie rozpoczynała się linia kolejowa, które przez Syberię i Mandżurię docierała do Kantonu – tuż obok Hong-Kongu. Ciężki pociąg towarowy o 40 wagonach docierał tam w tydzień, gdy statki płynące z Wielkiej Brytanii potrzebowały ponad miesiąc. Rozumiał to doskonale Lloyd George, który natychmiast po kapitulacji Niemiec wysłał na Bałtyk eskadrę Royal Navy i wspierał militarnie oraz gospodarczo nowopowstałe państwa bałtyckie.

spół z delegatem amerykańskim, prof. Lord – historykiem XVIII w., doprowadził do zwrotu Pomorza Polsce⁴). W imieniu premiera żądał zawarcia rozejmu polsko-halickiego. Dmowski nie miał ani prawa, ani możliwości wpłynięcia na decyzję podejmowaną w Warszawie, lecz nie przeszkodziło mu to, aby stanowczo odrzucić wnioski. I to niegrzecznie, sposób obraźliwy, negujący honor Lloyd George (proszę przeczytać, co sam Dmowski w pamiętnikach napisał). Sprawilo mu to osobistą satysfakcję i przyniosło nieobliczalną szkodę Polsce. Obrażony Walijszyk, zgodnie ze swym przykrym charakterem, zamiast na obrażającym, wziął odwet na Polsce. Mimo, że był w tym czasie najostrzejszym przeciwnikiem Niemiec, niespodziewania dla nikogo, przygotował *drobne* poprawki do traktatu. Jedenaście dotyczyło Francji – i Lloyd George z nich kolejno rezygnował, ostatni – wprowadzający uprzednie przeprowadzenie plebiscytu na Śląsku, przyjęto – bo trudno było wszystkie odrzucić. Przypuszczano zresztą, że Polacy ten plebiscyt wygrają, gdyż na mapach niemieckich zaznaczano, że jest to obszar, gdzie dominuje język polski. Oba plebiscyty – w Prusach Wschodnich i na Śląsku, przeprowadzone w 1920 r. przegraliśmy.

– Wspomniał Pan o współczesnych historykach, mijających się z faktami.

– Proszę bardzo. Nie tak dawno ukazała się książka Andrzeja Nowaka – skądinąd autora paru wartościowych książek, poświęcona stosunkom polsko-brytyjskim w 1920 r.⁵. Obaj pracowaliśmy ma tych samych brytyjskich dokumentach. Początkowo Nowak czynił to bardzo starannie. Jednak z nieznanego mi powodu nagle przestał. Nie chce mi się wierzyć, że nie zna tych archiwaliów, które dotyczą bezpośrednio wspominanej wyżej konferencji w Spa oraz, że nie czytał wspomnień Władysława Grabskiego o wizycie w tym uzdrowisku belgijskim. Lloyd George był

niesympatyczny, ganił polską politykę, zarzucał Piłsudskiemu, że wbrew postulatom aliantów wdał się w wojnę z bolszewikami. Ale doskonale zdawał sobie sprawę, co w danej sytuacji oznacza dla Zachodu klęska Polski i zrobił wszystko, co mógł, aby nam pomóc. Szefowie pozostałych delegacji, obecni w Spa, nie byli nam tak życzliwi. Francuzi, na których Grabski liczył najbardziej, warunkowali swój udział w ultymatywnym wystąpieniu – żądającym od bolszewików zaprzestania ofensywy – od wprowadzenia drugiego żądania, a mianowicie uznania przez Moskwę długów, jakie Rosja zaciągnęła we Francji. Ostatecznie nie doszło do wspólnej noty aliantów, tylko do brytyjskiej, bardzo stanowczej. Ponieważ bolszewicy nie zatrzymali się na *linii 8 grudnia*, rząd brytyjski w pełni poparł Polskę i udzielił jej liczącej się pomocy politycznej, dyplomatycznej i materialnej. [To jest drugi raz – musimy się zastanowić, czy nie usunąć tego, ale nie tutaj, lecz za pierwszym razem]

Andrzej Nowak powołuje się na naradę premierów Lloyd George i Aleksandra Milleranda w Huthe 8-9 sierpnia. Zażądali oni wówczas od Warszawy, aby rozdzielić funkcje Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza oraz prowadzić działania wojenne zgodnie z zalecaniami alianckiej Misji Wojskowej. Byli przerażeni i przekonani – jak większość polityków polskich i niektórzy generałowie, że wojna jest już przegrana, a cofające się oddziały polskie uciekają, bo nie są w stanie powstrzymać nacierających armii Tuchaczewskiego. Nieznana – nie tylko im, rzeczywistość była całkowicie inna. Piłsudski – i mała grupka dowódców oraz sztabowców – wiedzieli, co musieli utrzymywać w ścisłej tajemnicy, że siły oby stron zostały wyrównane, a co ważniejsze, że co najmniej połowa wojsk bolszewickich naciera na zachód, oddalając się od miejsca przyszłej bitwy. Dywizje polskie cofały się w porządku i na rozkaz, odrywając się od nieprzyjaciela i kierując na wyznaczone pozycje. Również operacja odwrotowa i jej kierunki utrzymywane były w największej tajemnicy. Wiązał się z tym jeszcze inny epizod, dość długo nieznan. Ujawnił go premier Witos kilkanaście lat później, gdy na emigracji pisał swoje pamiętniki. 10 sierpnia nadeszło do Warszawy wspomniane żądanie obu premierów Ententy, aby Polacy rozdziłili funkcje Naczelnika Państwa i Naczelnego

⁴ Politycy zachodni nie rozumieli, czemu Polska domaga się takiego dostępu do morza, który przecina terytorium państwa niemieckiego. Dopiero Lord, m. in. autor książki o II rozbiórce Polski, wytłumaczył im, że chodzi o zwrot ziem, które Prusy zagarnęły w II rozbiórce w 1772 r.

⁵ A. Nowak, *Pierwsza zdrada zachodu. 1920 – zapomniany appeasement*, Kraków 2015.

Wodza, grożąc wstrzymaniem pomocy. 12 sierpnia, tuż przed wyjazdem z Warszawy na front, Piłsudski spotkał się z powołanymi przez niego: premierem Witosem i wicepremierem Daszyńskim i wręczył temu pierwszemu pismo, w którym przekazywał mu stanowisko Naczelnika. W literaturze zinterpretowano to, że był bliski załamania i bał się klęski. Poza tą opinią, stworzoną wiele lat później, wojskowi i cywile, którzy w tych krytycznych dniach sierpnia stykali się z Piłsudskim, nic takiego nie zauważyli. I nic dziwnego. Połowa wojsk Tuchaczewskiego prawie bez bojów maszerowała na zachód, polski cztery armie (1, 2, 4, 3) skoncentrowane wokół Warszawy oraz nad Wieprzem dysponowały dwukrotną przewagą, sukces kontrataku był przesadzony. Tydzień później losy wojny zostały rozstrzygnięte. Witos nie wykorzystał wręczanego mu dokumentu, zwrócił go Piłsudskiemu; Lloyd George i Mitterandowi nie wpadło nawet do głowy, aby żądać wykonania swojego żądania, Marszałek przestał być cywilem i został Wybitnym Strategiem, zwycięzcą w 18 bitwie, przesadzającej o losach świata.

– To poważne zarzuty, a jednocześnie gorzka refleksja historyka. Pisanie książek, które zniekształcają obraz historii Polski, wydaje się w dzisiejszych czasach sprawą nieprawdopodobną.

– Ale tak się dzieje. Zwłaszcza w historii najnowszej. Wypieramy z pamięci to, co niewygodne. Albo tworzymy sobie w głowie fałszywy obraz. Formalnie jestem mediewistą – bo moja habilitacja oparta była o książkę dotyczącą wczesnego średniowiecza, badacze tamtych czasów takich błędów nie popełniają. Oczywiście, nie brakuje książek wartościowych, opartych na zweryfikowanych źródłach, obiektywnie przedstawiających fakty – ale i tu można się natknąć na fałszywe domniemania – gdyż autorowi nie chciało się sięgnąć do istniejącego źródła, i to znajdującego się w archiwum, z którego korzystał i nadal korzysta. Tzw. *polityka historyczna* sprowadza się do fałszowania historii. Także najgłupszego, dowodu krańcowej ignorancji. Widać to najlepiej w publikacjach popularnych, audycjach telewizyjnych czy filmach, a także tzw. rekonstrukcjach historycznych. Mój Boże! Marszałek Piłsudski galopuje na

koniu na błoniach pod Radzyminem wymachując szabelką i prowadząc do zwycięskiego ataku na naszą wspaniałą piechotę z bagnietami na karabinach, tak długimi, że wyglądają jak kosynierzy spod Raławic (tych kościuszkowskich, zastrzegam na wszelki przypadek). Otóż Piłsudskiego pod Radzyminem nie było, jeździł samochodem a nie konno („Kasztanka” stała spokojnie w stajni), nigdy – poza Bezdanami, nie uczestniczył w bezpośredniej walce. Ponadto, nadchodzący bolszewicy dość łatwo zdobyli Radzymin, z niemałym trudem odbity przez gen. Żeligowskiego, lecz ten ani nie strzelał, ani walczył na białą broń. Spójrzmy za siebie, na to, co zrobił PRL. Wiadomo, że nie przepadam za tą epoką, kilkanaście lat jawnie walczyłem z komuną, ale muszę przyznać, że to, czego dokonał Ford z „Krzyżakami” i bitwą pod Grunwaldem, nigdy później się nie powtórzyło. Ten film pobił rekordy oglądalności i nie ma chyba konkurencji do naszych czasów. Podobnie jak grunwaldzka bitwa. A więc można kręcić filmy, pisać książki zgodnie z historią?

– Wróćmy do tych nielubianych przez Pana pomników. Hasło „łuk triumfalny”, czyli pomnik upamiętniający Bitwę Warszawską. Jak się Pan na to zapatruje? Całkiem niedawno najwyższe czynniki w państwie oznajmiły, że „w krótkim czasie” w stolicy stanie pomnik upamiętniający te wydarzenia.

– Strach mnie ogarnia. Lubię pomniki, pod warunkiem, że są wartościowe artystycznie. W tym jednak przypadku najlepszym upamiętnieniem byłoby zakończeniu budowy Muzeum Piłsudskiego w Sulejówce. Jego twórcy i fundatorzy, w tym rodzina Marszałka, od blisko dziesięciu lat zmagają się z brakiem pieniędzy i wrogim losem. Przydałby się także Most Piłsudskiego. Co do pomników, wołałbym aby przekazać sprawę w ręce artystów, a nie polityków. Nie ma powodu ukrywać, że tworzone są dzisiaj – w naszej epoce. Łuki triumfalne budowano we Francji, gdy panował styl klasycystyczny, wzorujący się na starożytnych Rzymianach. Dzisiaj i w Polsce byłoby to niezrozumiałe. Niech decydują rzeźbiarze, a nie dawcy pieniędzy. Wspomnieli panowie, że Rada Warszawy odrzuciła projekt wzniesienia pomnika Rozwadowskiego. Jeśli miałby być je-

dyny – popieram. W grupie, to co innego, obok Rozwadowskiego trzeba uhonorować bardziej zasłużonych od niego, chociażby Śmigłego-Rydza, Sosnkowskiego, obrońców Warszawy Józefa Hallera i Franciszka Latinika... Stołeczna komisja nazewnictwa nie lubi nadawać ulicom nazwisk postaci historycznych; może by na czas jakiś zrezygnowała z tej zasady? Jedno jest pewne: przed pomnikami pierwszeństwo mają obiektywne i rzeczywiście naukowe badania historyczne i ich upowszechnianie. Ludzie powinni wiedzieć, komu oddają cześć.

--

Leszek Moczulski – ur. w 1930 r., politolog, historyk, publicysta; współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (1977); założyciel i przywódca Konfederacji Polski Niepodległej, której niepodległościowy charakter wyrażał się m.in. w nawiązywaniu do piłsudczyńskiej tradycji II Rzeczypospolitej. Więziony i represjonowany w PRL. Poseł na Sejm RP I i II kadencji. Kawaler Krzyża Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski. Autor m.in. „Rewolucji bez rewolucji”, „Geopolityki. Potęgi w czasie i w przestrzeni”, „Wojny polskiej 1939”, „Przerwanego powstania polskiego 1914” oraz „Wojny przewencyjnej”.

Wywiad przeprowadzony w lipcu 2020r. przez Mirosława Lewandowskiego – Internetowe Archiwum KPN i Jerzego Woźniaka – sekretarza Zarządu Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej.

Ukazał się w „Gazeta Samorządność” nr 50. pismo Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej.

ANTONI ANUSZ¹

O DOBRĄ SPOŁECZNĄ WOLĘ I PANOWANIE PRAWA (REPRINT Z 1935 ROKU)

¹ Antoni Anusz (ur. 28 maja 1884 w Latowiczu, zm. 21 grudnia 1935 w Warszawie) – działacz niepodległościowy, polski polityk, bankowiec i publicysta, poseł na Sejm Ustawodawczy oraz I i II kadencji w latach 1919–1928, zastępca członka Rady Obrony Państwa w 1920 roku. Bliski współpracownik i propagator zasług Józefa Piłsudskiego. Publikacje książkowe:

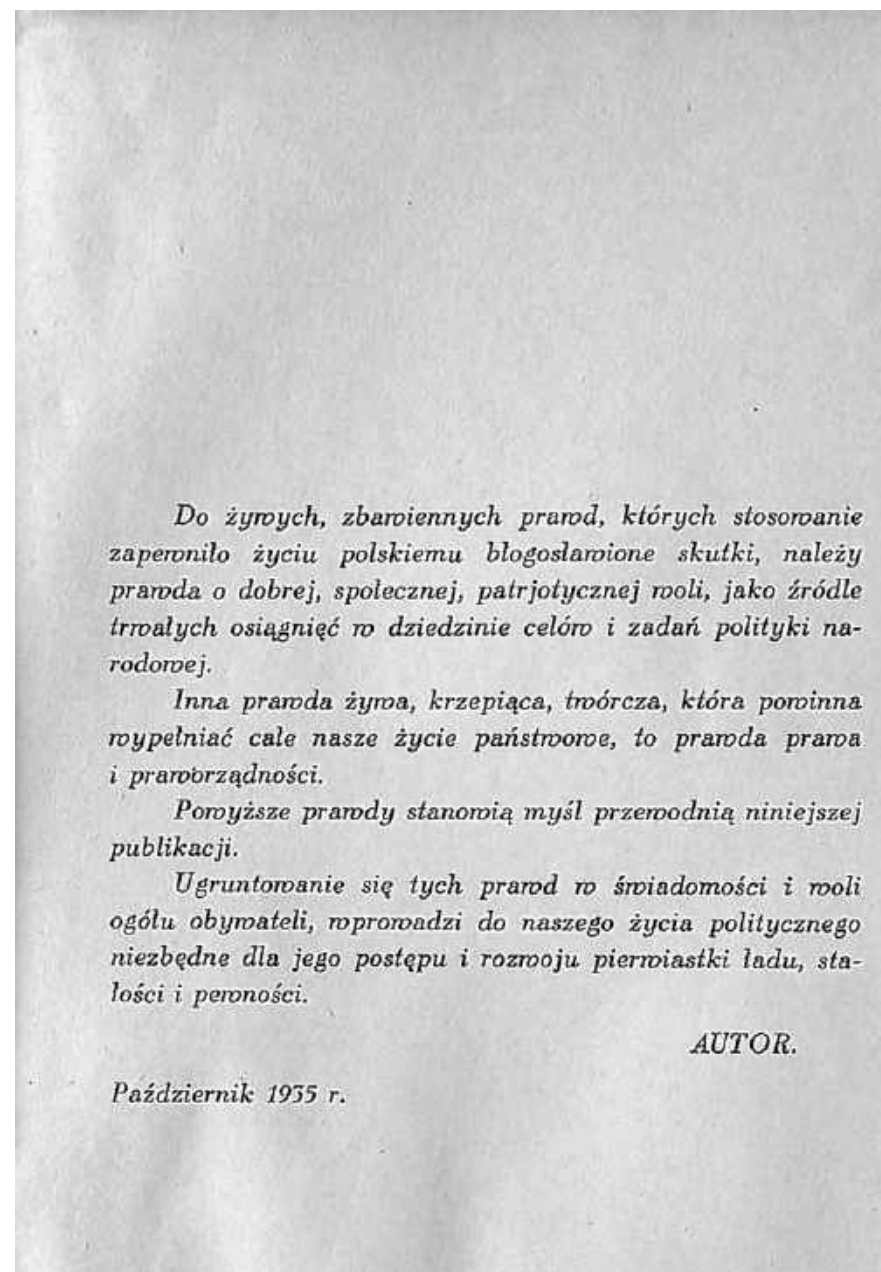
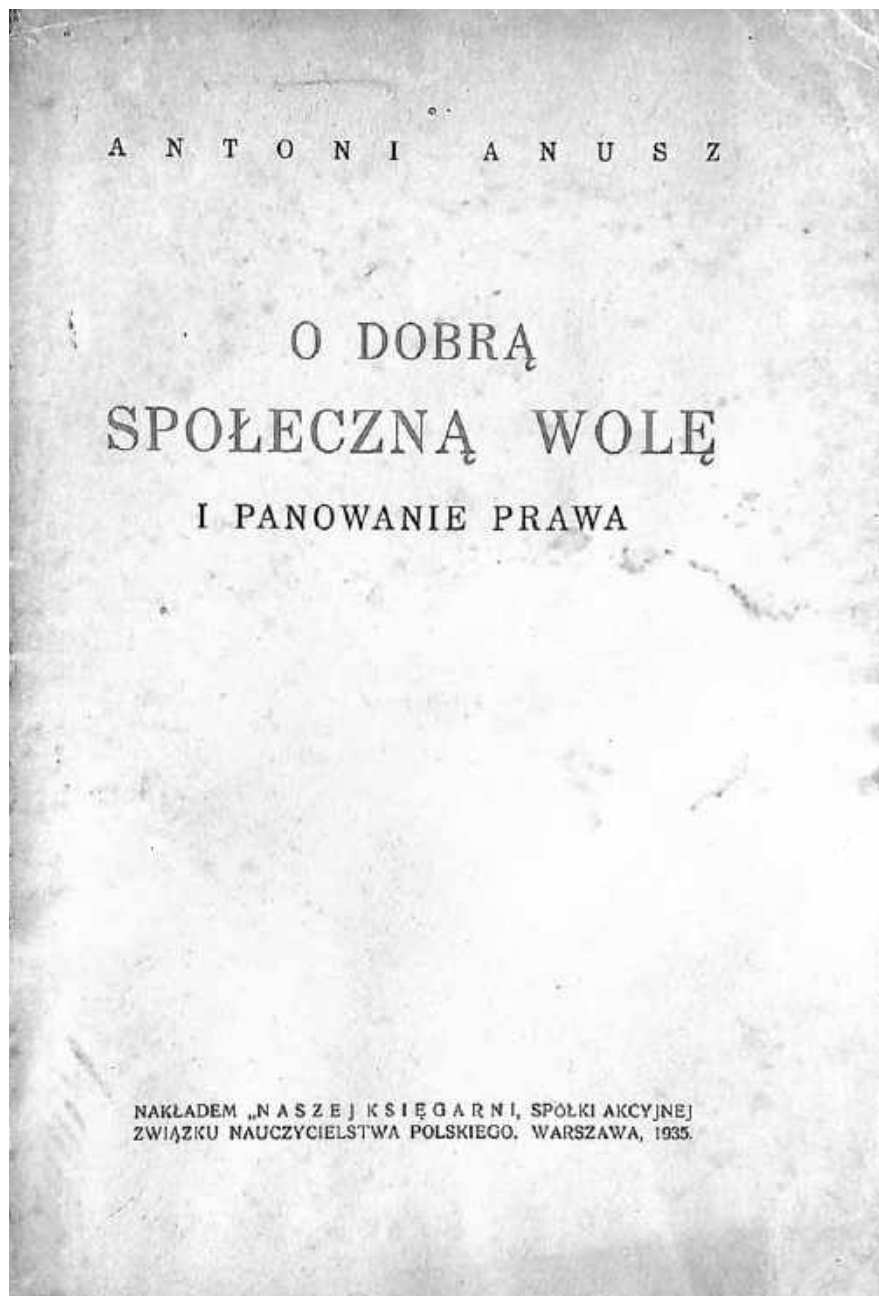
- „Z krainy dzikiej, pustej i otwartej”. Rzecz o stosunkach rosyjskich, Warszawa 1919
- „Do władzy przez kłamstwo, krew i niedolę ludu”, Warszawa 1920
- „Zdrajcy i krzywdziciele polskiego ludu”, Warszawa 1920
- „Naród, Armia i Wódz”, Warszawa 1920
- „Z wiary waszej wola wasza – z woli waszej czyn wasz będzie”, Warszawa 1920
- „Ziarno i plewy w ruchu robotniczym” – zbiór artykułów, Warszawa – Lublin- Łódź – Poznań – Kraków 1921
- „Józef Piłsudski”, Warszawa 1923
- „O Wincentym Witosie”, Warszawa 1925
- „Polska to wielka rzecz”, Warszawa 1925
- „Rola Józefa Piłsudskiego w życiu narodu i państwa”, Warszawa 1927
- „Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski budowniczy i wskrzesiciel państwa polskiego”, Warszawa 1927
- „Marszałek Józef Piłsudski wskrzesiciel i budowniczy państwa polskiego”, Warszawa 1928
- „Z powodu oświadczenia Marszałka Piłsudskiego z dnia 1 lipca 1928 r. Przypomnienia i uwagi”, Warszawa 1929
- „Podstawy wychowania obywatelskiego”, Warszawa 1930
- „Józef Piłsudski 1926 – 1929. Przemówienia, wywiady, artykuły”. Zebrane i do druku przygotowane przez Antoniego Anusza i Władysława Pobóg-Malinowskiego, Warszawa 1930
- „O dobrą społeczną wolę i poszanowanie prawa”, Warszawa 1935

Odnaczone: Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

W 1951 jego prace zostały wycofane przez władze komunistyczne z polskich bibliotek i objęte cenzurą. W Opinii poświęcone mu były dotychczas dwa artykuły:

Andrzej Anusz: Antoni Anusz współpracownikiem Józefa Piłsudskiego „Opinia” nr. 2 wiosna 2014, s. 17–40.

Antoni Anusz: Wybór z wystąpień sejmowych i publicystyki 1919–1935, w wyborze i opracowaniu Andrzeja Anusza „Opinia” nr. 4 jesień 2014 s. 101–143.



O DOBRĄ SPOŁECZNĄ WOLĘ*)

Mijają jeden za drugim zimne, szare, krótkie dni grudniowe, wypełnione ciężką troską, nadmiarem kłopotów i zmartwień. Zbliża się Święto Bożego Narodzenia. Wspomnienia, związane z tem Świętem, odrywają myśli nasze od dnia dzisiejszego i unoszą je w przeszłość do najszczęśliwszego kraju, „kraju lat dziecińczych“.

To, co się czuło i przemyślało podczas tylu kolejnych Świąt Bożego Narodzenia w kraju i na obczyźnie, było dziwnie podobne i zbliżone do modlitwy Konrada z „Wyzwolenia“ Stanisława Wyspiańskiego:

„Byś zwiódł z wędrówki długiej
Mój naród do Wszechmocy!
Byś dał, co mają inni,
Gdy przyjdiesz jako dziecię tej nocy
Bożego Narodzenia.
Ta noc jest dla nas święta,
Niech idą w zapomnienia
Niewoli gnuśne pęta.
Daj nam poczucie siły
I Polskę daj nam żywą,
By słowa się spełniły
Nad ziemią tą szczęśliwą”.

Czytając te słowa, czuło się ich związek z zasadniczym tonem własnych przeżyć i tęsknot. Zdaje się, że potężny wpływ twórczości St. Wyspiańskiego polegał właśnie na tem, że poeta znajdował piękną artystyczną formę dla tego, co kielkowało, rosło i dojrzewało w naszych duszach.

*) Artykuł drukowany w „Gazecie Polskiej” z dnia 24 grudnia 1931 r.

— 8 —

Od tego czasu upłynął długi szereg lat. Za sprawą Józefa Piłsudskiego rzeczywistością historyczną stały się następujące słowa modlitwy Konrada:

Nie ścierpie już niedoli,
Ani niewolnej nędzy,
Sam sięgnę lepszej doli.
I łeb przygniotę jędzy.
Zwycięzę na tej ziemi,
Z tej ziemi Państwo wskreszę.
Synami my twojemi,
Błogosław czyn i rzeszę!”

Już czternaste Święta Bożego Narodzenia spędzamy we własnem Niepodległem Państwie. W tym roku na radosną treść tego święta rzuca ponury cień przeżywany przez Polskę razem z resztą świata kryzys gospodarczy. Ciężkie skutki kryzysu głęboko zaburzyły i rozstroiły nasze życie, i społeczeństwu jakgdyby zabrakło tego zdrowego optymizmu i podniesłego nastroju ducha, jaki nam towarzyszył w pokonywaniu dotychczasowych przeszkód i trudności, napotykanych na drodze do Niepodległości Państwowej. A tymczasem do przetrwania i przezwyciężenia kryzysu niezbędna jest pewna odporność moralna, którą daje wiara we własne siły i zdolności oraz wiara w wielkie przeznaczenie dziejowe narodu.

Musimy przejąć się wiarą, że stać nas moralnie i materialnie na zwalczenie kryzysu.

Istnieje olbrzymia literatura, traktująca o przyczynach i przejawach obecnego kryzysu, a pewien uczony niemiecki wyliczył 235 jego przyczyn. Współczesny kryzys ma jednak pewną cechę, która zasługuje na specjalne podkreślenie. Jest to kryzys nie tyle materialny, ile organizacyjno-moralny. Dóbr materialnych mamy nadmiar. Nie dlatego jest nędza i niedostatek, że brak materialnych środków egzystencji, lecz dlatego, że jesteśmy organizacyjnie nieporadni, gdy chodzi o celowe zadysponowanie istniejącymi dobrami i że jesteśmy moralnie niedojrzali do szczerzego przejęcia się tą szlachetną i mądrą zasadą, że z odme-

tów dzisiejszego kryzysu możemy się wydzwignąć tylko społecm, a nigdy w pojedynkę.

Uświadczenie sobie tych prawd da nam radosne poczucie siły, natchnie nas zdrowym optymizmem, ożywi naszą energję, ponieważ utrwali nas w przeświadczeniu, że od nas samych zależy zwalczenie kryzysu i osiągnięcie powszechnego dobrobytu i pomyślności.

Gdyby dla pokonania w Polsce kryzysu potrzebna była kopalnia złota, możnaby było zwątpić w ratunek i bezradnie rozłożyć ręce, ponieważ niewiadomo, czy taką kopalnię udałoby się nam odkryć, lecz jeżeli potrzebne są ku temu uczucia i czyny społeczne, zdolności organizacyjne i czynna dobroć, to wszystko to jest do osiągnięcia wysiłkiem woli i pracą ducha. Doskonałą szkołą uczuć społecznych jest nasze piśmiennictwo, a świetnym wzorem skutecznego działania jest historia prac i działań żyjącego wśród nas mocarza czynu, „co gmach swój stawia z niczego po-woli“.

Społeczne wartości naszego piśmiennictwa i budujący przykład Józefa Piłsudskiego jest tym kapitałem moralnym, który nam pozwoli przezwyciężyć kryzys szybciej i skuteczniej, niż to są w stanie uczynić inne narody, pozbawione podobnego kapitału moralnego.

Wybitny i zasłużony działacz niepodległościowy, Artur Śliwiński, w swej niezwykle ciekawej pracy „Na przełomie dwóch epok“ wypowiada następujące uwagi:

„Tylko naród, który potrafi przystosować swe życie do własnych zasobów i własnej wytwórczości, który bez obcej pomocy zdoła wydzwignąć masy z dzisiejszej nędzy i wrócić pracy ludzkiej należne jej prawa, przetrwać może, bez pogrążenia się w otchłań największej niedoli, straszne wstrząśnienia i burze, jakie niesie przyszłość“...

„Bolszewizmowi, idącemu na podbój Zachodu, przede-wszystkiem będzie zmuszona przeciwstawić się Polska. Dopóki nad Wisłą nie utwierdzi swego panowania topór bolszewicki, dopóty świata nie grozi przewrót w jego najdzik-szej i najkrwawszej postaci. Aby to przeciwstawienie mo-gło być skuteczne, niezbędna jest mobilizacja wszystkich sił

twórczych, wszystkich sił duchowych i moralnych narodu, mobilizacja talentów i charakterów, mobilizacja intelektu, uczciwości i woli“.

A zatem mobilizacja uczciwości, mobilizacja wszystkich sił duchowych i moralnych!

Święta Bożego Narodzenia na krótki czas odrywają nas od zgiełku życiowego, od trosk i kłopotów materialnych.

Obcujemy w czasie świąt z najbliższymi nam ludźmi, których obecność wyzwala z nas żywe i głębokie uczucia miłości rodzinnej i serdecznej przyjaźni.

W takiej chwili dusze nasze najbardziej są dostępne dla zrozumienia tych nakazów moralnych, jakie wypływają z faktu, że żyjemy w społeczeństwie, którego dobre i złe losy musimy dzielić. Te nakazy moralne wymagają od nas czynnej dobroci, doskonałego serca i dobrej woli w stosunku do współobywateli. Tylko społecm, w żywej, moralnej łączności z całym narodem możemy skutecznie przeciwsta-wić się dezorganizacji i spustoszeniu, jakie szerzy kryzys.

NARODZENIE BOGA*)

Rokrocznie świat chrześcijański obchodzi uroczyste pełne głębokiej treści moralnej święto Bożego Narodzenia.

Święto to, owiane czarem poezji, opromienione urokiem wspomnień z „kraju lat dziecińczych” — budzi w nas podniosłe uczucia, rozpogadza dusze, odrywa od codziennych drobnych spraw i kłopotów, czyniąc nas przystępniejszymi do zrozumienia prawd Bożych, prawd wiecznych, do zastanawiania się nad tem, co jest najważniejsze.

A najważniejszą rzeczą w życiu całej ludzkości i poszczególnych narodów był i jest postęp moralny. Był najważniejszą rzeczą zawsze, lecz nigdy doniosłe znaczenie pracy dla zwiększenia tempa postępu moralnego nie narzucało się naszej świadomości z taką oczywistością, jak w czasach dzisiejszych.

Zdobycze nauk ścisłych rzuciły podwaliny pod wspałały rozwój postępu technicznego, który zapewnił człowiekowi olbrzymią władzę nad siłami przyrody, a jednocześnie ten człowiek tak mało zwiększył swoją władzę nad samym sobą, nad żywiołami, które tkwią w jego własnej naturze!

Jaki kolosalny postęp intelektualny i techniczny dzieli nas od czasów Mojżesza, a pomimo to treść dekalogu z góry Synai do dnia dzisiejszego nic nie utraciła ze swej aktualności, ponieważ nasza natura moralna prawie że nie zmieniła się od tamtych czasów.

Stosunek pomiędzy postępem technicznym a moralnym da się obrazowo przedstawić w modnej dzisiaj formie roz-

*) Artykuł drukowany w „Gazecie Polskiej” z dnia 23 grudnia 1933 r.

wartych nożyc z tem niepokojącym uzupełnieniem, że jesteśmy świadkami nie zamykania się tych nożyc, lecz dalszego ich rozwierania się.

Dzięki postępowi technicznemu ludzkość współczesna posiada olbrzymie zasoby dóbr materialnych i prawie nieograniczoną możliwość ich zwiększania a wskutek niedorozwoju uczuć społecznych i niedostatecznego postępu moralnego jesteśmy bezradni wobec spustoszenia materialnego i moralnego, jakie niedostatek i nędza szerzą wśród rzesz ludzkich na całym świecie.

Jeżeli symboliczne nożyce mają skutecznie krajać naszą dzisiejszą rzeczywistość społeczną po linii przykazań Bożych, ramię postępu moralnego tych nożyc musi się zbliżyć do ramienia postępu technicznego. Aby to nastąpiło, winniśmy zjednoczyć się w świadomem dążeniu do zwiększenia tempa postępu moralnego.

Obchód Świąt Bożego Narodzenia winien stać się dla nas sposobnością do wzniecenia i ożywienia w sobie mocnego postanowienia wyłożonej pracy na rzecz pomnażania moralnych wartości w naszym życiu społecznym i państwowym.

Bóg się rodzi, złe moce truchleją.

Bóg się rodzi, aby dusze ziemskie natchnąć zrozumieniem prawd wiecznych, aby sprawom ludzkim nadać kierunek odpowiadający celom Mądrości Przedwiecznej. Bóg się rodzi, aby życiu człowieczemu, zawartemu w szczupłych granicach czasu i przestrzeni, nadać sens głębszy, aby na codzienne prace i trudy człowieka rzucić odbłask wielkich przeznaczeń ludzkości.

I każda głębsza natura ludzka, gdy staje w obliczu wielkich celów i nadludzkich trudów pragnie się sprzymierzyć z siłami Nieba, pragnie wzbudzić w sobie tę wiarę, jaką żył wielki poeta Polski Wyzwalającej się, Stanisław Wyspiański, który posiadał cudowny dar słyszenia głosów nie z tego świata. Oto są słowa tej jego wiary:

„Że jestem mocen Twoją wolą
i wolą Twoją silny,
że wszystkim trudom ręce zdolą,
gdy głos Twój nieomylny”.

Czasy przeżywamy bezprzykładnie ciężkie. Ludziom częstokroć brak nie tylko chleba powszedniego, lecz przede wszystkim brak im chleba życia, brak im prawd moralnych i siły duchowej już nie do przezwyciężenia, a do przetrwania tak zwanego kryzysu, który w rzeczywistości nie jest kryzysem materialnym, lecz kryzysem moralnym. A właśnie przezwyciężenie kryzysu moralnego jest niesłychanie trudne, bo żadna rewolucja na to nie pomoże, a tylko organiczny postęp moralny, który wymaga wytrwałej i długiej pracy duchowej całej powszechności narodowej.

Do pracy tej musimy stanąć w przymierzu z Bogiem, nastrajając swe dusze na podniosły ton słów J. Słowackiego:

„Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem,
Gdy wstaną — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Jeżeli słowa te nie tylko wypowiemy ustami, lecz wnikniemy w ich treść całą skupioną mocą naszego ducha, narodzi się w nas mocne postanowienie pełnienia woli Bożej na ziemi. Z tego postanowienia powstaną czyny, zwiększające nasz moralny stan posiadania.

W życiu narodu nie może na jedną chwilę ustać proces narastania nowych wartości moralnych. Działacze społeczni i polityczni nie mogą na chwilę zatrzymać się w rozwoju duchowym, w „narastaniu od wewnątrz”.

Taktyka oraz strategia walki o władzę ma sens tylko wówczas, jeżeli do współzawodnictwa o władzę stają nie biegli w intrygach gracze polityczni, lecz ludzie nacechowani powagą moralną, religijnym stosunkiem do Ojczyzny i wiarą w wielką dziejową misję swego narodu, słowem ludzie zdolni do tworzenia nowych wartości politycznych, a nie tylko do grania gotowemi, już osiągniętymi wartościami.

Nie wstydzmy się i nie unikajmy tego uroczystego stylu. Czasy dzisiejsze wymagają mobilizacji dobrej woli całego społeczeństwa, wydobycia z dusz ludzkich wszystkich szla-

chetnych pierwiastków, a nie zdołają przecież tego dokonać najbardziej utalentowani gragacze, kpiarze i szydercy.

Musimy sięgnąć do skarbów ducha i skarbów mądrości społeczno-politycznej, zawartych w pismach Adama Mickiewicza, musimy przypominać i wskazywać społeczeństwu na bogatą filozoficzno-społeczną twórczość Edwarda Abramowskiego, skierowaną na rozbudzenie w nas i uświadomienie szlachetnych uczuć społecznych, jako dźwigni postępu moralnego.

Wymieniam tylko te dwa wielkie umysły i płomienne serca, chociaż mam pełną świadomość tego, że niemal całe piśmiennictwo nasze jest ożywczem i niewyczerpanem źródłem idei i wartości artystycznych, które krzepią serca, bogacą i kształcą umysły i wnoszą ducha ku Niebu.

To też duchowa gleba polska wydaje się być wyjątkowo dobrze uprawną i przeoraną przez piśmiennictwo nasze do przyjęcia posiewu tych prawd Bożych, które niosą „pokój ludziom dobrej woli”.

I chcemy wierzyć, pomimo niepokojących pozorów, że to właśnie wieszczka intuicja, zdolna wyczuć utajone głęboko moralne siły narodu, podyktowała St. Wyspiańskiemu ten akt jego strzelistej wiary:

„O Boże, wielki Boże,
ty nie znasz nas, Polaków;
ty nie wiesz, czym być może
straż polska u Twych znaków!”

Iwonicz — grudzień 1933 r.

TWÓRCA PRZYMIERZA POMIĘDZY POEZJĄ I ŻYCIEM*)

Wielka poezja Polski porozbiorowej była dla narodu ujarzmionego nie literackim odzwierciadleniem codzienności, nie ucieczką od twardych nakazów walki w krainę poetyckich zmyśleń, lecz była szkołą życia, stale powtarzaniem wezwaniem do nieustających zmagania z hańbą niewoli oraz źródłem wzniosłych porywów i wytrwałych dążeń ku wolności i wielkości. Słowem, poezja Polski porozbiorowej była w życiu naszego narodu tem, czem była Iljada dla starożytnych Greków.

Myśl przewodnią tej poezji dobrze oddają słowa K. Ujejskiego:

„Weiż się szamocę, szukając sposobów
Jakby was zmeźnić — wszystkie drogi mylnie!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne...
Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskreszę stary świat zamarły”.

Żywo odczuwana tęsknota do ludzi męznego serca i hartownej woli, zdolnych do podjęcia zwycięskiej walki z przeemocą i gwałtem, wydobyła z poetyckiej duszy Syrokomli następującą modlitwę:

„A jednak czasem łza płynie do powiek,
I z głębi serca modlitwa do nieba:
Przywróć nam, Panie, staroświeckich ludzi,
Z krzemienną piersią i duszą stalową.
Niechaj ich z trumny Twój rozkaz obudzi,
Niech w oczy spojrzą i przemówią słowo,

*) Artykuł drukowany w „Peowiaiku” z marca 1933 r.

— 16 —

Abyśmy mogli choć raz, choć zdaleka
Zobaczyć w życiu Wielkiego Człowieka!”

Ku jakiemuś wielkiemu polskiemu świętemu zwraca patriotyczną myśl poeta z „Wesela”:

„Polska — to jest wielka rzecz:
Podłość odrzucić precz,
wypisać świętą sprawę
na tarczy, jako ideę, godło,
i orle skrzydła przypawić,
husarskie skrzydlate szelki
założyć,
a już wstanie któryś wielki,
a już wstanie jakiś polski święty”.

Gdy Stanisław Wyspiański pisał powyższe słowa, już stał przy warsztacie dziejowym i rozwijał niezmordowaną działalność Człowiek, któremu danem było wyprowadzić naród z Egiptu niewoli, z którego imieniem po wieczne czasy będzie związane wielkie dzieło wskrzeszenia Państwa Polskiego.

Józef Piłsudski jest tym Wielkim Człowiekiem naszego pokolenia, który zawarł w swe piersi prawdy i wskazania naszej poezji i swą potężną wolą przetworzył je na fakty dziejowe. Jest On tym, który pod tęczę natchnień poetyckich rzucił granit zdolności realizatorskich i wytrwałą pracą zamienił słowa marzeń i tęsknot w ciało rzeczywistości historycznej. Poezja nie była dlań, jak dla Konrada, tyranem, lecz dźwignią wielkich czynów.

Wiemy z własnych słów Józefa Piłsudskiego, że: „od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano go z utworami naszych wieszczów” i że „od dzieciństwa zachwycał go zawsze Słowacki, który też był dlań pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych”.

Dzisiaj, gdy wszyscy znamy czyny dokonane przez Józefa Piłsudskiego i gdy pamiętamy Jego postawę duchową w najkrytyczniejszych momentach swej, pełnej trudów i niebezpieczeństw, działalności, czyż nie narzucają się naszej pamięci drogą naturalnych skojarzeń myślowych następujące słowa Juliusza Słowackiego:

„Ale twardo — ale jasno
 Śród narodu swego stać,
 Myślą bić — chorogwie rwać,
 Świecić czynu tarczą własną;
 W drogę choćby niepowrotną,
 Lecz ofiarną — naprzód twarzą!
 Z piersią czystą — choć samotną,
 Choć ją sztyletami rażą;
 Z twarzą smętną — ale białą,
 Chrystusową — choć zwiedniałą
 A ciagnącą lud do siebie
 Niesłychanym bożym czarem:
 Takim Duchem i sztandarem
 Być na ziemi — to być w Niebie”.

A jak Józef Piłsudski budował swój autorytet moralny w narodzie? Jakiem postępowaniem zniewalał ku sobie serca ludzkie, w jaki sposób zdobywał wpływ na umysły współczesnych i stawał się dla nich nadzieją, ostoją i ratunkiem?

Najtrafniejszą odpowiedź na te pytania znajdziemy w tych słowach Zygmunta Krasińskiego:

„Bądź arcydziełem nieugiętej woli,
 Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
 Co gmach swój stawia z niczego, powoli!
 Bądź spokojnością śród burz niepokoju,
 W zamęcie miarą i strojem w rozstroju,
 Bądź wiecznem pięknem w wiecznym życia boju!
 Dla podłych tylko i Faryzeuszów
 Bądź groźbą — gniewem, lub świętem milczeniem,
 I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!”

A czy cała działalność Józefa Piłsudskiego, Jego walka z niewiarą społeczeństwa we własne siły, walka z ugodowością dążeń i programów partyjnych, czy ta działalność i walka nie były odpowiedzią na wyrzut autora „Chorału”:

„Słabe to duchy! Marne samoluby!
 Syny to ciała, frymarki, rachuby!
 U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
 To tylko ciężkie, co na dłoni zważa.
 Kiedy ich matka z grobu wstaje, wskrześnie,
 Oni wołają: Zawczasie, zawczasie!
 I każą biednej aż do jutra czekać,
 A sami będą przed jutrem uciekać”.

Właśnie Józef Piłsudski był tym, który nie pozwalał małoduszny w narodzie uciekać przed *ju t r e m* zmartwychwstania Polski, a sam z najmężniejszymi ofiarnie i wytrwale pracował, aby to *ju t r o* uczynić dniem dzisiejszym wyzwolenia Ojczyzny. Właśnie Józef Piłsudski był tym, który z całą słuszością mógł być o sobie powiedzieć 12 maja 1926 r.: „Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowią imponderabilja, jak honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne czy swego najbliższego otoczenia. Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości”.

W taki to sposób za sprawą Józefa Piłsudskiego poezja przestała być dla nas jedynie czemś odświętnem, czemś stojącym ponad życiem, lecz stała się wiernym sprzymierzeńcem życia i jego nakazów walki i pracy oraz źródłem szlachetnych podniet w dążeniu do przekształcenia niedoskonałej rzeczywistości na miarę ideału. Widzimy więc, że J. Piłsudski przywrócił poezji jej starogreckie znaczenie: poezja — to twórczość, czyn.

Jest rzeczą na czasie przemyśleć i zgłębić wszystkie elementy wielkości Józefa Piłsudskiego i uświadomić sobie wszystko, co się składało zarówno na treść Jego ideałów i dążeń, jako też na Jego metody działania.

Dlaczego na czasie?

Każdy wielki człowiek stwarza legjony naśladowców. Największy człowiek nie jest wolny od wad. Wielkość jego polega na tem, że suma dodatnich stron charakteru, suma zalet, znakomicie przewyższa sumę wad i wystarcza do podjęcia i dokonania wielkich dzieł. Wady naśladować łatwo, cnoty i zalety trudno, bardzo trudno.

Na tem polega to częste zjawisko, że naśladowcy wbrew swym chęciom, lecz zgodnie ze swym marnym charakterem

— 19 —

i filisterską naturą, stają się bardzo często karykaturą swego wzoru.

W „Gazecie Polskiej” z dnia 26 stycznia 1933 r. zamieszczono świetny artykuł: „Bismarck i Bismarczki”. Bismarczki niszczą dzieło Bismarcka, ponieważ usiłują „budować wielkość Niemiec na psychozie świadomości stwarzanego fałszu”. Kończy się zaś wspomniany artykuł temi słowy:

„Dlatego mimo wszystko — Bismarck był wielkim symbolem potężnego ludu, podczas gdy niejedni z jego spadkobierców próbują stwarzać swoją rzekomą wielkość przez poniżanie własnego narodu do poziomu tłumu, który trzeba oszukiwać, aby prowadzić go ku wielkości”. Trafne i mądre słowa.

Józef Piłsudski ma także swoich naśladowców. Niepomiernie szybko rosną zastępy Piłsudczyków. Grozi nam to niebezpieczeństwem, że wkrótce z poza tłumu Piłsudczyków nie będziemy mogli dostrzec samego Piłsudskiego. Byłoby to prawdziwym nieszczęściem.

Ten wielki moralny skarb, jakim jest Józef Piłsudski w naszej historii, winien oddziaływać bezpośrednio na wszystkie w Polsce szlachetne serca i prawe umysły.

Z bólem trzeba wyznać, że społeczeństwo nie przejawia silnej dążności do bezpośredniego obcowania z umysłowością J. Piłsudskiego. Pisma Józefa Piłsudskiego nie wywołały takiego zainteresowania, jakiego się należało spodziewać, gdyby zewnętrznie szeroko praktykowany kult dla osoby Wodza Polski Wskrzeszonej naprawdę był głęboki i szczerzy.

A zdaje się, że nie będzie omyłką twierdzenie, iż dla J. Piłsudskiego miłszym jest jeden człowiek rozumiejący Jego cele i drogi i współdziałający z Nim, niż tysiące praktykujących kontemplacyjne uwielbianie Jego osoby.

Nie uwielbienia bowiem dla siebie pragnie Józef Piłsudski, lecz żąda „codziennej solidnej pracy wielkiej ilości ludzi” dla Państwa.

ISTOTNY RYS WIELKOŚCI J. PIŁSUDSKIEGO*)

Jednostka ludzka wchodzi w zetknięcie ze światem za pośrednictwem narodu, którego jest częścią, a każdy człowiek rośnie, rozwija się i dojrzewa przez kulturę i doświadczenie historyczne swego narodu.

Poprzez najściślejszy moralny związek z narodem prowadzi droga do wielkich i twórczych czynów, które dźwigają naród na wyższy szczebel rozwoju i zwiększają jego wpływ na kształtowanie losów ludzkości.

Taką drogą szedł przez całe swe życie J. Piłsudski do tej wielkiej roli, jaką odegrał w życiu swego narodu. Wielkość Jego wyrosła z głęboko odczutego i uświadomionego moralnego związku z historją narodu. O tym związku sam pisze temi słowy:

„A gdy się zastanawiał (podczas wygnania syberyjskiego) nad narodem, z którym mnie wiązało wszystko co cenniejsze, wszystko co boli, wszystko co we mnie myśli i wszystko co czuje, przychodziłem do przekonania, że moje dziecięce marzenia i rojenia (o walce orężnej z moskalami) zespalają się z moim młodzieńczym światopoglądem”.

Przytoczone słowa o duchowej łączności J. Piłsudskiego z życiem swego narodu są przykładem na prozę pisarza politycznego natchnionych słów wieszczą:

... objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić”.

*) Artykuł drukowany w „Gazecie Polskiej” z dnia 19 marca 1932 r.

— 21 —

Z takiej postawy duchowej J. Piłsudskiego wobec narodu powstał ten długi szereg działań, wysiłków i częstokroć nadludzkich trudów, które imię Jego związały po wieczne czasy z wielkim dziełem wskrzeszenia państwowości polskiej i z twórczymi pracami nad organizowaniem siły i bezpieczeństwa odbudowanego Państwa.

Ten rzetelny, służebny stosunek J. Piłsudskiego do swego narodu zapewnił trwałość dziełom przez Niego dokonany i wycisnął na Jego pracach historycznych znamię wzniosłej i szlachetnej wielkości.

Ciekawe jest w tej mierze zestawienie rezultatów, osiągniętych przez Napoleona i Piłsudskiego.

W tym samym szkicu autobiograficznym, drukowanym w r. 1903 w miesięczniku: „Promień” z którego zaczerpnąłem przytoczone powyżej słowa J. Piłsudskiego, znajdujemy następujące zdanie: „Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem i rozpałało wyobraźnię”.

Napoleon, „bóg wojny”, genialny wódz i mąż stanu, człowiek o potężnej woli, wszechstronnym umyśle, o huraganowej energii i niesłychanych zdolnościach realizatorskich, mający do swego rozporządzenia olbrzymie materialne środki, umiera wkońcu na wyspie Świętej Heleny jako rozbitek, który po tylu świetnych zwycięstwach nie osiągnął żadnego ze swych celów: nie zjednoczył i nie skonsolidował Europy, nie wywyższył roli i znaczenia Francji w Europie, lecz raczej je obniżył, nie zdołał założyć swej dynastji.

W całej bowiem imponującej karierze Napoleona brak jest pewnej logiki wewnętrznej, pewnej organiczności.

Ma przeszło 20 lat, rwie się do czynu, a jeszcze nie wie, czy ojczyzną jego jest Francja, czy Italja. Wreszcie uznaje Francję za swoją ojczyznę, lecz Francja była zawsze dlań środkiem, a nie celem. Siebie uważał za centrum świata i Francją posługiwał się jako instrumentem do swych celów.

Nie Napoleon był tym, który przygotował umysły Francuzów do rewolucji, zrobili to inni; on tylko wprzągnął gotową rewolucyjną energję narodu do rydwanu własnych planów, które niejednokrotnie mijały się z dobrem narodu Francuzów.

— 22 —

W tym niemoralnym — że zaryzykuję takie określenie — stosunku Napoleona do ojczyzny i do narodu, który mu ufa i służy, który go kocha i uwielbia, tkwi przyczyna bankructwa jego celów. Dopiero na wyspie świętej Heleny ten genjusz myśli i mocarz czynu dojrzał do zrozumienia wiecznych i głębokich prawd, w których służbie osiąga się istotną wielkość. Tam wypowiada taką uwagę: „Nieszczęście ma także swoją dobrą stronę, uczy nas prawd... Dopiero teraz umiem rozmyślać o czasach jak filozof”. A w obszernym testamencie, przeznaczonym dla syna, a podyktowanym na 2 tygodnie przed śmiercią, znajdujemy takie słowa wśród wielu wskazań i upomnień, zawierających doświadczenie, przeżytych przez Napoleona triumfów i nieszczęść: „Dyktatura moja była nieodzowną, dowodem jest to, że ofiarowano mi zawsze więcej władzy, niż chciałem... Z synem moim będzie inaczej, będą kwestjonować jego władzę, będzie musiał uprzedzać wszystkie życzenia wolnościowe... Zadaniem suwerena jest nie tylko rządzić, lecz krzewienie nauki, moralności, dobrobytu. Wszystko co jest fałszywe, jest też złą pomocą...” „Wszystko jednak, co powiecie synowi memu, wszystko, czego go nauczycie, mało mu pomoże, jeśli w sercu nie będzie miał tego ognia świętego, tej miłości — dobra, która jedyna może dokonać wielkich rzeczy. Mam nadzieję, że okaże się godny swego przeznaczenia”.

Inną drogą wspinał się J. Piłsudski na wyżyny swej „bajecznej kariery”, w innym nastroju ducha pracował na swoją dziejową rolę.

Od zarania swej świadomości oddał się bez reszty na służbę swego narodu. Obok słów przytoczonych na początku pragnę przypomnieć inne Jego wyznanie: „W ciężkich chwilach więziennych widziałem Polskę gnębią, zduszoną na wiele lat. Śnił mi się obraz siły, czynu zbrojnego. Projekt wydawał mi się samemu nad siły, jednak zacząć musiałem, bom Ją w sobie nosił wolną i w pełni chwały żyjącą”.

J. Piłsudski budził w narodzie dążenia niepodległościowe, dążenia te organizował w planową akcję, akcją tą kierował wytrwale, wprawnie i umiejętnie wśród niesłychanych

— 23 —

trudności i niebezpieczeństw, aż do zwycięstwa. Jest więc J. Piłsudski ojcem swej własnej sławy i wielkości.

Trud Jego całego życia miał wyraźny kierunek, kierunek na niepodległość i zjednoczenie narodu we własnej organizacji państwowej. Dzięki genjuszowi politycznemu i potędze swej woli zdołał osiągnąć wielkie rezultaty zdumiewająco małymi środkami materialnymi. Do swej dyspozycji nie miał nigdy takiego bogactwa środków, jakie były dostępne dla Napoleona. Dokonał jednak dzieła, nad którego trwałością i pomyślnym rozwojem czuwa po dziś dzień. To też wielkość J. Piłsudskiego posiada swoją wewnętrzną logikę i organiczność. Jest to wielkość ugruntowana na podporządkowaniu dobru narodu każdej swej myśli, każdego wysiłku, każdego dążenia. Całej działalności J. Piłsudskiego przyświecała zasada, którą wypowiedział w r. 1923: „Państwo i naród, które na podstawie kłamstwa, na podstawie negowania prawdy budują myśl polityczną, dążą do zguby. Ten jest słabszy, kto buduje na kłamstwie i na fałszu, w porównaniu z tym, kto chce budować na prawdzie“.

W myśl tej zasady J. Piłsudski wytrwale poszukiwał prawdy przede wszystkim o sobie, a następnie o świecie zewnętrznym i posługiwał się zdobytą prawdą w pracy rozwijania i organizowania sił narodu. Poprzez prawdę zmierzał do siły, chwały i pomyślności swego narodu. Na gruncie prawdy szukał i znajdował kontakt z narodem, gdy chodziło o aprobatę i legalizację swych prac historycznych. Prawdą, rzetelnością i bezgranicznym oddaniem się nacechowany stosunek J. Piłsudskiego do swej ojczyzny stanowi istotny rys Jego wielkości.

PIETAS ET GRAVITAS*)

Poszukując najbardziej doskonałej formy ustroju państwowego, musimy pamiętać, że ten ustrój Państwa jest najlepszy, który sprzyja wydobyciu z ogółu obywateli największej sumy zbiorowej energii na rzecz siły, bezpieczeństwa i rozwoju państwa.

Najbardziej teoretycznie doskonała forma ustroju państwowego sama przez się nie zapewni państwu siły, bezpieczeństwa i zdolności ekspansywnej, albowiem o sile państwa i jego zdolności do rozwoju i ekspansji decyduje nie tylko forma ustroju, lecz w większej mierze sama treść życia państwowego, a ta ostatnia jest rezultatem codziennych prac, trudów i wysiłków całego narodu, tworzącego państwo.

Wysokie wartości moralne narodu, dodatnie cechy jego charakteru, znajdując swoje odbicie w organizacji państwa, nadają istotną żywotność i trwałość urządzeniom państwowym. Jakie cechy charakteru decydują o potędze państwowej narodu?

Stanley Baldwin w swej mowie wygłoszonej w styczniu 1926 r. na zgromadzeniu angielskiego Towarzystwa Klasycznego, wypowiedział taką uwagę o charakterze rzymskim:

„Według mego zdania osobliwa i najwięcej uderzająca siła charakteru rzymskiego mieści się w słowach *p i e t a s* (poczucie obowiązku, miłość rodzinna, serdeczność, przywiązanie podwładnego do zwierzchnika) i *g r a v i t a s* (powaga, stateczność, ważność, siła, wytrwanie). To są właśnie podstawy patriotyzmu, który jedynie mógł dźwignąć ogrom imperjum,

*) Artykuł drukowany w „Peowiahu” w marcu 1932 r.

— 25 —

patryjotyzmu wrodzonego, siły rozpędowej o nieobliczalnej potędze.

Patryjotyzm ten był jednak tak wzniosły, że nigdy się nim nie popisywano, nigdy nie szukano zań najmniejszej nagrody, lecz przyjmowano go jako rzecz naturalną, na którą brakło nawet osobnego słowa, aby ją wyrazić... Czyż gdzieś indziej w świecie starożytnym poza Rzymem byłby Fabrycjusz odmówił przyjęcia jakiegokolwiek nagrody, albo Cyncynatus powrócił do swej zagrody? Powtarzam: charakter oparty na *pietas* i *gravitas* ma swe korzenie w prawdzie, i dumą mnie napędza myśl, że słowo Anglika cieszyło się równem poważaniem, jak słowo Rzymianina.

Szukamy obecnie źródła siły dla naszego młodego państwa w odpowiedniej ustawie konstytucyjnej, nie zapominajmy jednak szukać jednocześnie tej siły w oparciu naszego charakteru narodowego na *pietas* i *gravitas*.

Mamy zaś w życiu i działalności Marszałka Józefa Piłsudskiego doskonały wzór tego, jak się przejawia charakter oparty na *pietas* i *gravitas* w najtrudniejszych warunkach życia i pracy, a mianowicie w życiu i pracy wojennej. Oto szereg przykładów, które uwypuklają te cechy charakteru Józefa Piłsudskiego.

We wrześniu 1914 r., podczas ewakuacji Kielc i cofania się w kierunku Morawicy, Lisowa, Chmielnika, wśród pogłosek o niezliczonym mrowiu kozaków ukrytych w lasach, Piłsudski, w poczuciu odpowiedzialności za swój oddział, musiał przedsięwziąć różne środki zapobiegawcze, celem zabezpieczenia swych żołnierzy przed niespodzianym napadem jazdy nieprzyjacielskiej. Z tego powodu znajdujemy w jego książce: „Moje pierwsze boje” takie uwagi:

„Każdy taki środek opłacić trzeba przecież mniejszą czy większą pracą i wydatkiem nerwowym żołnierza. Widziałem podczas wojny tak często brak oszczędności pod tym względem i lekkomyślne marnowanie pracy i nerwów żołnierskich dla spokoju pana dowódcy. Dlatego doprawdy rad jestem, żem od początku wojny zawsze wychodził zwycięsko z walk z tą pokusą zapobiegania wszystkim możliwym niespodziankom. Rozstrzygałem prawie zawsze na korzyść nerwów żoł-

— 26 —

nierza, na niekorzyść swoich własnych. Brałem niepokój na siebie i wołałem przeżyć kilka chwil przykrych i denerwujących, niż zrzucić z siebie brzemię tego niepokoju kosztem odpoczynku i spokoju moich żołnierzy”.

Podczas dalszego odwrotu J. Piłsudski z raportu otrzymanego od szefa sztabu K. Sosnkowskiego dowiedział się o przynagłaniu przez komendę austriacką do szybkiego cofania się z ostrzeżeniem, że most w Szczucinie zaraz po przemarszu strzelców musi być zerwany i spalony. W związku z tym raportem znajdujemy w książce J. Piłsudskiego takie słowa:

„Niezrozumiałem dla mnie było i to straszenie mnie paleniem mostu w Szczucinie! Przed czym, czy przed kim drżą tam ci, którzy przy moście stoją? przed kozakami, którzy się w okolicy Pacanowa ukazali? Nie chciałem ustąpić przed głupią trwogą i kazałem wydawać żołnierzom obiad. Czyż nie mają oni jeść tylko dlatego, że kogoś tchórz oblatuje!”

W parę miesięcy potem, w końcu listopada 1914 roku, gdy działania wojenne rozwijały się na Podhalu w okolicy Limanowa — Marcinkowice, dowódca całego frontu pod Limanową oddał do dyspozycji J. Piłsudskiego dwóch dzielnych Węgrów, porucznika Besermeny, z dwoma karabinami maszynowymi i porucznika Meisnera z czterema górskimi armatami. Gdy się Piłsudski dowiedział, że w nocy w obu przydzielonych oddziałach konie są posiodłane i większość ludzi na nogach, zwołał oficerów na odprawę i poza zwykłymi rozkazami i oceną sytuacji zapowiedział, że „obowiązkiem oficerów nie jest tylko umiejętnie i odważnie prowadzić swych podkomendnych podczas bitwy, lecz i dbać o to, by ich żołnierze byli możliwie silni fizycznie i wypoczęci przed bojem”. Zwróciwszy się zaś do węgierskich oficerów, dodał: „na noc konie mają być rozsiodłane, ludzie, oprócz tych, co mają nocną służbę, powinni spać. Ja odpowiadam za bezpieczeństwo i całość oddziału i proszę panów być spokojnymi o to, że w razie istotnego niebezpieczeństwa będziecie na czas zaalarmowani i uprzedzeni”.

W roku 1920, w najkrytyczniejszym momencie wojny polsko-rosyjskiej, gdy wróg zbliżał się do bram stolicy, na

Marszałku Józefie Piłsudskim spoczywało brzemie odpowiedzialności za losy Państwa. Nadludzką pracą swego mózgu i nerwów szukał najbardziej celowych posunięć politycznych i strategicznych: szukał dróg zwycięstwa.

Wieczorem 5-go sierpnia i w nocy na 6-ty w samotnym pokoju w Belwederze J. Piłsudski „przepracowywał siebie samego dla wydobywania decyzji”. Tak o tem pisze w „Roku 1920”.

„A oprócz tego nad całą Warszawą wisiała zmora mędrkowania, bezsilności i rozumkowania tchórzów. Jaskrawym tego dowodem była wysłana delegacja z błaganiami o pokój. Warszawę skazywałem zgóry na pasywną rolę, na utrzymanie nacisku, który szedł na nią. Lecz wtedy z pasywną rolą wiązać nie chciałem ogromnej większości sił swoich. Gdy znowu myślałem o zmniejszeniu obsady pasywnej, to bać się zaczynałem o to, czy Warszawa wytrzyma, i czy sam fakt wymarszu jakiejś części wojska, już do niej wciągniętej, nie wywoła zmniejszenia słabych sił moralnych i braku zaufania do możliwości obrony”.

Zgodnie z taką oceną stanu rzeczy Marszałek Piłsudski pozostawił prawie 15 dywizyj do obrony Warszawy, a sam udał się wieczorem 12-go sierpnia do swojej kwatery, do Puław, i tam z wielkim pośpiechem, zaczął przygotowywać swoje uderzenie na czele pięciu dywizyj z południa na północ na bok i tyły armij rosyjskich, oblegających Warszawę. Powyższa decyzja J. Piłsudskiego wypływała z takich przesłanek:

„Zgóry zdecydowałem, że nie mogę żądać od nikogo ze swych podwładnych by ten nonsens brał na swoje plecy, i z chwilą, gdy jako naczelny wódz nonsens w założeniu biorę, brać muszą też na siebie i wykonanie części najbardziej nonsensownej. Dlatego też zgóry zatrzymałem się na myśli, że grupą kontratakującą, bez względu na silniejszą czy słabszą, dowodzić będę osobiście. Uśmiechała mi się zresztą ta myśl skądinąd, by w czasie decydującej operacji nie być stałym obiektem nacisku mędrkującej trwogi i rozumkującej bezsilności”.

Zaiste, była to decyzja poczęta z ducha rzymskiej zasady: „mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję!”

I zdaje się, będziemy bliscy prawdy, gdy olbrzymią rolę dziejową J. Piłsudskiego wyprowadzimy z Jego głębokiego poczucia obowiązku względem sprawy, której służy, z Jego rzetelnego, a jednocześnie serdecznego stosunku do ludzi hierarchicznie z Nim związanych, z Jego powagi moralnej i spokojnej, statecznej siły wytrwania w pełnieniu nałożonych na siebie obowiązków, słowem z *p i e t a s i g r a v i t a s*.

Narzucają się pamięci znamienne słowa J. Piłsudskiego, napisane w lipcu 1924 r., a odnoszące się do września 1915 r.

„Wreszcie jestem na drodze sam. Za mną kilku oficerów i grupka konnych ordynansów. Żadnych oczu nie czuję na sobie, żadnych pytań do mnie skierowanych, żadnych niedyskretnych kwestyj o tem „co będzie”? Bo co ja mogę wiedzieć, co właściwie będzie? Ile razy wściekałem się na to głupie pytanie! Dziwna rzecz, jak to jest śmieszne — im człowiek jest głupszy, tem bardziej szuka pewności tam, gdzie żaden rozumny człowiek pewnym nie jest. Tak i w tej kochanej Ojczyźnie, gdy się tylko zacznie rozmawiać, zawsze to samo: trzeba wiedzieć napewno, co jutro będzie, dopiero wtedy jest się rozumnym. Trzeba wiedzieć, ale to tak napewno, by to głupie pytanie rozwiązywać jak najprostsze arytmetyczne zadanie, wtedy dopiero ma się patent na rozum. A im głupszemi argumentami się operuje, tem pewniejszym jest efekt i tem pewniejszy patent. Naprzykład to wieczne żydowskie pytanie, która strona wygra? Boby taki pytający wiedział przecie z kim trzymać i, co główne, komu służyć. Nic nie pomoże odpowiedź, że nikt na świecie z tych, co wszystkie nici ma w ręku, na to pytanie odpowiedzieć samemu sobie nie może. Nic nie pomoże! Odpowiadać musi kto? — Polak, który najmniej wie, najmniej rozumie i którego, wysługując się nim, jak bydłem, każdy oszukuje! To dopiero nasz rozum polityczny! W takt kroku kasztanki, która o te mądrości nie dba, a z żyda i filistra polskiego ma tylko to, że się bardzo, ale to bardzo boi strzałów, wzbiera we mnie wściekłość”.

Charakterystyczne i tak wiele wyjaśniające słowa! Józef Piłsudski nie urodził się wszystko wiedzącym, wszystko przewidującym i wszystko mogącym człowiekiem. Jego mą-

drość polityczna, Jego zdolność tworzenia faktów w skali dziejowej są rezultatem niezmordowanych wysiłków i trudów. Zawsze czujną wolą i wytrwałym dążeniem J. Piłsudski wydierał nieznanemu jutru jego tajemnicę, z tajemnicy czynił prawdopodobieństwo, a z prawdopodobieństwa — pewność, że stanie się to, do czego zmierza zbiorowa, organizacyjnie działająca wola społeczeństwa. J. Piłsudski uczy nas pracą swego całego życia, że tajemnice jutra zdobywa ten, kto już dzisiaj gromadzi pierwiastki siły, pomnaża je i rzuca na szalę wydarzeń z myślą przechylenia jej na stronę pomyślności i chwały swego narodu.

O tem powinni wiedzieć i ustawicznie pamiętać ci wszyscy, którzy pragną czcić Marszałka J. Piłsudskiego najbardziej właściwym sposobem, a mianowicie: wytrwałą i ofiarną pracą dla lepszego i szczęśliwszego jutra całego narodu.

WYŚCIG PRAWORZĄDNOŚCI *)

Józef Piłsudski, podejmując ciężki trud organizowania narodu w państwo, rzucił hasło wyścigu pracy i hasło wyścigu praworządności.

Hasło wyścigu pracy powtarzamy często i trzeba stwierdzić, że wszystko dobre, które mamy do zanotowania w życiu polskim, jest rezultatem stosowania zbawczej treści tego hasła.

Natomiast zapomnieliśmy o hasle wyścigu praworządności, które Józef Piłsudski uczynił osią swych dążeń i wysiłków od chwili powrotu z Magdeburga. Świadczą o tem Jego własne słowa wpisane pod datą 19 stycznia 1921 roku do książki pamiątkowej Klubu Sprawozdawców parlamentarnych:

„Jeszcze będąc w Magdeburgu starałem się obliczyć wszelkie możliwości związane z wynikiem wojny. Na wypadek przegranej Niemiec oczekiwałem, iż Polska będzie otoczona ze wszystkich stron krajami i państwami, znajdującymi się w stanie chaosu i poszukiwania nowych dróg dla życia publicznego. Na ten wypadek, sądziłem, wszystko zależy od tego, kto pierwszy zdoła dom swój urządzić tak, by dla zmęczonych długoletnią wojną i chaosem wewnętrznym ludzi stanowił on wygodne i spokojne miejsce odpoczynku i pracy pokojowej, możliwem zaś to być mogło jedynie przy praworządnych stosunkach, wolnych od samowoli czy to indywidualnej czy zbiorowej.

Dlatego też, gdy stanąłem na ziemi polskiej i losy złożyły mi w ręce kierownictwo sterem nawy polskiej, zdecy-

*) Artykuł drukowany w „Gazecie Polskiej” z dnia 28 listopada 1931 r.

dowałem natychmiast spróbować wyprzedzić wszystkich w Europie Centralnej i Wschodniej w pracy budownictwa państwowego wśród ogólnego chaosu. Spieszyć zaś trzeba było nie tylko przez wzgląd na otoczenie Polski. Wewnątrz było już dosyć chaosu — byłem nim poprostu przerażony. Przez pierwsze kilka tygodni nie napotkałem poprostu człowieka, grupy, partii czy stronnictwa, które nie byłoby oprowadzane megalomanią wyjątkową. Twierdzenie „ja” lub „my” i naród, to jedno, nie schodziło z ust, każdy to powtarzał, każdy się rwał do reprezentowania na swoją rękę Polski wewnątrz i zewnątrz.

Byliśmy zdaniem mojem tak przesiąknięci chaosem, że naturalny rozwój musiał prowadzić nie do praworządności, o czym w Magdeburgu marzyłem, lecz do silnych tarć wewnętrznych i do panowania samowoli grupowej czy partyjnej. Ześrodkowałem więc wszystkie swe wysiłki na zebranie Sejmu ustawodawczego, jako pierwszego wzoru dla ustanowienia praworządności w kraju. Muszę sobie przyznać, że wszystko, co odemnie zależało, a zależało wówczas bardzo dużo, zrobiłem, by ten pierwszy krok możliwie przyspieszyć. Pierwszemu ministerjum p. Moraczewskiego postawiłem jako warunek, wypracowanie i ogłoszenie ordynacji wyborczej do Sejmu w przeciągu paru tygodni i robiłem codzienny nacisk, aby ten warunek został dotrzymany. Drugiemu ministerjum p. Paderewskiego postawiłem, jako warunek, zwołanie Sejmu również w terminie parotygodniowym. I teraz jeszcze, gdy dwuletnie życie Polski zadało w wielu wypadkach klam moim samotnym marzeniom i rozmyślaniom magdeburskim, z przyjemnością wspominam, że pierwszy krok zwołania Sejmu ustawodawczego dla opracowania konstytucji — został zrobiony w Polsce zupełnie zgodnie z moimi obliczeniami więziennymi, wyprzedzając pod tym względem wszystkich sąsiadów i czyniąc niespodziankę wszystkim wrogom Polski.

To też wyznam szczerze, dumny byłem w początkach lutego 1914 r., gdy, złamawszy tysiączne przeszkody i silny opór wewnętrzny, mógł złożyć swą władzę w ręce pierwszego sejmiku odrodzonej Polski“.

Samotne marzenia i rozmyślania magdeburskiego Więźnia wypływały z tych samych głębin wiary w moralne siły narodu, z jakich powstały dumne słowa Juliusza Słowackiego:

„Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją i na pieśń strzelaną
Wyteżą uszy, otworzą gospody,
I będą wieści z wichrami wchodziły
I każda będzie serce ludów pasła,
Nieznajomemi świat poruszają siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła“.

Ten wzniosły hymn wiary i nadziei Józef Piłsudski, jako człowiek władzy, przełożył na śpiżową mowę czynu, zakładając we wskrzeszonej Polsce fundament praworządności państwowej i ładu społecznego.

Na fundamencie, założonym przez J. Piłsudskiego, wysiłkiem zbiorowym całego narodu winien być wzniesiony wykończony gmach prawodawstwa państwowego w czasie możliwie szybkim, tak szybkim, na jaki tylko pozwala dbałość o dobrą, solidną i przemysłaną pracę ustawodawczą.

Panowanie prawa, ugruntowanego na świadomości prawnopolitycznej narodu, zapewni naszemu organizmowi państwowemu niewzruszoną moc i trwałość, pomyślny rozwój.

Proces dojrzewania prawnopolitycznego naszego społeczeństwa posunął się tak daleko od listopada 1918 roku, że już czas najwyższy zawrzeć doświadczenie ubiegłych lat życia państwowego w normach prawa, wykluczających „samowolę czy to indywidualną, czy zbiorową“. Przestaliśmy być narodem ludzi prywatnych, którzy się ustawicznie procesują z władzą państwową o swoje prawa obywatelskie. Zaczęliśmy rozumieć, że państwo nie powstało przeciwko nam, lecz powstało z nas i dla nas jako najwyższa forma organizacji narodu, — że dbałość o prawa jednostki w państwie musi być podporządkowana dbałości o bezpieczeństwo

państwa, że do obowiązków obywateli należy kontrolowanie swego codziennego postępowania sprawdzianem pożytku państwa, że z takiej samokontroli powstaje styl życia publicznego, decydujący o poziomie kultury państwowej społeczeństwa.

Wiemy następnie dzisiaj, jak się kształtują stosunki, gdy w państwie jest Sejm rządzący, który w chwilach groźnych bezradnie chowa się za rząd, zrzekając się na rzecz rządu swoich uprawnień ustawodawczych. Wiemy, jakie spustoszenia szerzyła w świadomości prawnej obywateli konstytucja, w której było więcej zaślepionego doktrynerstwa, niż poczucia rzeczywistości politycznej, więcej niechęci i nienawiści do Zwycięskiego Wodza, niż troski o siłę i bezpieczeństwo państwa.

Jesteśmy już na tyle bogaci w doświadczenie, posiadamy tyle rad, wskazań i upomnień Józefa Piłsudskiego, największego w Polsce eksperta w sprawach państwowych, że możemy dzisiaj stanąć do wyścigu praworządności z tą ambicją, że ten wyścig wygramy nie tylko w czasie, lecz i pod względem bezspornej wartości i zbawienności dla państwa wypracowanych zasad praworządności.

Trwałe budownictwo państwowe możliwe jest tylko na fundamencie mądrych i sprawiedliwych praw. Takie prawa musimy tworzyć z jedną myślą o sile i bezpieczeństwie państwa. Szczęście i pomyślność ogółu obywateli musi być odbiciem pomyślności całego państwa. Niema trwałego dobrobytu jednostek w państwie słabym, rozsadanym i dezorganizowanym przez anarchję i bezprawie — a co zatem idzie — niepewnem swego samodzielnego istnienia. Pierwsze dwa lata życia niepodległej Polski zadały kłam samotnym marzeniom i rozmyślaniom magdeburckiego Więźnia o wyścigu praworządności.

Gdyby te marzenia i rozmyślania nie znalazły swego urzeczywistnienia dzisiaj, byłoby to najgorszym świadectwem dla całego współczesnego pokolenia, niezdolnego do kontynuowania wielkich prac historycznych Józefa Piłsudskiego.

GABRJEL NARUTOWICZ.

Odczyt wygłoszony przez radio 17 grudnia 1932.

Dziesięć lat upłynęło wczoraj od dnia, w którym zbrodnicza ręka targnęła się na życie uświęconej prawem osoby Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, na życie śp. Gabriela Narutowicza.

Okoliczności, towarzyszące zaprzysiężeniu Prezydenta Narutowicza, a następnie Jego tragiczna śmierć — były bezmyślnym, niepoczytalnym, ślepym ciosem, wymierzonym w naczelną zasadę kształtowania naszego życia państwowego, którą Józef Piłsudski wygłosił w Sejmie Ustawodawczym 20 lutego 1919 r.:

„Wśród olbrzymiej zawieruchy — mówił podówczas Naczelnik Państwa J. Piłsudski — w której miliony ludzi rozstrzyga sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by, właśnie w naszej Ojczyźnie, konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny: za pomocą praw, stanowionych przez wybrańców Narodu”.

Głęboka mądrość stanu, zawarta w przytoczonych słowach, była niedostępna dla tych, którzy przez zamęt i wicherzenie śpieszyli się podówczas do osiągnięcia swych ukrytych celów.

Złowieszczy sens ówczesnych wypadków, godzących w zasadę praworządności, polega na tem, że były one uplanowane i przeprowadzone przez pewne koła polityczne, wyzute z wszelkiego poczucia odpowiedzialności za dobre imię

Polski, i że nawet fakt straszliwej, hańbiącej zbrodni nie przywołał tych kół do opamiętania i nie powstrzymał ich w następstwie od gloryfikowania sprawcy mordu!

A jaki to człowiek przed dziesięciu laty padł ofiarą zuchwałej, nieokiełznanej anarchji, ofiarą zacieklej nienawiści partyjnej?

Wszyscy, którzy mieli sposobność zetknąć się z Gabrielem Narutowiczem na różnych odcinkach Jego wyteżonej pracy i niestrudzonej działalności — zgodnie podnoszą wybitne zalety Jego serca, umysłu i charakteru. Dzięki tym zaletom zjednał sobie ogólny szacunek i uznanie i zdobył wszechświatową sławę jako inżynier i uczonego. Władze Rzeczypospolitej Szwajcarskiej powierzyły inżynierowi G. Narutowiczowi najważniejszą dla życia i rozwoju kraju katedrę, a mianowicie katedrę budownictwa wodnego w politechnice Zurychskiej. Wyjątkowe znaczenie tej katedry polega na tem, że kształcą się tam zastępy inżynierów, potrzebnych do budowy i obsługi urządzeń hydrotechnicznych i elektrotechnicznych, przez które Szwajcaria, pozbawiona własnego węgla i ropy, zmniejsza swoją zależność od innych krajów pod względem energetycznym. Istotnie, w zakresie inżynierji wodnej inżynier G. Narutowicz nie miał równych sobie specjalistów. Ten znakomity inżynier imponował wszystkim swoją wiedzą i energją, a ujmował serca ludzkie pogodnem, pełnem życzliwości usposobieniem.

Był człowiekiem bezwzględnej prostoty i prawdy, ożywiała Go szczerza wiara w ludzi i czynna miłość ku nim.

O działalności społeczno-politycznej Gabriela Narutowicza posiadamy dokładne wiadomości od profesora Tadeusza Woyno, który zbliżka patrzył w Szwajcarij na życie i pracę zamordowanego Prezydenta. Oto są słowa profesora T. Woyno o Gabrielu Narutowiczu:

„Pogrążony w pracy nad siły zwykłego człowieka, pracy, którą nieraz późno w noc przeciągał, aby ją wczesnym podjąć rankiem, zawsze znajdował czas na nasze sprawy. Zawsze pogodny, zawsze szczerze życzliwy, zdumiewał nas szybkością orjentacji i decyzji w każdej sprawie, zdumiewał zna-

jomością ludzi. On był już wtedy naszym pierwszym konsulem polskim w Szwajcarij....

Dla sprawy polskiej w Szwajcarij profesor Narutowicz był człowiekiem opatrnościowym. Kiedy przypomniano sobie znowu o istnieniu Polaków i zaczęto się nimi zajmować, nastąpił moment do uświadamiania o naszych dążeniach i celach. Trafić do przekonania Szwajcarom mógł przedewszystkiem człowiek, który ich znał, żył się z nimi i wiedział, jakim językiem do nich przemawiać. Osobisty wpływ profesora Narutowicza zdziałał tu więcej, niż propaganda, przez ludzi nie tak świadomych rzeczy prowadzona. Metoda jego była prosta, mówić prawdę ludziom, którzy wiedzieli, że nie prócz prawdy od niego nie usłyszą. W rękach profesora Narutowicza zbiegały się nici wielu i różnorodnych spraw“.

I właśnie przeciwko temu człowiekowi zaraz po wyborze Go na Prezydenta Rzeczypospolitej podniesiono zarzut, że jest „obcym krajowi człowiekiem“.

„Obcy krajowi człowiek“ — ciężki to i boleśnie krzywdzący zarzut! Sądzę, że zarzut ten skierowany pod adresem Pierwszego Prezydenta był dlań dotkliwszem i boleśnierzem uderzeniem, niż te grudy śniegu i błota, niż te kamienie i kije, które podburzony motłoch rzucał Mu w twarz, gdy jechał do Sejmu, aby przed Zgromadzeniem Narodowem złożyć przysięgę.

„Obcym dla kraju człowiekiem“ nazwała śp. G. Narutowicza niepoczytalna zaciekłość partyjna.

Kogo? Jego, który był wychowany w tradycjach powstańczych polskich, który studjował nauki wojskowe z myślą o walce z najazdem, którego dom był ostoją polskości w Szwajcarij, który swemi wpływami i swem mieniem służył wedle sił i możności sprawie polskiej, który rzucił swoje stanowisko i bogactwo w Szwajcarij i podążył do kraju, aby wziąć udział w organizowaniu państwowości polskiej i służyć Państwu Polskiemu na stanowisku Ministra Robót Publicznych i Ministra Spraw Zagranicznych. Doprawdy, że trudno o zarzut bardziej niesprawiedliwy, bardziej okrutny. Nie oszczędzono Mu jednak tego brutalnego zarzutu, ponieważ zawiedzionym w swych rachubach graczom politycznym

chodziło o to, aby odosobnić śp. G. Narutowicza, otoczyć Go w społeczeństwie drutem kolczastym niechęci, uprzedzenia i nienawiści i w ten sposób uniemożliwić Mu pracę na stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej.

Posiew kłamstwa, oszczerstw i nienawiści wydał plon krwawy. Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej został skrytobójczo zamordowany.

Zginął człowiek doskonałego serca, pełen dostojeństwa, powagi moralnej i religijnego wprost stosunku do swych nowych obowiązków, jakie nań włożyło Zgromadzenie Narodowe, powołując Go na najwyższe stanowisko w państwie.

Wiemy z Jego własnych słów, że po ciężkiej ze sobą samym walce stanął do pełnienia twardego obowiązku tej służby, jakiej się podjął, przyjmując wybór na Prezydenta.

Jak tę swoją służbę pojmował, świadczą słowa, wypowiedziane przezeń w kilka godzin po objęciu swego urzędowania do Marszałka Sejmu:

„Wymazałem z pamięci wspomnienia o tem, kto był za mną, kto przeciw mnie, kto miał dla mnie słowa życzliwości, kto słowa zniewagi. Godzić trzeba i łagodzić walki, bo państwo w potrzebie...”

Tę samą myśl pojednawczości i bezstronności, oraz ducha zgody i porozumienia zawiera szkic przemówienia, znalezione w papierach pośmiertnych Narutowicza.

„Jestem wybrany przez większość Zgromadzenia Narodowego — czytamy w tym szkicu — i uważam to za prawną uchwałę obowiązującą mnie do reprezentowania całości Państwa Polskiego i pracy dla dobra całego Narodu.

Dlatego też, dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień oświadczam przed złożeniem przepisanej przez Konstytucję przysięgi, że nikt z tych, którzy głosowali za mną nie ma wobec mnie żadnych szczególnych praw, ani z mej strony żadnych szczególnych zobowiązań”.

Widzimy więc, że śp. Prezydent Gabrjel Narutowicz całą mocą swego prawnego charakteru, całą siłą swej szlachetnej, wzniosłej duszy sposobił się do tego, aby na swym urzędzie być — mówiąc słowami poety — „w zamęcie miarą i strojem w rozstroju”.

I zaprawdę ta duchowa postawa śp. Gabrjela Narutowicza pozwoliłaby Mu z dużym powodzeniem urzeczywistniać w naszym życiu państwowem zawsze aktualne wskazania Marszałka Józefa Piłsudskiego, wypowiedziane w roku 1920:

„Chodzi o to, aby kraj nasz zrozumiał, że wolność, to nie jest kaprys, że wolność nie znaczy „mnie wszystko wolno, a drugiemu nie”, że wolność, jeżeli ma dać siłę, musi jednoczyć, musi łączyć, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swoim się upierać.

„Z takiej jedynie ustepliwości wzajemnej, z takiego jedynie wzajemnego poszanowania, z takiej umiejętności podawania do wspólnej pracy dłoni wszystkim, wypływa moc wielka w chwilach trudnych i w chwilach kryzysów państwowych. Patrzcie jak w wojnie, tej wielkiej próbie siły narodów i państw, w której przegrana, jak to byliśmy świadkami, w gruzy rozsypuje wielkie potęgi, przed którymi niedawno drżeliśmy, narody instynktownie szukają siły w zjednoczeniu, siły w podaniu sobie dłoni i w zapomnieniu różnic, siły w umiejętności ustąpienia, siły w zawieraniu kompromisów. Praca ta dotychczas w Polsce małą była”.

I właśnie Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Gabrjel Narutowicz — jak świadczą Jego przedśmiertne wypowiedzenia się — zamierzał całkowicie, bez reszty poświęcić się pracy tworzenia wewnętrznej zwartości społeczeństwa, pracy jednoczenia i pomnażania zbiorowej siły narodu, pracy konsolidowania rozpieczętych dążeń różnych ugrupowań i kierowania ich po linii wspólnego dobra a mianowicie siły, bezpieczeństwa i pomyślnego rozwoju państwa.

Tragiczny, upokarzający dla naszej ambicji narodowej bieg wydarzeń sprawił, że to, co było programem działania Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej stało się Jego testamentem.

Na nas spadł obowiązek wykonywania tego testamentu ku chwale narodu, pożytkowi państwa i szczęściu jego obywateli.

PRZEMÓWIENIE
NA III WALNYM ZJEZDZIE SYBIRAKÓW W WARSZAWIE
W DNIU 18.VI 1935 R.

Sprawa Polska, sprawa narodu ujarzmionego, walczącego o swoją wolność i niepodległość, spłotła się nierozdzielnie z wielkimi obszarami Syberji.

Tyle razy zwycięska przemoc caratu pędziła na Syberję tych, którzy ośmielili się targać obrozę niewolniczą narodu.

Z niezliczonymi nazwami geograficznymi rozległej Syberji związane są nazawsze imiona nieustraszonych organizatorów akcji niepodległościowej, imiona pokonanych żołnierzy orężnych wystąpień i imiona nieugiętych męczenników idei niepodległości państwowej i sprawiedliwości społecznej.

Ziemia syberyjska była niejednokrotnie ostatnim etapem klęsk i porażek narodu, a jednocześnie świadkiem hartu duchowego i wytrwałej woli patriotycznej poszczególnych jednostek pokonanego i prześladowanego narodu.

Przed 15-tu laty na Syberji zaszedł fakt niezwykły.

W kraju obcym, w kraju wygnania, w którym przez przeszło sto lat żołnierze Sprawy Polskiej brzękiem kajdan przypominali o swej wierności dla sprawy słusznej choć przegranej, w kraju tym przed 15-tu laty rozległ się chrzęst broni w ręku żołnierzy polskich, którzy tam, na ziemi syberyjskiej, stanęli do walki w imię zjednoczenia i niepodległości Polski.

Syberyjska Dywizja Polska bitnością i karnością swego żołnierza zdobyła sobie sławę jednego z najlepszych oddziałów wojsk sprzymierzonych na Syberji. Dla swej dziel-

ności i męstwa otrzymała rozkaz pełnienia straży tylnej wszystkich wojsk sprzymierzonych w czasie cofania się ich na wschód.

Zaszczytne, lecz niesłychanie trudne zadanie. Po wielu krwawych walkach i zwycięskich potyczkach żołnierz polski, wyczerpany nadludzkim trudem i wysiłkiem bojowym podczas surowej zimy syberyjskiej, zmuszony został do kapitulacji 10 stycznia 1920 r.

Tylko garstka oficerów i żołnierzy zdołała przedrzeć się na wschód, a stamtąd drogą morską do Kraju, aby tutaj, na ziemi ojczystej, wziąć godny swej bojowej sławy udział w zwycięskiej rozprawie z najazdem moskiewskim.

Świetne zwycięstwo oręża polskiego w roku 1920 sprawiło, że Syberja na zawsze przestała być dla nas ziemią wygnania, miejscem niedoli, poniewierki i brutalnych prześladowań. Lecz ze względu na przeszłość Syberji, nigdy dla nas nie przestanie być krajem, budzącym wielkie zainteresowanie.

Przeżycia Polaków na Syberji znalazły swoje odbicie w naszym piśmiennictwie. A były to przeżycia ludzi o nieprzeciętnej wartości moralnej, intelektualnej i społecznej, którzy korzyści osobiste dobrowolnie podporządkowywali nakazom obowiązku patriotycznego. Stosunek wygnańców Polaków do miejscowego społeczeństwa syberyjskiego kształtował się jakgdyby w myśl słów Ksenofonta:

„Z pomocą bogów bronić się będziemy, jeśli nas krzywdzić tu będą, lecz gdyby się okazało względem nas wspaniałymi — uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy, iżby nie przewyższono nas sercem”.

Zgodnie z takim nastawieniem wewnętrznym każdy Polak-wygnaniec starał się swym codziennym postępowaniem jak najgodniej reprezentować daleką Ojczyznę, której wolność i niepodległość stanowiła cel jego działań, wysiłków i walk.

To też z nielicznymi wyjątkami postępowanie Polaków w Syberji było z reguły nacechowane solidnością, rzetelnością i powagą moralną.

Nasze wady i przywary narodowe z mniejszą jaskrawo-

ścią przejawiały się nad Jenisiejem i nad Angarą, niż nad Wiśłą i Wartą.

Wszystko to złożyło się na tę dobrą sławę, jaką zdobyli dla Imienia Polskiego wygnańcy polityczni, którzy w duszy swej nosili obraz Polski niepodległej, Polski sprawiedliwej, wielkiej swą misją cywilizacyjną.

Dla wygnańca politycznego o rozwiniętej samowiedzy społeczno-politycznej pojęcie wolnej Ojczyzny, pojęcie niepodległości państwowej zawierało w sobie treść moralno-prawną.

Wygnaniec tęsknił do swych stron rodzinnych. Lecz przywiązanie do ziemi rodzinnej, do fizycznych, materialnych właściwości terytorjum narodowego nie wyczerpywało jego stosunku do Ojczyzny.

Walka o wyzwolenie Ojczyzny, to przedewszystkiem walka o te duchowe wartości, jakimi są: nasze własne, polskie prawo i nieskrępowana twórczość w zakresie formy i treści naszego życia społecznego.

Walcząc o te wartości, ściągaliśmy na siebie obok wielu innych kar karę wygnania. Na wygnaniu tęskniliśmy nie tylko do krajobrazu polskiego, lecz przedewszystkiem do tego typu życia społecznego, do takiej organizacji państwowej narodu, przy których nasze duchowe i kulturalne właściwości znalazłyby swój pełny wyraz i możliwość dalszego rozwoju i doskonalenia się.

Słowem, tęsknota do Wolnej Ojczyzny była tęsknotą do własnego polskiego prawa, prawa sprawiedliwego, któreby jaknajbardziej ograniczało płaszczyznę tarcia pomiędzy współobywatelami i uzdolniało ich do najszybszego postępu społecznego, a życiu narodowemu zapewniało najbogatszą treść kulturalną.

Nie kto inny, lecz właśnie dawny wygnaniec syberyjski Józef Piłsudski widzi we własnym prawie polskim główną moc i najtrwalszą ostoję niepodległości państwowej w przeciwieństwie do tego stanu rzeczy, który istniał za czasów zaborców, a który temi słowy określił przy otwarciu Sejmu Ustawodawczego:

„Naród Polski przez półtora wieku zmuszony był sto-

sować się do praw narzuconych przez obcą przemoc. Nie mogąc normować swego życia według własnej woli, zatracił przez ten długi okres poczucie prawa i wiarę we własne siły”.

Zgodnie z takim pojmowaniem roli prawa w życiu narodu Józef Piłsudski wytrwale i konsekwentnie dąży do tego, aby „z Polski uczynić ośrodek kultury, w którym rządzi i obowiązuje prawo”.

Te słowa najznakomitszego wygnańca syberyjskiego, z którego imieniem po wieczne czasy będzie związane wielkie dzieło wskrzeszenia Państwa Polskiego, — muszą się stać naszym programem, żywą wiarą, poruszającą naszą wolę.

My, Sybiracy, którzy widzieliśmy własnymi oczyma ten kraj, usiany zaklętymi mogiłami bojowników niepodległości i zastanawialiśmy się nad ciężkimi przeżyciami ofiar dzięki mściwości i przemocy zaborcy — powołani jesteśmy w pierwszym rzędzie do tego, aby słowem i czynem przypomnieć społeczeństwu potrzebę nieustających wysiłków w imię przysparzania sił moralnych i zasobów materialnych młodemu Państwu Polskiemu.

Siła moralna Państwa polega na jego zdolności do harmonizowania częstokroć rozbieżnych interesów poszczególnych klas i grup w imię przenikającej całe jego życie praworządności, wykluczającej samowolę indywidualną czy grupową.

Syberja każdemu z nas uprzątnia tę straszliwą cenę strat, jaką naród nasz zapłacił za błędy swej polityki i za wady swego dawnego ustroju. Stąd dla Sybiraków narzuca się obowiązek czujnego sygnalizowania wszelkich niebezpieczeństw, zagrażających państwu i mobilizowania zbiorowej woli społeczeństwa do przeciwdziałania wszystkiemu, co wprowadza rozstrój i zamęt do naszego życia państwowego.

PRACA U PODSTAW.

„Przychodzą do was i inni ludzie, także z waszej inicjatywy, ludzie nierealni, fantaści, którzy lekceważą pracę twórczą, stopniową i żmudną. Zdaje się im, że od razu można zaprowadzić raj na ziemi i dobijają się tylko tej władzy, któraby im pozwoliła to uczynić. Nie uświadamiają oni sobie, że prowadząc przez całe życie jedynie pracę polityczną, dążącą do opanowania władzy, są tylko fantastycznymi nierealnymi działaczami, nie umiejącymi nic produkcyjnie wytworzyć i zorganizować, nie zdają sobie z tego sprawy, że z chwałą uzyskania przez nich tej władzy kraj byłby narażony na szaleńcze eksperymenty reform ludzi, nie mających najmniejszego pojęcia o praktycznym rozwoju życia. Do każdej pracy bowiem trzeba się przysposobić, trzeba się praktycznie kształcić i zaprawić, żeby ta praca mogła dać jakieś owoce. Chcąc zwiększyć szeregi smych myzmarów, ludzie ci szerzą tymczasem wszędzie rozdziewki i rozgoryczenie, oczerniając działalność najbardziej nawet twórczą wszystkich tych, którzy nie znajdują się w ich szeregach. Ci działacze nie tylko nic realnego nie budują, ale przeciwnie przeszkadzają prawdziwej państwowej pracy innych, szerząc zamęt i rozgoryczenie“.

Z przemówienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, wygłoszonego w dziesiątym roku naszej samodzielności państwowej na dożynkach w Spale.

— 44 —

Polityka państwowa wówczas wypełnia swoje zadanie, jeżeli dobrze służy interesom gospodarczym państwa.

Parafrazując średniowieczne twierdzenie o stosunku filozofji do teologii, moglibyśmy powiedzieć, że polityka jest służebnicą ekonomiki. Dobra i zdrowa polityka powinna przyczyniać się do stworzenia jak najpomyślniejszych warunków dla działalności ekonomicznej obywateli, do skutecznego współdziałania z ogółem obywateli w ich zabiegach o możliwie pełne i wszechstronne zaspokojenie swych potrzeb życiowych i w ich naturalnem dążeniu do zwiększenia skali tych potrzeb.

Ten sam cel musi przyświecać także działalności politycznej stronnictw ludowych.

Polityka stronnictw ludowych, jeżeli nie chce skazywać się na bezpłodność i gubić się we frazesach demagogicznych, musi podjąć skuteczną pracę nad ułatwieniem szerokim warstwom ludowym ich codziennej walki o byt i o polepszenie swego bytu. Ta skuteczna praca nie da się pomyśleć poza planową zorganizowaną akcją, zmierzającą do rozwoju produkcji krajowej i do zwiększenia wydajności każdego warsztatu pracy.

Dążenie do dobrobytu, pomyślności i szczęścia mas ludowych stanowi treść pisanych programów wszystkich stronnictw demokratycznych. Jednakowoż w dążeniu do urzeczywistnienia odnośnych postulatów programowych stronnictwa te zbyt dużo uwagi i energii poświęcały i poświęcają walce o władzę polityczną w państwie, widząc w zdobyciu i posiadaniu władzy główny warunek zapewnienia masom ludowym dobrobytu i szczęścia.

Historja ostatnich czasów najdobitniej przekonywuje nas, że łatwiej zdobyć władzę polityczną, aniżeli nauczyć się celowego posługiwania się zdobytą władzą ku rozkwitowi Państwa i pomyślności jego obywateli.

Łatwiej tą lub inną drogą dorwać się do władzy, brnąc w morzu demagogji i w kałużach intryg i kłamstw, aniżeli umiejętnie rządzić i przez umiejętne rządzenie osiągnąć dla mas ludowych przynajmniej drobny ułamek tych dobro-

dziejstw, które zapowiadają programy stronnictw politycznych i ich hasła wyborcze.

Władza państwowa nie jest talizmanem o czarodziej-skiej właściwości tworzenia z niczego.

Rząd nie może myśleć i pracować za wszystkich i ze swej strony całkowicie wypełnia swój obowiązek, gdy stwarza i utrzymuje w kraju porządek prawny, gdy daje podniecie do pracy, wykreśla kierunek dla wysiłku ogółu i dobrze rozporządza środkami finansowymi, jakie praca milionów obywateli oddaje do jego dyspozycji. Dobre dysponowanie polega na takim ich użyciu, które poza zapewnieniem państwu bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego przyczynia się do dalszego postępu i rozkwitu życia gospodarczego, zwiększając wydajność pracy ludzkiej, tworząc nowe warsztaty pracy, a istniejące dźwigając na wyższy poziom sprawności technicznej.

Jeżeli jednak chcemy pozostawać na twardym gruncie rzeczywistości, musimy pamiętać, że wszystko to, co składa się na siłę i rozrost organizmu państwowego, wszystko to, co tworzy dobrobyt i pomyślność ogółu obywateli Państwa — wszystko to jest dziełem i wynikiem trudów, starań i zabiegów rozsianych po całym kraju jednostek, grup i organizacji, które na zajmowanych przez siebie odcinkach działalności wykazały swą zdolność do równej, wytrwałej i systematycznej pracy.

W chwili obecnej mamy już prawie dziesięcioletnie doświadczenie w zakresie organizacji własnej państwowości.

Podsumowując to doświadczenie, musimy stwierdzić, że metody postępowania, stosowane w życiu państwowym przez stronnictwa polityczne, zawiodły nadzieje tych, którzy patrzyli na stronnictwa jako na dobrą szkołę myślenia politycznego i szkołę zorganizowanego działania.

W większości wypadków działalność stronnictw politycznych nie przysporzyła Państwu siły i powagi, nie dała żadnej warstwie społecznej zapowiadanych i oczekiwanych korzyści.

Stronnictwa wytężały i wytężają swoje siły i środki przede wszystkim dla zdobycia władzy w państwie lub przy-

najmniej dla zapewnienia sobie zakulisowego wpływu na działalność władzy państwowej bez brania na siebie wyraźnej odpowiedzialności za tę działalność.

Droga do władzy i do wpływu na władzę prowadziła przez zwycięstwo w kampanji wyborczej. To też myśl o zwycięstwie wyborczym jest zazwyczaj osią całej działalności partji i ich wszystkich wystąpień, od tej myśli partje uzależniają całą swoją taktykę parlamentarną i działalność prasową, i ta górująca ponad wszystkim myśl odbiera politykom partyjnym zdolność należytego widzenia i rozumienia najwyższych interesów państwa i istotnego pożytku jego obywateli.

Aby to zwycięstwo wyborcze osiągnąć, skomplikowane i trudne zagadnienia państwowe upraszczano w agitacji politycznej do tego stopnia, że stawały się one w interpretacji wiecowej zaprzeczeniem zdrowego sensu i wszelkiego poczucia odpowiedzialności.

Politycy partyjni w obcowaniu z masami ludowymi zamiast rozwijać i pogłębiać uświadczenie tych mas w sprawach państwowych i gospodarczych, szerzyli najbardziej niedorzeczne pojęcia o państwie jako o instytucji, od której się wszystkim coś należy, która dla wszystkich powinna być rogami obfitości, od której ma się prawo wszystkiego żądać, a jak najmniej ze swej strony na jej rzecz świadczyć.

Z kwestji społecznej, złożonej i trudnej w swej istocie, nabrzmiałej bólem i krzywdą — zrobiono hasło agitacyjne na użytek doraźnych celów lub wyrachowanego karierowiczostwa graczy partyjnych.

Nie zastanawiano się nad środkami, prowadzącymi do zwiększenia produkcji krajowej, do wzmożenia wydajności każdego warsztatu pracy w Polsce, lecz sprowadzano najdonioślejsze zagadnienia społeczne i gospodarcze do hasła wydzierania, odbierania i dzielenia majątków i dóbr użytkowych.

Przy takim nastawieniu umysłów obywateli młodego państwa, którzy przez władze swego stronnictwa i jego przedstawicielstwo parlamentarne mieli codzienną możność

ingerowania w czynności rządu i wymuszania na rządzie uwzględnienia ich grupowych i lokalnych interesów, przy takim nastawieniu umysłów — powtarzam — niepodobieństwem było wykonanie jakiegokolwiek programu naprawy stosunków w państwie, obliczonego na dalszą metę i wymagającego podporządkowania interesów indywidualnych, grupowych i lokalnych dobru całego państwa.

To też widzieliśmy w Polsce niepodległej rządy, które nie rządziły, lecz w bezradności przypatrywały się temu, co się samo przez się w państwie działo, nie mając istotnej możliwości popierania rzeczy dobrych i zapobiegania — złym. Widzieliśmy ministrów, którzy im większą mieli ambicję pracy dla pożytku i chwały państwa, tem dotkliwiej odczuwali swoją bezsilność, tem bardziej dławili się poczuciem własnej niemocy przy pozorach władzy ministerjalnej.

Były to czasy panowania partyj nad Polską, ponury okres dezorganizacji i rozstroju naszego życia państwowego wywołanego przewagą interesów partyjnych nad interesami państwa. To, co się podówczas działo w Polsce, potwierdzało nieprzemijającą słuszność i głęboką mądrość, zawartą w przestrodze, jaką wystosował do narodu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w roku 1797 w swej pożegnalnej mowie Jerzy Waszyngton, który, jako naczelny wódz i pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych założył trwały fundament organizacji państwowej potężnej demokracji amerykańskiej.

Oto są słowa tej przestrogi:

„Partyjność zawsze zaciemnia opinię publiczną, a tem samem osłabia władzę administracyjną; — wzbudzają się namiętności w społeczeństwie rozsiewaniem nieugruntowanych pogłosek; — rozjątrza zawziętość pomiędzy partjami; szerzy powstania i rozruchy. Otwiera drzwi obcym wpływom i zepsuciu, które znajdują łatwy dostęp do samego rządu dzięki namiętnościom partyjnym. Tym sposobem sztuka rządzenia i wola jednego kraju podpada pod wolę i rządy drugiego“.

I w Polsce dalsze trwanie tego stanu rzeczy, jaki wytwarzało rozwielenione partyjnictwo groziło najzgro-

niejszymi konsekwencjami, nie tylko dla rozwoju naszego państwa, lecz dla samego jego istnienia w dzisiejszych granicach. Przedewszystkiem grozi nam utrata samodzielności ekonomicznej. Nominalnie niepodległe państwo polskie popadłoby w zależność finansową od kapitału międzynarodowego w jego najbardziej drapieżnej i lichwiarskiej postaci, który za ryzyko pójścia do państwa „stojącego nierządem“ szukałby rekompensaty w niepomiarnej wysokości oprocentowania.

Mielibyśmy swoje polskie wojsko, swoje polskie urzędy, swoje organy bezpieczeństwa publicznego, utrzymywalibyśmy w państwie, ład, porządek i normalny bieg życia gospodarczego, lecz nie dlatego, że taka jest nasza wola, wola suwerennego narodu zorganizowanego w państwo, wykuwające własnym, samodzielnym trudem wiecznotrwały pomnik swych zdobyczy i zasług cywilizacyjnych!

Swoisty porządek i niezakłócony żadnymi zamieszkami spokój w kraju byłby nam nakazywany zzewnątrz przez tych, którym zależałoby na regularnym pobieraniu lichwiarskich procentów od ulokowanych w Polsce kapitałów.

To niebezpieczeństwo w pewnej mierze zostało od państwa odwrócone dzięki wystąpieniu Marszałka Józefa Piłsudskiego w maju 1926 roku.

Wystąpienie to dało w swej konsekwencji zmianę metod rządzenia państwem, uniezależniając codzienną pracę rządu od zakulisowych wpływów różnych klubów sejmowych.

Zmiana metod rządzenia państwem dała pomyślne rezultaty. We wszystkich dziedzinach życia państwowego widzimy znaczną poprawę i postęp.

Równolegle do pracy rządu nad doskonaleniem organizacji państwowej, nad tworzeniem najbardziej sprzyjających warunków dla działalności ekonomicznej obywateli musi iść wytężona praca w kierunku udostępnienia najszerszym warstwom narodu dobrobytu materialnego, zapewnienie im możliwie wysokiej stopy życiowej i jak największego udziału w dobrach cywilizacji.

Świadomość i wolę całego społeczeństwa należy w cza-

sach dzisiejszych nastawić na podjęcie i przeprowadzenie programu pracy organicznej, „pracy u podstaw”. Program to nie nowy. Sztandar pracy organicznej podniosło pokolenie, które przeżyło upadek powstania 1863 roku. W obliczu straszliwej klęski, pod obuchem brutalnego ucisku politycznego społeczeństwo szukało dla siebie jakiegoś punktu oparcia, szukało jakiegoś światła nadziei w mrokach niedoli, przygnębienia i upadku ducha. Tem oparciem moralnym, nadzieją lepszej przyszłości dla ówczesnego pokolenia była idea pracy organicznej w imię podniesienia ekonomicznego rozwoju kraju i utrzymania i wzmocnienia kulturalnej samoistności narodu.

Program pracy organicznej był podówczas ratunkiem w nieszczęściu, lecz zawierał w sobie niebezpieczeństwo, jeżeli nie pogodzenia się z państwowością zaborczą, to przynajmniej zbyt daleko idącego przystosowania się do niej. Pomimo to ułatwił on społeczeństwu otrząśnięcie się z apatii i przygnębienia, nadając głębszy sens jego codziennym pracom i wysiłkom, łącząc je z myślą o lepszej przyszłości narodu.

W czasach dzisiejszych program pracy organicznej staje się koniecznym uzupełnieniem i ukoronowaniem tryumfu naszych osiągnięć niepodległościowych. Ziściły się nasze dążenia do samodzielności państwowej. Mamy własne państwo, mamy swój własny dom państwowy.

Ten swój dom państwowy musimy zbiorowym i solidarnym wysiłkiem wszystkich warstw narodu dobrze urządzić i zagospodarować. Musimy na wszystkich polach polskiego życia podjąć systematyczną, wytrwałą pracę u podstaw celem ekonomicznego utrwalenia zdobytej niepodległości państwowej. Dzisiejsza nasza praca u podstaw, to już nie cofanie się społeczeństwa po przegranej bitwie na skrócony i zwężony front życia narodowego, lecz zwycięski marsz naprzód na rozległym i szerokim froncie ekspansji narodowej, dokonywany w podniosłym nastroju ducha w imię potęgi i wielkości wskrzeszonego państwa.

Wiemy doskonale, że nietylko chlebem powszednim człowiek żyje. Nie chcemy ograniczać aspiracji człowieka

i narodu do zagadnienia chleba powszedniego, lecz względnie praktyczny, względnie na metodę skutecznego działania wymaga wskazania polityce tego najgłówniejszego celu, jakim jest rozwiązanie zagadnienia chleba dla wszystkich. Głębokie zaburzenia życia gospodarczego przez wojny i rewolucje uczyniły to zagadnienie wyjątkowo trudnym do rozwiązania. Najtrudniejsze zagadnienia jednak dają się rozwiązywać, wymagają tylko rzetelnego ustosunkowania się do siebie, wymagają skoncentrowania na sobie myśli i woli ze strony tych, którzy do ich rozwiązania przystępują.

Religia, filozofia i sztuka dają ludziom chleb życia, polityka musi im dać — chleb powszedni. Dobra i uczciwa polityka musi dbać o to, żeby dalsza rozbudowa i przebudowa społeczna odbywała się w majestacie prawa, żeby o formie ustroju społecznego nie decydowali ludzie, którym głód, nędza i poczucie krzywdy zamęci dusze, a rozsądkowi odbierze zdolność widzenia i rozumienia własnego dobra. Jest to największym nieszczęściem dla państw i narodów, jeżeli wskutek kryzysu władzy — który może być wywołany różnymi przyczynami, lecz z reguły wyraża się rozterką myśli i woli czynników rządzących — do wpływu na życie państwa dochodzą masy ludowe oszalałe z głodu i nędzy.

Wpływ ten wywierają zazwyczaj w imieniu mas ludowych zręczni demagodzy partyjni, eksploatujący niedolę i ciemnotę tych mas dla swego wyniesienia. Takich demagogów nie zabraknie nigdy, lecz za sprawą mądrej, uczciwej i zdecydowanej w środkach polityki powinno zabraknąć ciemnych i głodnych mas. Mądra, uczciwa i odpowiedzialna polityka wyrывa masy z pod wpływu demagogii i prowadzi je po drodze kulturalnego postępu do twórczej, konstruktywnej roli w życiu państwa.

Nasze dziesięcioletnie doświadczenie w zakresie organizacji własnej państwowości i rozbudowy instytucji samorządowych ugruntowało w świadomości ogółu przeświadczenie, że zjawiska społeczne i gospodarcze są zbyt złożone i trudne, aby je można było rozstrzygać i zmieniać jednym pociągnięciem pióra, z poniedziałku na wtorek. Nie znoszą one nad sobą gwałtu, ulegają przekształceniom tylko pod

wpływem świadomej, zorganizowanej, organicznej pracy. Każdy program naprawy, każde przeobrażenie gospodarczo-społeczne, zanim stanie się rzeczywistością, musi się przedtem przełamać w myśli i woli szerokich kół społeczeństwa, musi dojrzeć w ich umysłach, musi naprężyć ich wolę do zorganizowanego działania na rzecz przemyślanego programu naprawy.

Wszelkie „zaraz“ w dziedzinie naprawy stosunków gospodarczych i przemian społecznych bywa najczęściej oszustwem.

Trwałe i niezawodne zdobycze narodu powstają nie odrazu, nie zaraz, lecz są rezultatem długotrwałej, wytrwałej i systematycznej pracy wielkiej masy ludzi, ożywionych ambicją narodową i kierujących się w swem codziennem postępowaniu patryjotyczną myślą o pożytku kraju.

Podejmując w czasach dzisiejszych hasło pracy organicznej, pracy u podstaw, wступujemy na jedynie pewną drogę urzeczywistniania naszych ideałów narodowych i społecznych i w sposób jedynie skuteczny przyczyniamy się do pomnażania siły państwa i pomyślności jego obywateli.

Artykuł powyższy był drukowany w roku 1928 w książce zbiorowej: „Dziesięć lat na froncie gospodarczym“.

CAŁYM NARODEM KU ODRODZENIU GOSPODARCZEMU *)

Jeżeli dojrzałe, gruntownie przemyślane prawdy i mądre, na doświadczeniu oparte wskazania zjazdu działaczy gospodarczych i społecznych, odbytego 18, 19 i 20 maja będą wytrwale i konsekwentnie urzeczywistniane na całym froncie życia państwowego, — maj 1933 roku może być równie przełomową i w skutkach błogosławioną datą w historii Polski, jak maj 1926 roku.

W maju 1926 roku zostaliśmy przez Marszałka Józefa Piłsudskiego wprowadzeni na właściwą drogę w poszukiwaniu najlepszych rozwiązań ustrojowych.

W maju 1933 roku wchodzimy na właściwą drogę, wiodącą do przezwyciężenia kryzysu i odrodzenia gospodarczego. Idziemy od zrozumienia do działania. Zrozumieliśmy, że cała Europa w wyniku wielkiej wojny została zredukowana w swem znaczeniu ekonomicznem i odrzucona wstecz na mniej korzystne pozycje gospodarcze. Polska dzieli w tym względzie całkowicie losy Europy, i myśmy się musieli cofać, skracając linię swego frontu gospodarczego i trzeba stwierdzić, że czyniliśmy to spokojnie, we wzorowym porządku, jak najlepsze wojsko dowodzone przez wytrawnych wodzów.

Nadszedł czas, gdy na skróconej linii frontu gospodarczego musimy się zatrzymać, przegrupować i rozpocząć planową ofensywę w celu zdobycia najkorzystniejszej pozycji na terenie produkcji i wymiany międzynarodowej. Zjazd działaczy gospodarczych i społecznych jest tym momentem zwrotnym, od którego rozpoczyna się nasza ofensywa. Mu-

*) Artykuł drukowany w „Kurjerze Porannym“ z dnia 28 maja 1933 r.

simy ją podjąć i prowadzić z taką samą konsekwencją, ostrożnością i przezornością, jaka nam towarzyszyła przy obronie stałości naszej waluty. Do przezwyciężenia trudności finansowo-gospodarczych potrzebny jest duch inicjatywy, wiara we własne siły i trzeźwość w wyborze środków działania, wykluczająca cuda i „magję”, a budująca wyłącznie na pracy organicznej.

Do świadomości każdego Polaka muszą dotrzeć i stale wpływać na jego postępowanie głębokie i mądre słowa, wypowiedziane przy podsumowaniu wyników zjazdu przez Ignacego Matuszewskiego:

„Nie jesteśmy bowiem pokoleniem użycia, jesteśmy pokoleniem budowy... Wszystko, co nie jest koniecznością dla państwa, co nie jest wymogiem jego siły i niezależności — trzeba będzie uparcie odsuwać na plan drugi. Wszystko jedno, co weźmiemy w Polsce — czy zyski kapitalistów, czy opiekę społeczną, szkolnictwo, czy stopę życia prywatnego człowieka, szpitale, czy ministerstwa, samorządy, czy dyplomację — wszystko musi być skromne. Życie nasze, życie tego pokolenia w dziejowym rozwoju, z biegu historii, jest tak ustawione, że tylko jeśli będzie skromne — tylko wtedy może być wielkie”.

Te niewątpliwe prawdy muszą obowiązywać nie tylko rządzonych, lecz conajmniej w równej mierze — rządzących.

Rządzeni są powoływani do przetrwania, do ofiar na rzecz państwa, do wyrzeczeń i wysiłków w imię lepszego jutra, lecz rządzeni nie mają bezpośredniego wpływu na to, żeby koszta administracyjne przy budowie gmachu państwowego nie wynosiły aż 26 proc. i żeby wymiar sprawiedliwości szybko i niezawodnie osiągał tych, którzy rozdrapują pieniądze państwowe.

Te rzeczy leżą całkowicie we władzy rządzących.

Na gruncie aktualnych prawd musi się wytworzyć rzetelna kooperacja, współpraca między rządzącymi i rządzonymi. Są to prawdy żywe, prawdy, od których zależy nasz ratunek i zbawienie, prawdy, w imię których muszą się zjednoczyć do działania wszyscy patriotycznie czujący ludzie w Polsce.

Przypomnijmy sobie, ile to śmiesznych głupstw, bezmyślnej rozrzutności, ile przejawów parwenjuszostwa przykrywanego słowem: „reprezentacja”. Niepotrzebne auta, luksusowe ucztę, zbyteczny komfort na koszt państwa — uzasadniano potrzebą reprezentacji.

Musimy nauczyć się wreszcie reprezentować Polskę wobec obcych pracą, solidnością, uczciwością i dzielnością.

Wzywa nas do tego duch obrad zjazdowych działaczy gospodarczych.

Myślą przewodnią odbytego zjazdu była mobilizacja wszystkich zdrowych sił społecznych w imię wzmocnienia tempa życia gospodarczego kraju.

Referaty, wygłoszone na Zjeździe, jeszcze raz utwierdzały w świadomości społeczeństwa te niewzruszone prawdy, że wszystko, co składa się na siłę i rozrost organizmu państwowego, wszystko, co tworzy dobrobyt i pomyślność ogółu obywateli — wszystko to jest dziełem i wynikiem trudów, starań i zabiegów rozsianych po całym kraju jednostek, grup i organizacyj, które na zajmowanych przez siebie odcinkach działalności wykazują swą zdolność do równej, wytrwałej i systematycznej pracy.

Rząd zaś całkowicie wypełnia swój obowiązek, gdy stwarza i utrzymuje w kraju porządek prawny, gdy daje podniecie do pracy, wykreśla najważniejszy kierunek dla wysiłków ogółu i dobrze, to znaczy celowo i uczciwie, rozporządza środkami finansowymi, jakie praca milionów obywateli oddaje do jego dyspozycji.

Musimy dołożyć wszelkich starań, aby pomiędzy prawdami i wskazaniem zjazdu a naszym życiem gospodarczym przerzucić pomost silnej woli całego społeczeństwa.

Do redakcji „Gazety Polskiej” skierowałem w swoim czasie rękopisy artykułów:

„Pozory prawdy a prawda” i

„Prawo moralne, które jest we mnie”.

Pierwszy rękopis na początku września 1933 roku, a drugi pod koniec grudnia 1934 roku.

Redakcja „Gazety Polskiej” nie zamieściła powyższych artykułów. Bez szemrania pogodziłem się z tem stanowiskiem organu, skreporwanego swoją bliskością z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

Trudno mi jednak było pogodzić się z tem, że w ten sposób odjęta mi została możność publicznego wypowiedzenia swoich poglądów na sprawy najważniejsze w naszym życiu politycznem. Z radością więc korzystam ze sposobności zamieszczenia wspomnianych artykułów w niniejszym zbiorze.

A. A.

POZORY PRAWDY A PRAWDA

Artykuł Karola Radka „Odrodzona Polska a Związek Sowiecki” *) służy dobrej sprawie, a mianowicie utrwaleniu i rozwojowi pokojowych stosunków między Polską a Rosją Sowiecką.

Wszystko, co sprzyja rozbudowie dobrych, pokojowych stosunków polsko-rosyjskich z wzajemnem poszanowaniem dla „treści socjalnej” każdej strony, zasługuje na uznanie i poparcie zarówno w interesie obu państw jak i reszty świata.

Karol Radek, który z naszego wroga staje się dzisiaj naszym przyjacielem, a chociażby tylko dobrym i lojalnym sąsiadem, może tylko cieszyć.

Należałoby jednak życzyć, aby był równie czynnym apostołem pokoju z Polską Odrodzoną, z Polską dzisiejszą, jak w swoim czasie był niezmordowanie gorliwym propagatorem ducha wojny z Polską rzeczywistą w imię swej urojonej Polski Sowieckiej, któraby się mogła zmieścić pod dachem Związku Sowieckich Republik.

Artykuł K. Radka, uwzględniający przedewszystkiem cele teraźniejszości i przyszłości, budzi wiele zastrzeżeń, gdy chodzi o odtworzenie przeszłości. Ukazanie się go w prasie polskiej wymaga pewnych dopowiedzeń i oświeleń, albowiem pamięć o rzeczach przeżytych jest źródłem doświadczenia historycznego, bez którego niemożliwym jest postęp i dojrzewanie narodu.

W omawianym artykule Radek pisze:

*) „Gazeta Polska” Nr. 238, 29 sierpnia 1933 r.

„Wodzowie październikowej rewolucji nigdy nie ukrywali, że chętniej widzieliby inną treść socjalną niepodległej Polski — jednak decyzja w tej sprawie należy wyłącznie do polskiego świata pracy. Lecz przenigdy nie kwestjonowali oni niezawisłości Polski i nigdy nie żywili zamiarów, skierowanych przeciwko jej istnieniu. To też zarówno ci, którzy mieli nadzieje na udział rządu sowieckiego w posunięciach, mających na celu nowy rozbiór Polski, jak ci, którzy podejrzewali rząd sowiecki o posiadanie tego rodzaju zamiarów — jednakowo mylili się.

Rząd Sowiecki nie potrzebuje obecnie, pod wpływem tych, czy innych konjunkturalnych względów zmieniać osnowy swej polityki w stosunku do Polski. Owa polityka wypływa z zasadniczej oceny kwestji polskiej, wypowiedzianej przez Marxa i Engelsa a wznowionej przez Lenina i Stalina, która to ocena weszła w ciało i krew opinji społeczeństwa sowieckiego“.

Czytając te słowa, trudno się nie zapytać: a zatem wojna polsko-rosyjska w roku 1919—20 była jakimś bezprzekładnym nieporozumieniem lub w najlepszym wypadku osobistym przedsięwzięciem Marszałka Józefa Piłsudskiego?!

W Polsce są politycy, którzy starają się tego rodzaju poglądy przesączać do świadomości społeczeństwa.

Stanisław Głąbiński w lutym 1929 roku pisał w liście otwartym:

„Stwierdzam następnie, że nie obrzucaliśmy błotem b. Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, lecz zwalczaaliśmy go z powodu, ponieważ różniliśmy się w zasadniczych sprawach politycznych i domagaliśmy się przyjęcia ofert pokojowych, z jakimi Rosja Sowiecka za pośrednictwem ś. p. Aleksandra Więckowskiego zwracała się do Polski, celem zapobieżenia wojnie i ustalenia dobrych stosunków z naszym wschodnim sąsiadem“.

A Roman Dmowski 21 marca 1931 roku z namaszczeniem wypowiada następujące słowa:

„Właściwie, od początku istnienia naszego odbudowanego państwa, nie mieliśmy żadnych dowodów na to, żeby Sowiety na serjo przedsiębrały wyprawę na Polskę w celu jej

zniszczenia. Jeżeliśmy widzieli bolszewików pod Warszawą w r. 1920, była to tylko konsekwencja wyprawy kijowskiej, mającej na celu oderwanie Ukrainy od Rosji“.

Powyższe twierdzenia o możliwości uniknięcia wojny z czerwoną Moskwą zawierają takie znęcanie się nad prawdą historyczną, takie bezgraniczne i uparte lekceważenie znanych faktów, że trudno się zorientować w pobudkach, któremi się kierują wymienieni politycy w głoszeniu tego rodzaju poglądów. W najlepszym wypadku stoją oni dzisiaj pod względem wyrobienia politycznego i zdolności do trzeźwej oceny stosunków międzynarodowych na tym poziomie, na jakim stali politycy Sejmu Czteroletniego, o których W. Kalinka pisał:

„Kollataj z powołania prawnik i polityk, na wojskowości się nie znał i nie zwracał na nią uwagi, a podobnego jemu usposobienia byli wszyscy ludzie, u góry stojący. Stracono rok cały, który mógł i powinien być posłużyc ku obronie kraju. Lecz były i przeszkody. Aby zapewnić konstytucji jak najliczniejszych stronników, unikano wszystkiego, coby mogło obudzić podejrzenie, że ona może Polskę wystawić na bliskie niebezpieczeństwo, że aby ją zasłonić od sąsiada, potrzeba wojska i pieniędzy. Chciano, aby kraj wiedział, że wszystko się zgodnie załatwi i że nowych ofiar i wysiłków nie będzie już potrzeba; i uwierzono temu“.

Gdy S. Głąbiński i R. Dmowski, idąc wzorem polityków Sejmu Czteroletniego po linii najmniejszego oporu, głosili bezpieczeństwo powstającego Państwa Polskiego od strony Sowietów i usypiali na tym punkcie czujność narodu, Radek nie napisał był jeszcze omawianego artykułu, a natomiast znany był inny jego artykuł z października 1918 r. wydrukowany w książce: „Przewrót październikowy i dyktatura proletariatu“.

Oto myśl przewodnia tego artykułu:

„Rewolucja rosyjska była powstaniem mas pracujących przeciwko międzynarodowemu kapitalizmowi. Wybuchnąwszy w Rosji, jest ona dotychczas izolowaną w imperjalistycznej Europie. I jeżeli ta izolacja potrwa długo, rewolucja rosyjska zostanie stłumiona przez siły europejskiej kontrre-

wolucji. Naczelnem dążeniem naszej polityki rewolucyjnej winno być dążenie do zrewolucjonizowania mas ludowych innych krajów. To dążenie jest najwyższem prawem rewolucji rosyjskiej, któremu wszystko musi być podporządkowane. To dążenie wymaga, aby rewolucja rosyjska stanęła w obliczu międzynarodowego proletariatu, jako szermierz, jako wróg światowego kapitalizmu“.

A o kilkanaście stronic poniżej Radek dodaje:

„Walka rewolucji i kontr-rewolucji będzie trwała dość długo i z różnemi wynikami, lecz jedno nie ulega wątpliwości, że walka ta już się rozpoczęła w skali międzynarodowej i że Rosja sowiecka, wzięwszy kierunek na rewolucję międzynarodową, wzięła ten właściwy kierunek, który doprowadzi ludzkość do przystani socjalizmu“.

A tak pisał człowiek, wyposażony w znaczne wpływy polityczne i we władzę i posługujący się piórem jako instrumentem mobilizacji świadomości i woli zrewolucjonizowanych mas na rzecz bezpośredniego działania.

Dzisiaj dowiadujemy się od K. Radka, że „wodzowie październikowej rewolucji nigdy nie ukrywali, że chętniej widzieliby inną treść socjalną Niepodległej Polski“. Zdaje się, że nie tylko nie ukrywali, lecz wręcz starali się przemocą narzucić swoją własną treść socjalną. Od Tuchaczewskiego wiemy, że marsz na Warszawę był pochodem za Wisłę w celu wywołania w Europie Zachodniej rewolucji zzewnątrz. Według jego zapewnień zwycięstwo Sowietów w wojnie polskiej — stałoby się ogniwem, któreby rewolucję październikową złączyło z rewolucją zachodnio-europejską.

Na drodze tej ekspansji rewolucyjnej Rosji Sowieckiej stanęła Polska pod wodzą Józefa Piłsudskiego, broniąc swej „treści socjalnej“, a zatem swej indywidualności i niepodległości narodowej w myśl zasady, którą Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa wygłosił przy otwarciu Sejmu Ustawodawczego:

„Sąsiedzi nasi, z którymi pragnęlibyśmy żyć w pokoju i zgodzie, nie chcą zapomnieć o wiekowej słabości Polski, która tak długo stała otworem dla najazdów i była ofiarą narzucania jej obcej woli przemocą i siłą.

Nie chcemy mieszać się do życia wewnętrznego któregośkolwiek z naszych sąsiadów, lecz pozwolić nie możemy, by pod jakimkolwiek bądź pozorem, chociażby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia.

Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplano nasze granice, do których mamy prawo“.

Przywiązanie do własnej „treści socjalnej“ ukształtowanej przez tysiącletnią historję narodu, dało nam siłę wewnętrzną do osiągnięcia zwycięstwa.

Rozbudowując własną państwowość w warunkach pełnej suwerenności, nie boimy się i nie omijamy żadnych zagadnień socjalnych. Nie chcemy tylko człowieka czynić niewolnikiem doktryny. Pracujemy w miarę sił i możliwości nad zwalczaniem ubóstwa i niedoli mas ludowych. Nie będziemy narazie odpowiadać na pytanie, gdzie się skuteczniej pracuje dla tego celu: w ustroju Polski Odrodzonej, czy też w ustroju Rosji Sowieckiej.

Niechaj nam wystarczy fakt, że obie strony nie zamierzają orężem przekonywać się o wartości swego ustroju państwowego i o wyłącznej słuszności i skuteczności swej polityki socjalnej.

„PRAWO MORALNE, KTÓRE JEST WE MNIE”

Do wiadomości powszechnej przedostaje się coraz więcej wstrząsających szczegółów tych bezprzykładnie okrutnych wydarzeń, które miały miejsce w Niemczech 30 czerwca 1934 r. Ostatnio p. Stefania Zahorska opowiedziała nam w swych listach niemieckich nowe sprawdzone szczegóły masowych rozstrzeliwań w szkole kadetów i w szkole panów, gdzie „rozstrzeliwania trwały bez przerwy trzydzieści parę godzin”.

Masakrowano i rozstrzeliwano ludzi bez sądu, na rozkaz Hitlera, który w ten sposób urzeczywistniał — jak mu się zdawało — „Deutsche Ordnung”.

W rzeczywistości była to orgja politycznego morderstwa, że użyjemy wyrażenia Mommsena.

Działo się to w narodzie, wśród którego żył i tworzył wielki myśliciel, chluba swego narodu i całej ludzkości. Z nazwiskiem tego geniusza myśli związane są słowa, w których zawarta jest najgłębsza prawda ludzka, stanowiąca niewysychające źródło żywej wiary w postęp i triumf dobra:

„Dwie rzeczy napelniają serce coraz to nowym i coraz to wzmagającym się podziwem i czcią w miarę tego im częściej, im ustawicznie zajmuje się nimi rozmyślanie: niebo gwiaździste nademną i prawo moralne, które jest we mnie”.

„Prawo moralne we mnie” jest w myśl przytoczonych słów Kanta taką samą realnością, jak słońce, gwiazdy, jak firmament niebieski. Trudno piękniej i silniej określić wagę i znaczenie czynnika moralnego w życiu pojedynczego człowieka, a co za tem idzie, w życiu narodu i ludzkości.

— 62 —

I każde dzieło ludzkie, indywidualne czy zbiorowe, tylko wówczas przyczynia się do postępu, tylko wówczas zwiększa sumę dobra powszechnego, jeżeli powstało w zgodzie z nakazami obecnego w nas prawa moralnego.

Nic, co powstało wbrew prawu moralnemu, nie wytrzyma próby czasu, nie ostoi się pod naporem życia i jego wymagań.

Ktokolwiek w swej działalności prywatnej czy publicznej lekceważy istnienie prawa moralnego, jako najwyższej, bezapelacyjnej instancji w ocenie celów i środków działania, ten skazuje się na syzyfowe prace, na bezpłodność swych wysiłków i trudów, a ponad to, na rozterkę wewnętrzną, która rozstraja wolę, osłabia energję i zmniejsza zdolność do czynu.

Wypadki z 30 czerwca w Niemczech były brutalnym pogwałceniem tego właśnie prawa moralnego, które jest jako słońce i gwiazdy, a więc jest silniejsze, dawniejsze i bardziej miarodajne, niż wszelkie kodeksy drukowane i plebiscyty.

Człowiek, który wziął na siebie ciężar odpowiedzialności za te wypadki, ciężaru tego nie udźwignie.

Hitlerowi nie można odmówić potężnej energii, lecz nie posiada on wyobraźni w myśleniu. Nie potrafi przewidzieć dalszych skutków pewnych czynów. Co więcej, nie potrafi on we właściwym czasie uświadomić sobie swej własnej wewnętrznej treści duchowej tak, jak bohater Dostojewskiego Raskolnikow dopiero po dokonaniu mordu z premedytacją uświadomił sobie, że dopuścił się czynu sprzecznego z tem, co stanowi jego wewnętrzną treść moralną, że popełnił zbrodnię, za którą musi ponieść karę.

Dzikim terrorem można społeczeństwo na pewien czas ogłuszyć, lecz żadna siła fizyczna nie zdoła wykorzenić z duszy współczesnego człowieka tego, co stanowi jego istotę moralną, ukształtowaną przez religję i kulturę.

Po okrucieństwach czerwcowych serca prawych i szlachetnych Niemców odwróciły się od Hitlera. Rozwój wypadków w niedalekiej przyszłości niezawodnie potwierdzi słuszność powyższych słów.

Od tej krwawej daty 30 czerwca, od tego rozpazania krwiożerczości Hitler zmierza ku swej zgubie. Zguba jego jest

nieunikniona. Powstaje tylko pytanie, jaką cenę naród niemiecki zapłaci za uleganie władzy człowieka, który swem postępowaniem obraża „prawo moralne“.

Przerzućmy się myślą z Zachodu na Wschód. Stosunki w Rosji Sowieckiej są najwymowniejszym dowodem tych straszliwych spustoszeń, jakie szerzy system rządzenia, oparty na przemocy i gwałcie, sprzeczny z moralnem i prawnem poczuciem rządzonych.

Bolszewicy osiągnęli władzę nad Rosją nie na drodze prawa, lecz przemocą, stosując wobec ludności masowy czerwony terror.

Ci, co rządzą wbrew woli rządzonych, nigdy nie czują się pewni swej władzy. Lęk przed utratą władzy czyni ich okrutnymi. Uznurpatorzy najstraszniejszymi są wówczas, gdy się sami boją o utratę władzy.

Potwierdzają to ostatnie wypadki w Rosji. Zabójstwo Kirowa rozpętało ze strony władzy sowieckiej jako odwet masowy, histeryczny terror. Moskiewski korespondent „Gazety Polskiej“ wypowiada z tego powodu trafną uwagę: „Byliśmy poprostu zdumieni, że władze reżimu, którego sytuację uważaliśmy (i nadal uważamy) za bardzo pewną — same poczuły się tak niepewne“.

Poczucie bowiem pewności władzy rządzącej może wpływać tylko z przeświadczenia, że działalność rządu idzie po linii prawa, będącego wyrazem świadomości prawnej rządzonych.

Takie pomyślnie warunki pracy rządzenia posiada Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Stało się to dzięki Józefowi Piłsudskiemu, który państwowość polską od pierwszej chwili jej powstania skierował na drogę prawa i praworządności.

Jest to jedyna droga, która prowadzi naród do wielkości cywilizacyjnej, która życiu państwowemu zapewnia trwałą spójność i ład wewnętrzny, a obywatelowi daje poczucie swej godności ludzkiej i obywatelskiej oraz bezpieczeństwa życia i mienia.

Ażeby wytrwać na tej jedynie pewnej drodze rozwoju i postępu państwowego, musimy sami pamiętać i innym przypominać odnośne wskazania J. Piłsudskiego.

Czasami bowiem zakrada się do patryjotycznie czujących serc polskich obawa, że wzory wschodnie i zachodnie bardziej pociągają niektóre niedojrzałe i niecierpliwe umysły w Polsce, niż te wielkie, głęboką mądrością tchnące prawdy, które mi kierował się w swej działalności Budowniczy Państwa Polskiego.

Oto są te najcenniejsze wskazania:

„Jeszcze będąc w Magdeburgu, — pisał 19 stycznia 1921 r. Józef Piłsudski — starałem się obliczyć wszelkie możliwości, związane z wynikiem wojny. Na wypadek przegranej Niemiec oczekiwałem, iż Polska będzie otoczona ze wszystkich stron krajami i państwami, znajdującymi się w stanie chaosu i poszukiwania nowych dróg dla życia publicznego. Na ten wypadek, sądziłem, wszystko zależy od tego, kto pierwszy zdoła dom swój urządzić tak, by dla zmęczonych długoletnią wojną i chaosem wewnętrznym ludzi stanowił on wygodne i spokojne miejsce odpoczynku i pracy pokojowej, możliwem zaś to być mogło jedynie przy praworządnych stosunkach, wolnych od samowoli czy to indywidualnej, czy zbiorowej“.

29 kwietnia 1921 r. Józef Piłsudski w Krakowie powiedział: „Wzrosłem w kraju, gdzie prawem było bezprawie, gdzie każdy człowiek, nie mający skłonności do łapania ryb w mętnej wodzie, tęsknić musi do prawa, które stoi nad wolą, samowolą lub kaprysem człowieka. Następnie los kazał mi być żołnierzem, a żołnierza wielkie zjawisko wojny wychowuje nie w prawie, a w samowoli i gwałcie. W tych samych warunkach, co ja, rosło i wychowywało się obecne pokolenie polskie, w którym Opatrzność i zło czy dobre moje losy wyznaczyły mnie na przedstawiciela najwyższej władzy. Pierwszem mojem postanowieniem było szukanie prawa i umacnianie poczucia jego w całym narodzie. Jak widzę, praca ta odbywa się w trudnych bardzo warunkach i nie jest do załatwienia w szybkim tempie. Rozmaitość pojęć prawnych, demoralizacja wniesiona przez wojnę, przyzwyczajenie do samowoli, nieraz nieświadome jej szukanie, oto przeszkody, stojące tej pracy na drodze. Obiektywnie myśląc, nie mogę powiedzieć, że moje skromne usiłowania dały dotychczas wiel-

kie, a tak pożądane wyniki, pomimo, że zawsze starałem się podtrzymać i nadać moc prawa, czy to, kiedy ono przewodzi życiu i je reguluje, czy to, kiedy łagodzi bóle i cierpienia, czy to wreszcie, gdy jest *lex dura, sed lex*“.

W powyższych słowach Marszałka J. Piłsudskiego zawarte są zasady najtrwalszego i najsolidniejszego budownictwa państwowego, wyróżniające Polskę od Niemiec i Rosji. Rzetelne i konsekwentne stosowanie tych zasad ugruntuje naszą organizację państwową na najbardziej niewzruszonym fundamencie: „na prawie moralnem, które jest w nas“.

20 grudnia 1934 r.

MIELIŚMY CHAMY ŻŁOTY RÓG

Czym była „Solidarność”, której 40-tą rocznicę niedawno obchodziliśmy?

Wolnym związkiem zawodowym założonym przez garstkę dzielnych ludzi, którzy odważyli się w komunizmie upomnieć o warunki zatrudnienia i godność człowieka pracy, ale gdy wreszcie wywalczyli zwycięstwo, pojawił się podstępny kapitalizm i dziś ten człowiek jest jeszcze bardziej poniewierany i wyzyskiwany niż za Gierka czy Jaruzela, choć w kieszeni zostaje mu trochę więcej grosza.

Chrześcijańskim ruchem na rzecz praw osoby ludzkiej zainspirowanym przez polskiego Papieża, ale opuszczonym i zdradzonym przez tych, którym tylko tymczasowo było po drodze z „Solidarnością” i religią katolicką, którzy po plecach robotników wspięli się do władzy. Tę ocenę można zaostrzyć, pomstując na ateistów, lewaków, ubeków, albo i „obcych narodowo”, dodając jeszcze epitet o „zdradzie okrągłego stołu”.

Zakończeniem najdłuższej – bo pięćdziesięcioletniej – wojny w nowożytnej Europie rozpoczętej napadami na Polskę 1 i 17 września 1939 roku, gdzie czczony przez cały świat dzień 8 czy 9 maja 1945 nie był dla nas znakiem zwycięstwa, lecz zmiany okupanta. Zwycięstwo przyszło dopiero w 1989 roku i armia, która je ostatecznie – choć niezbrojenie – wywalczyła nazywała się „Solidarność”. Jak każda armia, w swych

wzlotach bohatera, w swej codzienności marna, ale zwycięzców się nie rozlicza, także hetmana Lecha Wałęsy.

Ruchem robotniczym na rzecz odnowy socjalizmu, co najlepiej obrazuje powiedzenie tegoż Wałęsy sprzed 40-lecia: „socjalizm tak, wypaczenia – nie!” Ruchem nie do zaakceptowania przez „socjalistyczną” biurokrację, a przez to pozostawionym klerykałom i prawicy, którzy szybko wsiedli mu na kark. Do czego to prowadzi, pokazały już pierwsze lata Wolnej Polski, a co się dzieje dzisiaj, każdy odczuwa aż nadto dotkliwie.

Rewolucją ery atomowej, buntem ludzi rozsądnych i wykształconych (także młodych i światłych robotników) przeciw zmurszałemu komunizmowi na rzecz liberalizmu, nowoczesności, demokracji i Europy. Zwyciężyliśmy i mamy to czegośmy chcieli. Więc skąd tyle frustracji i wyolbrzymiania zrozumiałych przecież trudności?

A może była czymś innym jeszcze, bo dotąd nie potrafimy zrozumieć tego chyba najbardziej fascynującego fenomenu w naszych dziejach, chociaż dla starszych pokoleń Polaków to ważny element życiorysu? Nie zawsze pożądaną, ale – jak każda historia – nieusuwalną. Solidarność jest – jak trafnie napisał Zygmunt Bauman – „słowem poszukującym ciała”; pojęciem, które ma w sobie wiele znaczeń, ale nigdy nie ziszcza się w pełni. Dlatego spierać się będziemy o nią aż do pięćdziesięciolecia i dłużej; aż zabraknie żyjących świadków, aż się rzecz – jak pisał poeta – „ucukruje i uleży” i wtedy może przyszli historycy tylko z poźółkłych druków będą destylować swój odkrywczy sens. Niech im przyświeca może arabskie, a może żydowskie przysłowie, które już dawno, dawno temu zasłyszałem gdzieś w regionach lewantyńskich: „rewolucję obmyślają ludzie mądrzy, dokonują jej odważni, ale z owoców korzystają oportuniści”.

Bo czym jest „Solidarność” dziś, wiemy aż nadto dobrze: małym, upolitycznionym, związkiem zawodowym wyposażonym jednak w obszerną izbę pamięci. Kiedyś – w połowie lat osiemdziesiątych – sfor-

mułowałem taką prognozę w prasie podziemnej, za co ochrzanił mnie ówczesni koledzy. No i się sprawdziło; także i ja mam, co sam chciałem. A nawet jeszcze gorzej: zajażdża kłótnia o historyczne tablice z 21 postulatami – wpisane przecież na listę światowego dziedzictwa – jest gorszym symbolem dzisiejszego stanu. Tak jak były nimi osobne i wzajem odwrócone od siebie plecami obchody ostatniej rocznicy: jedni bohaterowie w Europejskim Centrum Solidarności, sprzyjającym dzisiejszej opozycji; inni – skłócenie z nimi – w historycznej sali BiHP, gdzie podpisano porozumienia sierpniowe, bo to miejsce znajduje się akurat we władaniu dzisiejszego związku.

Cóż można jeszcze nowego powiedzieć dzisiaj o tamtych dniach sprzed 40-tu lat? Przebieg wydarzeń przeanalizowany jest aż do znudzenia; choć oczywiście każdy widział coś innego, więc teraz weterani skaczą sobie do oczu i starczym dyszkantem lżą dawnych współpiskowców. Tak bywa przecież z okazji innych historycznych wydarzeń, bo wspominki uczestników służą młodszemu pokoleniu szalbierzom jako uzasadnienie dzisiejszych roszczeń. Tym cenniejsze, że wyartykułowane przez naocznych świadków, a niezawodne pióra najemnych skrybów zawsze wyglądają coraz głębszą z upływem lat zadyszkę i gładko uzupełniają luki w słabnącej pamięci. Jak powiadał w swych lepszych latach najważniejszy z zestarzałych bohaterów: „prawda jest jak dupa, każdy siedzi na własnej”. Czy można jeszcze cokolwiek dopowiedzieć do tych pomnikowych relacji? Przecież ja sam byłem tam prawie biernym i niewiele nieznającym obserwatorem.

Co zostało po „sentymencie pannie S”, prócz jazgotu lustracyjnych kłótni i potępieńczych swarów drugorzędnych polityków? Co to jest „Solidarność”, a może tylko solidarność?

Sedno solidarności najzwężlej ujmuje Chrystus, gdy powiada: „Jeden drugiego ciężary noście, i tak wypełnicie prawo Boże”. Solidarny był Szymon Cyrenejczyk, gdy pomagał nieść krzyż, solidarny był miłośnik

Samarytanin. Solidarny powinien być każdy chrześcijanin, jeśli używa słowa „bliźni” albo słowa „miłość” w sensie, jaki nadała im Ewangelia. Ale nie tylko; przepełniony solidarnością ze wszystkim, co żyje jest buddyzm, a islam to nie tylko ciemny fundamentalizm, ale „umma” – solidarna wspólnota wiernych pomagających sobie nawzajem w trudach życia. Solidarność to inna nazwa braterstwa ze słynnej triady francuskiej rewolucji „wołość, równość, braterstwo”, sedno każdej demokracji, każdej wspólnoty wolnych ludzi. Niesolidarny może być tylko niewolnik, aby choć czasem wymigać się spod bata nadzorcy. Dlatego solidarność jest nieprzyjaciółką zniewolenia, postrachem samodziurców. Tak zresztą nazywała się jedna z polskich partii socjalistycznych, prekursorów późniejszej PPS, powstała po rozbięciu „Wielkiego Proletariatu”. A więc być solidarnym, to znaczy: postawić sobie najwyższe wymagania moralne i im sprostać. Nadludzkie to zadanie. Na jak długo zwykli ludzie mogą wznieść się aż tak wysoko? Na pewno tylko na krótką chwilę, bo wierzyć, że mogłoby być inaczej, to domagać się od nas świętości. Usiłował o tym opowiedzieć możliwie prostymi słowami niezapomniany ks. Józef Tischner w swoich kazaniach, które złożyły się na „Etykę solidarności”. To także dzięki niemu Polacy potrafili być w większości jako tako solidarni przez prawie 16 miesięcy burzliwej młodości „panny S”, ale to i tak niezmiernie wiele; możemy być dumni z siebie za to, jakimi okazaliśmy się naoczas. Ta młodzieńka wtedy osóbką nie była lepsza od nas samych i domagać się by szybko nie zbrzydła i nie wylazła z niej kłótniwa jędrza, to znaczy odrzucać realną wiedzę o duszy i skłonnościach nie tylko Polaków, ale każdej istoty ludzkiej.

Czy mogłoby być jednak choć trochę lepiej, mądrzej, solidarniej? Oczywiście, bo wszystkie ludzkie dzieła mogą być doskonalsze, ale błędy można ocenić dopiero po ich popełnieniu, niestety. Może gdybyśmy tak szybko nie zapomnieli, że podstawą wszelkiej solidarności jest wzajemny szacunek? Może, gdyby Wałęsa – niby rybak z bajki o złotej rybce – nie zapragnął tak łączywie prezydentury, która (pomimo kilku bezsprzecznych osiągnięć) okazała się rozczarowująca tak dla niego, jak dla narodu?

Może gdyby nie tak szybko i chaotycznie wypączkowały z wielonurto-
wego ruchu skłócone ze sobą partie? Może gdybyśmy słuchając pilnie Balcerowicza, posłuchali też Kuronia? Może gdyby nie ta nieszczęsna „wojna na górze”? Może... A gdyby generał w ciemnych okularach nie wyprowadził na ulice swoich czołgów? Zapewne 13 grudnia 1981 – wręczając „Solidarności” niewielką, ale gustowną palemkę męczeńską – uratował piękny mit o sentymentalnej i szlachetnej pannie, która naprawdę istniała tylko w wyobraźni chwalców bezkrytycznie zakochanych w rzekomej „mądrości ludu”. To dzięki generałowi i jego ZOMO-wcom przeżyła ta piękna złuda, którą on potem – z pomocą nieocenionego Jerzego Urbana – usiłował daremnie zwalczać. Ale mit pomagał nam zwyciężyć i teraz pozwala zachować krzepiącą pamięć o tym, że jednak – choć przez chwilę – potrafiliśmy być solidarni.

Bo jak w ogóle być solidarnym? Nie jest trudno być solidarnym z ludźmi, z którymi łączą nas zarówno interesy, jak wspólny wróg. Ale jak być solidarnym z kimś, kto myśli inaczej i chce czegoś innego? Jak być solidarnym z nachalnym dewotem albo ideologicznym sekciarzem, ze zdetronizowanym komunistą, z Cyganem, Murzynem, gejem? Jak kochać nieprzyjaciół swoich? A to są także tajemnice solidarności. Nie, stanowczo zbyt zobowiązującą nazwę nadaliśmy zwykłemu związkowi zawodowemu... Nawet w tamtych niezwykłych czasach.

To także ten sam mit o solidarności w „Solidarności” powiadał, że po jednej stronie stał szlachetny, zniewolony dotąd naród (niektórzy woleli mówić: „społeczeństwo”), a po drugiej zwarta, też solidarna (choć po bandycku) partia i jej aparat przemocy. Do jedynej niezależnej od państwa i zbuntowanej przeciw temu państwu organizacji ciągnęli od sierpnia 1980 roku wszyscy, którzy chcieli coś zmienić w zastanej rzeczywistości, obojętnie czy przez łagodne reformy, czy przez rewolucję. Każdy z nas po swojemu wypowiadał własną rację i gdzie indziej widział cel, ale zawsze była to racja zbuntowanych. Gdy w 1989 roku upadł ten wspólny wróg, upadła też ostatnia siła podtrzymująca wspólnotę solidarności. To samo

ze stroną przeciwną: komunizm w Polsce był podupadły, słaby i wyniszczony jak nigdzie w bloku sowieckim przede wszystkim przez cyklicznie powracające kryzysy polityczne, tę przesłanną sekwencję „polskich miesięcy” od października 1956, przez marzec 1968, grudzień 1970, czerwiec 1976; więc sierpnia 1980 już nie przetrzymał, choć agonia trwała jeszcze 9 długich lat. Po każdym kryzysie rządząca partia omalże się rozsypywała, odpływali z niej najlepsi i jeszcze jako tako ideowi ludzie. Dlatego w latach 1980/81 partyjny ruch „struktur poziomych” zachwiał zmurszałym gmaszyskiem komunizmu nie mniej niż wolny związek. Inne państwa bloku przeżywały jednorazowe zrywy, po których przychodziły długie lata represji: w NRD w 1953 roku, na Węgrzech w 1956, w Czechosłowacji w 1968. Tylko Polacy co rusz podnosili głowę, przekonywali się, że pod naciskiem ulicy zmieniane są ekipy na szczycie, a władza ustępuje im coraz bardziej. Gdy w 1979 roku spotkali się na papieskich mszach polowych nie tylko usłyszeli wezwanie do Ducha Świętego, by „odmienił oblicze tej ziemi”, ale zobaczyli jak jest ich wielu i jak w tej liczbie są silni. Między bajki trzeba więc włożyć wszystkie rojenia o rzekomej manipulacji ubeckiej czy jakiegokolwiek innej: tak potężną i wielonurtową rzeką buntu nie byłby w stanie manipulować ani Lech Wałęsa ani Stefan kardynał Wyszyński, ani nawet generał Czesław Kiszczak.

Po raz pierwszy w naszych dziejach powstanie trafiło we właściwe miejsce i czas historyczny: Moskwa była osłabiona jak nigdy dotąd i niezdolna do rozprawy z Polską na wzór rozprawy ze zbuntowaną Czechosłowacją dwanaście lat wcześniej. Rozpoczęta w 1979 roku wojna w Afganistanie okazała się sowieckim Wietnamem, gdzie wielka armia nie jest w stanie pokonać ideowej i wspomaganej z zewnątrz partyzantki. Już – niesłusznie uważany z mięczaka – prezydent USA Jim Carter sprzeciwił się rozmieszczaniu przez ZSRR nowych rakiet i co gorsza w sposób kłopotliwy dla Kremla wykorzystał prawa człowieka jako oręż w zimnej wojnie. Jego następca Ronald Reagan okazał się jeszcze groźniejszy, łamiąc opór swych europejskich sojuszników rozmieścił w pobliżu granic Układu Warszawskiego rakiety, których poziom techniczny

był poza zasięgiem sowieckiego przemysłu. Pułkownik Ryszard Kukliński (a może jeszcze jakiś jego moskiewski kolega, o którym dotąd nie wiemy?) ujawnił Ameryce informacje tak decydujące, że po raz pierwszy Kreml zrozumiał, że wojna z Zachodem doprowadzi do klęski. Na domiar złego jeszcze ta wiecznie zbuntowana Polska, gdzie towarzysze okazali karygodną ustępliwość, przez co kontrrewolucja szaleje, partia się rozpada, a stan wojenny niczemu nie zaradził, bo (tak wykazały oficjalne, lecz utajnione badania w połowie lat osiemdziesiątych) aż milion ludzi regularnie czytuje nielegalną prasę i śmieje się z warszawskiego namiestnictwa! Na tym gruncie wyrósł Gorbaczow, który naiwnie wytłumaczył wystraszonemu generałom i marszałkom, że tylko pierestrojka przywróci Sowietom siłę, a faktycznie zmarnowała ich potęgę. Polska sama nie obaliła komunizmu w świecie, ale była ostatnim i być może decydującym ogniwem. Gdyby nie „Solidarność” – tak legalna jak i podziemna – odbierająca Sowietom resztki wiarygodności w świecie, może na ostatecznego psuja – Gorbaczowa – trzeba byłoby poczekać ze dwadzieścia lat? To nie demokratą Michaił zdemontował system, ale „Solidarność” – wspólnie z prezydentem Reaganem i afgańskimi talibami – zamontowała go u kremłowskiego steru.

Tak po raz pierwszy w dziejach udało się polskie powstanie. Obojętnie jak prezydent Putin będzie się wściekać, nie wyskubie Polski z Zachodu, bo staliśmy się jego częścią. A, że wiele nam się nie podoba w tej naszej nareszcie wolnej Rzeczypospolitej, to inna sprawa. Róbnym porządkom, od tego są wybory. Od trzydziestu lat nareszcie prawdziwe, a nie sowieckie. Choć i nad uczciwością wyborów też dziś gromadzą się chmury.

Tylko świat o tym nie wie. Wciąż czci demokratę Gorbaczowa, flirtuje z innymi „demokratami” jak Putin i jego świta, uważa, że komunizm wyrzucił się na murze berlińskim, a nie na „Solidarności”. Nie potrafiliśmy zmienić tego punktu widzenia z okazji poprzednich okrągłych rocznic, nie zmienimy z dzisiejszej okazji. Świat w tamtych latach patrzył na nas z nadzieją, ale nie dlatego, że Polacy przeciwstawili się czerwone-

mu mocarstwu. Oni tak zawsze, niepoprawni romantycy, wciąż gotowi do poświęceń... Świat przez pewien czas patrzył na nas z nadzieją, bo umieściliśmy solidarność na sztandarach. A to nie tylko zobowiązanie moralne, ale wartość niezbędna światu by w ogóle przetrwał. Obiecaliśmy solidarność, ale pokazaliśmy niesolidarność taką jak wszędzie. Nic ciekawego.

Może gdybyśmy wyszli z jakąś wielką międzynarodową inicjatywą w dziesięciolecie Sierpnia w 1990 roku, kiedy świat jeszcze nas podziwiał, a dogorywające Sowiety miały niespełna rok życia przed sobą. Może w tamtych warunkach udałooby się nakłonić ONZ do ustanowienia Międzynarodowego Dnia Solidarności? Ale Wałęsa już się kłócił z Mazowieckim i szykował do skoku na prezydenturę. Nabrzmiwała niesolidarna „wojna na górze”; to było ważniejsze. Dzisiaj jest dużo gorzej: nasze pięć minut dawno minęło, okazujemy się żałośni usiłując prawić Europie kazania o solidarności, podczas gdy polski rząd prowadzi politykę niesolidarną wobec mniejszości, dzieli obywateli na lepsze i gorsze „sorty”, ogranicza ich prawa i cichaczem buduje dyktaturę. Pozostaniemy więc na prowincjonalnym podwórku ze swoimi wspomnieniami i tym samym co zawsze żalem „Chrystusa Narodów”, że świat nas nie rozumie.

Osobiste dzieje Lecha Wałęsy to historia PRL-u w pigułce. Może przynajmniej na własny, krajowy użytek potrafimy pojąć tkwiącą w nich podniosłość i gorycz, wielkość przemieszaną z bólem i wstydem, bo to jest opowieść nie tylko o Lechu, ale wszystkich starszych dziś pokoleniach Polaków, którzy pamiętają PRL i dla których „Solidarność” była ważnym punktem życiorysu.

Każdy nas jest Wałęsą, każdy z nas jest też „Bolkiem”! Rówieśnik Polski Ludowej, urodzony w 1944 roku w biednej, wielodzietnej rodzinie wiejskiej na Kujawach uzależnionej od PRL-owskiej opieki społecznej, powinien być wśród pretorianów ustroju. W zawodowce z inter-

natem w Lipnie miał opinię rozrabiaki palącego na strychu papierosy. Dopiero opinia z wojska, gdzie doszedł do rangi kaprała, zwiastuje przyszłego przywódcę. Zaraz potem przyrodni brat Stanisław – pracujący już w gdańskiej stoczni – proponuje wstąpienie w jego ślady, bo tylko tutaj można trochę zarobić. Lech dostaje się do Gdańska tuż przed marcem 1968 roku i jest to pierwsze wielkie miasto, jakie w życiu ujrzał. Wbrew potocznym opiniom, w marcu 1968 roku stocznia wrzała, szczególnie obstawiała ją milicja i niewiele brakowało, aby robotnicy wyszli na ulice. W ten wrzący tygiel wpada wiejski chłopaczyna wykorzeniony z macierzystego środowiska, osamotniony nie tylko w zatrudniającej kilkanaście tysięcy ludzi stoczni, ale także w tłumnej, wieloosobowej noclegowni ówczesnego „hotelu robotniczego”. Wkrótce potem nadchodzi krwawy grudzień 1970 roku; młody robotnik jest już bardziej świadomy, wybrano go do komitetu strajkowego. Mityguje zapalczywych, boi się rozlewu krwi. Ale widzi zarówno zabitych i rannych w ulicznych zamieszkach, kiedy protestujący tłum podpalił wojewódzki komitet partyjny, jak i trupy pod bramą stoczni, kiedy wojsko strzelało – prawdę powiedziawszy – do łamistrajków, którzy bez uzgodnienia postanowili opuścić zrewoltowany zakład. Potem jeszcze gorsza masakra w Gdyni. W takie dni przychodzi wieść o zmianach na szczycie, przerażenie zmienia się w euforię, pada okrzyk: „pomożemy!” Czy dziwić się młodemu, naiwnemu chłopakowi, że dał się podejść cwany SB-kom, że podpisał zobowiązanie do współpracy, że informował ich o nastrojach w stoczni, a może nawet na kogoś doniósł? Oczywiście, jeśli papiery są prawdziwe, bo równie dobrze mogą być SB-cką fałszywką, jaką nieraz już przeciw Wałęsie wytwarzano.

Dzieje Lecha Wałęsy podobne są w istocie do dziejów Wojciecha Jarużelskiego. Wiejski chłopak zostaje wykwalifikowanym robotnikiem, nieźle zarabia, zakłada rodzinę, wszystko zawdzięcza PRL-owi. Młody zesłaniec syberyjski trafia do polskiego wojska (przypadkiem nie do armii Andersa, lecz Berlinga), tutaj wykazuje zdolności dowódcze, szybko awansuje. Obaj powinni być podporami reżimu. Ale Wałęsa baczniej

rozgląda się dookoła: patrzy na oficjalną obłudę, widzi jak porzucane są obietnice złożone strajkującym przez witanego niby zbawca Edwarda Gierka. Zrywa współpracę z bezpieką, pamięta o krwi przelanej na ulicach Trójmiasta w 1970 roku; jej pozostaje wierny. Inaczej Jaruzelski: brak mu siły charakteru, by w 1981 roku przeciwstawić się sowieckiej presji: gdyby – jak Piłsudski – zdecydował się na Magdeburg, wróciłby jako bohater narodowy. Albo może nawet – gdyby odwołał się do Wałęsy, Papieża i pomocy Zachodu – polskie przemiany byłyby wcześniejsze o 9 zmarnowanych lat. Ale jednak rozgląda się i myśli; kiedy po 1985 roku czuje, że za Gorbaczowa zaczynają wiać inne wiatry – staje się zwolennikiem stopniowych przemian, łamie krok po kroku opór twardogłowych. On też zwolna wyzwala się z komunizmu.

Taka jest prawda o losie Polaków, prawda o „Solidarności” i PZPR-rze. Nawet o braciach Kaczyńskich: dość wspomnieć partie poświęcone „marksizmowi-lenizmowi” w ich pracach doktorskich czy habilitacji Lecha. Przecież tak było trzeba, aby jakoś żyć... Ale wcześniej czy później niektórzy z nas pojmowali, że jednak można powiedzieć „nie!” i żyć dalej; dopiero wtedy stała się możliwa „Solidarność”. Przecierając złogi zastarzałej obłudy, zaczynamy dostrzegać prawdę. Owszem, ona nas wyzwala, ale wtedy nie zobaczymy już siebie jako aniołów. Duchy czyste na tym padole kreuje jedynie fałsz. Bohaterem – podobnie jak poetą – zaledwie się bywa. Szkoda tylko, że pierwszemu prezydentowi Wolnej Polski i byłemu przywódcy „Solidarności” zabrakło odwagi, by stanąć w prawdzie wobec własnego życia. Ludzie kochaliby go jeszcze bardziej, o wiele bardziej niż szanują teraz. Bo jego gorzki los jest także ich losem; choć nie każdy podpisał wiadome papiery, każdy kto żył w PRL-u jest uwikłany w to błoto; ale innej Polski wtedy nie było.

I jeszcze jedno o Wałęsie; gdy w sobotę 16 sierpnia ogłosił zakończenie strajku Stoczni Gdańskiej, zaimprovizowana na ładowarce trybuna, z której przemawiał, dłuższy czas stała pusta. Tymczasem pozbawiony przywództwa tłum wrzał: jedni wychodzili z poczuciem triumfu, ale

przybywały wciąż nowe delegacje zakładów, które podjęły strajk i chciały się przyłączyć, ale stocznia już wywalczyła swoje i grzecznie wraca do domu. Krzyczano o zdradzie i podeptanej solidarności. Dopiero po więcej niż półgodzinie Wałęsa powrócił, ogłosił nowy strajk, tym razem solidarnościowy i on dopiero po dwu tygodniach doprowadził do zwycięstwa całej Polski. Gdyby w tym czasie ktoś inny wskoczył na opuszczoną trybunę on byłby przywódcą, o nim mówiłby cały świat. Może byłoby lepiej, może gorzej, a może nawet tragicznie. Ale nikt się nie odważył...

O tym też warto pamiętać krytykując dzisiaj Wałęsę.

W kapitalizmie dotychczasowy bliźni stał się konkurentem. Dlatego po zwycięstwie „Solidarności” przez duże „S”, tak trudno o solidarność pisaną z małej litery. Jest to rozdarcie nieusuwalne, bo solidarność jest cnotą nie tylko chrześcijańską, ale socjalistyczną. Czyżby więc powinna przeminąć wraz ze starym ustrojem i wraz ze wspólnotowymi mrzonkami szlachetnych socjałów starej daty? Czyżby – jak chcą skrajni liberałowie – nie istniało społeczeństwo, tylko luźny zbiór jednostek zwalczających się nawzajem w pogoni za zyskiem?

Ale przecież świat nie może istnieć bez solidarności. Jeżeli wolni i obdarzeni rozumem obywatele nie będą ze sobą solidarni, runie demokracja i państwo prawa, nawet w wersji tak zdegenerowanej i godnej krytyki jaką jest dzisiejsza „demokracja telewizyjna”. Jeśli narody nie będą ze sobą choć trochę solidarne, to dzisiejszy dystans między – mówiąc enigmatycznie – Północą i Południem powiększy się do rozmiarów kosmicznych, a świat biedny i porzucony zapadnie się w ogniu rzezi plemiennych i lokalnych wojen o resztki pożywienia i zasobów. Jeśli nie będziemy solidarni ze swą matką-Ziemią, zniszczymy nieodwołalnie ostatnie autonomiczne światy istot żywych, a na koniec zamienimy naszą planetę w rozprażone słońcem wysypisko śmieci. Kiedy to piszę, Unia Europejska – z którą łączyliśmy tyle nadziei – przeżywa najgłębszy w swej historii kryzys i wyjściem z niego jest znowu tylko solidarność. Im bardziej nasz glob staje się zglobalizowany, im bardziej komunika-

cja, obieg kapitału i komputery skracają dystans między kontynentami, tym dotkliwiej zawodnymi okazują się tradycyjne procedury rozwiązywania problemów. Przez to właśnie czterdzieści lat temu świat cały tak jednoznacznie i tak gorąco zainteresował się Polską. Wcale nie dlatego, że wąsaty elektryk przeskoczył płot stoczni i rzucił wyzwanie komunistycznej potęgze. Nawet nie tylko dlatego, że nagle robotnicy pokochali inteligentów, a inteligenci robotników, choć to zauroczenie – jak bywa z podobnymi namiętnościami – nie mogło trwać długo. To dlatego, że w tym co nagle zaczęli robić i głosić Polacy, mogła kryć się recepta na przyszłość świata. „*Solidarność* – to największy zryw wolnościowy, który dokonał się na świecie po II wojnie światowej, i jedna z najważniejszych spraw, które zdarzyły się ludzkości w drugiej połowie XX wieku”. Tak o zdarzeniach sprzed czterdziestu lat pisał już w 1982 roku znakomity francuski historyk i socjolog Alain Touraine.

Tu dochodzimy do tego, co najważniejsze: do prawdziwej tajemnicy „słowa poszukującego ciała”, otchłannej i niepojętej ludzkim rozumem jak platońskie idee, albo noumeny Immanuela Kanta. Nie chodzi wcale o to, że słowo – nim pojawiło się w Gdańsku i rozprzestrzeniło na całą Polskę i pół świata – miało bogatą przeszłość, także polityczną. Powoływano się na nie już dużo wcześniej, choć raczej nazywano je „braterstwem” albo „przyjaźnią”, jak choćby polski socjalista Edward Abramowski w swojej „Rzeczpospolitej przyjaciół” 130 lat temu. Dopiero jednak francuski socjaldemokrata Leon Bourgeois, wielokrotny minister i kilkumiesięczny premier, współtwórca Ligi Narodów przyjął je za podstawę nowej propozycji ustrojowej i za swój „solidaryzm” otrzymał pokojową nagrodę Nobla w 1920 roku. Promowała to Liga Narodów, padło wiele zbożnych propozycji, z których niewiele wynikało, a idee – mimo socjalistycznych korzeni – przejęły ruchy prawicowe. Jeszcze konstytucja Francji z 1946 roku proklamuje „solidarność i równość wszystkich Francuzów”, ale potem solidaryzm uznano za skompromitowany i anachroniczny, bo kojarzony z Mussolinim albo z portugalskim dyktatorem Salazarem. A to tylko kolejny raz nie sprostaliśmy tajemnicy

tego słowa, jednego z najbardziej fundamentalnych, a jednocześnie niepojętych w ludzkich językach.

Nie darmo już na początku zwróciłem uwagę na chrześcijańskie korzenie solidarności. Bynajmniej nie ze względu na Chrystusowe „jeden drugiemu ciężary noście”, potem powtórzone wielokrotnie przez pomniejszych apostołów i świętych. Nade wszystko dlatego, że znajduje się w tym pojęciu najgłębsza istota chrześcijaństwa, którą jest:

Solidarność Boga ze stworzonymi przezeń istotami. Tu właśnie jesteśmy w samym sednie spraw niepojętych. A raczej wśród spraw największych i najwyżej sięgających, znacznie przekraczających ułomny zasięg ludzkiego umysłu. Dlatego rzadko od niech sięgamy, a jeśli już, to zwykle je spłaszczając w katechizmowych opowiastkach, albo w bolesnym rozpamiętywaniu wielkopiątkowej męki.

Ewangeliczna opowieść o Chrystusie jest odpowiedzią na mrok tego najboleśniejszego miejsca ludzkiej duszy, gdzie daremnie kołacze pytanie o wszechobecność zła i cierpienia w świecie. Ale tylko jako zarys odpowiedzi, bo wiara nigdy nie oznacza pewności. Nie jest to jednak odpowiedź dominująca przez wieki w kościołach chrześcijańskich, że to srogi Ojciec wymagał okupu w postaci męczeńskiej śmierci Syna jako zadośćuczynienia za ludzkie grzechy. Albo, że nieposłuszeństwo Adama i Ewy wymagało odkupienia aż tak straszną ofiarą. W ten sposób pojmowany Bóg jest gniewnym, pamiętliwym, i żądnym krwi tyranem. Była to odpowiedź na miarę czasów przedkopernikańskich i folwarcznych, w których kształtowała się doktryna. Była na miarę ówczesnej patriarchalnej świadomości i zapewne nie mogła być inna. Ja wierzę, że niepojęty dla nas Bóg wstąpił w ludzkie ciało, aby najokrutniejszą z możliwych śmiercią wyrazić solidarność z powołanymi przez siebie do życia istotami, z ich pełnym cierpienia i daremnych wysiłków losem i pokazać, że ich życie prowadzi do czegoś więcej. Bóg przyjął na siebie tę dołę i to cierpienie, obojętnie czy niewinnie ukrzyżowanego proroka, torturowanej przez inkwizycję czarownicy, więźnia obozu śmierci, utopionego w morzu uchodźcy, ofiary czystek etnicznych albo politycznej nienawiści. Nie

ma innej religii, w której Bóg okazałby solidarność ze stworzonymi przez siebie istotami, solidarność idącą najdalej jak to tylko jest możliwe i zapłacił za to tak straszną cenę.

Widocznie nie ma dla nas innej drogi jak solidarne borykanie się ze złem i nieprawością świata przy jednoczesnym staraniu, by pozostawiać wokół siebie, choć trochę dobra, podobnie jak On to czynił. Czemu wskazał nam tak straszny szlak, skoro – jeśli podobno jest dobry i miłośnierny – mógł dopieszczać swoje stworzenia jak ulubione pluszaki, dobrotliwie wysłuchiwać modlitw, okiem Opatrzności dbać o ich dobrostan? A może nasze ziemskie życie ma sens głębszy i bardziej wzniosły niż tylko przeżuwanie pokarmów i pokorne zaskarbianie zasług dla przyszłego zbawienia. Jaki? Nie wiem, bom tylko człowiek. Ale jedynie wielka, aż niepojęta perspektywa otwarta przed człowiekiem może uzasadniać tak ogromną ofiarę Boga. Czy zdajemy sobie sprawę, jak wysoko nas ona wynosi i jak bardzo zobowiązuje, skoro sam Bóg uznał, że musi cierpieć wraz z człowiekiem?

Rozmaicie odpowiadają religie na ludzkie wołanie o sens. Buddyzm czy hinduizm zalecają cierpliwość i wyrzeczenie się pożądań, bo one sprowadzają zło. Islam proponuje podporządkowanie prawu i wspólnotocie. Ale spośród wielu tych i innych jeszcze zaleceń najbliższa jest mi odpowiedź Chrystusa. Ona tylko pozwala zobaczyć w Bogu kogoś bliskiego, a nie jedynie wyniosłego Władcę Wszechświata. Gdyby nie Chrystus, jakakolwiek wiara religijna nie miałaby sensu. Tu właśnie jesteśmy najbliższej dostrzeżonej przez ateistę Baumana tajemnicy „słowa poszukującego ciała”.

Narodziny, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa przynoszą na świat nie tylko ową „Dobrą Nowinę”, o której tak podniosłe opowiadają wszystkie chrześcijańskie wyznania, ale jeszcze głębsze oznajmienia, których zapewne do końca nie przemyśleliśmy i nie pojęliśmy, mimo upływu dwu tysięcy lat. Najbliżsi jesteśmy zrozumienia sensu przebaczenia.

Owszem Bóg i bogowie, jakich tylko czciła i czci dotąd ludzkość, nieraz swym wyznawcom przebaczą grzechy, odstępstwa, a nawet zbrodnie. Ale jest to zawsze tylko dobrotliwa łaska cesarza, który z niebotycznej wysokości tronu, udziela jej swoim marnym jak proch poddanym. Władca niebiańskiego imperium nie zniża się ku istotom tak przyziemnym i nie słucha jęków ich bólu, które tyle znaczą, co pisk rozgniatanego robactwa. Tylko Bóg cierpiący jak Chrystus rozumie ból umęczonego człowieka, bo sam solidarnie go zaznał. Rozumie też jego ludzkie nadzieje i zwierzęce popędy, jego słabość i niewiedzę, z których rodzi się grzech, bo sam przyjął jego ciało. Jeśli przebacza, czyni to z serca jak między równymi w bólu. „Czy człowiek jest największą pomyłką Boga, czy Bóg jest największą pomyłką człowieka?” – pytał Nietzsche i dla niego każda możliwa odpowiedź jawi się tragiczną. Bo pytanie milcząco zakłada, że pomiędzy światem Boga, a światem człowieka musi istnieć niezgoda i bezdenna przepaść. Tymczasem Chrystus pokazuje, że jest to jeden wspólny świat.

Cóż jednak z tego dla nas i dzisiaj? Niewiele. Ze swego podniebnego lotu obudziliśmy się potłuczeni i nieco skacowani. „Sentymentalna panna S.”, za którą wielu gotowych było oddać życie, a niektórzy nawet je oddawali, okazała się nieponętym i kłótliwym babskiem, a cnotę straciła byle jak, z byle kim; ani bez przyjemności, ani bez pożytku. Bastylii nie zburzono, a nim się rewolucyjny tłum rozejrzał, już co sprytniejsi ulokowali w niej bank albo i agencję towarzyską, gdzie pacholkiwie starego reżimu urządzili się o wiele wygodniej od natchnionych proroków nowego. Wymarzona przyszłość okazała się najbardziej niesolidarnym z ustrojów. I tak dalej, i tak dalej... Być może dlatego dzisiaj tak wielu jest zniesmaczonych i rozczarowanych, a sporo jeszcze przy tym wystraszonych. A na frustracji i strachu najłatwiej żerują polityczni hochsztaplerzy.

Nie to jednak najbardziej nas obciąża. Odwołując się do cnoty solidarności, nazywając jej imieniem wielki ruch społeczny zaciągnęliśmy

dług niesłuchanie zobowiązujący. Tymczasem ani nasi przywódcy, ani my sami nie uczyniliśmy nic sensownego, aby choć trochę tamtej solidarności ocalić, aby choć trochę nią upiększyć codzienność polskiej polityki, polskiego kapitalizmu. Przydarzył nam się jedynie krótki, a piękny sen. Obudziliśmy się w świecie niesolidarnym i tak już zostanie. Politycznie zmarnowaliśmy nie tylko owoce zwycięstwa pod Grunwaldem czy pod Wiedniem, nie tylko hołdu pruskiego, ale i „Solidarności”. Ale tu stało się coś jeszcze straszniejszego; jak w finale „Wesela”, mieliśmy chamy złoty róg...

Czy jednak mogło być realnie inaczej? Czy to nie marzenia? Może człowiek potrafi wznieść się tylko na chwilę, na szesnaście, albo i jeszcze mniej miesięcy, potem nieuchronnie wraca do wieprzowatości życia powszedniego? Może solidarność jest tylko jedną z tych pięknych złud ludzkości, które powinny na zawsze pozostać złudami, bo – tak jak wszystkie inne fantomy zaludniające rajska wyspę Utopię – przywołane do życia mogą być tylko albo krótkotrwałym snem, albo długotrwałą tyranią? Jeśli dane nam było przynajmniej zobaczyć rozmiary tego rozdarcia, to już dużo. Ale nawet i w to wątpię, bo tak niechętnie wracamy dziś myślami do tamtych dni. Niechętnie, bo gdybyśmy bacznie przyrzeli się podstawionemu sobie lustru ujrzelibyśmy twarz Anioła. A zobaczenie tego, co w nas boskie, ujrzenie kim moglibyśmy być w naszych najlepszych chwilach, może dla człowieka okazać się równie porażające jak oblicze Diabła.

Dlatego tak wstydliwie milczymy dziś o solidarności.

Albo posługujemy się frazesami.

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

POKAZAŁEM LEGITYMACJĘ PRASOWĄ I TYLE.

ROZMOWA Z JERZYM SURDYKOWSKIM,
DZIENNIKARZEM NIEZALEŻNYM

– W Sierpniu 1980 r. pojechał Pan Redaktor do Stoczni Gdańskiej. Z obserwacji i rozmów powstały Pana słynne „Notatki gdańskie”. Ale też był Pan chyba jedynym dziennikarzem, który mógł o sobie powiedzieć, że wcześniej w stoczni pracował?

– Pracowałem rzeczywiście w stoczni w Gdyni, nosiła wtedy imię Komuny Paryskiej, przez niecałe 2 lata. Zatrudniłem się w „Głosie Stocznio-wca”. Niedaleko stamtąd miałem do sali BHP. Schodziłem Stocznją Gdańską wzdłuż i wszerz w latach 1967-69.

– To akurat czas kiedy pracę w stoczni zaczyna młody, przybyły z kujawskiego interioru robotnik. Nazywa się Lech Wałęsa?

– Lech Wałęsa zaczął pracę w stoczni przed Marcem 1968 r.

– Czy ta data miała dla niego znaczenie?

– Akurat w Marcu 1968 r. stocznia była obstawiona przez ZOMO. Robotnicy burzyli się z powodu nabrzmiałych problemów płacowych. Chodziło po prostu o wyzysk. W ten sposób to odczuwali, zresztą słusznie.

– W tamtych wydarzeniach wtedy jeszcze roli Wałęsa nie odegrał?

– To był młody wiejski chłopak, nowy w wielkim mieście. Przyrodni brat Stanisław ściągnął go wtedy do stoczni, do pracy.

- Czas Lecha Wałęsy nadszedł w roku 1970.
- Objawił po raz pierwszy swoje przywódcze zdolności. Widział, że strzelają do ludzi na ulicach i jak ich biją. Zaraz Panowie powiecie, że podpisał wtedy współpracę.
- Bo podpisał...
- Widzę to w ten sposób, że esbecy podeszli młodego, naiwnego chłopaka. Wtedy w jego środowisku nie było jednoznacznych reguł ani zasad, jak się zachować, mogło korcić rozumowanie typu: podpisz, to wypuszczą. Wałęsa nie wiedział, czy wyjdzie.
- W filmie Andrzeja Wajdy według scenariusza Janusza Głowackiego jest ta scena, jak Wałęsa odwiedza żonę w szpitalu, mówi: podpisałem to wypuścili. A ona, chociaż jeszcze słaba bardzo, krzyczy: Rany Boskie, coś ty podpisał?
- Potrafił porzucić te uwikłania, to nie ulega wątpliwości.
- W 1976 r. już był od nich wolny?
- Wszystko na to wskazuje, że tak. Już w ten sposób traktowała go zresztą ta druga strona. Gdyby Wałęsa później potrafił przyznać się, powiedzieć: wszyscy byliśmy uwikłani. Ja potrafiłem to odrzucić. Wy też. I razem założyliśmy Solidarność.
- Nawet w 1992 r. zaznaczyła się ta różnica, 4 czerwca pierwsze jego oświadczenie zasadniczo różniło się od drugiego?
- Wtedy był już prezydentem, prowadził wielką politykę, ale oczywiście obie deklaracje bardzo się różnią. W pierwszej Lech Wałęsa mówi o złożeniu podpisu, w drugiej już tylko o niesprawiedliwych atakach na siebie. Warto przypomnieć, co deklarował parę lat wcześniej i jeszcze w czasach, kiedy komuniści rządili. Nawet w „Drodze nadziei”, swojej autobiografii, która wyszła pod koniec lat 80 Wałęsa o tym wspomina.

– To było wielkie przypomnienie postaci Wałęsy dla Zachodu, w parę lat po Pokojowym Noblu. Przyleciałem wtedy na Orly pod Paryżem i od razu skierowałem się do kiosku z książkami. Poprosiłem o książkę Wałęsy, po polsku nazwisko wymawiając, bo jak inaczej... Sprzedawca, pewnie student jak ja, co w wakacje tam sobie dorabiał, ręce rozłożył, że nie rozumie. Wtedy ja mówię: „Un chemin d’espoir”, czyli „Droga nadziei”. A on „Ah, Waleza” – z akcentem na ostatniej sylabie, bo wtedy to już bestseller był, nawet pierwsze miejsce na listach francuskich mediów...

– Rzeczywiście książka cieszyła się powodzeniem w świecie. Nad „Drogą nadziei” w wyjściowej polskiej wersji pracowali Adam Kinaszewski i Andrzej Drzycimski. W Krakowie poznałem ich pierwotną wersję, przygotowaną dla wydawnictwa „Libertas”, które miało ją opublikować. Wałęsa nadmienia tam, że coś podpisał.

– Ale tak się nie ukazało?

– Bo przyjechał do Krakowa Bronisław Geremek i ocenzurował. Wtedy zniknął ten istotny fragment. Wiedzano, że to stąpanie po cienkim lodzie. Wiadomo, że nie przywiązywałem wtedy do tej kwestii takiej wagi jak dziś, z perspektywy wielu lat. Wyciekło jednak to, że zmiany dokonano. W końcu autobiografię wydał „Znak”, bez tego fragmentu.

– Pierwsze wydanie drugoobiegowe zrobił jednak Rytm, gdzie działał agent SB Marian Kotarski.

– Nie znam wszystkich szczegółów, natomiast pamiętam honorarium, jakie za swój trud zainkasowali Kinaszewski z Drzycimskim, jak spisali autobiografię Wałęsy. Każdy z nich dostał po 1500 dolarów. I to wtedy były wielkie pieniądze.

– Wałęsa zaczynał w stoczni kiedy Pan tam pracował, zna Pan ówczesne klimaty, jak Pan widzi jego początki?

– Lech Wałęsa został w 1970 r. wybrany do komitetu strajkowego, musiał więc cieszyć się miem wśród kolegów. A skoro długo tam nie

pracował, to znaczy, że szybko na to sobie zasłużył. Zdarzają się historie takich samorodnych przywódców. Musiał być uznany za człowieka, który się nie boi. Pamiętamy przecież, w jakich warunkach i sytuacji powoływano komitet strajkowy. Gdy nastał Edward Gierek, kiedy do stoczniovców przyjechał, Wałęsa krzyczał do niego wraz z innymi: Pomóżmy.

– **Bo poprzedni sekretarze dyktowali robotnikom odpowiedzi, a Gierek zapytał: Pomożecie?**

– To zawrócenie w głowie, ale Wałęsa był młodym chłopakiem, a starsi wyjadacze też dali się nabrać. Wałęsa uważał, że może będzie lepiej.

– **To także ten okres, kiedy ma kontakty ze służbami.**

– Z własnego doświadczenia wiem, jakich forteli, żeby człowieka podejść one używały. W latach 1971–71 zwiedzieli się, że moja żona bardzo chce, abyśmy wyjechali za granicę. Miałem propozycję z Polskiej Agencji Prasowej, do Pragi. Nie Zachód, ale zawsze jednak coś ciekawego. Kolega miał mnie jeszcze podrzucić, bo trzeba coś załatwić, żeby się udało. W samochodzie powiedział mi, że raptem o jeden podpis chodzi, a wieść chciał mnie na Rakowiecką. Wysiadłem z jego samochodu na światłach na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Do tej Pragi w końcu nie pojechałem, żona żałowała.

– **Za to pojechał Pan do Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. podczas strajku?**

– Wszedłem bez żadnych problemów przez bramę. Pokazałem legitymację prasową i tyle. Pierwszym znajomym, którego napotkałem na terenie stoczni, był Lech Bądkowski. „Dobrze, że jesteś” – powiedział, jak mnie tylko zobaczył. „Będziesz pisał dla nas”. W Biuletynie Solidarności. Można nawet uznać, że drugi raz w życiu Lech Bądkowski zachęcił mnie do pisania...

– **A pierwszy raz kiedy to było?**

– W latach 60 późniejszy członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Wybrzeża wywarł wpływ na moje życie. Przeczytał moje debiutanckie opowiadania. Powiedział mi: musisz pisać. Posłuchałem.

– **Biuletyn strajkowy stoczni przygotowywał Konrad Bieliński?**

– Tak, ale Bądkowski wywierał ogromny wpływ na to, co się tam ukazuje, na całą ówczesną atmosferę. Zresztą ta zmieniała się bardzo szybko, również z bardzo odmiennej perspektywy krakowskiej. Także w środowiskach partyjnych. W tamtym czasie byłem wraz z kolegą autorem skierowanego do władz partyjnych memoriału, napisanego językiem podobnym, jakim się wtedy posługiwała opozycja. Przestrzegał przed wizją nadciągającego kryzysu. Gdy z Gdańska pojechałem do Krakowa, wszyscy mnie obścapi, wypytawali, co w stoczni, bez różnicy, partyjni czy nie... Wtedy Podstawowa Organizacja Partyjna przy krakowskim oddziale Związku Literatów, zrzeszająca m.in. Władysława Machajkę i Tadeusza Hołuję jeszcze przed podpisaniem porozumień gdańskich uchwaliła rezolucję popierającą strajkujących i ich postulaty. To psuje trochę pewien jednoznaczny całkiem czarno-biały obraz, gdzie z jednej strony mamy Kościół i Solidarność a z drugiej PZPR, wojsko i milicję.

– **Zaraz zaczął się przecież ruch odnowy w samej PZPR, milion jej członków zapisało się do Solidarności równocześnie, działały struktury poziome, koordynował je Zbigniew Iwanów z organizacji partyjnej toruńskiego Towimoru, który potem w stanie wojennym wyjechał za granicę...**

– Całe to partyjne środowisko odnowicielskie w latach 1980-81 było już słabe, bo partia została wcześniej wyczyszczona z ludzi światłych, mądrych i odważnych. Ośrodkami odnowy pozostawały krakowski klub Kuźnica i Toruń. Przed IX zjazdem, wiadomo, że z tego właśnie powodu odwiekanym – spacyfikowano struktury poziome w PZPR. Pamiętam jak wróciłem z Warszawy. Napisałem tekst do „Życia Literackiego”. Sam

jego naczelny Machejek mówił: dobrze im przywaliłeś. Ale musimy to do Warszawy posłać...

– **Z jakim efektem?**

– Jak przyszło, to w jednej trzeciej skreślone. W dodatku do środka artykułu cenzor powpisywał fragmenty, pełne obywatelskiej troski. Nie zgadzałem się na publikację w takiej postaci. Pojechałem z tym do „Gazety Krakowskiej”, to wtedy była najbardziej odnowicielska z przechodzących przez cenzurę gazet. Wybrali mnie do władz SDP.

– **To był czas Stefana Bratkowskiego w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.**

– Bratkowski był wtedy prezesem, wiceprezesem Maciek Szumowski od nas z Krakowa.

– **Jednak nie tylko za jego sprawą Kraków wtedy zaznacza mocno swoją obecność?**

– Gdy w Krakowie zaczął się organizować Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, kręciło się przy nim paru dziennikarzy. Wtedy dostałem propozycję od Mietka Gila, chociaż przewodniczącym był wtedy jeszcze Andrzej Zawada...

– **...dość efemeryczna postać, krótko kierował Regionem Małopolska NSZZ „S”.**

– W każdym razie kiedy jeszcze przewodniczył nominalnie Zawada, to nie on, tylko Gil zaproponował mi, żeby wydawać niecenzurowany biuletyn. W redakcji byłem ja a także Maciej Kozłowski. Nazwaliśmy pismo: „Wiadomości Krakowskie”. Z nami był jeszcze Leszek Maleszka, który nagminnie blokował informacje i przeszkadzał, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, dlaczego tak postępuje. Wreszcie jednak daliśmy spokój sobie nawzajem. Został sam i wydawał „Gońca Małopolskiego”.

– **Czy spodziewał się Pan stanu wojennego?**

– Oczywiście, że tak, zwykle ludzie to przeczuwali, pytali co najwyżej o termin. Kilka dni przed 13 grudnia 1981 r. byłem w Warszawie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Przyszła wtedy do mnie koleżanka, po radę. Mąż w Kanadzie, ona ma jechać do niego, więc co powinna zrobić. Przecież szykuje się rozwiązanie siłowe. Jechać od razu czy za jakiś czas? Przyznam, że fatalnie jej wtedy doradziłem. Uznałem, że użycie siły nastąpi ale po ciężkiej zimie, gdy ludzie będą tak zmęczeni trudnościami życia codziennego, niedoborami, że szybciej je zaakceptują. Efekt wiadomy: gdy wprowadzono stan wojenny, ona znajdowała się w kraju, a on w Kanadzie. Źle na tym wyszli, w końcu ten jej mąż został tam włóczęgą.

– **Czy rozmawiał Pan przed 13 grudnia o sytuacji w partii, z kolegami stamtąd?**

– Rozmawiałem z Hieronimem Kubiakiem, który wprost mi wtedy powiedział: będzie rozwiązanie siłowe. Mnie z partii zaczęli wyrzucać przed stanem wojennym, chociaż formalnie dokonczyli zaraz po jego wprowadzeniu, za całokształt, nie za jedną konkretną sprawę. W stanie wojennym sugerowali mi, żebym napisał odwołanie do komisji kontroli partyjnej. A ja wtedy pisałem, ale do drugiego obiegu. Przy czym „Notatki gdańskie” złożyłem w Wydawnictwie Literackim na dwa tygodnie przed stanem wojennym. Później już po jego wprowadzeniu spotkałem dyrektora wydawnictwa, ale tylko ręce rozłożył. Maszynopis „Notatek gdańskich” dałem Andrzejowi Paczkowskiemu w stanie wojennym, on go przekazał Ukraincowi Labie, który później został profesorem w Berkeley, ale wtedy mu się jeszcze o tym nie śniło. U tego Laby SB zrobiła wówczas rewizję, ale Laba zdążył oddać maszynopis Paczkowskiemu, zanim go zwinęli. W głębokich latach 60 Paczkowski przeżywany wtedy owieczką był moim instruktorem wysokogórskich wspinaczek. Spadłem ze Starego Zawratu, a ściślej osunąłem się, bo inaczej byśmy nie rozmawiali, mogę więc powiedzieć, że zawdzięczam mu, że od tego czasu lekko utykam. Dalszy los „Notatek gdańskich” był taki, że spotkałem

się przy kawie z Krzysztofem Bobińskim, wtedy pracującym dla mediów zagranicznych. Dostarczył „Notatki gdańskie” Smolarowi.

– A jak Pan przeżył pierwsze dni stanu wojennego?

– Dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego przez władze złamałem obojczyk, przed Kościołem Mariackim, bardzo było wtedy ślisko, a bliscy powtarzali później, że to ręka boska. W ten sposób uległem autointernowaniu, jeśli można tak powiedzieć... Zresztą w Warszawie wtedy mówiono: u was w Krakowie to stanik wojenny... Rzeczywiście internowań było niewiele, jeśli porównać z innymi miastami. Współpraca moja z drugim obiegiem zaczęła się od Andrzeja Sabatowskiego. Znałem go z „Życia Literackiego”. Został stamtąd wyrzucony. Zaproponował mi pisanie do „Tymczasem”, na razie pod pseudonimem. Potem już w Warszawie miałem kontakt z „Vacatem” przez Wojciecha Giełżyńskiego. U nas zaś pisywałem do „Biuletynu Małopolskiego”. Dzwonił do mnie jego redaktor, który po zmianie ustroju został szefem delegatury NIK w Krakowie i przedstawiał się: mówi Jan. To był dla mnie sygnał, że trzeba coś napisać. Prosta ta konspiracja.

– Jak wyglądała kwestia represji?

– Jak mnie wsadzili z ulicy, zabierali na przesłuchanie, w Warszawie czy Krakowie wszystko jedno, sprawa była prosta: odmawiam zeznań. Zawsze się tego trzymałem. Marek Nowakowski za publikowanie pod nazwiskiem w drugim obiegu i za granicą miał sankcję, mnie też straszili.

– Co Pan po latach o sobie przeczytał w Instytucie Pamięci Narodowej?

– Zaświadczenie, że jestem pokrzywdzony, dostałem bez trudu. Wiem, że inni przeżyli szok. Ryszard Terlecki, który teraz jest zarówno wicemarszałkiem Sejmu jak przewodniczącym Klubu Parlamentarnego PiS znalazł obszerne dane własnego ojca – Olgierda Terleckiego z „Życia Literackiego”. Ponieważ wszystko to ogłosił publicznie, Maria de Hernandez-Paluch porównała go, również publicznie, do Pawlika Morozowa.

– ...bo to był patron radzieckich pionierów, który w czasie kolektywizacji doniósł na własnego ojca jako wroga ludu.

– Dokładnie takiego porównania użyła. Ryszarda Terleckiego doskonale znałem z lat 80, razem u ks. Jancarza pracowaliśmy tworząc Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy, podziemną uczelnię Solidarności. Prowadziłem wykłady z ekonomii i doktryn politycznych, Terlecki z historii.

– Spytały więc o środowisko „Arki”, bo stamtąd do niego blisko?

– W „Arce” opublikowałem jeden tekst o procesie toruńskim w 1985 r. Kontakt miałem przez Tadeusza Nyczka. Nie przepadałem za to za Janem Polkowskim, bo pozostawał bardzo dogmatyczny. Za to jeśli mowa o Nowej Hucie, to właśnie w IPN stwierdziłem, że były tam dwie teczki, po których zostały tylko sygnatury. Formalnie je zniszczono. Dotyczyły rozpracowania pisma „Hutnik”. Tak się składa, że byłem jego filarem. Mieliliśmy drugi nakład po „Tygodniku Mazowsze”. Prowadził to Marchewczyk, prosty chłopak, który lubił wódkę i baby, ale ubecy mimo to zupełnie daremnie kombinowali, jak go podejść. Kiedyś z Marią de Hernandez-Paluch poszedłem do niej do domu. A tu z sąsiedniego pokoju wychodzi facet w slipach. I od razu do niej: – Po co tego komucha przyprowadziłaś? W ten sposób się poznaliśmy z Marchewczykiem, ale dobrze go wspominam. Ukrywał się u niej. Współpracowałem z „Hutnikiem” od 1983 r. wyjąwszy 1985 r. i 1988 kiedy wyjeżdżałem za granicę. Na koniec napisałem w ostatnim numerze: „Przekujmy powielacze na lemiesz”. Był już rok 1989. Przed wyborami Szumowski prowadził dział informacji a ja byłem naczelnym pisma Solidarności. Wydaliśmy cztery numery, tytuł brzmiał po prostu „Głos Wyborczy Solidarności”. Raz do nas wtedy nawet Adam Michnik przyjechał, a zachowywał się jak papież.

– Ale dużo wcześniej rola Krakowa w opozycji wzrosła, już nie wspominało Wam, że tam był co najwyżej stanik wojenny?

– Pod koniec poprzedniego ustroju Kraków stał się trudnym dla władzy terenem. Odkomenderowano tam nawet gen. Grubę, wcześniej ko-

mendanta wojewódzkiego w Katowicach w czasie, gdy zdobywano Kopalnię Wujek. Po to, żeby zrobić porządek. W kotle w drukarni w 1987 r. w 1987 r. wpadł Marchewczyk. Wtedy Gruba osobiście się tam po-fatygował. I do Marchewczyka: – A kuku. Napisałem wtedy w „Hutniku”: „A kuku, gen. Gruba, my jesteśmy”, bo już chwalił się sukcesami, ile nielegalnych pism zlikwidował. Nakład rozrzucaliśmy również pod siedzibą SB i MO na Mogilskiej. Miałem później wielką satysfakcję. Gruba chodził na mecze piłkarzy Wisły Kraków, to był klub milicyjny. Przyszedł kiedyś na kolejny mecz Wisły, zasiadł w sektorze dla bonzów, a tu całe trybuny skandują: – A kuku. Oczywiście rola Krakowa w wydarzeniach 1988 roku okazała się nie do porównania z tą z pierwszych tygodni stanu wojennego. Mogliśmy mieć powód do dumy.

– A „Tygodnik Powszechny”, jak jego rolę Pan ocenia?

– W stanie wojennym stał się azylem dla wyrzuconych dziennikarzy. Spotykałem się tam zawsze z serdecznością starej gwardii, którą tworzyli Jerzy Turowicz, Maciej Kozłowski, Józefa Hennelowa i Mieczysław Pszon, wielka postać. „Tygodnik..” miał taką politykę, że wyrzuconych byłych partyjnych hołubił, ale... nie przyjmował do zespołu. Wszyscy wiedzieli, że miało to utrudniać pracę bezpiece, żeby jej nie było łatwo wsadzić do nich agenta. Poprzyjmowali za to młodych, związanych z prasą podziemną, dla których często jej redagowanie stanowiło główne zajęcie, ale oficjalnie też gdzieś pracować musieli. Oczywiście potem ci młodzi postanowili kopnąć starych i pojawił się problem. W ogóle po zmianie ustroju ciężko przyszło pewnej legendzie sprostać. Poparcie Tadeusza Mazowieckiego przeciwko Lechowi Wałęsie najpierw w „wojnie na górze” następnie zaś w wyborach prezydenckich jesienią 1990 r. nie było decyzją rozsądną. Naród Wałęsy pragnął, kochał go miłością czystą. Ale nie z tych względów doszło do mojego rozstania z ich środowiskiem. Przestałem bywać w „Tygodniku Powszechnym”, kiedy w Nowym Jorku w polonijnym wydawnictwie opublikowałem książkę „Duch Rzeczypospolitej” o polskiej tradycji demokratycznej. Znakomity historyk prof. Wandycz napisał jej recenzję. Odpowiedź z „Tygodni-

ka...” brzmiała jednak: bzdetów nie recenzujemy. To wtedy przestałem tam bywać.

– **Kraków kojarzy się z „Tygodnikiem” ale i Janem Rokitą. Miał być premierem z Krakowa...**

– Mądry człowiek, ale ego nie mieściło się w pokoju. Miałem z nim kontakt, gdy zostałem konsulem w Nowym Jorku, a on był szefem Urzędu rady Ministrów. Wtedy mówiono: w urmie jak w tiumie, bo Rokita miał zwyczaj przesiadywania w gabinecie do późna w nocy a inni musieli wraz z nim...

– **Jak Pan wspomina niedawno zmarłego Andrzeja Walickiego?**

– Doceniam głębię jego myśli ale wiele jego poglądów nawet wyrażanych w ostatnich wywiadach domaga się polemiki. Twierdził przecież, że po co Polacy tak przez lata rozrabiali, skoro Jaruzelski doprowadziłby i tak do wolnej Polski. Nie sposób było się z tym zgodzić. Zresztą Jaruzelskiemu nie przypisuję formatu męża stanu, bo trudno o to.

– **Dlaczego?**

– Józef Piłsudski poszedł do Magdeburga. Do twierdzy jako więzień, chociaż stawiał wcześniej na państwa centralne. Doświadczenie uwięzienia zatarło ten efekt. Jaruzelski tego nie potrafił...

– **Żeby dać się zamknąć w dobrej sprawie, tak?**

– Nie tylko o to chodzi, raczej o pewne horyzonty działania. Pamiętam z kolei jak Jarosław Kaczyński bardzo się bał w latach 70, że jego brata Lecha zamkną, co akurat nie miało miejsca. Bratowa Danusia pracowała na WSP w Sopocie jako asystentka. Zajmowała się prawem pracy, adiunktem w tamtej katedrze był Lech. Przychodził do nich do domu, brat obiad gotował, bo oni razem pisali prace naukowe. Kiedyś gdy do nich przyjechałem, Danusia rzuciła pomysł: idziemy na bal prokuratury. Jak się okazało, do kasyna milicyjnego. Wiadomo, co na to odpowiedziałem: przecież to bal tajniaków. A ona na to: nic się nie bój, Lechu będzie...

– Czyli Lech Kaczyński miał już wtedy pewien mir? Żeby zostać w tym wypadku przyzwoitką wystarczający?

– Wszyscy wiedzieli, że Lech doradza Wolnym Związkom Zawodowym Wybrzeża. Przez to nie awansował. Gdyby go Jarosław nie namówił na kandydowanie na prezydenta, na początek w Warszawie, byłby dziś szanowanym naukowcem. Dodajmy, że o lekko socjalistycznych przekonaniach.

– W czasach antykomunistycznej opozycji Jan Olszewski również o sobie mówił: jestem socjalistą.

– PPS-iaków poznałem z najlepszej strony, to był Feliks Gross z Nowego Jorku, Filipowicz.

– Adam Ciołkosz przekazywał pieniądze emigracyjnej PPS na opozycję demokratyczną.

– Co więcej, pierwsze pieniądze na wykup uwięzionych w 1976 r, na zapłatę grzywnien, pochodziły od PPS. Jan Józef Lipski chodził wtedy z chlebakiem. Wątek PPS pojawił się w moim życiorysie w latach 80 w okolicznościach można powiedzieć dość banalnych. W doborowym gronie opozycyjnych dziennikarzy umówiliśmy się, żeby napić się wódki. Wylądowaliśmy u Pikulickiego. Jak się okazało, tam był kocioł. Ubecy stali w drzwiach. Wpadł wtedy również Mietek Gil. Jeden Maciek Szumowski zorientował się i nie wszedł. Ubecja zaś jak się okazało, miała pomysł, żeśmy się zebrali po to, żeby utworzyć PPS.

– Wkrótce Polska Partia Socjalistyczna w kraju rzeczywiście powstała?

– Utworzono ją na spotkaniu, które odbyło się w ogródkach działkowych. Rekomendowano mnie do rady PPS. Później niestety Piotr Ikonowicz zaczął zarzucać Janowi Józefowi Lipskiemu, że jest agentem. Zaczęły się gorsze klimaty.

– Przez jakiś czas były nawet trzy PPS-y: PPS Lipskiego, PPS-Revolucja Demokratyczna Ikonowicza oraz PPS-TKK Grzegorza Ilki?

– Rzeczywiście utknęło to wszystko w licznych rozłamach, w których trudno było się już zorientować i rozmyślać...

– A KPN jak pan wspomina?

– Starych KPN-owców bardzo cenię, szanuję ich geopolityczną wizję i rozagę, to nie była banalna myśl polityczna, wszystko co pisał Leszek Moczulski. KPN w Krakowie był silny, Moczulski stąd kandydował. Jednak wtedy właśnie pojawił się problem, bo KPN nawet posłów zaczął brać z ulicy. Lubię Krzysztofa Króla, ale on z kolei z czasem uwierzył w drugi komitet obywatelski przy Lechu Wałęsie, już w nowych czasach, a ja tej wiary nie podzielałam.

– Bo to nie czasy „my, naród”?

– W najlepszym dla Wałęsie czasie jego przemówienie w Kongresie tłumaczył Jacek Kalabiński. Poznałem go, gdy pojechałem za własne pieniądze w podróż dookoła świata. Mieszkalem wtedy przez dwa tygodnie u Kalabińskich na Brooklynie. Niestety, gdy Jacek Kalabiński ciężko zachorował, „Gazeta Wyborcza” nieładnie się z nim obeszła, a był jej wieloletnim korespondentem.

– Pan w nowej Polsce ma za sobą doświadczenie dyplomatyczne. Czy oprócz reprezentowania kraju rozwiązywał Pan kwestie trudne?

– Akurat zaczęła się sprawa Demianjuka. Pojawiło się w druku to nieszczęsne „polish concentration camp”, fatalne określenie. Siedziałem w konsulacie polskim i pracowałem nad listem do „New York Timesa”. I nagle przychodzi Roman Kent, polski Żyd, szef zgromadzenia osób, ocalałych z Holocaustu. Dowiedział się ode mnie, co robię, I od razu rzucił: idziemy do Abe’a Faxmanna. On wtedy był szefem Anti-Defamation League. Napisał list, że wprawdzie w Polsce istniał antysemityzm, ale obozy nie były polskie, tylko niemieckie, nazistowskie.

– Jaki był skutek?

– Przez parę lat wspomniane określenie w ogóle nie pojawiało się w druku. Nie używano nazwy polskie obozy koncentracyjne. Jednym listem to osiągnął. Po paru latach przyjechał do Stanów Aleksander Kwaśniewski jako prezydent. Spotkaliśmy się wtedy z Abe Faxmanem w hotelu. Powiedział wtedy: – Panie prezydencie, Polska i Liga Antydefamacyjna to dwie najwspanialsze sprawy na świecie. Wcześniej jeszcze miałem w USA pasjonujące spotkania. W 1985 r. siedzieliśmy z Maciejem Iłowieckim w Głosie Ameryki. Aż tu nagle wchodzi Henryk Grynberg. I mówi: – Mój ojciec był pachciarzem u dziedzica Iłowieckiego.... Ta dusza polskiego Żyda... To były niepowtarzalne spotkania. Przed odlotem z Okęcia ubek wezwał mnie na rozmowę, odczytał mi listę wszystkich pseudonimów, którymi podpisywałem artykuły w drugim obiegu. Nic nie wskórał, bo powiedziałem, że niczego nie podpiszę. W końcu rzucił mi paszport. Po latach wyjechałem na placówkę i gdy Tadeusz Mazowiecki jako premier przebywał w Nowym Jorku sam go wiozłem samochodem, więc musiałem spełnić wymogi Secret Service, o co niełatwo, bo kierowcą zawodowym nigdy nie byłem.

– Przez tyle lat towarzyszył Pan swoim piórem Solidarności i szerzej opozycji antyustrojowej. Warto było, jak z perspektywy lat Pan to ocenia?

– Moja Solidarność to nie obecny związek zawodowy wspierający PiS. Dla mnie to lata 1980-81. Anna Walentynowicz w trakcie zbiórki w Stoczni Gdańskiej pierwsza wpłaciła ofiarę. Wcześniej była przodowniczką pracy, kandydatką do PZPR, zrozumiała jednak, że inni chcą ją wykorzystać, wyzwoliła się z tych uwikłań. Dla mnie solidarność to jedno z najważniejszych pojęć filozoficznych. Inna nazwa chrześcijańskiej miłości – to solidarność wobec innego człowieka. Dziękujemy więc Bogu, żeśmy wtedy potrafili być solidarni przez 16 miesięcy. To i tak długo.

(Tekst rozmowy nieautoryzowany)

ROZMOWA Z KS. JERZYM BŁASZCZAKIEM

Portret Papieża na bramie Stoczni był z Domu Księży Pallotynów i Kościoła św. Elżbiety.



– Kiedy Ksiądz znalazł się po raz pierwszy w Gdańsku na posłudze duszpasterskiej?

– W Gdańsku byłem dwukrotnie. Po raz pierwszy znalazłem się tam w 1972 r., dwa lata po Grudniu. Współpracowałem wówczas z ks. Pałygą i ks. Papką. Pierwszy z nich za punkt honoru wziął sobie organizowanie spotkań również z ludźmi niewierzącymi, a w ogóle z różnymi środowiskami, niezmiernie barwnymi i twórczymi: z ludźmi teatru, w tym trójmiejskimi aktorami, z harcerzami z kręgów oficjalnie przez władze nie uznawa-

nych, z nauczycielami. Do doświadczeń międzywojennego jeszcze ruchu harcerskiego nawiązywał Zodiak. Tworzyli go dorośli ludzie, skupieni wokół prof. Wiesława Jasińskiego z Politechniki Gdańskiej, dla których dawne harcerskie ideały pozostawały bliskie.

– Czego dotyczyły dyskusje, które toczyliście?

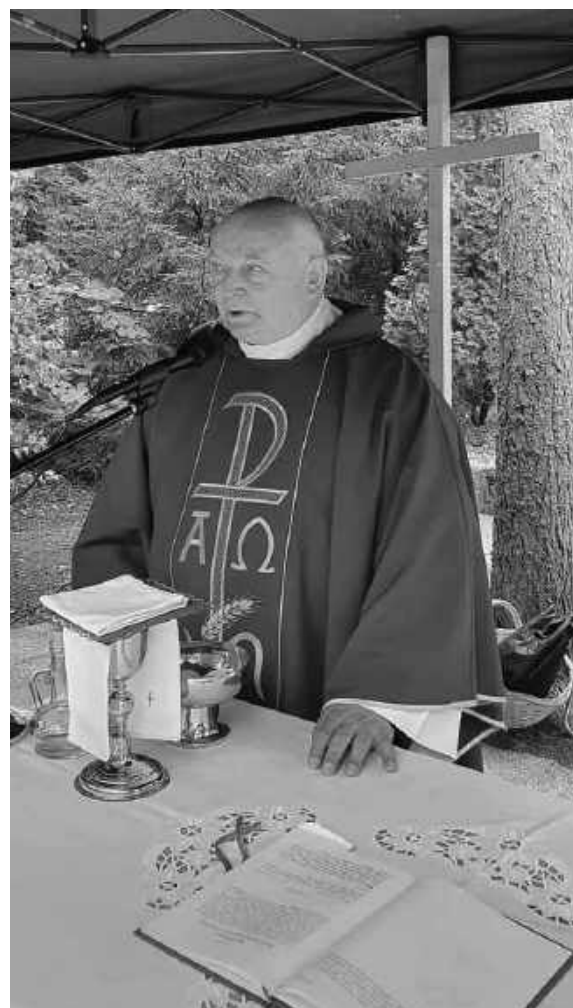
– Działo się to krótko po Soborze Watykańskim II, więc moją rolę pozostawiało zaznajomienie wiernych ale również osób nastawionych sceptycznie z dokumentami soborowymi i przede wszystkim duchem tego wielkiego, historycznego dzieła. Spotykaliśmy się raz w miesiącu, po domach prywatnych, w Gdyni, Orunii czy Oliwie. Organizowałem wyjazdy na Dni Skupienia do klasztoru w Żarnowcu, gdzie panowała znakomita i niepowtarzalna atmosfera. Narto-rekolekcje były z kolei autorskim naszym pomysłem, tak nazwaliśmy wyjazdy do Doliny Pięciu Stawów. Do obiadu rzeczywiście jeżdżono na nartach. Po obiedzie dyskutowało o najważniejszych sprawach. Studiowaliśmy zarówno Pismo Święte jak dekrety soborowe. Rozmawialiśmy, Msza św. Polowa, Droga Krzyżowa.

– Czy wspomnienia Grudnia 1970 r. były żywe w środowisku, które ksiądz w Gdańsku zastał?

– Pogrzeby jak Panowie wiecie odbywały się nocą, więc wspomnienia o Grudniu pozostawały... szeptane. Paradoks sprawił, że nasz kościół św. Elżbiety był usytuowany niemal przy Komitecie Wojewódzkim PZPR, dosłownie o dwa kroki. Ks. Tadeusz Korbecki wtedy niedawno wyszedł z wojska, bo to był czas, kiedy kleryków władza powoływała do tej służby – więc odrzucał milicyjne petardy i granaty z gazem, ratował poszkodowanych, sam został poważnie poraniony, ponieważ go zbili i skatowali, ślady tego zdarzenia nosił na ciele aż do śmierci. Prawdziwy męczennik. Słusznie Panowie o te wspomnienia pytają. W mojej ocenie tamte wydarzenia i wspomnienia o Grudniu połączyły te 40-50 osób, wśród których wtedy przyszło mi działać, co znakomicie wspominam, w zwartą grupę.

– Nie idealizuje Ksiądz?

– Oczywiście, że nie, w każdej grupie niestety zdarzali się też donosiciele, wkrótce okazało się, że w opracowanym przez SB dokumencie poświęcono mi 20 stron materiałów jako jednemu z księży, uznanych wtedy za najbardziej niebezpiecznych dla ustroju. Jednak na trzy lata przyszło mi wtedy wyjechać z Gdańska, zostałem Mistrzem Pallotyńskiego Nowicjatu w Żąbkowicach, powróciłem w 1978 roku.



– To już była zupełnie inna sytuacja?

– Oczywiście, że wiele się zmieniło. Wróciłem w sierpniu 1978 r. do Gdańska, a w październiku kardynał Karol Wojtyła wybrany został na Stolicę Piotrową. Gazetki wydawane przez KOR krążyły już u dominikanów. Wcześniej już miałem rekolekcje u ks. Jastaka w Gdyni. Starszy ode mnie o kilka lat powierzył mi rekolekcje wielkopostne, a że akurat były wybory do rad narodowych, odpowiednika samorządu w PRL jeśli tak powiedzieć można,

bo kandydatów wskazywała władza, powiedziałem o tym, kto raz odda pokłon, że czyni to już na zawsze, jak powiadał Chrystus. Staralem się wtedy o paszport do Rzymu. Nie dostałem go. Zarzut poznałem: mieszam się do polityki. Ubek w trakcie rozmowy o paszporcie ten właśnie zarzut mi postawił.

– **Co Ksiądz odpowiedział?**

– Wiedziałem, o które kazanie chodzi, wskazałem, że odnosiłem się do tego, co zawiera Ewangelia. I usłyszałem: – Gdyby ksiądz był politykiem i coś nam obiecał. Ale i tak ksiądz tego nie dotrzyma... W ten sposób moja podróż do Rzymu jeszcze w 1974 r. okazała się wyjazdem niedoszłym. Okoliczności odmowy wpłynęły za to na moją definicję polityki.



– **Jak to Ksiądz rozumie?**

– Esbek trzymał długopis. Świecili lampą w oczy. Wystarczyło wziąć ten długopis z jego ręki, podpisać: kwituję odbiór paszportu. Wtedy mieliby mój podpis. Wiedziałem, że tego nie wolno mi zrobić. Odpowiedziałem w ten sposób: zarzuca mi pan, że się mieszam do polityki, a sam mi pan proponuje, żebym was oszukał. Dlatego na moją ocenę i definicję polityki tamta rozmowa trwale wpłynęła. Chociaż później pojmowałem oczywiście politykę jako troska o dobro wspólne, działalność na rzecz niego, jak ujmuję to społeczna nauka Kościoła w ślad za Arystotelesem.

– **Zbliżamy się do Sierpnia 1980 w Księdza opowiadaniu...**

– 14 sierpnia 1980 r. wracam z Gdyni. Jadę i widzę chorągiewki na samochodach. A także na bramach zakładów. Kościół Św. Elżbiety ten nasz znajdował się od Stoczni Gdańskiej niedaleko, blisko również dworca kolejowego, a o sąsiedztwie z komitetem wojewódzkim PZPR już wspominałem. Klóciłem się nawet wcześniej z sekretarzem KW Tadeuszem Fiszbachem o dzielący nas plac zastawiony ich samochodami, pomiędzy którymi zmierzający do kościoła wierni musieli się jakoś przeciskać, co nie było łatwe. Po prostu ludzie przejść nie mogli. Ale gdy przyszedł Sierpień, pojawiły się inne, poważniejsze problemy. Słowa Solidarność jeszcze wtedy się nie słyszało, pojawiło się natomiast 21 postulatów strajkowych. Gdy 17 sierpnia przyjechał pociąg, do nas na plebanię zastukało dwóch panów: Tadeusza Mazowieckiego już wcześniej znałem, towarzyszył mu mężczyzna z brodą, był nim Bronisław Geremek. Spytały, czy nie poczęstowałbym ich herbatą. Oczywiście nie tylko ją dostali, ale coś do jedzenia. Około dwunastej w nocy spytały, czy nie zaprowadziłbym ich do Stoczni Gdańskiej.

– **Jak Ksiądz zareagował?**

– Nałożyłem sutannę i ruszyliśmy. Powiedziałem, że może być tak, że myśz się nie prześliznie. Zaprowadziłem ich do Stoczni, w szpalerze suk milicyjnych. Nikt nas nie zatrzymywał. Noc wtedy obaj panowie, Mazowiecki i Geremek, spędzili rzeczywiście na styropianie.

– **Utrzymaliście kontakt?**

– Potem co noc przychodzili Mazowiecki z Geremkiem spać u św. Elżbiety. Blisko dworca, dogodna lokalizacja. Zresztą czuli się tam dobrze. Trochę z nimi rozmawiałem, na ile pozwalało ich zmęczenie i zaabsorbowanie.

– **Co mówili, jaki był stan ich świadomości i wiedzy o sytuacji?**

– Czekali na przyjazd delegacji z Warszawy z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim na czele. Gdański sekretarz Tadeusz Fiszbach spra-

wiał wrażenie, że chroni stoczniowców. Wtedy byłem nawet przekonany o jego kaszubskim pochodzeniu, potem okazało się, że wywodzi się spod Sokala, należącego do Polski przed wojną, teraz położonego po drugiej stronie granicy, już na Ukrainie. Nastroje nie były wtedy jednoznaczne, grożono przecież rzezią, jakąś nocą św. Bartłomieja czy długich noży, a wspomnienia Grudnia 1970 r. wciąż pozostawały żywe.

– Z Lechem Wałęsą wtedy Ksiądz się zetknął?

– Wałęsa siedział wówczas w Stocznii. Powtarzał się co wieczór podobny mechanizm, że przychodzili Geremek z Mazowieckim, utyskiwali, że Wałęsa ma jakiś dziwny pomysł i przy nim się upiera, zaś już następnego dnia byli tym jego projektem zachwyceni po prostu, uznawali go za własny, tak to przebiegało. Wiem, że w wielu sprawach im się sprzeciwiał.

– Jak było z portretem Papieża na bramie Stocznii?

– W Gdańsku przy wejściu do pallotyńskiego Domu miałem portret Papieża. Gdy przyszli ze Stocznii i poprosili, nie mogłem im go nie dać. Chyba to Panów nie dziwi. Przyszli, zabrali portret do Stocznii, na bramę. Oczywiście potem już go nie odzyskałem, żartuję trochę, bo to przecież nie najważniejsze.

– Ks. Józef Tischner był wtedy u Papieża, w Castel Gandolfo. Razem oglądali we włoskiej telewizji relacje z Polski. I nagle włoska tv pokazuje portret Jana Pawła II na bramie Stocznii. Papież jakby aż się skulił, zaniemówił, poczuł chwilę wielkiej odpowiedzialności. A ks. Tischner widząc to dodał, że ten portret na bramie może stać się symbolem, który powstrzyma rozwiązanie siłowe.

– Przyczynił się do tego również ks. Henryk Jankowski, odprawił mszę w Stocznii, tam był mój współbrat ks. Jerzy Romanowicz, odbyła się spowiedź.



– To ta okładka anglojęzycznego magazynu „Time” z kłęczącymi robotnikami w kombinezonach stocznio-
wych, portret na
bramie też tam jest
widoczny.

– Wiele rzeczy
zmieniło się błyska-

wicznie. Na sam koniec sierpnia 1980 r. miałem jechać na koronację obrazu w Hodyszewie na Podlasiu. Tylko jak, skoro w całym Trójmieście paliwo pozostało niedostępne. Pojechałem jednak na stację benzynową.

– Negocjować?

– Pokazano mi dwóch panów w fiacie. Siedzieli z boku. Powiedziałem, o co chodzi. I zaraz benzyna się znalazła, zatankowaliśmy pod korek i do kanistrów. Wkrótce po mnie przyjechała milicja. Ale oni nic nie wskórali. Odjechali z niczym. Rozumiecie Panowie: to jest Polska 1980 roku, na dziewięć lat przed upadkiem komunizmu, a ludzie przyszłej Solidarności rządzą już nawet na stacji benzynowej, decydują, komu paliwa nalać.

– I wtedy podpisano porozumienia.

– Dowiedziałem się o nich w Hodyszewie. Kazanie wygłosiłem tam o solidarności. O tym, co słowo to znaczy. Soli Deo, samemu Bogu, to była dewiza ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Prymas miał ją w herbie. Sam Bóg jest darem dla człowieka, to z niej wynika. I tak pojmuję słowo solidarność, że ja sam mam być darem dla drugiego człowieka. Papież tłumaczył właśnie w Gdańsku słowa św. Pawła: jeden drugiego brzemiona noście.

– A wtedy w Gdańsku w sierpniu...

– ...zardzewiały tory tramwajowe, bo strajkowała komunikacja miejska, na ulicach nie było pijanych bo nie sprzedawano alkoholu, więc torowiska zarastały trawą. Do końca u św. Elżbiety byli panowie Mazowiecki z Geremkiem. Po porozumieniach odprawiłem mszę dziękczynną, w której obaj wzięli udział, był też Andrzej Wielowieyski, Zbigniew Romaszewski. Zaczął się karnawał Solidarności. We wrześniu 1980 r. Klub Inteligencji Katolickiej zorganizował pielgrzymkę do Rzymu i tym razem już kłopotów z paszportem nie miałem. Dostałem nawet te przydziałowe 10 dolarów na drobne wydatki. A w trakcie pobytu we Włoszech dowiedziałem się o powstaniu związku zawodowego Solidarność.

– W trakcie spotkania w Gdańsku 17 września Lech Wałęsa zdecydował się na powołanie ogólnopolskiego związku, co wcale nie było oczywiste, wielu doradców sarkano?

– Wałęsa miał swój instynkt, słusznie wtedy rozstrzygnął, chociaż jak wiadomo, miał też swoje uwikłania, zapewne później sprawy potoczyłyby się lepiej, gdyby się z nich w odpowiednim czasie wytłumaczył. 17 września w Gdańsku był m.in. Jan Olszewski, a Wałęsa zdecydował się na jeden związek, całkiem słusznie. Z mecenasem Olszewskim zetknąłem się później, w 1984 r. w trakcie posługi w Lublinie, dokąd Olszewski przyjechał, żeby bronić dwóch studentów. Pamiętam jednego z nich, Piotr Szczudłowski nawoływał, żeby zamiast wziąć udział w pochodzie pierwszomajowym iść w tym czasie do kościoła. Wraz z drugim oskarżonym studentem dostali wtedy za to po 4 lata, ale że bronili ich Olszewski i mec. Preciszewska, to dzięki temu za kratami spędzili krótszy czas, każdy po roku. Szczudłowski to mój parafianin, więc czułem się w obowiązku być na rozprawie. Długo nie chcieli mnie wpuścić. W końcu jednak wszedłem. Wiem, że już w 1992 r. mec. Olszewski spodziewał się innego stanowiska od Wałęsy w sprawie zarzutów z dawnych lat, a ówczesny prezydent wydał wtedy w odstępie kilku godzin dwa bardzo różniące się od siebie oświadczenia.

– Wraca Ksiądz z Rzymu, z tej pielgrzymki KIK. I okazuje się, że karnawał Solidarności to jednak ciężka praca?

– My Gdańczanie mieliśmy wtedy poczucie, że w pewnej mierze u nas jest stolica Polski. Pamiętam świetnie strajk tuż przed stanem wojennym. W listopadzie 1981 r. okupację urzędu wojewódzkiego podjęły trzy grypy zawodowe: lekarze, aktorzy i nauczyciele. Władza chciała się z nimi dogadać, ale z każdym z osobna. Poproszono mnie o odprawienie mszy tam na miejscu, na strajku. Poszedłem wraz ze współpracującym ze mną księdzem Stefanem Połóncem. Strajkiem dowodził Bogdan Lis. Doradziłem jego uczestnikom spowiedź. Do mszy wzięłem temat z Ewangelii, jak dziesięć dni i nocy uczniowie trwali na jednomyślnej modlitwie razem z Matką Jezusa, aż wreszcie przyszło zesłanie Ducha Św. Wkrótce, w trzy godziny po tym, jak odprawianie mszy zakończyłem, władza podpisała porozumienie ze wszystkimi protestującymi grupami łącznie: nauczycielami, aktorami i lekarzami. Było to 10 listopada Święto Matki Bożej Ostrobramskiej.

– Ale zaraz i tak wprowadzono stan wojenny.

– 13 grudnia byliśmy w Kościele Mariackim na mszy świętej i spotkaniu solidarnościowym u ks. Bogdanowicza, tam pojawił się nagle Aleksander Hall z Ruchu Młodej Polski, powiadomił, że ucieka, później długo się ukrywał. Jednak o wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się wcześniej, gdy o północy zamilkło radio, nadające mszę dla tych, co na morzu. Nie wszyscy pamiętają, że na mocy porozumień sierpniowych nie tylko w Warszawie u św. Krzyża wprowadzono niedzielą mszę radiową ale też w Gdańsku u św. Elżbiety dwie Msze Święte z soboty na niedzielę i w niedzielę. Pracowaliśmy nad nią u św. Elżbiety. Ale w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. nadajniki zamilkły. Zdażyłem tylko powiedzieć: czarne chmury zgromadziły się nad Polską. I odmówić „Pod Twoją obronę...”.

– Co działo się dalej?

– Za chwilę do nas do św. Elżbiety wpadła cała chmara: Mazowiecki, Geremek, Wielowieyski, Bujak i Janas. Do tej pory Bujak nie oddał

wypożyczonych dla niego z teatru wąsów. Tamci poszli, został Zbigniew Bujak jedni potem wpadli inni nie, ale sam Bujak przez pierwszy tydzień dowodził rodzącą się konspiracją ze św. Elżbiety. Krócej był z nami Zbigniew Janas. Za to Zbigniew Bujak mieszkał u św. Elżbiety w pokoiku, przychodził na wspólne posiłki, a pani Maria ucharakteryzowała go. I zaprowadziła Bujaka na dworzec. Pojechał lokomotywą.

– Czy poszedł Ksiądz do Stoczni w tamtym czasie?

– Jak czołgi przyjechały pod stocznię, to znowu założyłem sutannę i poszedłem. Potrzebowałem chwili, żeby się zorientować, kto to jest. Usłyszałem, że czołgiści mówią po polsku. Nie po rosyjsku. To byli Polacy. Nam się to wcale nie wydawało z góry oczywiste. Przyszły wtedy pod Stocznę kobiety z Gdańska. Mówię więc do nich: przynieście tym w czołgach chleb, herbatę i jedzenie. Rzeczywiście tak zrobili. A w lufy czołgów powkładały im kwiaty. Oni z tymi kwiatami w lufach czołgowych działek odjechali. Później już pojawiło się ZOMO. Mnóstwo działało tych co po cywilnemu. Spisywali prawie codziennie, co w kościele mówiłem. Miałem poczucie, że jestem inwigilowany, żadnych złudzeń. Pewnego dnia ksiądz Tadeusz Słonka przekazał w ogłoszeniach trzy niezwykle ważne wiadomości równocześnie: że Lech Wałęsa został zwolniony, zmarł Leonid Breżniew a Ojciec Święty przyjedzie do Polski w 1983 roku. Ale droga do tego była długa. 16 grudnia 1981 roku na placu przed św. Elżbietą zastrzelono Antoniego Browarczyka. Miał 20 lat. Na

pogrzeb czekał dwa tygodnie. Doskonale pamiętam, jak mówiłem kazanie o tym, że każdy ma prawo do pochówku, przywoływałem dramat Antygony. Gdy odmawialiśmy wtedy „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpusz-

czamy...” pamiętam... taką chwilę wahania czy zacięcia, ale przecież modlitwę „Ojcze nasz” do końca dopowiedzieliśmy.

– Kiedy zetknął się Ksiądz z Jerzym Popiełuszką?

– Spotkałem go, gdy przyjechał do Gdańska, a zaprosił go ks. Jankowski. Zamówił ks. Jankowski mszę u św. Elżbiety, bo miał proces z politycznymi zarzutami. Pamiętam temat kazania: uderz w pasterza, a rozproszą się owce. Po mszy wierni poszli wraz z ks. Jankowskim do sądu. Pozostało więc sędziom rozprawę odroczyć. To był już 1983 rok. Ks. Jerzy zginął rok później. Bardzo ciężko o tym mówić, ale jego ofiara, męczeństwo i śmierć posłużyły jakoś działaniom Wałęsy, Geremka czy Mazowieckiego, bo to wtedy nastąpiło odrodzenie Solidarności. Śmierć ks. Jerzego Popiełuszki przesądziła o zwycięstwie Solidarności jak śmierć ks. Ignacego Skorupki w Bitwie Warszawskiej roku 1920. A ja mam jeszcze jedno wspomnienie: wtedy, kiedy już zostałem przeniesiony do Lublina, co nastąpiło w 1984 roku, w drodze na pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki zatrzymała mnie milicja, że za szybko jadę. Tłumaczę, że na pogrzeb się spieszę. I co słyszę od nich? „Zabije się ksiądz i znowu będzie na nas”. W Lublinie jednak głównym moim zadaniem było zbudowanie kościoła. Ubacy przychodzili na plebanie, wiecznie o coś wypytywali, pokazywałem cegły, które trzeba przenieść. Jest takie powiedzenie, że budowniczemu kościoła połowa jego grzechów będzie odpuszczona. Ale tylko połowa. Wreszcie powstał taki kościół, który liczy 20 sal katechetycznych.

– A komunizm upadł, wojska radzieckie się wycofały...

– W czerwcu 1989 r. znów się bardzo kibicowało Wałęsie. Pewnie miał wrażenie, że wtedy komunistów przechytrzył. A potem przypomniało mi się takie powiedzenie: jaka jest różnica między cudem a naturalnym zjawiskiem. Rzecz naturalna, to jeśli z nieba zstąpią Aniołowie i przegonią radzieckie wojska. A cud wtedy, kiedy Rosjanie sami wyjdą i wyszli.

*Żyjemy w czasie cudu,
jednego w 1920 roku, drugiego 1980 roku.*



DR ANDRZEJ ANUSZ

KONWENT ŚWIĘTEJ KATARZYNY – NAJWAŻNIEJSZE FAKTY

Inicjatywą, która bezpośrednio doprowadziła do powstania Konwentu świętej Katarzyny było powstanie po przegranych przez ugrupowania centroprawicowe i patriotyczne wyborach parlamentarnych jesienią 1993 roku Sekretariatu Ugrupowań Centroprawicowych.

SUC – Sekretariat Ugrupowań Centroprawicowych – powstał 14 października 1993 roku. Akces do niego zgłosiły: Chrześcijańska Demokracja – Stronnictwo Pracy, Porozumienie Centrum, Porozumienie Ludowe, Porozumienie Regionalne Ruchu dla Rzeczypospolitej (późniejsze Zjednoczenie Polskie), Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej, Stronnictwo Wierności Rzeczypospolitej – KSN; wsparcia udzieliły NSZZ „Solidarność” i Porozumienie Niepodległościowych Organizacji Kombatanców, Sekretariat tworzone także przy współudziale członków Chrześcijańskiej Demokracji, Ruchu dla Rzeczypospolitej, Unii Polityki Realnej i Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego.

21 października 1993 roku SUC skierował apel do działaczy i sympatyków centroprawicy w Polsce o aktywność w staraniach o integrację.

22 października 1993 roku Sekretariat zwracał uwagę na odradzanie się tendencji imperialnych w Rosji.

12 listopada 1993 roku przedstawiciele PC i PL wchodzący w skład SUC podpisali wspólny komunikat z prezesem ZChN. Poinformowali, że występują z Sekretariatu, aby tworzyć wraz z ZChN i KK Koalicję Przymierze dla Polski.

W listopadzie 1993 roku SUC podjął decyzję o zorganizowaniu **5 grudnia 1993 roku** I Ogólnopolskiej Konferencji Centroprawicy w Krakowie na temat przyszłej konstytucji. Podczas konferencji referaty wygłosili: senator Piotr Łukasz Andrzejewski („Solidarność”), Leszek Piotrowski (PC), Stanisław Michalkiewicz (UPR) i Kazimierz Barczyk (ZP), który był głównym organizatorem wszystkich krakowskich konferencji.

Powołano Społeczną Komisję Konstytucyjną, do której weszli między innymi Andrzej Rościszewski, Barbara Niemiec, Zbigniew Romaszewski, Jan Olszewski, Piotr Łukasz Andrzejewski, Kazimierz Barczyk, Andrzej Bentkowski, August Chelkowski, Józefina Hryniewicz, Leszek Jankowski, Stanisław Krukowski, Krzysztof Piesiewicz, Andrzej Smirnow, Tomasz Strzembosz, Stanisław Szczuka, Jacek Trznadel. W pracach komisji uczestniczyli przedstawiciele SUC: Tomasz Jackowski, Jan Parys, Wojciech Ziemiński. Komisja zobowiązała się przygotować Obywatelski Projekt Konstytucji.

12 stycznia 1994 roku na czele Komisji stanął przewodniczący NSZZ „Solidarność” Marian Krzaklewski, głównym koordynatorem prac Komisji został dziekan Warszawskiej Rady Adwokackiej Andrzej Rościszewski. Po ogłoszeniu też projektu konstytucji liczne uwagi zgłosiły poszczególne regiony „Solidarności”, Komisja Krajowa i jej prezydium, a także SUC. Projekt wraz z poprawkami, konsultowany z przedstawicielem Episkopatu, przyjęła i zatwierdziła 22 czerwca 1994 roku w Gdańsku Komisja Krajowa „Solidarności” na specjalnym posiedzeniu z udziałem przedstawiciela SUC.

Na posiedzeniu w dniu **16 grudnia 1993 roku** SUC postanowił zwołać na **29 stycznia 1994 roku** do Krakowa II Ogólnopolską Konferencję Centroprawicy pod hasłem „Samorządność III Rzeczypospolitej”. Podczas konferencji referaty wprowadzające do dyskusji wygłosili: August Chelkowski (senator „Solidarności”, były marszałek Senatu), Grzegorz Palka (prezydent Łodzi, ZChN), Lech Pruchno-Wróblewski (UPR), Adam Glapiński (PC), Henryk Klata (ZChN), Stefan Pastuszewski (ChD-SP), Witold Świtalski (ChD-SP), Kazimierz Barczyk (ZP), Barbara Bubula (ZP).

W okresie styczeń-maj 1994 roku SUC zajmował się pracą nad Obywatelskim Projektem Konstytucji.

26 marca 1994 roku odbyła się III Ogólnopolska Konferencja Centroprawicy w Krakowie na temat „Gospodarka i społeczeństwo”. Referaty wygłosili: Adam Glapiński, Józefina Hrynkiewicz, Marcin Libicki, Dariusz Grabowski, Andrzej Wieczorek, Sławomir Dąbrowski, Waldemar Pernach, Lech Pruchno-Wróblewski, Piotr Wójcik, Kazimierz Barczyk.

27 marca 1994 roku SUC wezwał „rząd Polski do podjęcia odpowiedzialnej akcji na terenie międzynarodowym, zmierzającej do demilitaryzacji Królewca (Kaliningradu) i zapewnienia bezpieczeństwa krajom nadbałtyckim”.

Wiosną status organizacji wspierających SUC uzyskały: Ruch dla Rzeczypospolitej (Jana Olszewskiego) i Instytut Wolności Ekonomicznej i Politycznej, które już od kilku miesięcy uczestniczyły w konferencjach krakowskich.

3 maja 1994 roku w całym kraju przedstawiciele SUC wzięli udział w obchodach rocznicy Konstytucji 3 Maja.

8 maja 1994 roku SUC zaapelował o powrót Polaków z Kazachstanu „Nie wolno nam odwracać się dłużej od naszych rodaków w Kazachstanie, tym bardziej że ich przyszłość wydaje się być zagrożona przez tamtejszy wzmagający się nacjonalizm. Pamiętajmy, Naród Polski jest jeden niepodzielny”.

19 maja 1994 roku SUC poparł działania NSZZ „Solidarność” i wezwał do wzięcia udziału w manifestacji zaplanowanej na 27 maja w Warszawie.

6 czerwca 1994 roku odbyła się konferencja prasowa SUC na temat programu niezależnych obchodów 50-lecia akcji „Burza” i Powstania Warszawskiego.

25 czerwca 1994 roku odbyła się IV Ogólnopolska Konferencja Centroprawicy na temat „Bezpieczeństwo i suwerenność państwa polskiego”. Referaty wygłosili: Jan Parys, Antoni Macierewicz, Andrzej Nowak.

29 czerwca 1994 roku Sekretariat, w celu sprawnego zbierania podpisów pod Obywatelskim Projektem Konstytucji, powołał Obywatelską Akcję Konstytucyjną.

6 lipca 1994 roku SUC wyraził zdecydowany sprzeciw wobec odsuwania przez Sejm ratyfikacji konkordatu.

19 lipca 1994 roku Akcja Konstytucyjna wystosowała apel o poparcie Obywatelskiego Projektu Konstytucji.

Od 28 do 31 lipca 1994 roku trwały, współorganizowane przez SUC niezależne obchody 50. rocznicy Powstania Warszawskiego. 3 sierpnia SUC wydał na zakończenie obchodów oświadczenie: „Przyjmujemy z głęboką satysfakcją prośbę o przebaczenie za zbrodnie dokonane przez państwo niemieckie na Narodzie Polskim, wyrażoną przez prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Romana Herzoga w dniu 1 sierpnia 1994 roku w Warszawie. Słowa te otwierają ze strony niemieckiej – w odpowiedzi na pisanie biskupów polskich z 1965 roku – drogę do rzeczywistego pojednania naszych narodów i bezpieczeństwa Europy Środkowej”.

10 sierpnia 1994 roku odbyło się spotkanie SUC z przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Marianem Krzaklewskim, poświęcone głównie akcji zbierania podpisów pod Obywatelskim Projektem Konstytucji.

17 sierpnia 1994 roku przedstawiciele Sekretariatu wzięli udział w I Międzynarodowym Sympozjum Falzmannowskim.

W lipca i sierpniu 1994 roku trwała akcja zbierania podpisów pod Obywatelskim Projektem Konstytucji. Przy przychylnym stanowisku Kościoła udało się zebrać wymaganą liczbę podpisów.

24 sierpnia 1994 roku SUC wydał oświadczenie w przededniu 14. rocznicy Sierpnia ,80: „Składając podpis pod tym projektem (chodzi o Obywatelski Projekt Konstytucji przyp. A.A.) przyczyniamy się do zahamowania procesu rekommunikacji Polski. O takiej konieczności świadczą ostatnie fakty: nominacja Mariana Zacharskiego na szefa wywiadu czy wyrok sądu uniewinniający agentów SB Płatka i Ciastonia”.

14 września 1994 roku w posiedzeniu SUC wzięli udział przedsta-

wiciele Krajowej Sekcji Pracowników Ochrony Zdrowia NSZZ „Solidarność”.

21 września 1994 roku prymas Polski kardynał Józef Glemp przyjął przedstawicieli Sekretariatu: Andrzeja Anusza, Kazimierza Barczyka, Tomasza Jackowskiego, Jana Parysa, Andrzeja Rościszewskiego, Andrzeja Świtalskiego, Zdzisława Szpakowskiego, Zbigniewa Wrzeńskiego i Wojciecha Ziemińskiego. W komunikacie po spotkaniu stwierdzono między innymi: „Przedstawiono prace programowe i działania zmierzające do budowy szerokiego obozu niepodległościowo-solidarnościowego. Wskazano także, że Obywatelski Projekt Konstytucji może stać się podstawą szukania porozumień wszystkich, którym leży na sercu dobro kraju”.

27 września 1994 roku podczas kolejnej audyencji polityków centroprawicowych u ks. Prymasa Józefa Glempa były premier Jan Olszewski zwrócił się o wskazanie księdza „który mógłby uczestniczyć w pracach polityków solidarnościowo-niepodległościowych w tych wymiarach pracy, które bezpośrednio dotyczą problemów moralnych”. Wskazany duszpasterzem został ks. prałat Józef Maj. W istocie był to początek Konwentu św. Katarzyny.

28 września 1994 roku SUC wystosował życzenia dla VI Krajowego Zjazdu „Solidarność”.

5 października 1994 roku Sekretariat wydał oświadczenie w sprawie programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych: „Uważamy za konieczne wstrzymanie prac nad uruchomieniem programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych jako dotyczącego jedynie części majątku narodowego i wąskiej grupy osób oraz natychmiastowego rozpoczęcia procesu powszechnego uwłaszczenia obywateli”.

12 października 1994 roku w oświadczeniu SUC stwierdził: „Prace zjednoczeniowe powinny zostać znacznie przyspieszone, tak aby nie zaskoczyły nas nadchodzące wydarzenia polityczne”.

17 października 1994 roku Sekretariat wydał oświadczenie w sprawie sytuacji w kraju: „W ostatnim czasie zasada apolityczności armii i cywilnego kierownictwa zostały podważone. Proces desowietyzacji

wojska został dziś zastąpiony działaniami rekomunizacyjnymi Ministerstwa Obrony Narodowej. Brak klarownego określenia kompetencji ministerstwa i Sztabu Generalnego stwarza dodatkowe konflikty. Konieczne jest szybkie uregulowanie prawne dotyczące zasad kierowania siłami zbrojnymi przez rząd i prezydenta”.

30 października 1994 roku odbyła się w Krakowie V Ogólnopolska Konferencja Centroprawicy na temat „Nowy ład gospodarczy – powszechne uwłaszczenie obywateli”, współorganizowana przez NSZZ „Solidarność”. Referaty wygłosili: Zbigniew Wrzeński, Maciej Doruchowski, Tomasz Wójcik, Adam Glapiński, Dariusz Grabowski, Jerzy Żyżyński, Sławomir Dąbrowski, Kazimierz Barczyk. Jako gość wystąpił poseł Bogdan Pęk z PSL. W przyjętej uchwale uczestnicy domagali się „od premiera Waldemara Pawłaka wstrzymania wywłaszczającego Polaków z ich własności programu NFI i zastąpienia go Programem Powszechnego Uwłaszczenia Obywateli. Jest to zgodne z polską racją stanu”. Powołano Społeczną Komisję Uwłaszczenia Narodowego, która „włączyła się do uwłaszczeniowych inicjatyw NSZZ „Solidarność”.

4 listopada 1994 roku SUC wydał oświadczenie w sprawie wydarzeń na Dworcu Wschodnim w Warszawie: „Zakrawa na groteskę ultimatywne żądanie bezzwłocznego przeproszenia i zadośćuczynienia ze strony rządu RP za użycie siły wobec kilku rosyjskich podróżnych przez polską policję – podczas gdy Moskwa do dziś nawet nie przeprosiła, nie mówiąc już o zadośćuczynieniu, za wojenną napaść na Polskę 17 września 1939 roku za okupację, za wymordowanie setek tysięcy obywateli polskich, w tym jeńców wojennych, za deportowanie kilkumilionowej rzeszy Polaków w głąb Rosji i skazanie ich na niewolniczą pracę itp. Stosunki między Rzeczpospolitą Polską a Federacją Rosyjską, aby były równoprawne, rzetelne i kreatywne, wymagają osadzenia ich w prawdzie dziejowej, o to również musi zadbać polski rząd”.

11 listopada 1994 roku przedstawiciele SUC uczestniczyli w uroczystościach Święta Niepodległości w całym kraju.

30 listopada 1994 roku SUC wydał oświadczenie w sprawie przyszłych wyborów prezydenckich: „W związku ze zbliżającymi się wybora-

mi prezydenckimi uważamy, że najbardziej odpowiednim kandydatem na prezydenta RP mógłby być przewodniczący Społecznej Komisji Konstytucyjnej, przewodniczący NSZZ «Solidarność» Marian Krzaklewski”.

3 grudnia 1994 roku odbyło się spotkanie na plebanii kościoła św. Katarzyny z udziałem Sekretariatu.

7 grudnia 1994 roku SUC poparł protest służby zdrowia.

14 grudnia 1994 roku do Sekretariatu zgłosiło akces Polskie Forum Patriotyczne i jako organizacja wspierająca Federacja Młodzieży Walczącej.

18 grudnia 1994 roku w Krakowie odbyła się VI Ogólnopolska Konferencja Centroprawicy poświęcona integracji środowisk prawicowych, przed konferencją została odprawiona Msza św. na Wawelu, podczas której ks. prałat Józef Maj stwierdził w homilii: „Niech stąd, z Krakowa, tak jak z Kalisza, Wrocławia, Lublina dojdzie do przywódców partii wyrosłych z tego samego chrześcijańskiego i polskiego pnia mocny i zdecydowany głos: chcemy jedności, a przywódcy niech znajdą do niej drogę”, w przesłanym do konferencji liście przewodniczący „Solidarności” Marian Krzaklewski napisał: „W sytuacji, jaką dziś mamy na prawej i środkowej części sceny politycznej i społecznej, nie jest możliwa skuteczna konsolidacja wokół partii lub osoby, ale możliwa jest ona wokół zadania – postawionego czytelnie i kompleksowo. Dopiero po wspólnym, solidarnym sukcesie w realizacji tego zadania i przekonaniu szerokiego elektoratu, że jesteśmy nie tylko skonsolidowani, ale także skuteczni, jesteśmy w stanie przedstawić realne kandydatury w wyborach zarówno parlamentarnych jak i prezydenckich”. Ta konsolidacja, według przewodniczącego „Solidarności”, powinna dokonać się wokół Obywatelskiego Projektu Konstytucji, pod którym zebrano półtora miliona podpisów poparcia. Uczestnicy konferencji w przyjętej uchwale opowiedzieli się za „powołaniem komisji koordynacyjnej na najbliższym spotkaniu liderów na plebanii kościoła św. Katarzyny w Warszawie”.

21 grudnia 1994 roku SUC wydał oświadczenie potępiające napaść Rosji na Czeczenię: „Domagamy się od rządu Rzeczypospolitej Polskiej niezwłocznego uznania niepodległości Czeczenii”.

30 grudnia 1994 roku Sekretariat stwierdził: „Budżet państwa finansowany przez rządzącą koalicję jest wadliwy w swej konstrukcji, antyreformatorski i antyspołeczny”.

2 stycznia 1995 roku podczas kolejnego spotkania na plebanii kościoła św. Katarzyny z udziałem liderów partii prawicowych, centroprawicowych, chrześcijańskich, narodowych, ludowych, niepodległościowych oraz stowarzyszeń, powołano Konwent św. Katarzyny.

10 stycznia 1995 roku, na podstawie Konwentu św. Katarzyny powstał Zespół Koordynacyjny, w którym znaleźli się przedstawiciele partii tworzących SUC oraz NSZZ „Solidarność”, PChD, PL, RChN-AP, RdR (Szeremietiewa), RdR (Olszewskiego), SDP, SN-D i ZChN.

13 stycznia 1995 roku Sekretariat stwierdził, że „wszystkie ugrupowania prawicowe chcące budowy wolnej i suwerennej Polski poprzez odrzucenie umów okrągłego stołu” wezmą udział w pracach Zespołu Koordynacyjnego.

19 stycznia 1995 roku odbyło się kolejne posiedzenie Zespołu Koordynacyjnego. „W obliczu ewentualnych wyborów parlamentarnych podkreślono konieczność budowy jednego, szerokiego bloku ugrupowań patriotycznych, chrześcijańskich i narodowych wraz z NSZZ «Solidarność»”.

22 stycznia 1995 roku w Krakowie odbyła się VII Konferencja Centroprawicy na temat „Edukacja – Wychowanie Młodzież”, poprzedzona Mszą św. w intencji Ojczyzny u grobu św. Jana Kantego. Podczas mszy odczytano posłanie ks. prymasa Józefa Glempa: „Niech piękne tradycje polskiego nauczania, ukazane w osobie pokornego uczonego ks. Jana Kantego i Stanisława ze Skalmierza, będą natchnieniem do wytrwałych wysiłków, podejmowanych w jedności przez kręgi osób kochających Ojczyznę”. Referaty i komunikaty wygłosili: ks. prałat Józef Maj, Tomasz Strzembosz, Jacek Trznadel, Mirosław Handke, Barbara Bubula, Stefan Kubowicz, Wojciech Ziemiński, Gniewomir Rokosz-Kuczyński, Wojciech Hausner, Witold Repetowicz, Dariusz Winek, Witold Borowski, Jan Żaryn, Urszula Korab, Andrzej Stypuła. W uchwale politycznej uczestnicy konferencji stwierdzili: „Obecna koalicja rządowa wyczerpała

swoje polityczne możliwości i powinna zostać poddana weryfikacji poprzez przedterminowe wybory parlamentarne”.

3 lutego 1995 roku SUC wydał oświadczenie o aktualnej sytuacji w kraju: „Sekretariat Ugrupowań Centroprawicowych poprze prawne i konstytucyjne działania prezydenta zmierzające do rozwiązania obecnego parlamentu”.

4 lutego 1995 roku obradował Zespół Koordynacyjny. „W obliczu prawdopodobnych przedterminowych wyborów parlamentarnych podkreślono konieczność rychłej budowy jednego szerokiego bloku wyborczego politycznych ugrupowań patriotycznych, chrześcijańskich i narodowych wraz z NSZZ «Solidarność». Odrzucamy możliwość jakiegokolwiek współpracy z partiami skupionymi wokół Unii Wolności, które pod hasłem «obozu posierpniowego» kontynuują w istocie «układ okrągłego stołu»”.

5 lutego 1995 roku Konwent św. Katarzyny opublikował stanowisko w sprawie konieczności szybkiego ratyfikowania przez Polskę koncordatu.

Sekretariat Ugrupowań Centroprawicowych przygotował dla Zespołu Koordynacyjnego projekt deklaracji, który jest podsumowaniem prac programowych Sekretariatu. Przy jego opracowaniu wykorzystano materiały z siedmiu konferencji krakowskich i Obywatelski Projekt Konstytucji.

Zbliżał się termin wyborów prezydenckich. Konwent św. Katarzyny miał szansę stać się najpoważniejszą płaszczyzną wyłonienia jednego kandydata obozu i centroprawicowego w tych wyborach.

Decydujące spotkanie Konwentu św. Katarzyny odbywało się od 30 czerwca do 2 lipca w klasztorze w Sulejówku. Uczestniczyli w nim ks. Józef Maj i przewodniczący Solidarności Marian Krzaklewski. Spotkanie miało wyłonić kandydata na prezydenta.

W ciągu trzech dni przesłuchano wszystkich kandydatów starających się o poparcie Konwentu: Hannę Gronkiewicz-Waltz, Leszka Moczulskiego, Jana Olszewskiego i Jana Parysa. Ten ostatni, po swoim wystąpieniu, wycofał się. Przeprowadzono sondażowe głosowanie, którego

wyniki znał tylko ks. Maj. Na prośbę Mariana Krzaklewskiego zdecydowano nie kończyć jeszcze procedury wyboru i zlecić Ośrodkowi Prac Społeczno-Zawodowych w Łodzi przeprowadzenie dodatkowych badań preferencji wyborczych. Ich wyniki miały być wzięte pod uwagę przy ostatecznej decyzji.

18 lipca, w związku z pojawieniem się w prasie sprzecznych informacji na temat wyników głosowania kandydatur Konwentu św. Katarzyny, rzecznik Konwentu – Teresa Skupień – wydała komunikat, w którym ujawniła wyniki głosowania: pierwsza – Hanna Gronkiewicz-Waltz, drugi – Jan Olszewski, trzeci Leszek Moczulski.

Jan Olszewski nie pogodził się z wynikiem głosowania i publicznie twierdził, że to on wygrał głosowanie sondażowe w Sulejówku. W związku z tym ks. Józef Maj ogłosił szczegółowe wyniki głosowania: Hanna Gronkiewicz-Waltz – 5,5 głosów oraz poparcie Solidarności liczone za dwa głosy, Jan Olszewski – 6,5 głosów, Leszek Moczulski – 2 głosy. Potwierdzało to wcześniejszy komunikat Teresy Skupień, ale nie wyjaśniło sytuacji. Sprawą kluczową było to, czy przedstawiciel Solidarności w trakcie sondażowego głosowania ujawnił swoją opinię na temat kandydatów. Uczestniczyłem w głosowaniu w Sulejówku i mogę potwierdzić oświadczenie ks. Józefa Maja, że przedstawiciel Związku zajął stanowisko w imieniu Solidarności. Kazimierz Janiak, wiceprzewodniczący Komisji Krajowej Solidarności, pytany o to przez dziennikarzy, jednak zaprzeczył. Starałem się go zrozumieć. Solidarność była zdecydowanie przeciwna ujawnianiu wyników głosowania. Liderzy Związku obawiali się, że jeśli ich stanowisko zostanie ogłoszone publicznie, nie będą w pełni wiarygodni w rozmowach z Lechem Wałęsą. Urzędujący prezydent będzie ich już traktował jako stronę, a nie mediatorów dążących do wyłonienia jednego, poważnego kandydata centroprawicy.

Podobnie zdał się zachowywać ks. Józef Maj. W imię dążenia do wyłonienia jednego kandydata, do czego niezbędna była Solidarność, nie kwalifikował zachowania przedstawicieli Związku. Cała sytuacja spowodowała jednak nieodwracalny upadek autorytetu Konwentu św. Katarzyny.

Wszyscy uczestnicy Konwentu zdecydowali się czekać na raport przygotowany przez Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych. Jego wyniki miały ostatecznie zdecydować, kto będzie kandydatem Konwentu w wyborach.

17 sierpnia odbyło się decydujące spotkanie Konwentu. Po proteście i opuszczeniu sali obrad przez przedstawicieli ugrupowań popierających kandydaturę Jana Olszewskiego i Leszka Moczulskiego, Konwent zdecydował, że jego kandydatem w wyborach prezydenckich będzie Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Konwent św. Katarzyny przestał działać. Jednak pozostało doświadczenie, które w sposób decydujący przyczyniło się do powstania w czerwcu 1996 roku Akcji Wyborczej Solidarność, która rok później wygrała wybory.

Właśnie na plebanii kościoła św. Katarzyny, u ks. prałata Józefa Maja, gromadzili się przedstawiciele ugrupowań, którzy wcześniej przez wiele miesięcy nawet ze sobą nie rozmawiali i pozostawali w głębokim konflikcie.

Sytuacja zmieniła się w szczególnej atmosferze służewieckiej plebanii.

Doświadczenie wyborów prezydenckich 1995 roku było bolesne. Jednak to trzon Konwentu utworzył Akcję Wyborczą Solidarność, która dwa lata później wygrała wybory parlamentarne. Lekcja Konwentu św. Katarzyny została odrobiona.

BEATA MIKLUSZKA, ŁUKASZ PERZYNA

POETA NA URZĘDZIE. RZECZ O TOMASZU MERCIE

(CZ. 2)

Dziennikarz Opinii

Publikacje w „Orle Białym” – to była jeszcze tylko misja, bo pismo, rozdawane bezpłatnie krążyło po uczelniach i konfederackich strukturach. Redagowanie i pisanie do również KPN-owskiej „Opinii” to już praca, nowy tygodnik trafia do kiosków i płaci za teksty. Poeta z polonistyki szuka miejsca w nowej rzeczywistości po zmianie z 1989 r, którą współtworzył wraz z innymi. Znajduje je w roli tłumacza popularnych romansideł i autora elitarniej „Res Publik”, recenzenta w piśmie dla biznesmenów i twórcy poradników metodycznych dla nauczycieli. Polityka wciągnie go w dziesięć lat po przełomie.

Gdy w tygodniku KPN „Opinia” Tomasz Merta i Marek Cichocki publikują wywiad z socjologiem Jackiem Kurczewskim¹, nikt nie wie jeszcze, że to przyszły wiceminister w trzech rządach dwóch kolejnych ekip oraz przyszły prezydencki doradca i negocjator międzynarodowych traktatów rozmawiają z późniejszym wicemarszałkiem Sejmu. Spytają go między innymi, co sądzi o fenomenie kombatanów, którzy dystansują dziś fachowców. Mamy przecież koniec pierwszego półrocza 1990 r, a premierem pozostaje Tadeusz

¹ nr 14 z 14 czerwca 1990

Mazowiecki, który przy formowaniu rządu posługiwał się własnym notatnikiem telefonicznym.

„Opinia” nie obroni się wprawdzie na zmieniającym się rynku prasowym, ale stanie się kuźnią kadr i trustem mózgów dla środowisk niepodległościowych.

Czas okularników

W wypadku „Opinii” wystąpiła ciekawa synergia pomiędzy Tomkiem i Markiem a KPN-em – zauważa Krzysztof Król. – Tomasz Merta i Marek Cichocki zrobili jeden z pierwszych i nielicznych w polskiej prasie wywiadów ze słynnym rosyjskim dysydem, Władimirem Bukowskim.

Nazywaliśmy ich wtedy okularnikami. Sprawiali wrażenie nierozłącznych – wspomina kolega z „Opinii” Mirosław Harasim. – Uchodzili za łagodnych. Traktowaliśmy ich trochę po ojcowsku, bo myśmy przywalali bezpośrednio, a Tomek z Markiem ważyli słowa i opinie.

Na pewno Tomek, który przeszedł przez prasę KPN, zaczynając od „Orła Białego”, należał do środowiska regularnie spotykającego się i wykuwającego koncepcję „Opinii”. Tworzyli je Wojciech Skrodzki, Kasia Pietrzyk, Łukasz Perzyna i Marek Cichocki – przypomina Krzysztof Król.

Początki zawsze są trudne. Zaś kolportażem w Małopolsce i krakowskim dodatkiem regionalnym zajmuje się wtedy z sukcesem Grzegorz Hajdarowicz, przyszły właściciel „Rzeczpospolitej”. Dziewczyny z dziennikarki wysłuchują, że tekst najlepiej skrócić o połowę i koniecznie usunąć przypisy, niezbędne w pracy maderskiej, ale zawadzające tylko w tygodniku. Za to po miesiącu już w prawdziwej redakcji zadowolone z siebie odbierają pierwsze w życiu honorarium za artykuł.

Jednak pierwsze i – jak się okaże – ostatnie pismo KPN trafiające do kiosków spełni swoje zadanie. Skupi „jajogłowych” wokół uchodzącej za radykalną partii. – Tam przychodziły chmary ludzi, którzy rozbiegli się potem po różnych mediach – wspomina Mirosław Harasim. Jak kiedyś do „Orła Białego”, tak teraz do „Opinii” wniesie Tomasz Merta nie tylko precyzję analiz intelektualisty, ale również dystans światowca. „Pamiętam moje zaskoczenie, gdy w małej księgarni w Kathmandu znalazłem na półce «Szachinszacha» Kapuścińskiego” – tak zaczyna tekst o najśłynniejszym polskim reportażystce¹. Zachwala Ryszarda Kapuścińskiego, że potrafi zawsze znaleźć się tam, gdzie trwają dramatyczne zdarzenia – jak podczas dekolonizacji w Afryce czy w trakcie „wojny futbolowej” w Hondurasie i Salwadorze. „W sierpniu 1980 roku jest w Stoczni – powstają «Notatki z Wybrzeża». Teraz w Związku Sowieckim...”². To zakończenie tekstu, pisanego wiosną 1990 r. dowodzi imponującej przenikliwości intelektualisty Mertę – bo efektem wspomnianego w artykule pobytu bohatera w ZSRR stanie się „Imperium”, później jedna z najbardziej rozchwytywanych książek Ryszarda Kapuścińskiego.

Na łamach „Opinii” Tomasz Merta porusza swoje ulubione tematy: zajmują go prawa człowieka w Chinach, myśl konserwatywna, sztuka filmu i reportażu. Píše też jednak o NRD-owskiej tajnej policji Stasi³, Robercie Ludlumie i jego „Tożsamości Bourne’a”⁴,

¹ Tomasz Merta. Być tam, gdzie coś się dzieje. Rzecz o Ryszardzie Kapuścińskim. „Opinia” nr 9 z 6 maja 1990

² ibidem

³ nr 35 z 8 listopada 1990

⁴ nr 23 z 15 sierpnia 1990

powieści „fantasy”¹, odległym Bhutanie² i dużo bliższym Michaiile Gorbaczowie³.

Pewnie nie marzy jeszcze nawet o dyplomacji kulturalnej, ale przeprowadza wywiad z Hermanem Pirchnerem jr, prezydentem Amerykańskiej Rady Polityki Zagranicznej.

Jak nie powstały lotne brygady

O obliczu „Opinii” stanowią młodzi, ale redakcja zatrudnia żurnalistów wszystkich pokoleń. Tomasz Merta z Markiem Cichockim na wyścigi wyśmiewają się z redaktora Wąsika, wiecznie wysiadującego za biurkiem i tnącego coś nożycami.

Tomasz Merta z dużą erudycją na przykładzie Tolkiena i Ursuli Le Guin objaśnia fenomen literatury „fantasy”. Znajduje jej powtarzające się motywy i schematy. „Oto w spokojne, szczęśliwe życie (mit złotego wieku) planety, królestwa, miasta czy rodziny wdzierają się złe moce, pragnące władzy bądź opętane żądzą niszczenia. Najczęściej władzę można zdobyć tylko wchodząc w posiadanie przedmiotów mocy, np. zaczarowanego pierścienia („Władca pierścieni” J.R.R. Tolkiena) – tak więc walka o te przedmioty staje się osią konstrukcyjną utworu”⁴.

Bardziej niż hobbici i wyimaginowane moce pochłaniają go jednak realne, współczesne imperia i dylematy globalnych liderów. Tłumaczy wywiad z Margaret Thatcher⁵. Na rok przed puczem

¹ nr 27 z 13 września 1990

² nr 24 z 23 sierpnia 1990

³ nr 18 z 12 lipca 1990

⁴ Tomasz Merta. Hobbici i inni. „Opinia” nr 27 z 13 września 1990

⁵ Nie idealizm lecz siła. „Opinia” nr 35 z 8 listopada 1990

Giennadija Janajewa Tomasz Merta zastanawia się nad przyszłością rozpadającego się ZSRR i postawami, jakie Zachód może przyjąć wobec słabnącego mocarstwa: „Czy dolarowy zastrzyk uczyni z wycieńczonego wilka jagnię, czy też tylko doda mu sił?” – pyta 25-letni publicysta¹.

Ambitny i wielobarwny, wolny od partyjnej indoktrynacji, chociaż stanowiący własność KPN Tygodnik „Opinia” ma jednak kłopoty ze sprzedażą. Podobno niektórzy kioskarze nie wykładają pisma na ladę, tylko od razu wrzucają do zwrotów. Ktoś w KPN rzuca nawet pomysł uruchomienia lotnych brygad. Młodzi konfederaci podejmują się chodzić po mieście, prosić w każdym kiosku o „Opinię” i – jeśli zostanie wyjęta z zaplecza – z groźną miną wypytują sprzedawcę, dlaczego nie eksponuje pisma, jak należy. Lotne brygady jednak nie ruszą. KPN rozdziera bowiem kolejny w historii rozłam. Grupa „Sannacji” z Ryszardem Bocianem, Stanisławem Mazurkiewiczem i Wojciechem Gawkowskim zbuduje KPN-Frakcję Demokratyczną, odejdzie z partii i już w pierwszej turze wyborów prezydenckich poprze Lecha Wałęsę zamiast Leszka Moczulskiego. Secesjoniści roztopią się jednak w morzu dziesiątek istniejących już formacji².

Tomasz Merta, który do KPN wciąż nie należy, jako dziennikarz „Opinii” opowie się po stronie partyjnych władz. W odróżnieniu od Mirosława Harasima czy Katarzyny Pietrzyk nie próbuje też mediować między zwaśnionymi stronami, ani nie przejmuje się, że z prasy KPN odchodzą ci, którzy jego samego przed laty do niej rekomendowali i wprowadzali. Być może właśnie w tym momencie przyszły wiceminister kultury – wciąż jeszcze uchodzący za mola

¹ Tomasz Merta. Oskarżeni nie przyznają się do winy. „Opinia” nr 18 z 12 lipca 1990

² por. Andrzej Anusz, Łukasz Perzyna. Konfederacja. Rzecz o KPN. Akces, Warszawa 2009, s. 99–100

książkowego, trochę oderwanego od codziennych problemów – zaczyna postrzegać swoją drogę życiową i związane z nią wybory w kategoriach kariery.

Pierwszy salon nowej prawicy

Jeszcze niedawno nieco protekcyjnie charakteryzowany na polonistycie jako „człowiek z Kielc” Tomasz Merta znajdzie się wśród bywalców salonu Małgorzaty Bocheńskiej, ekscentrycznej dziennikarki, która zasłynęła „reportażami spod kul” o krwawo spacyfikowanych przez Specnaz demokratycznych wystąpieniach w krajach radzieckiego jeszcze Zakaukazia. „Salon 101” – od numeru domu przy ulicy Saskiej – odegra w okresie zmiany ustrojowej rolę zbliżoną do Klubu Krzywego Koła w czasach przełomu październikowego. Gromadzi przede wszystkim przeciwników okrągłego stołu, chce stanowić alternatywę dla pierwszej siedziby „Gazety Wyborczej” jeszcze w byłym żłobku na Iwickiej, a nie przy ulicy Czerskiej – dla środowiska korowskiego, a także dla postkomunistów.

Człowiek nie miał tam wrażenia, że spotykamy się w piwnicy, jak pierwsi chrześcijanie przy lampce oliwnej – zastrzega jednak Marek Cichocki.

Dyskutuje się przy czerwonym winie, wśród antyków i rodowych portretów, bez sekciarstwa. Bogusława Cholewę z podyplomowego dziennikarstwa zaprasza się na Saską – gdzie współgospodarzem jest ówczesny mąż Bocheńskiej Jan Parys – właśnie dlatego, że student publicznie głosi wyjątkowy w tamtych czasach pogląd, że przyszłość należy do lewicy... I może sobie tam podyskutować z doktorantem z KUL, zaśmiewającym się z własnych antysemickich dowcipów. Kiedyś z kolei przyjedzie rabin z Nowego Jorku,

gdy głównym tematem spotkania są relacje polsko-żydowskie. Bo zawsze określa się wcześniej najważniejszy problem do debaty. Tym razem jednak, gdy dyskusja przerodzi się w typową polską nawałankę, zaproszony rabin – jak zapamięta Marek Cichocki – siedzi tylko z boku i słucha.

– To wasz problem – powie w pewnej chwili. I na dyskutujących z wypiekami na twarzy spogląda jak na kosmitów.

U pani Małgosi na Saskiej Tomasz Merta pozna bohatera wojny afgańskiej Radka Sikorskiego i przywódcę Polskiej Partii Niepodległościowej Romualda Szeremietiewa.

Gdy Radek Sikorski wymienia na Saskiej poglądy z Markiem Cichockim nikt nie podejrzewa jeszcze, że to przyszły minister spraw zagranicznych z rządu Donalda Tuska dyskutuje z przyszłym głównym negocjatorem ze strony polskiej podczas szczytu Unii Europejskiej w Brukseli w dniach 21–22 czerwca 2007 r. „Salon 101” nie przekształcił się jednak w trwały „trust mózgów”, spotkania zaczęły zamierać, gdy czasu będzie coraz mniej a podziałów coraz więcej. Wdzięczni goście Bocheńskiej zapamiętają jednak na zawsze to przyjazne miejsce. Dla Marka Cichockiego wspólny z Tomaszem Mertą udział w debatach na Saskiej musi mieć wielkie znaczenie, skoro wspomina „Salon 101” nawet w napisanym po śmierci kolegi, emocjonalnym liście do niego, który zdecyduje się ogłosić publicznie.

Poznaliśmy w Salonie 101 Romana Zimanda i Piotra Wierzbickiego od „Traktatu o gnidach”, przychodził tam Bohdan Urbankowski, a Gabriel Janowski dość sensownie mówił o wsi, gdy to ona właśnie była tematem, bo w tym salonie zawsze był jakiś główny temat spotkania – wspomina Marek Cichocki.

Tomka Mertę najbardziej wtedy ubawiło, gdy jakaś pani perorowała na Saskiej nabrzmiałym histerią, przejętym głosem:

– Powiedzmy sobie, gdzie są te elity?

I sama sobie po chwili odpowiadała:

– Elity są tutaj.

Tam się chodziło z przyjemnością. Miejsce przesympatyczne – charakteryzuje Marek Cichocki, który nie jest jednak po latach w stanie określić, dlaczego wraz z Mertą przestali do salonu uczęszczać. Z czasem zresztą spotkania obumarły.

Koło Fortuny

O losie „Opinii” przesądzi z kolei przegrana kampania prezydencka pod koniec 1990 r.

– Przed pałacikiem na Nowym Świecie żona Moczulskiego stała z megafonem i wrzeszczała: „Głosujcie na Leszka”. A wystraszeni przechodnie uciekali – zapamięta Marek Cichocki.

Kampanijne numery „Opinii” rozdawano zamiast sprzedawać co oznacza wyrok dla budżetu przedsięwzięcia.

Po „Opinii” i Salonie 101 przy Saskiej będzie jeszcze „Fortuna” – miesięcznik, którego impuls powstania wyjdzie z kręgów Klubu Kapitału Polskiego i Klubu Republikańskiego.

Dziwne miejsce jak dla intelektualistów? Jednak właśnie do tej redakcji, mieszczącej się w posocjalistycznym biurowcu, górującym nad wąwozem Tamki, trafią Cichocki i Merta.

– To było trochę nomadyczne. W tym okresie szukaliśmy dla siebie miejsca w prasie jako publicyści – tłumaczy Marek Cichocki.

Publicyści a nie dziennikarze – woli to określenie. Młodzi, nie aprobujący okrągłego stołu intelektualiści nie widzą siebie w pracy przy gorących newsach, chociaż oprócz „Wyborczej” powstaje już mnóstwo innych tytułów. Zresztą właśnie jeden z nich – „Obser-

wator Codzienny” – jako jedyny ujmie się za „jajogłowymi” z „Fortuny”, gdy biznesmeni zalegać im będą z wypłatą wynagrodzeń. Bo krach przedsięwzięcia okaże się szybki. Zanim jednak nastąpi, pismo może przekonywać barwnymi okładkami, nowoczesnym layoutem, trafnie dobranymi cover stories. Sprawia wrażenie nowoczesnego.

Na łamach „Fortuny” Tomasz Merta z właściwym sobie zjadliwym ale nie agresywnym poczuciem humoru wydrwi książkę znanego z czasów stanu wojennego dziennikarza DTV Marka Barańskiego. W opinii recenzenta „Marek Barański nie ma może tyle inteligencji, co Urban, ale niewątpliwie ma tyleż samo tupe- tu (...). Z uporem godnym lepszej sprawy udowadnia (językiem dość topornym, ale za to gęsto przetykanym podwórkową łaci- ną), że telewizja była normalna, że ludzie w niej pracujący byli normalni, że sytuacja polityczna też była normalna – ot typowa walka polityczna PZPR i «Solidarności»(...). Czytając tę krótką (na szczęście dla recenzentów) książeczkę, wciąż przecieramy oczy ze zdumieniem: czy żyliśmy w tym samym «normalnym» kraju co pan Barański i czy oglądaliśmy właśnie ten «normalny» dziennik, który pan Barański tak miło wspomina?” – zapytuje re- torycznie Merta¹.

„Opinia” była bardziej osadzona środowiskowo, „Fortuna” w mniejszym stopniu – rozróżnia Marek Cichocki. To, że znaleźli się w niej obaj z Mertą wynikało po prostu z relacji personalnych. Wkrótce zresztą przyjdzie znów szukać czegoś nowego.

¹ (tm) [Tomasz Merta]. Stracone pieniądze: Marek Barański, dt tajemnice. „Fortuna” nr 3, październik 1991, s. 87

Ballady i romanse

Przejsiowio Tomek z żoną Magdą zaangażują się nawet w tłumaczenie popularnych książek dla jednego z wydawnictw, Cichocki też w tym uczestniczy. To były po prostu romansidla.

– Zajęcie dosyć ogłupiające, ale dawało dobre zarobki jak na tamte czasy – przyznaje Marek Cichocki.

Obaj z Tomkiem znajdą zresztą metodę, żeby zleconą pracę uatrakcyjnić. Przy tłumaczeniu ubarwiają, urozmaicają i koloryzują, wymyślają i dopisują całe sceny. Oferowanemu później na ulicznych stoiskach produktowi tylko to pomoże.

– Byliśmy młodzi. Nie musieliśmy się martwić, czy będą pieniądze, bo zawsze można było coś znaleźć – podsumowuje ówczesne sposoby na życie Marek Cichocki.

Z pierwszego naboru Tomasz Merta i Marek Cichocki trafią na studia doktoranckie do Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych, zakotwiczonego przy Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Poznają tam m.in. Dariusza Gawina. Zaś w szkole Stefana Amsterdamskiego – Roberta Krasowskiego, który po latach jako szef publicystyki „Życia” (popularnie nazywanego: „z kropką”) zamieszczać będzie publicystyczne teksty Tomasza Mertę. Ze starszego pokolenia młodzi konserwatyści jako doktoranci poznają jeszcze Jerzego Jedlickiego, Jerzego Szackiego, Ewę Łętowską. Wtedy Merta i Cichocki czytają również teksty Bronisława Łagowskiego, oceniają je jako ciekawe.

Krzysztof Panek – był szef Informacji telewizji Polsat, początkowo nie kojarzy sylwetki Tomasza Mertę ale potem sobie przypomina: – „Tak, byłem z Mertą na studiach doktoranckich w IFIS PAN. Nie wyróżniał się wtedy, postać anonimowa zupełnie, zwłaszcza, że tam głównie doktoryzowali się ludzie z dawnych republik ZSRR albo

dawnej Jugosławii. Jedyne co mogę powiedzieć to to, że z Mertą kojarzy mi się z tamtych czasów piosenka „Ty i ja pachorzu na siebie”.

Największe znaczenie ma jednak dla młodych konserwatystów kontakt z Marcinem Królem. Nie ograniczy się do seminarium doktoranckiego. Za pośrednictwem Króla młodzi trafią do redakcji „Res Publiki”. Seminarium Marcina Króla ma w tytule myśl konserwatywną. Okaże się ciekawe. Młodzi podziwiają u Króla warsztat historyka idei. Zapada decyzja, żeby to u niego pisać doktorat. Zostają też zaproszeni przez Króla, żeby przychodzili do niego do redakcji na kolegia, żeby publikowali.

Do „Res Publiki Nowej” trafi również Dariusz Gawin, najpierw asystent na historii, potem w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Pragnie napisać pracę doktorską z filozofii polityki, ale długo nie znajduje promotora. Marcin Król nie tylko się zgodzi, ale ze środowiska młodych konserwatystów wyłuska kolejny brylant dla własnej redakcji.

Szybko się dogadaliśmy – wspomina Dariusz Gawin relacje z Mertą i Cichockim, doktorantami wyłowionymi przez Króla w Szkole Nauk Społecznych. – Stworzyliśmy nie tylko krąg ideowo-intelektualny, ale i towarzyski.

Rodzaj otwartego salonu Mertowie prowadzą jeszcze w mieszkaniu na Ursynowie, gdzie formujące się szybko środowisko spotyka się w każdy piątek wieczorem. Właśnie tam Dariusz Gawin pozna kultowego „Szpota” – Janusza Szpotańskiego, za rządów Władysława Gomułki skazanego na więzienie za satyrę, w której sportretował pierwszego sekretarza jako gnomę.

Gdy zimą 1995–1996 Dariusz Gawin przebywa na stypendium w Wiedniu w Instytucie Nauk o Człowieku profesora Krzysztofa Michalskiego – spotka w Austrii Marka Cichockiego, który uczy wtedy w prywatnym liceum i przyjeżdża z młodzieżą na narty.

Młodzi konserwatyści odbierają ówczesną sytuację jako czarną noc postkomuny. Aleksander Kwaśniewski właśnie wygrał wybory prezydenckie. Polską rządzi ekipa SLD-PSL.

Po aferze Józefa Oleksego wydawało się, że postkomunizm nas przygniecie na długo – odtwarza ówczesny stan umysłów Dariusz Gawin.

Trzydziestolatkowie szukają więc remedium. – Uważaliśmy, że Polskę w sensie duchowym rządzą seminaria. Uradziliśmy, że założymy seminarium domowe – relacjonuje po latach Gawin.

Zbierają się na początku u Marka Cichockiego. Przychodzi Tomasz Merta, Dariusz Gawin, filozofowie z wykształcenia: Robert Krasowski i Janusz Ostrowski, także Andrzej Gniazdowski i poznany przez Gawina w trakcie stypendium w Oxfordzie Dariusz Karłowicz, który jeszcze jako licealista z Batorego uznany został przez redaktorów „Poezji” za jednego z najbardziej obiecujących debiutantów. Skład seminarium domowego uzupełnia Paweł Paliwoda, który później, po wielu latach trafi do „Gazety Polskiej” już w czasach, kiedy Robert Krasowski na łamach „Polityki” ostrzegać będzie przed negatywnymi cechami charakteru Jarosława Kaczyńskiego. Na razie jednak wspólnie – księga po księdze – czytają i omawiają „Państwo” Platona. Zapraszają Jerzego Szackiego, Jarosława Gowina oraz Zdzisława Krasnodębskiego, wtedy bez porównania mniej radykalnego od nich. Seminarium domowe staje się zalążkiem Warszawskiego Klubu Krytyki Politycznej, funkcjonującego przez wiele lat i stającego się przyjacielskim kręgiem.

Zajęcia odbywają się jednak nie tylko po domach. Tomasz Merta, który za studenckich czasów na kolegach z roku sprawiał wrażenie zwolennika „społeczeństwa bez szkoły” – sprawdzi się w roli nauczyciela akademickiego.

Jan Osiecki, dziennikarz: – „Miałem z nim zajęcia tylko raz.

Zastępował Marka Cichockiego. Zapamiętałem jego specyficzny wygląd. Ale pamiętam jak dziś. To było na Żurawiej wpadł na zajęcia ze studentami z zupełnie nieprzytomnym wzrokiem. Wyglądał trochę jak wyjęty z innej bajki. Taki naukowiec z biblioteki, to jest najlepsze określenie. Mówił ciekawie choć używał języka średnio zrozumiałego dla studenta pierwszego roku. Jednak wrażenie niedbałości wynikało ze stroju i niedbałej fryzury. A może wtedy miał po prostu gorszy dzień albo „wyrwali” go na te zajęcia ze studentami właśnie z biblioteki. To był 1996 albo 1997 rok. Nie pamiętam kiedy mieliśmy zajęcia z historii idei ale był to raczej drugi semestr moich studiów” – mówi Jan Osiecki. Po chwili przypomina sobie jednak. – „Merta miał jakiś problem z uchem i robił wszystko, żeby je zasłonić, co oczywiście nie uciekało uwagi studentów. Stąd te długie włosy. Ale, o ile zawsze nabijaliśmy się z fizycznych cech naszych wykładowców, to o ile pamiętam – o tym nikt nie mówił.

Z kolei w „Res Publice Nowej” Merta, Cichocki i Gawin stworzą konserwatywną część redakcji. Sytuują się na prawo od starszyny pisma.

Wszyscy dużo zawdzięczamy Marcinowi Królowi – przyznaje Dariusz Gawin. – Wprowadził nas do pierwszej ligi intelektualnej. Wszyscy trzej dzięki niemu pojechaliśmy do Wiednia.

Wiele nauczyli się w samej „Res Publice”, stanowiącej prawdziwy salon liberalny. Trwa rytuał spotkań w każdy czwartek o dziesiątej rano w redakcyjnej siedzibie na rogu Koszykowej i Polnej, przybierających postać burzy mózgów.

– Poszliśmy do Marcina Króla jako konserwatysty. Nabraliśmy się jednak – ocenia po latach Marek Cichocki. Źródłem rozczarowania stanie się dla niego i Tomasza Mertę powolne odkrywanie, że „być może w tym elitaryzmie Marcina konserwatyzmu nie ma tak wiele”. Merta da temu wyraz nawet w jednej z rozmów redak-

cyjnych. Przebija się zdziwienie: my myśleliśmy, że ten konserwatywizm to poważnie, a tu okazuje się co innego...

Na razie jednak Marcin Król zafascynuje młodych konserwatystów jako człowiek intelektualnie ciekawy. Pomaga też Mercie w wyjazdach do Wiednia, na szkoły letnie, które organizuje Krzysztof Michalski. Osobowość Marcina Króla przyciąga. Charyzma działa.

– Jego książka o romantyzmie, wiele rzeczy ciekawych do powiedzenia, ten jego elitaryzm – wylicza walory intelektualne Marcina Króla uczestnik jego seminarium Marek Cichocki. – Hertz, Krzeczowski, wszystko to było ciekawe wobec tępego, bezalternatywnego liberalnego myślenia postkomunistycznego.

Z czasem jednak Merta i Cichocki dojdą do przekonania – z ostrością sądu właściwą trzydziestolatkom, nawet przyznającym się do zachowawczych poglądów – że ani Marcin Król nie jest konserwatystą, ani oni jego uczniami.

To był naprawdę ktoś

Tomasza Mertę poznałem w redakcji „Res Publiki” w 93 albo w 94 roku – wspomina prof. Paweł Śpiewak. – Przez Marcina Króla u którego był doktorantem, który zajmował się amerykańską myślą konserwatywną lat 50-ych. Zajmowało mnie to wówczas jako inspiracja naukowa. Przyszedł chyba z klubem Krytyki Politycznej z Gawinem i Ostrowskim. Mieli po 33, 34 lata. Była tam też Magda Merta, Marek Cichocki. Oni weszli do „Res Publiki” kiedy pismo nie było w najlepszym stanie duchowym. Ale to dawało im szansę. I sprawdzili się bardzo. Magda Merta została sekretarzem redakcji. A oni pisali. Ale to Tomek był najciekawszy z całej tej grupy. Miał dużo powagi, miał poczucie humoru, co rzadko występuje po pra-

wej stronie. Pamiętam kilka tekstów o ograniczeniach demokracji, o jej instytucjach, że odgrywają one inne role w demokracji. Bank centralny, korporacje. Napisałem o tym nawet wspólny artykuł. Ale obecność Tomka w „Res Publice” nagle się skończyła choć był bardzo aktywnym wtedy publicystą. To było zaskoczeniem. Pojawiły się jakieś zarzuty wobec Magdy, jakaś krytyka ale ja tego dobrze nie pamiętam. Chyba ją zwolniono, zmieniał się też format pisma, mieli więc poczucie krzywdy a lojalność nie pozwalała im tam zostać. Faktem jest także, że biografia tego pisma nie była do końca jasna.

Potem poznałem Tomka z Alicją Pacewicz i Jackiem Strzemiecznym i odnalazł się w cyklu podręczników do wychowania obywatelskiego z inicjatywy Centrum Edukacji Obywatelskiej. To był kolejny etap jego rozwoju, choć wiem też, że Merta zrezygnował z doktoratu na ISNS, bo zajął się zarabianiem pieniędzy w pewnym momencie, pewnie z powodów czysto prozaicznych. Ale niewątpliwie ta grupa stanowiła zaplecze polskiej prawicy, pociągała ich polityka. Skupiali się też wokół Instytutu Adama Mickiewicza i kiedy Kazimierz Ujazdowski został po raz pierwszy Ministrem Kultury, to Tomek Merta – jego doradca. Weszli więc w pewien sposób w system rządowy, w politykę. A Tomek zaczął uczyć się administracji. Miał wiele pomysłów. Miałem kiedyś taką historię, która była efektem mojej pewnej interpelacji poselskiej dotyczącej Muzeum w Majdanku. Dlatego, że ówczesny dyrektor ewidentnie źle wykorzystywał swoją funkcję. Merta to rozumiał. Pomimo, że był świadomy politycznie to zarazem nigdy nie ulegał politycznej presji. Nie wyrzekał się swoich poglądów ale potrafił sprzeciwiać się w merytoryczny sposób. Tak też wybierał swoich urzędników, nie z rozsad politycznych lecz na podstawie merytorycznych ocen. To nie był problem w jakim jest rządzie. To nie był dla niego problem departamentalny lecz

kulturowy. On po prostu był ze starej szkoły konserwatystów. Był konserwatystą kulturowym. Jego prawicowość w tym się wyrażała. Na konserwatyzmie wspólnoty kulturowej, konserwatyzm czyli roztropność i elitaryzm. Na takich poglądach się opierał. Był raczej związany ze środowiskiem Kazimierza Ujazdowskiego a nie z PiS pomyślanym jako sekta ideologiczna.

Nie śledziłem jego kariery ministerialnej ale na pewno na przykład Muzeum Historii było dla niego problemem ważnym – zaznacza Paweł Śpiewak.

Wszyscy go szanowali, lubili a dlatego go lubili, że był sobą. Fakt, oddalił się w pewnym momencie od swojego pierwotnego środowiska – Gawin, Cichocki, co było tego powodem nie wiem. Powiedziałbym przede wszystkim, że zachował rasowość intelektualisty. Nie dał się przytłoczyć wydarzeniom. Miał porządek w głowie, miał rozumniejszy stosunek do ludzi i był lojalny wobec i siebie i nich. Trudno powiedzieć, że się z nim przyjaźniłem. Rzadko go widywałem ale brakuje mi go w sensie ludzkim. Był rzeczowy, ludzko serdeczny. To był naprawdę ktoś. Był zaprzeczeniem urzędowości. Różnił się od urzędników nawet wyglądem fizycznym. Wysoki, szczupły. Zawsze go pamiętam jako człowieka dojrzałego, takiego „dokończonego”. Nie było w nim sprzeczności. Sprawiał wrażenie człowieka pogodzonego ze sobą. Nie był typem mickiewiczowskiego bohatera. Teraz myślę, że nadawałby się do klubu arystokracji angielskiej. Miał też taki dar do wchodzenia w konwersację z łagodnością. Rozmawiając z nim człowiek wiedział, że nie traci czasu. Na pewno do życia publicznego przeniósł swoje intelektualne doświadczenie. Ale nie odniosłem też wrażenia, że postponowała go literatura. Raczej literatury używał jako ilustracji. Nawet miałem wrażenie, że jest anglistą. Albo historykiem – wspomina prof. Śpiewak.

Prowadził rodzaj salonu intelektualnego. Przychodził tam Maciej Zalewski, Józef Orzeł. Mieszkali wtedy z Magdą na Ursynowie. I z dziećmi. Warto powiedzieć też, że Tomek miał dobry stosunek do swojej rodziny. Wiadomo było, że ożenił się z dziewczyną, która miała dziecko z poprzedniego związku ale dzieci traktował tak samo. Miał w sobie solidność. Dobrze znał Włochy. Jeździł do Włoch. Chyba go fascynowały smakiem, sztuką, kulturą właśnie, jej korzeniami – mówi prof. Paweł Śpiewak. – Pamiętam te spotkania – mówi Małgorzata Dragan, wieloletnia dziennikarka PAP i absolwentka polonistyki UW – potem przeniosły się one do domu Józka Orła. Rzeczywiście, kiedy z Tomkiem siadało się do rozmowy wiadomo było, że nie będzie to zwykły słowotok, lecz intelektualna rozmowa, że będą w niej padały opinie intelektualisty. Tworzył jednak dystans, nie był „bratem łątą”. Z Wydziału Polonistyki go nie pamiętam. Takie apogeum Warszawskiego Koła Polonistów, spotkania w piwnicy gmachu przypadają na wczesne lata 80-te, rok 84, kiedy Merta dopiero zaczynał studiować. Pamiętam z tamtego czasu przesłanie księdza Jerzego Popiełuszki, które wisiało na ścianie tej piwnicy napisane solidarycą „Słowa twoje poniesiemy”. I tę okropną piwnicę z potwornym neonem w suficie. Katedra Kultury była wtedy miejscem bardzo obleganym. Najpierw prowadził ją Maciej Zalewski, potem gdy go aresztowano, Michał Boni. Ale to nie były to jeszcze czasy Mertę na wydziale. Tomasza Mertę zapamiętałam już więc znacznie później ale kuźnia kadr dziennikarzy, osób publicznych potem pozostała ta sama przecież. Nie miałam kontaktów zawodowych z Mertą – wiceministrem. Jedynie na kolegiach PAP, kiedy do głosu dochodził nasz Dział Cywilizacji, który zajmuje się kulturą słyszałam wielokrotnie, że Merta ma znakomite kontakty z dziennikarzami. Był dla nich zawsze dostępny, zawsze miał czas dla dziennikarzy – kontynuuje Małgorzata Dragan. – Bo

Tomek był rzetelnym człowiekiem. Mogę powiedzieć, że był urodzonym państwowcem. Tak, Tomasz Merta był elitą, co do tego nie mam wątpliwości – konstatuje prof. Paweł Śpiewak.

Wieczny doktorant o niespotykanej erudycji

Poznaliśmy się w 1997, roku zwycięstwa AWS, być może rok wcześniej, ale zupełnie poza polityką, czysto prywatnie, wtedy to był przyjaciel mojego przyszłego męża – opowiada Lena Dąbkowska-Cichocka. Wrażenie miała jak najlepsze. – Podobała mi się anielska cierpliwość Tomka wobec dzieci, metodyczne do nich podejście. Nie wiem, na ile formalnie był już wtedy związany z Centrum Edukacji Obywatelskiej, ale zajmował się sprawami edukacyjnymi, widać było po nim zacięcie do pisania podręczników.

Tomasza Mertę interesują wtedy metody edukowania wiedzy o społeczeństwie, historii, nauki obywatelskiej. To dowodzi jak przez niespełna dziesięć lat zmienił się niedawny student polonistyki, sprawiający wrażenie zwolennika „społeczeństwa bez szkoły” i odczuwający jako przykry i rażący przymus obowiązkowe praktyki nauczycielskie w śródmiejskiej podstawówce.

Nie zmieniają się za to literackie pasje Merty.

– Jeden z pierwszych obrazów, jaki mam w pamięci z tej znajomości, to półki, które ugiwały się pod książkami – wspomina Lena Dąbkowska-Cichocka, która podziwiała u Mertów największy chyba znany jej księgozbiór prywatny. Wrażenie wzmoгло się, gdy dowiedziała się, że Tomasz ma również niezmiernie bogaty zbiór płyt: – Z płyt potrafił rozróżnić wykonania, choć nie był wykształcony muzycznie. A to wyższy stopień wtajemniczenia.

Niespotykana erudycja, wielki umysł – ocenia Lena Dąbkowska-Cichocka. Podziwiała wtedy, jak oboje z Magdą znali literaturę polską, od „Nad Niemnem” po Nową Falę.

Był wiecznym doktorantem, ale wiedzą przewyższał niejednego naukowca – uważa Lena Dąbkowska-Cichocka. To, co pozostawił, wystarczyłoby nie tylko na doktorat, ale na habilitację. W tym wypadku zderzyły się czołowo role naukowca i człowieka służby publicznej. A Merta pozostaje perfekcjonistą, zaś na szlifowanie dzieła zabraknie czasu. Tomasz Merta ma żal sam do siebie, że doktoratu nie zrobił, nie dopełnił złożonej sobie obietnicy. Jeśli jednak pracę uważa za niedokończoną, nie pokaże jej światu. Zabrakło tak naprawdę ostatnich formalności. Podobnie było z zapiskami, które po sobie pozostawił. Ci, którzy je czytali, pewni są ich wartości.

Konserwatyści i krasnoludki

Trzydziestoparoletni Tomasz Merta na łamach „Res Publici Nowej” wylicza paradoksy polskiego konserwatyzmu, przymierzając go do światowych wzorów: „Nie będę rzecz jasna zaprzeczał oczywiściemu przecież faktowi, że konserwatyzm w III Rzeczypospolitej ma sporo kłopotu ze swoją tożsamością, trudno mi jednak zgodzić się z tym, iżby należało z tego wyciągnąć radykalny wniosek na temat jego nieistnienia” – trochę ironizuje a trochę próbuje porządkować podstawowe pojęcia autor¹. I cytuje – w odniesieniu do konserwatystów właśnie – żartobliwy bon mot: „Mówicie, że krasnoludki nie istnieją. No dobrze, ale jak w takim razie nazywacie te

¹ Tomasz Merta. Nieodzowność konserwatyzmu. „Res Publica Nowa” nr 11 z 1997, s. 53

małe ludziki w czerwonych czapeczkach?”¹. Żarty żartami, ale sam tytuł „nieodzowność konserwatyzmu” brzmi jak twarda deklaracja światopoglądowa i mocne zobowiązanie. Skromniejszy zamiar sugeruje ubranie artykułu w kostium polemiki z Timem Snyderem, twierdzącym, że polscy konserwatyści stanowią odpowiednik zachodnich liberałów. Nie wynika to zapewne z tendencji autora do pieniactwa lub przyczynkarstwa, lecz ze specyfiki redakcyjnego zamówienia. Zamiast notatek na marginesach czy mankietach czytelnik „Res Publici Nowej” otrzymał zwarty i spójny wykład problemu, denerwujący niekiedy trochę natrętnym archaizowaniem słownictwa i dziwactwami składni. To raczej maniera, skoro ten sam autor wiersze pisał proste i przejrzyste, a recenzje lekkie i zrozumiałe dla przeciętnego czytelnika „Opinii” czy „Fortuny”.

Myśli przewodnich „Nieodzowności konserwatyzmu” nie trzeba jednak szukać między wierszami, zostaną wyłożone klarownie: „Polski konserwatyzm nie musi być nastawiony antymodernizacyjnie (co nie znaczy, że nie będzie spierał się o kształt modernizacji), bo też i społeczeństwo en masse wcale takiego nastawienia nie przejawia”² – argumentuje Merta. Co więcej: „(...) Konserwatysta musi zdawać sobie sprawę z tego, co jest, a więc także z faktu istnienia peerelowskiej i chłopskiej mentalności, ale nie znaczy to, że jest skazany na proste zachowanie zastanego świata i konserwowanie złych tradycji. Zmiana nie jest słowem wygnanym z konserwatywnego słownika”³ – pewien jest autor „Nieodzowności konserwatyzmu”.

Przypomina Tomasz Merta, jak to patron konserwatystów Edmund Burke opowiadał się za zmianą, tyle, że częstkową, ewolu-

¹ ibidem, s. 53

² ibidem, s. 54

³ ibidem, s. 55

cyjną i ostrożną. Konserwatysta nie powinien obrażać się na otaczający go ciągle zmieniający się świat.

Zmienia się w tym czasie również sam Tomasz. Gdy Lena Cichocka-Dąbkowska w tym samym okresie pozna Tomka, o jego buddyzmie mówi się już w czasie przeszłym.

Za to w „Nieodzowności...” Tomasz Merta przyznaje, że Radio Maryja stanowi spory kłopot dla polskiego konserwatysty.

Rolą konserwatysty powinno być przeanalizowanie znanych mu tradycji i wskazanie, które zasługują, by je poprzeć.

Jeśli zaś poprze modernizację – to nie prostą operację techniczną, mierzoną wskaźnikami ekonomicznymi oraz menadżerską sprawnością rządzących.

Lokalizacja tekstu nie ma w sobie nic z przypadku – „Res Publica” stała się przecież swego rodzaju biblią dla środowisk rodzimej nowej prawicy, chociaż sam tytuł przechodził różne koleje losu. Jeszcze w latach 80. pod charyzmatycznym przywództwem ideowym Marcina Króla, z Pawłem Śpiewakiem i Damianem Kalbarczykiem w redakcji – okazała się pierwszym pomiędzy Łabą a Władystokiem zalegalizowanym pismem drugiego obiegu. Rozmowy na ten temat Marcin Król i jego przyjaciele podjęli na własny rachunek i sfinalizowali z sukcesem, nie czekając na Okrągły Stół, co ściągnęło na nich długotrwałą anatę z strony środowiska Adama Michnika. Marcin Król obronił jednak swoją niezależność, w żmudnych negocjacjach ominął rafy i nie przyjął proponowanego mu przez władze miejsca w Społecznej Radzie Konsultacyjnej – fasadowym ciele przy przewodniczącym rady państwa gen. Wojciechu Jaruzelskim – a legalizację i tak wywalczył. W okresie przełomu „Res Publica” łączy role poważnego miesięcznika politycznego, zajmującego się historią idei, a także ośrodka integracji środowiska i wreszcie pisma life-style’owego. Esej Pawła Śpiewaka o „japiszonach” – pol-

skich odpowiednikach „yuppies” – krąży z rąk do rąk po Warszawie, zawierający go numer „Res Publiki” jest zaczytywany i wielokrotnie kserowany. Absolwentki psychologii czy anglistyki swoje pierwsze w życiu mieszkania meblują z artykułem Śpiewaka w ręku, zupełnie nie zdając sobie sprawy z satyryczno-ironicznego przesłania tekstu.

Grupę „Res Publiki” cechuje estetyzująca wyniosłość i poczucie wyższości wobec przeciętności życia.

Tuż po przełomie ustrojowym to środowisko „Res Publiki” da impuls do stworzenia „Obserwatora” – pierwszego dziennika telewizyjnego bez komunistów, który z anteny zdejmą ludzie Lecha Wałęsy, na co zespół zareaguje pierwszym w czterdziestoletniej historii Telewizji Polskiej strajkiem okupacyjnym. Już wcześniej Marcin Król uchodzi za jednego z głównych strategów kampanii prezydenckiej Tadeusza Mazowieckiego. Mimo nowoczesnych metod budowania środowisk wspierających („prenumerata przyjaciół”), wysokiego poziomu artykułów i atrakcyjności „trustu mózgów”, skupionego wokół redakcji, pismo – co okaże się kolejnym paradoksem – w wolnym kraju nie obroni już swojej pozycji, którą wywalczyło na długo przed 4 czerwca 1989 r. Charyzmatycznym liderem opinii i wyznaczającym polityczne mody „trendmakerem” przyjdzie zebrać o reklamy u wydawców arlekinów.

Dla Merty z jego spokojnym sposobem myślenia „Res Publika” staje się naturalną przystanią. Przeskok do niej z prasy KPN nie wydaje się szokujący, skoro naczelny Marcin Król przed laty w drugim obiegu wydał broszurkę „Józef Piłsudski. Ewolucja myśli politycznej”, która w latach 1980–1981 okazała się dla antykomunistycznych studentów czy licealistów głównym – wobec niedostępności pism Wacława Jędrzejewicza czy samego Marszałka – źródłem wiedzy o intelekcie i duchowości twórcy niepodległego państwa polskiego.

Środowisko „Res Publiki Nowej” pozostaje niebywale barwne. Tomasz Jastrun, Agata Bielik-Robson czy Marek Zaleski to postaci postrzegane przez młodych konserwatystów, których zaprosił tam Król jako odległe. – Marcin to spinał – wspomina Marek Cichocki.

Zabrakło jednak młodym konserwatystom deklaracji, że to oni dostaną pismo w spadku po Królu. Naczelny nie podjął takiej decyzji, choć suflowali mu ją najbliżsi współpracownicy.

Dla mnie, Tomka czy Dariusza Gawina spotkania redakcyjne były intelektualnie ciekawe – zaznacza Marek Cichocki. – Wychodził z tego numer o prędkości, albo dlaczego polska wieś jest nieestetyczna.

Młodym ściągniętym poprzez seminarium jeszcze się to podoba, ale gdy pismo ma wejść pod skrzydła „Polityki” Merta z Cichockim przestrzegają Króla, że oznacza to przekroczenie Rubikonu. Wkrótce zresztą powodów do rozstania znajdzie się więcej.

Żona Tomka Magda została zwolniona z funkcji sekretarza redakcji, kiedy była w ciąży. Tak się nie robi. I druga rzecz: tekst o Żeromskim, w którym jakaś genderystka oskarżyła go o faszyzm. To był moment, kiedy myśmy się pożegnali – wspomina Marek Cichocki.

Tekst o Żeromskim jako antysemicie pachnie im lewackim barbarzyństwem.

– Poczytuję sobie za zaszczyt, że jako konserwatysta bronię Żeromskiego – powie wtedy na kolegium „Res Publiki Nowej” Dariusz Gawin.

Parę lat wcześniej, gdy Merta z Cichockim pracowali w „Opinii”, jedna z części KPN-owskiego tygodnika bezpośrednio nawiązywała do Żeromskiego tytułem: „Przedwiośnie. Dodatek literacki młodych”. Poniewieranie jednym z patronów polskiej niepodległości to znak, że trzeba wybierać.

Nie oznacza to oczywiście, że z dnia na dzień niedawni koledzy redakcyjni przestaną sobie mówić „dzień dobry” na ulicy, jak nie-
długo później dziennikarze „Życia” po odejściu Tomasza Wołka.

Tomek pracował w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych w katedrze Marcina Króla, ale była to relacja chłodna, bardziej formalna, choć nie doszło do formalnego zerwania – relacjonuje po latach Marek Cichocki. Prowadził bardzo dobrze zajęcia, sprawiało mu to ogromną przyjemność. Nie zmuszał się. Realizował się w tym.

Z czasem Merta nie może już prowadzić zajęć, bo nie zrobił w terminie doktoratu. Nie rozstanie się jednak do końca z uniwersytetem. Od 1996 r. Marek Cichocki prowadzi katedrę Erazma z Rotterdamu.

Znaleźliśmy sposób, żeby Tomek prowadził seminarium przez 3–4 lata – opowiada Cichocki.

Wśród słuchaczy zaś zasiądzie późniejszy guru lewicy Sławomir Sierakowski. Jak poświadcza współtwórca tamtego seminarium Dariusz Gawin – przyszły lider „Krytyki Politycznej” uczęszczał na zajęcia począwszy od pierwszego roku przez cały czas ich trwania.

Co więcej – po latach ciepło je wspomina. „Ważne dla mnie było kilkuletnie, właściwie półprywatne, seminarium Tomasza Mertę i Dariusza Gawina, na którym czytaliśmy wszystko, co najważniejsze w polskim XX wieku” – powie Sławomir Sierakowski w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. I nie omieszką dodać: „(...) zawsze ciekawiła mnie myśl przeciwników, a wkurzało jej lekceważenie”¹.

¹ Nie jest daleko od Karola Maya do Karola Marksa. Ze Sławomirem Sierakowskim rozmawia Aleksandra Klich. „Gazeta Wyborcza” z 22–23 czerwca 2011

Legendarne już, wieloletnie seminarium na uniwersytecie „Polskie zmagania z historią” prowadzą Dariusz Gawin i Tomasz Merta. Wspólnie wymyślą jego koncepcję. Omawiają kolejno, od końca XIX wieku aż do współczesności książki istotne dla formowania myślenia inteligentów o polityce. W Polsce sposobów na nie dostarczała – trochę zastępczo – literatura. Za Pawłem Hertzem mówią nawet jeszcze szerzej o piśmiennictwie, na które składają się zarówno powieści, jak kazania.

Merta i Gawin w małej salce katedry Erazma z Rotterdamu skupiają najlepszych słuchaczy ze studiów międzywydziałowych. Omawiają książki od „Lalki” Bolesława Prusa po „Kościół po komunizmie” Jarosława Gowina. Interesują ich „Wiry” Henryka Sienkiewicza ostro krytyczne wobec rewolucji 1905 roku, Kaden-Bandrowski, Giedroyc, Kuroń i Michnik, a także ojciec Bocheński. Również publicystyka Tadeusza Mazowieckiego z lat 60.

Czas jest trudny, w goniącej za groszem Polsce drugiej połowy lat 90 seminarium kojarzy się tylko z uczelnią, kształcącą przyszłych księży. Co więcej, dla obu preceptorów zajęcia w katedrze Erazma to praca społeczna. Warto jednak pójść na przekór duchowi epoki.

Gdy zajęcia zaczęły się w marcu 1998 r, tradycję inteligencką traktowano pogardliwie – przypomina Dariusz Gawin. – Inteligencję kojarzono z budżetówką. W czasie transformacji przegrani mieli wyginać, a zwycięzcy stać się klasą średnią.

Ze swoich seminaryjnych wystąpień Dariusz Gawin złoży książkę, za którą błyskotliwy intelektualista otrzyma nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego.

Merta swojej książki nie opublikuje, ale już wtedy ma wizję „opus magnum”. Ciągłe wracać będzie do pomysłu wydania historii filozofii politycznej. Nie zdąży.

Dawni koledzy spostrzegają jednak znaczącą prawidłowość: gdy formują się kolejne, seminaryjne, wydawnicze czy klubowe inicjatywy młodych konserwatystów – zawsze pośrodku znajdzie się Tomasz Merta. Znajduje na nie czas i energię przy pozorach wiecznego roztargnienia.

Dawnych znajomych z polonistyki, pamiętających jak zawsze z lekka protekcyjnie odnosił się do koleżanek z roku, wybierających się po dyplomie do szkoły – zadziwi nowa, edukacyjna pasja wydźwiałego intelektualisty. Tomasz Merta zwiąże się z Centrum Edukacji Obywatelskiej Jacka Strzemiecznego i Alicji Pacewicz. Zostanie współautorem podręcznika wychowania obywatelskiego w szkole samorządowej. A także – podręcznika edukacji obywatelskiej dla liceów wspólnie z Pawłem Śpiewakiem i Andrzejem Waśkiewiczem. Tomasz Merta razem z Dariuszem Gawinem piszą program edukacji historii w szkole podstawowej.

Programy edukacji obywatelskiej próbowały zaadaptować amerykańskie zasady Civic Education na grunt polski – objaśnia Dariusz Gawin. Działania Centrum Edukacji Obywatelskiej twórczo przetwarzały republikański projekt, zorientowany na tradycję i wzajemne współdziałanie. Zaangażowani w nie Tomasz Merta i historyk Łukasz Michalski (później jeden ze współautorów programowej „Pamięci i odpowiedzialności”) byli w Stanach Zjednoczonych, przyglądali się, jak tam wygląda w dziedzinie edukacji obywatelskie współdziałanie.

Dystansu i krytycyzmu wobec polskiego systemu oświaty jednak się nie wyzbędzie. AWS-owską reformę edukacji, autorstwa Mirosława Handkego, Merta uznaje za nieporozumienie. Dziwi się, że konserwatywna ekipa rządząca może tak wiele złego dla edukacji zrobić.

Jak relacjonuje Jarosław Sellin, Merta narzekał wtedy, że refor-

ma Dzierzgowskiej i Handkego idzie w stronę testowości. Wytwarza społeczeństwo o świetnych umiejętnościach technicznych, ale absolwentom trudniej przyjdzie poprawne zdanie sklecić. Autorzy reformy zachłysłeni się szkołami publicznymi w USA, zapominając, że przeznaczone są dla niższych warstw społecznych. W opinii Sellina Mertę raził imitacyjny charakter polskiej modernizacji i w tej mierze podzielał on poglądy Zdzisława Krasnodębskiego czy Ryszarda Legutki.

Zaangażował się w wydawanie podręczników. W szkolenia dla nauczycieli. W pozytywistyczną pracę u podstaw – wspomina Marek Cichocki. Pochłaniało to dużo czasu i energii.

Jednak podczas gdy Cichocki doktorem zostanie już w 1998 r. – dzięki dysertacji o konserwatystach niemieckich aż po Carla Schmitta – a w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych pracuje do dziś, to Merta swojego doktoratu nigdy nie ukończy.

Może był zbyt dużym perfekcjonistą – podejrzewa Marek Cichocki, który doskonale zapamiętywał, jak starannie przygotowywał się Merta do doktoratu o konserwatyzmie amerykańskim. Zdarzają się przecież ludzie błyskotliwi i mądrzy, którzy mają problem z napisaniem książki.

Edukator – to kolejna społeczna rola Mertę po studenckim poecie, dziennikarzu i naukowcu. A zanim zostanie urzędnikiem państwowym.

Musiał być moment, kiedy zrozumiał, że edukacja jest jednym z najbardziej właściwych pól praktycznego działania konserwatysty – ocenia Marek Cichocki. Może nawet ważniejszym niż napisanie książki.

„(...) Podstawowe zadania konserwatystów w Polsce – o ile nie chcą oni do końca swoich dni zajmować się wyłącznie udowadnianiem, że jednak istnieją – kierują ich w stronę metapolityki i sfery

kultury” – czytamy w „Nieodzowności konserwatyzmu”¹. Tam też niezawodnie widział siebie sam autor.

– Obserwatorem polityki był zawsze. Trafnym jej komentatorem, potrafiącym w trzech zdaniach zdiagnozować sytuację – uważała już wtedy, pod koniec lat 90. Lena Dąbkowska-Cichocka.

Już wkrótce spotkają się w pracy, gdy u schyłku rządów AWS do resortu kultury ściągnie młodych, konserwatywnych intelektualistów nowy minister Kazimierz Michał Ujazdowski. Lena Dąbkowska-Cichocka i Tomasz Merta w tym samym czasie zostaną jego doradcami.

KULTURA

¹ Tomasz Merta. Nieodzowność konserwatyzmu. „Res Publica Nowa” nr 11 z 1997, s. 56

Z INNEJ BAJKI...

*5 października 2020,
czyli o niebezpieczeństwie tęczowego snu*

Minionej nocy przyśnił mi się piesek, którego nigdy w życiu nie widziałam. Leżał na poduszce i przyglądał się mojej przyjaciółce. Kobieta na kolanach szorowała zdobiony kolorową nicią dywan.

Następnego dnia, czyli dziś, zobaczyłam zdjęcie pieska w ramce na zwierzęcej mogiłce. Rozpoznałam mordkę, wielkie oczy, długie uszy, a także kolor poduszki, na której właściciele uwiecznili swojego psiego przyjaciela.

„Sny są niebezpieczne”, pomyślałam. Zamieniają zbiegi okoliczności w los, mają umysł, wyrywają nas z ziemi ku iluzjom.

Na cmentarzu dla zwierząt nie wolno zostawiać żadnych znaków religijnych. Za to mnóstwo tutaj kolorowych wiatraczków. To symbole „tęczowego mostu”, za który mają według naszych nadziei odchodzić po śmierci wszystkie zwierzęta. Sny, herezje, tęcze... Trudno to pomieścić w katolickiej głowie, ale trudno im zaprzeczyć. Snom, zbiegom okoliczności. Trudno zaprzeczyć tym wszystkim rozsadzającym rzeczywistość zdarzeniom.

„To tylko intuicja”, wyjaśniła mi kiedyś ciocia. Pewnie tak. Pewnie tylko intuicja. Ale czym ona jest? Czym właściwie jest intuicja? I czy dywan ze snu, który szorowała moja przyjaciółka, nie był w istocie dywanem z granitu? Może do niej zadzwonię i zapytam? Nie. Jakby to wyglądało? Implikacje śmierci? Takich telefonów się nie wykonuje, zwłaszcza do najbliższych.

Na zwierzęcym cmentarzyku, pomiędzy kolorowymi wiatraczkami, gumowymi piłkami, szmacianymi maskotkami, latały dzisiaj motyle. Za ogrodzeniem pasły się krowy. Wracałam do samochodu. Wspominałam kota Tytusa, który ma tutaj swój skromny doczesny kącik. Na cmentarzyku, którego chyba nie wolno nazywać cmentarzykiem, spotkałam zasmuconą rodzinę. Stali we trójkę nad świeżutką mogiłą. Okazało się, że to znajomi. Dalecy znajomi. Pozdrowiliśmy się ciepło. I taki to był dzień piąty października. Dzień tuż po nocy, coraz krótszy, z motylami i z duchami zwierząt pośród nas.

Opowieść dla strapionego taty

Rozmawiałam wczoraj z pewnym strapionym ojcem. Obiecałam mu, że napiszę coś, co pokrzepi jego rodzinę. Trudne zadanie, gdy samemu od jakiegoś czasu pozostaje się w smutku. Kiedy tak rozmyślałam, co opowiedzieć, w pamięci stanął jak żywy dziadek Gerard.

– Dziadku, pomóż.

– Opowiedz o kafelkach w łazience.

Jak się pojawił, tak zniknął. W 1974 roku miałam dwa lata i teoretycznie niemożliwe, żebym pamiętała dziadka, który klęczy w naszej toalecie i przykleja do ściany wiśniowe kafelki. To była pierwsza i ostatnia „prawdziwa” łazienka jego córki, mojej mamy. Nie był glazurnikiem. Nie znał się na tym rzemiośle. Przyozdabiał ścianę nad wanną kierowany ojcowską miłością. Przez następne ćwierć wieku żadna z płytek nie odpadła. I to już cała historia dla mojego Znajomego, strapionego taty. I dla jego Bliskich. Miłość zawsze zwycięża. Każdą niemoc. Zawsze, wszędzie i każdą. Jest tylko jeden warunek: musi być prawdziwa. I miłość i niemoc muszą być prawdziwe.

Zdrada i śmiech

Ciocia Madzia wybuchła śmiechem. Spojrzeliśmy po sobie zdumieni. Żart był rzeczywiście przedni, ale tego się po niej nie spodziewaliśmy.

Zamilkła, przykryła usta dłonią. Wstała z fotela i wolno poszła do swojego pokoju.

– Stasiu, zdradziłam cię – szepnęła siadając na krawędzi małżeńskiego łóżka.

Odpowiedziała jej cisza. Nic nowego dla wdowy. Szybko zasnęła.

– Kiedy mnie zdradziłaś? – zapytał Staś. Był taki przystojny. Zupełnie jak ich wnuk Mateusz.

– Stasiu, jaki ty jesteś młody! Wszyscy tam tak macie?

– Kiedy mnie zdradziłaś?

– Dzisiaj.

– Dzisiaj?

– Roześmiałam się. Pierwszy raz od twojej śmierci. Nie żyjesz, a ja się śmieję.

– Magda, nie żyję od pięciu lat.

– Od pięciu lat, dwóch tygodni i trzech dni...

– Aż tyle czekałam, żebyś się roześmiała.

– Czekałeś, aż będę wesoła?

– Tak.

– Tak ci zależy na moim szczęściu, Stasiu?

– Zależy mi, żebyś przestała być nieznośna dla ludzi. Mają z tobą trzy świąty. Próbują cię rozbawić na wszystkie sposoby. Nie można tyle czasu zasłaniać się żałobą.

– Nic się nie zmieniłeś! Jesteś tak samo wobec mnie niesprawiedliwy, jak byłeś za życia. Idź sobie.

– Ty też nic się nie zmieniłaś... Pa kochanie – roześmiał się Staś, a potem zabrał swój sen i zniknął.

Mamo, tato

Kiedy dziecko przynosi do domu „czwórkę”, a rodzice pytają, dlaczego nie „piątkę”... Kiedy dociekają, kto dostał „szóstkę”. Kiedy powtarzają synowi, córce, że stać ich na więcej. Być może w ten sposób przygotowują swoje dzieci do kariery w świecie dorosłych. Być może.

A być może uczą malców, że na akceptację, na miłość trzeba sobie zasłużyć.

Nie trzeba zasługiwać na miłość rodziców.

Ani na żadną inną. Jeżeli na coś musimy zasłużyć, to może być wszystko, ale na pewno nie miłość. Czy jesteśmy dziećmi czy dorosłymi.

„Mogłaś to napisać lepiej, córeczko”

Krzywe nogi Weroniki

– Jakie one koślawe – zamartwiała się Weronika.

Bliscy, koledzy, koleżanki zapewniali, że wcale nie. Tak jej się tylko zdaje. Weronika wiedziała swoje i chodziła w długich spódnicach, w spodniach z szerokimi nogawkami. Któregoś dnia odwiedziła ją siostra matki.

– Ciociu, czy z takimi krzywymi nogami znajdę sobie męża? – zapytała dziewczyna.

Liczyła, że krewna powtórzy za znajomymi, że wcale nie są takie krzywe i że to żaden powód do zmartwienia. Są inne, o wiele poważniejsze problemy.

– Rzeczywiście masz zabawne nogi, takie iksy – skwitowała ciotka, a Weronikę przeszedł dreszcz rozczerowania. Iksy! W sercu liczyła na coś zupełnie innego. Na zaprzeczenie, na delikatniejsze przedstawienie sprawy.

– Próbuję je zakrywać – szepnęła.

– Dlaczego?

– Bo nie znajdę sobie męża.

– A to jest dla ciebie takie ważne? Mąż?

– Bardzo ważne! Chcę mieć rodzinę, dom, dzieci. Kogoś, kto mnie pokocha.

– Jeżeli chcesz, pragniesz miłości, najlepsze co możesz zrobić, to...

– To co, ciociu?

– Najlepsze, co możesz zrobić, kochanie, to zacząć chodzić w mini.

Weronika jest dzisiaj babcią. Uwielbiam patrzeć na nią, na jej szczy-

płe łydki dojrzałej kobiety. Zabawne iksiki zdobione błękitnymi żyłkami. Pięknie ją prowadziły przez życie. Męża nie znalazła. Nie szukała. Zapomniała o szukaniu. Tyle się po drodze zadziało. Bartek odnalazł ją pierwszy. Na plaży czasów Gierka.

W Kołobrzegu.

– Jak pani to robi, że tak pani łapie słońce? – zapytał.

Roześmiała się i wtedy, jak mówi, kompletnie przepadł.

Słodkie żony, wytrawne kochanki

– Kochanie...

– Co tam, skarbie?

– Skończyło się mleko dla Zuzi. Poszłabym sama, ale chcę ci jeszcze uporządkować swetry w komodzie. Jest coraz zimniej. A jakoś tak zmierzniałeś. Może dlatego, że chłód? Kiepsko wyglądasz.

– Martuś.

– A co tam, Adaś?

– Jesteś słodka z tymi swetrami. I tak miałem jechać do sklepu, bo papier w drukarce się skończył. Kupię przy okazji mleko dla małej.

Adam zakłada lichą kurtkę. Jaką ma mieć inną – niż lichą – nie dostrzeżony artysta. Wychodzi. Po kwadransie jest w sklepie. Najpierw mleko w proszku, potem papier do drukarki.

– Papier do drukarki, papier do drukarki – powtarza na głos.

Zupełnie nie wiadomo, jak to się dzieje, ale coś go niesie na stoisko z kosmetykami. Jakiś zapach? Znany skądś zapach gorzkich migdałów i paczuli? Nie, to nie tylko to. Ktoś. Czyjeś nogi. Nogi, których nie widać, bo kobieta, właścicielka tych nóg, zakrywa swoje łydki obcisłymi czarnymi kozakami. Między skrawkiem skórzanej spódnicy a butami lśnią gołe kolana. A nad kolanami mocne szczupłe uda.

– Papier do drukarki. Papier do drukarki!..

Śmiech.

– Z czego się pani śmieje. Czy ze mnie? – pyta Adam.

Nigdy jeszcze nie zagał do nieznajomej kobiety. Zdarza mu się to pierwszy raz w życiu.

Nawet nie ma odwagi, by zobaczyć jej twarz. Przeczuwa tylko, że długo tej kobiety nie zapomni. Wulkan wybucha. Gdzieś na antypodach. Nie czas o tym myśleć.

– Adaś, jaka pani? Chodziliśmy do tej samej podstawówki. Nie pamiętasz? Co u ciebie? Masz świetną kurtkę. W ogóle wyglądasz fantastycznie.

Zanim Adam pacnie się w czoło, zanim odpowie, że to kurtka po szwagrze, zanim opowie o swojej słodkiej żonie... Zanim to wszystko się stanie, usłyszysz:

– Mleko w proszku się nie rozleje. Chodźmy gdzieś na kawę.

I pójdą we dwoje do pobliskiej kawiarenki. Anna zajrzy mu w oczy, zdejmie obcisły sweterek. Z głębokiego dekoltu, spomiędzy drobnych niemal dziewczęcych piersi, buchnie aromat wytrawnej paczuli.

– Nigdy nie słodzisz kawy?

– Nigdy, Adaś. Słodkie jest nudne i mdłe.

I to już koniec historii o słodkiej żonie, o małej Zuzi. Koniec historii rodziny. To początek historii gorzkiej miłości. Miłości wzajemnej, niszczącej po drodze wszystko, co mdłe. Ale – miłości.

– Czemu mnie takiego stworzyłeś?!

Milczenie.

– Gdzie zawiniłem?

Milczenie.

– Zawsze milczysz, kiedy wołam do ciebie.

Milczenie.

*Miłosna historia opisana od końca do początku
(inspirowana prawdziwymi zdarzeniami)*

– Tatusiu, mama mówi, żebyś wziął jeszcze batonik dla mnie.

– Dobrze córciu, dobrze Julciu, wezmę.

Waldek idzie do sklepu po sprawunki i nuci pod maseczką: „dobrze córciu, dobrze Julciu”.

Przed trzema laty nie znał tej małej, a teraz są sobie tatusiem i córcią.

Magda spogląda przez okno na wilgotny obsypany liśćmi chodnik.

I na Waldka, który, pociągając lekko nogą (choroba znów daje znać), wędruje na zakupy do osiedlowego sklepu. Trzy lata temu chodnik i osiedle wyglądały tak samo. Takie same kałuże, takie same wilgotne żółte liście. Ale wtedy, trzy lata temu, nie było między nimi, na październikowym chodniku, rozśpiewanego Waldka.

Jeszcze się wtedy z Magdą nie znali. I my też się jeszcze nie znaliśmy. Nasze koleżeństwo zaczęło się na sądowym korytarzu.

– Będzie dobrze – powiedziałam.

Magda przytaknęła i błyskawicznie starła z policzka kilka drobnych kropel. Jak się potem okazało, były to pierwsze i chyba ostatnie łzy w jej trzydziestoletnim życiu.

– Myślałam, że nie potrafię płakać – uśmiechnęła się samymi tylko ustami, bo oczy pozostały smutne.

Potem wyszła z urzędowego gmachu, przytuliła dziewczynkę, która najwidoczniej czekała na nią już od jakiegoś czasu. Miała mokre kalosze. Mała nie była sama. Trzymała ją za rękę starsza kobieta.

Tamtego dnia wieczorem, zgodnie z umową sprzed kilku godzin, zadzwoniłam do nowej znajomej.

– Ma pani matkę. Poradźcie sobie.

– To nie mama, to sąsiadka – odpowiedziała Magda.

Sąsiadka, jak się niedługo okazało, jednak była również mamą. Mamą Waldka.

Czy to skomplikowane? Od końca do początku jasne. Miłość wydeptuje do nas sobie tylko znane ścieżki. Między kałuzami, między wilgotnymi liśćmi pomarańczowej jesieni.

7 listopada 2020 Łódź Bałuty

Na osiedlowym ryneczku spotkali się babcia i jej dorosły wnuk.

– Kupiłam ci, Mareczku, dwa banany.

– Babciu, ja tobie też kupiłem. Nawet trochę więcej niż dwa – śmieje się młody mężczyzna i pokazuje starszej pani wypchaną owocami płócienną torebkę.

Miłość.

„Nie zostawiaj Mnie”

Znałam kiedyś człowieka, który zachorował na nieuleczalną, prowadzącą do całkowitego paraliżu chorobę. W pierwszym odruchu zaprzeczył diagnozie, ale po niedługim czasie musiał zaakceptować, co mu powiedzieli lekarze. Miał coraz mniej siły. Poszedł do kościoła i gorąco modlił się o uzdrowienie. Następnego dnia poczuł się jeszcze gorzej. Odwiedził go doktor.

– Nie znam się na rzeczach Boskich, po ludzku mogę panu dobrać leki i prosić, by każdego dnia, na miarę możliwości, starał się pan wykonywać najprostsze fizyczne prace.

Chory zaufał swojemu neurologowi, ale choroba postępowała. Przestał się modlić. Cały czas ćwiczył. Z kwartału na kwartał, z miesiąca na miesiąc tracił siły. Któregoś ranka okazało się, że nie może ruszyć rękami ani nogami.

I wtedy jego żona, która już jako dziecko straciła wiarę, poszła, po raz pierwszy od lat, do kościoła.

– Nie wierzę w Ciebie, ale jeżeli jesteś, pomóż mi. Ulecz mojego męża. Jeżeli to zrobisz, obiecuję Ci, że już nigdy w Ciebie nie zwątpię.

– Nie zostawiaj mnie samego – powiedział mąż, kiedy wróciła.

„Nie zostawiam Mnie samego” – usłyszała.

– Nigdy cię nie zostawię. Nigdy Cię nie zostawię – odpowiedziała mężowi i Panu Bogu.

Co było dalej? Dalej było tak, że chory żył jeszcze wiele lat. Paraliż

napadały go i odpuszczają. Napadały i odpuszczają. Do końca swoich dni zachował umiarkowaną sprawność. Kiedy zmarł na serce, kilka dni po pogrzebie przyszedł do wdowy w kolorowym śnie.

– Dziękuję ci, że Mnie nigdy nie zostawiłaś – usłyszała.

Matka, córka i ta trzecia

Anka od kwartału mieszkała z mamą w krytej papą przybudówce. Pokój, prowizoryczna kuchnia. Trzydzieści metrów kwadratowych. Trzydzieści metrów kwadratowych spokoju po latach tułaczki. Pierwszy wolny od awantur dom. Zagospodarowały się jak umiały. Matka znalazła pracę w pobliskiej fabryce mebli. Była magazynierką. Anka kończyła ósmą klasę, myślała o egzaminach do liceum, ale koniec końców wybrała szkołę zawodową, żeby jak najszybciej się usamodzielnąć. Lubiła wracać ze szkoły do domu. Lubiła zapach wanilii, jaki towarzyszył jej od wejścia. Któregoś dnia zamiast ciasta, poczuła drażniący tytoniowy mentol. Weszła do kuchni i zobaczyła obcą kobietę uwijającą się między stolikiem a gazową butlą.

– Kim pani jest? – zapytała.

– Anna, tak? Jestem koleżanką twojej mamy. Z pracy. Pozwoliła mi u was zamieszkać. Robię nam obiad. Barszcz z ziemniakami. Lubisz?

Anka bez słowa wybiegła z mieszkania. Usiadła na kamiennych schodkach, z oczu poleciały łzy. Łzy złości. Gniewu na matkę. To miał być ich pierwszy wspólny dom. Miały być tylko we dwie.

– Ona nie ma gdzie się podziać. Uciekła. Synka wzięli do domu dziecka.

Tylko tyle. Tylko tyle powiedziała matka po powrocie z fabryki.

– Zdradziłaś mnie – odpowiedziała spokojnie Anka. Potem latami zastanawiała się, skąd ten spokój się wzięł. Był to spokój lodowaty i głuchy.

– Już cię, mamo, nie kocham – dodała. – Zawsze jest ktoś ważniejszy ode mnie. Najpierw ojciec był ważniejszy. Potem ci wszyscy pijacy, którzy z nim balowali i których opatrywałaś. Teraz jakaś obca kobieta.

– Córciu, nie potrafię inaczej.

Minęło trzydzieści lat.

- Tamtego dnia przestałam ją kochać – mówi Anna.
- Na zawsze?
- Nie. Na jeden dzień.

Bezdomna kobieta zniknęła równie nagle jak się pojawiła. Po kilku tygodniach. Został po niej tylko zapach mentolowych papierosów i pudełeczko. W pudełeczku ślubne obrączki oraz karteczka „Basiu, Aniu, nie mam jak wam zapłacić. Dlatego zostawiam obrączki. To dla was na szczęście”

- I co, przyniosły wam szczęście? Te obrączki?
- Tak, Ewo. Tak.

Piekło mężczyzn

Pozwolono nam płakać, ale kobiety wybiorą tych, którzy nie płaczą.

Pozwolono nam mniej zarabiać, ale kobiety wybiorą tych, którzy zarabiają więcej.

Pozwolono nam na impotencję, ale kobiety wybiorą tych, którzy są twardzi jak stal.

Pozwolono nam być poetami, ale kobiety nie zakochują się w poetach. Co najwyżej w ich wierszach.

Pozwolono nam na błędy, ale za każdy musimy zapłacić w gotówce.

Pozwolono nam być ojcami, ale to kobieta zdecyduje, czy dziecko się urodzi.

Pozwolono nam na wszystko, ale wciąż nie możemy nic.

Nie możemy nawet zacisnąć zębów, bo starliśmy je do miazgi, a pani stomatolożka, ta piękna delikatna dziewczyna w maseczce. Ona wybierze tego, który nigdy nie zaciska zębów. Bo nie musi.

Bo jest silny, zamożny i – przede wszystkim – romantyczny

Jan bierze Natalię za żonę

Wiosna.

- Mamusiu, bardzo ci potrzebna ta komódka?
- W ogóle niepotrzebna. Weź ją sobie dziecko, weź. Ona mu chyba ze sto lat. Weź do miasta.

– Mamusiu, a ta szafa? Bardzo ci potrzebna?

- W ogóle niepotrzebna. Ma chyba ze sto dwadzieścia lat. Weź ją sobie dziecko, weź. Weź do miasta.

Lato.

– Mamusiu, bardzo ci ta łąka potrzebna?

- W ogóle niepotrzebna. Sprzedaj, dziecko, kup sobie za nią kawałek ziemi w mieście.

Jesień.

– Mamusiu, bardzo ci ta chałupka potrzebna?

- W ogóle niepotrzebna. Mam przecież obórkę całkiem ciepłą. Sprzedaj dziecko, wybuduj sobie domek w mieście.

– Musiałabym, mamusiu, kilka takich chat sprzedać, by wybudować domek w mieście.

– To może, córciu, pożyczę jeszcze dla ciebie jakiś złoty pieniążek?

– Od kogo?

– Od Jasia.

Zima.

– Panie Janie, dzień dobry, przyjechałam w odwiedziny do matki.

Stary Jan wychodzi na zaśnieżony dziedziniec.

– Nie ma tu twojej matki.

– Jak to nie ma, panie Janie. W wiosce mówią, że wziął ją pan do siebie.

– Powtarzam. Twojej matki tu nie ma. Jest tylko moja żona Natalia.

– No przecież Natalia to moja matka.

– Natalia, moja żona, od kwartału żona... Ona nie ma już dzieci.

– Pan zwariował, panie Janie.

– Nie. Wracajcie do miasta. Wracajcie, skąd przybyliście.

Kobieta i towarzyszący jej mężczyzna wsiadają do samochodu. Odjeżdżają.

- A kto to był, Jasiu?
- Nikt, kochanie. Nikt.
- Dobrze, że nie moje dzieci.
- Dobrze, mówisz?
- Dobrze, Jasiu.
- A czemu?
- Bo nie mam już im nic do ofiarowania.
- Jesteś moja kochana Natalia.
- Jesteś mój kochany Janek.

Soczysta fuksja marki Chanel

- Podoba ci się, kochanie? – zapytał Adam.
- Bardzo – odpowiedziała Kasia.
- Pomalujesz nią usta?
- A mogę jutro rano?
- Oczywiście. Jutro rano.

Nocą Kasia ważyła w dłoniach luksusową szminkę Chanel w kolorze soczystej fuksji. Nadszedł kolejny dzień.

- Całą noc pracowałaś? Redagowałaś całą noc ten tekst?
- Adam, nie.
- Twoja pościel nietknięta..
- Szminka, którą mi kupiłeś, kosztuje tyle, ile zarabiasz przez kilka dni.
- Cóż z tego. Twoje usta są warte o wiele więcej!
- Tak uważasz?
- Jestem pewien.
- Jeżeli tak, czy mogą zostać nagie?
- Mogą, ale ta szminka otuli je jak kołdra. Kołdra, której nawet nie tknęłaś.

Kasia patrzy narzeczonemu w oczy.

- Adam?
- A co, kochana?
- Taką samą szminkę, w kolorze soczystej fuksji, miała twoja żona. Adam pąsowieje na twarzy. Chciałby uciec. Serce łomocze jak zwa-
riowane.
- Skąd wiesz?
- Wiem. Nie chcę być taka jak ona.
- Kasia! Przepraszam.
- Nic nic. Nic się nie stało.

I teraz obydwoje myślą o tym samym. I znają swoje myśli na wylot. Taką samą luksusową szminkę,.. Szminkę firmy Chanel w kolorze soczystej fuksji... Kupił żonie Adama, dawno temu, w innym życiu, ktoś, kto Adamowi potem żonę zabrał.

- Kasiu, dobrze. Oddam ją w perfumerii.
- A może подарujemy ja twoje mamie? Na wigilię?
- Mojej mamie na wigilię? Dobrze. Kasia...
- A co tam?
- Nic nic.
- Ja ciebie też, Adam. Ja ciebie też.

Z CYKLU „KĄTEM OKA”

DŁUGOPIS DO PIECZĄTKI

Dawno temu, gdzieś w II klasie liceum zacząłem się aktywizować także twórczo. W tygodniku młodzieżowym ogłosili konkurs, trzeba było wypełnić dymki w rysunku satyrycznym, gdzie wymieniają zdania pieczętka i długopis. Zrobiłem to mniej więcej tak: Pieczętka do długopisu: „A w ogóle to nie wiadomo, do kogo ty należysz”. Na to długopis: „Nie lubię tych, którzy mają wszystko na twarzy wypisane”. Nagrody nie dostałem.

ŁOKCIAMI

Dworzec kolejowy w Szczecinie, na peronie tłum, który za moment będzie forsował nocny pociąg do Przemyśla, jedzie ze Świnoujścia, najdłuższa trasa po przekątnej Polski. To było w czasach, które niektórzy wspominają jako lepsze niż obecne, pamięć mają krótką i wybiórczą. Wtedy nie było praktykowane wchodzenie do pociągu według kolejki. To była walka, czasem bezpardonowa. Aby zająć miejsce, niekiedy podawano sobie bagaż przez okno, samemu też można było tak wejść. To był sposób praktykowany i skuteczny.

Mój przybrany starszy brat, syn kolejarza, był obeznany w sposobach podróżowania, w tym wsiadania do pociągu. Nauczyłem się od niego, aby nie stać przy krawędzi peronu, lecz z dystansu obserwować wjazd

pociągu, jak się ustawiają poszczególne wagony, wtedy ponad biegającym i napierającym tłumem wybrać dojsie.

Tak zrobiłem i tym razem, wyładowany duży plecak, plecaczek w rękach. Jadę do Krakowa, często podróżowałem na tej trasie. Dotarłem do drzwi, nie jestem pierwszy, ale mam szansę na miejsce. Nie zwracam uwagi na ludzi. Udało się.

Wtedy go zobaczyłem na peronie, stał spokojny, wyluzowany, obserwował walkę o miejsce. Brat znanego, popularnego aktora. Razem studiowaliśmy medycynę na PAM-ie. Było ich trzech braci, ich ojciec był chyba partyzantem, mówiąc na Jurka „Jędreka”, zawsze miałem to na uwadze.

Jędreka w stanie wojennym był aresztowany, miał kolegium, bo rzucał kamieniami w zomowców.

Spotkaliśmy się w przejściu wagonu, on jechał do Wrocławia.

- Ale wsiadanie – zagałem do niego, – Widziałem, widziałem – odpowiedział. Zawstydzilem się.

Nigdy potem nie wsiadałem w ten sposób, czekałem, przepuszczałem, zawsze się dostawałem.

Walka łokciami nie była moim żywiołem, także w przenośni, w Krakowie tacy jak ja zostawali w tyle.

SAMOLOT

Idę przez osiedle, w dalszej odległości widzę na alejce jakieś zamieszanie. Podchodzę bliżej, a tu trzech młodych mężczyzn podskakuje kolejno w górę podrzucając plastikowe butelki. Pewnie znowu coś na drzewie zawisło, różne trafiają tam rzeczy, czasem niespodziewane. Trwa to chwilę, był moment, że już chcieli odejść, jeden się uparł. Z boku stoi kobieta z chłopcem. Czeka. Nagle udało się. Radość udzieliła się wszystkim obserwatorom, a było ich więcej niż się wydawało. Na ziemię spadła zabawka chłopca – samolot. Zawadził o gałęzie skrzydłami, przerwany lot. Mama podaje chłopcu zabawkę, cały szczęśliwy, pewnie ledwo co

wyszli ze sklepu zabawkowego. Kobieta dziękuje, mężczyźni odchodzą na plac budowy, ten, który dokonał strącenia jest dumny.

OFIARA SYSTEMU

Nareszcie ją mam – moją maskę, nie białą, nie czerwoną, nie zieloną, nie tęczową, nie dudową, nie trzaskowską, moją własną, mordziastą, czarną. Dobrze się w niej czuję, bo i kosztowała nie mało, czarna – anty-systemowa, „anarchistyczna”, maska zorro, co to broni słabych i skrzywdzonych, chroni mnie. Problem w tym, że po zdjęciu maski, ona nadal jest, widać, tak będę miał. Teraz muszę wymyślić powód, jakiś bunt, jakieś postulaty precz i za.

W czasach komuny, gdy w modzie było kontestować opresyjny system, wymyśliłem i ja postawę, nazwałem ją przekornie syndromem „ofiar systemu”, to ci, którzy zawsze byli przeciw, gdy inni byli za, i na odwrót. Skutkiem było wytworzenie się rozproszonych, skłóconych, przerażonych stad i plemion, które stygmatyzowały się, namaszczały w barwy wojenne przeciw czemuś lub komuś. Tkwiły w spazmatycznym skurczu, gdzie przez lata relatywizowały się pojęcia, znaczenia i zasady. Każdy miał swoje. Trudno było się porozumieć, co innego myśli, co innego mówi, co innego wie, co innego robi. W nieustannej wyniszczającej walce, rozproszenie sygnałów w chaos i bełkot. Ale najważniejsze: zwalniały od odpowiedzialności i dawały profity, to był sposób na życie.

Nie bój się, nałóż maskę, nie będziesz sam.

KWARANTANNA

Wracam z zakupów, dwie siaty, równe obciążenie. Na wysokości sąsiedniego bloku wolno podjeżdża policyjny patrol. Nie lubię takiego podjeżdżania. Maseczki na twarzy nie mam, ale jestem „w prawie”, bo na wolnej przestrzeni już nie ma obowiązku się maskować. Mijają mnie,

stają przy parkingu i wolno parkują tyłem naprzeciwko bloku, dziobem do wyjazdu. Uchyła się okno: „Proszę podejść do okna”. Nie wiem, czy to do mnie, dla pewności nie podchodzę. Policjant z telefonem mówi dalej: „Widzę panią w oknie w piżamie, w porządku, dziękujemy”.

CÓRECZKA?

Idę szybkim krokiem alejką osiedlową, upał tropikalny. Naprzeciwko idzie kobieta z dzieckiem. Pcha wózek, a dziewczynka idzie śmiało po nieznacznym murku, trzymając mamę ze rękę. Przyglądam się jej: war-koczyki itede, itepe. Ubrana na przedwojenną, czyli elegancko. Wlepiła we mnie nieustępliwy wzrok, okularnicy zawsze budzą zaniepokojenie. Mijamy się, a ona: „tata?”, na tym nie poprzestaje. „to tata?”.

Mama przyspiesza. ;-)

SZACHY

Gra królewska, czarne – białe, szach – mat.

U nas w domu zawsze były szachy, szybciej je poznałem niż grę w warcaby. W dzieciństwie jeździłem z rodzicami w Karkonosze, w Polanicy Zdroju piliśmy wody, od których mnie odrzucało, ale dla zdrowotności musiałem, tym bardziej, że czasy pod tym względem były niezdrowe. Ciekawe były rozgrywki szachowe, które rozgrywano w okolicznym parku. Kuracjusze i turyści oraz kibice gromadzili się wokół wyznaczonych miejsc. Dodatkowo, a może przede wszystkim, były też znane mistrzostwa, organizowane w samej pijalni, sytuacji z szachownic przenoszono na duże plansze parkowe. Zadzierałem głowę tak jak inni i udawałem, że coś z tego rozumiem, tym bardziej, że byli tacy, którzy komentowali posunięcia albo je podpowiadali. Nudziło mnie czekanie na każdy ruch.

Gry w szachy nauczył mnie ojciec. Lubił ze mną grać, bo zawsze wygrywał. Na koniec powtarzał, że trzeba umieć przegrywać, a we mnie

się gotowało, do tej pory nie lubię i nie umiem przegrywać (kto umie?). Zaciskałem zęby, aby nie dać nic po sobie poznać. Obmyślałem rewanż. Ojciec pouczył mnie, jak się zachować po grze – trzeba pogratulować zwycięzcy i podać mu rękę. To była też lekcja życiowej dyplomacji. W przegrywaniu w szachy najgorszy był finał, gdy bezradny król, po stracie królowej, która też była hetmanem, był przeganiany, osaczany i szachowany. Według reguł należało go położyć, co oznaczało poddanie. Przegrać przegrywałem, ale nie chciałem się tak beznadziejnie poddać. W czasie gry, królował mój „małpi umysł”, nie potrafiłem się skupić, bardziej interesowały mnie reakcje przeciwnika, gra jego twarzy. Nie potrafiłem przewidywać, robić pułapki, rachować, słowem prowadzić wojnę. Przyszła pora, aby nauczyć grać w szachy syna, on umiał grać chyba od urodzenia, rozstawiał mnie po kątach.

Tak więc nie lubię szachów, nie mam powodów, to raczej głupia gra ;-)

KROMKA CHLEBA

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla **darów** Nieba....Tęskno mi, Panie...” – pisał Norwid.

U nas w domu szacunek był, babcia Władzia krojąc chleb robiła nożem znak krzyża, mama przekazała, abym ponosił chleb z ziemi, więc podnosiłem i kładłem na jakimś murku, byleby nie leżał na ziemi. Oczywiście, długo nie leżał, bo dopadały go ptaki...

Pod naszym oknem w nowym mieszkaniu ląduje chleb, puszek po piwie i butelki po wódce. Żona z rana zbiera, chleb kładzie na żeliwnej płycie miejskiej instalacji, a butelki stawia przed wejściem do klatki schodowej. Ona stawia, a ja wyrzucam do pojemnika na szkło.

- Dlaczego tak robisz z tymi butelkami? – pytam. – Oni tego nie rozumieją, nawet im się głupio nie robi.

Na szybie klatek schodowych wywieszony jest apel spółdzielni, aby

chleba nie wyrzucać, bo to przyciąga gołębie i szczury. Jedne zanieczyszczają, drugie niemiłe człowiekowi. Apel nie pomaga. Jak jest okazja, pytam lokatorów kto wyrzuca ten chleb, więc wiedzą, że to nam nie odpowiada.

Ludzie, którzy nie znają głodu, wojny, bezdomności – są ślepi i głusi, powiem więcej: są wyzuci z człowieczeństwa. Jakże naiwnym był natchniony Norwid, tęsknił za ideą boleśnie oderwaną od rzeczywistości, przypisał ją bałwochwalczo naszej Ojczyźnie. Nie podnoszą kruszyny, Mistrz Cyprianie, nie szanują daru Nieba, nie trzeba było tak tęsknić. Dziękuję Ci za strofy „Mojej piosnki”.

POMOGĘ PANU

Zaiwaniem na pocztę z wysyłką gazet. Widzę zgarbioną postać, jak zagląda do kosza na śmieci, wyciąga puszkę i ją z wprawą rozdeptuje, pomaga sobie łaską, pozyskane surowce wkłada do torby, pracuje, takich koszy jest więcej przy skrzyżowaniu. Gdy ją mijam, prostuje się, widzę jego twarz, jestem przekonany, że to mężczyzna, zwracają uwagę krzaczaste brwi. Idę dalej do światła, zwalniam, przecież podzielę się okruszem tarczy antykryzysowej, bo nie wiem, czy takim osobom coś się ekstra dostało. Czekam, dochodzi, po drodze sypie z woreczka pokruszony chleb dla gołębi, które z miejsca nadlatują do dziobania. Wychodzę naprzeciw między gołębiami, daję banknot do ręki. Kobieta podnosi twarz, widzę jej oczy i uśmiech. Odchodzę, ale mnie woła: „jak panu na imię?”. Jeszcze tego brakuje, idę dalej, a ona nie ustępuje: „niech pan podejdzie”. „Byłam krwiodawcą, źle mnie potraktował dyrektor...”. Ciągnie dalej, a ja mam wrażenie, że już ją kiedyś w tym miejscu spotkałem i słyszałem ten początek. Odchodzę, a ona za mną: „jak panu na imię?”. Wracam, aby zakończyć tę sytuację: „Jarek”. Patrzy na mnie i mówi: „Pomogę panu”. :-)

SADŹMY GAJE

Na planie zegara, 12 drzew, w należytej odległości, aby miały możliwość ukształtować koronę. Trzeba mieć zabezpieczoną i zagwarantowaną ziemię. Trzeba to zrobić z namysłem i wyczuciem, które drzewo nam się wyjątkowo podoba, ma dla nas znaczenie, przemawia do nas.

Zaczynamy od „dwunastej”, na przykład: 1 dąb, 2 miłorząb, 3 akacja, 4 buk, 5 wiąz, 6 modrzew, 7 lipa, 8 jesion, 9 brzoza, 10 sosna, 11 kasztanowiec.

Taki gaj będzie wzrastał latami, przejmą go następne pokolenia, będzie pamiątka.

Taki miałem sen...

RECENZJA KSIĄŻKI „UBEK” BOGDANA RYMANOWSKIEGO

Książka stanowi relację z trwających kilka lat rozmów znanego dziennikarza TVN i Polsatu Bogdana Rymanowskiego z Januszem Molką (czy może Hansem Molke?) – działaczem Solidarności z Gdańska, który został zdemaskowany przez Sławomira Cenckiewicza w roku 2004 nie tylko jako tajny współpracownik SB, ale także jako funkcjonariusz policji politycznej PRL.

Całość liczy 324 strony plus skan niektórych dokumentów z akt osobowych Janusza Molki oraz bibliografia i indeks nazwisk.

Pierwszych 35 stron to kilka scen z życia tytułowego „ubeka”, mających zaciekać czytelnika i skłonić go do uważnej lektury całości. Następnie relacje z rozmów (nie tylko z samym Molką, ale także z osobami, które znały go w tamtym czasie) przedstawiono wg porządku chronologicznego wydarzeń, których dotyczą, poczynając od grudnia 1970 roku, gdy Molka liczył 16 lat (strona 45) a kończąc na kwietniu 2010 roku, gdy – bezpośrednio po Katastrofie Smoleńskiej – odbyła się jedna z ostatnich rozmów autora z Molką (strona 275–276). Oprócz relacji z rozmów autor w skrócie przypomina najważniejsze wydarzenia z historii Polski, które ułatwiają zrozumienie kontekstu wydarzeń, poruszanych w rozmowie. Całość podzielono na pięć rozdziałów, z których

¹ Bogdan Rymanowski, Ubek, Poznań 2012. ISBN 978-83-7785-087-9 (oprawa miękka), ISBN 978-83-7785-111-1 (oprawa twarda).

każdy dotyczy innego etapu w życiu głównego bohatera: rozdział pierwszy – „Figurant”, drugi – „Agent”, trzeci – „Funkcjonariusz”, czwarty – „Zdemaskowany”, piąty – „Skruszony”. Ostatnie kilkadziesiąt stron książki (rozdział szósty – „Rachunek sumienia”), to trzy dłuższe końcowe rozmowy z byłym cennym agentem SB – Pawłem Mikłaszem, byłym podpułkownikiem SB – Antonim Rzeźniczkiem (rozmowa odbyła się w Wielki Piątek 2012 roku) i z samym Molką a także kilka krótkich wypowiedzi osób, które znały Molkę z czasów opozycyjnych i których wypowiedzi znajdują się także we wcześniejszych rozdziałach książki. Spis treści uzupełniają: prolog, epilog, postrscriptum i podziękowanie.

Książka napisana jest bardzo sprawnie, czyta się ją dobrze, co dodatkowo jest ułatwione przez podzielenie jej na krótkie podrozdziały o niewiele mówiących tytułach, np. rozdział drugi dzieli się na: „Gdańsk”, „Przysiek–Gdańsk–Warszawa”, „Gdańsk”.

Moja ocena całości materiału zebranego w książce jest niejednolita. Moim zdaniem najbardziej wartościowa część książki dotyczy okresu tzw. transformacji ustrojowej, tj. lat 1988–1990 (strony od 170 do 243). Obraz tego okresu, kreślony przez Rymanowskiego w oparciu głównie o relację Molki, jest radykalnie odmienny od tego, który jest lansowany w dotychczasowej historiografii. Gdy idzie o ten okres Molka podaje także najwięcej szczegółów a jego historia jest najłatwiejsza do zweryfikowania, co oznacza, że ma największy walor dokumentalny. To, o czym pisze Rymanowski, pasuje też do mojej wiedzy na ten temat, opartej o pamięć własną i relacje innych osób. Oto kilka fragmentów.

„Jancelewicz: Siedziałem na plebanii u Brygidy i redagowałem biuletyn strajkowy NZS. Dzień w dzień o dwudziestej przychodził Janusz [Molka], odbierał makietę pisma, a rano wydrukowany biuletyn hulał już po mieście. Bez pomocy SB byłoby to niemożliwe”².

² *Op. cit.*, s. 171.

„Molka: Atmosfera w kawiarni [chodzi o kawiarnię *Niespodzianka* na placu Konstytucji w Warszawie, gdzie znajdowała się nieformalna siedziba sztabu wyborczego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie w wyborach 4 czerwca 1989 roku] była niepowtarzalna. Pamiętam długie kolejki aż po plac Zbawiciela, w których ludzie stali po *Gazetę Wyborczą*. W kawiarni kręcił się Ryszard Zając, handlujący książkami we własnym kiosku³. Realizował wytyczne >kolegów<, którzy niekoniecznie byli sympatykami OKP. Przewalały się tam ogromne ilości gotówki, której nikt nie księgował. Szefem poligrafii był Paweł Mikłasz [TW >Jan Lewandowski<]. To jego ludzie wydrukowali słynny plakat >W samo południe< z Garym Cooperem, który nosi w klapie znaczek Solidarności. Posłużyła do tego maszyna typu Romayor, która obsługiwał wiecznie pijany drukarz, nasz agent”⁴.

„Molka: Polecenie podpułkownika Rzeźniczaka było jasne: *Będziesz prowadził kampanię wyborczą Jana Józefa Lipskiego*. Całą ekipę zorganizował Mikłasz. Prócz mnie było w niej pięciu agentów, jeden dużego formatu, nazwijmy go >panem W.<. (...) Przeciw liderowi PPS wystąpił kandydat prawicy, Jan Pająk [przewodniczący struktur NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność], popierany przez miejscowego biskupa (...). Lipski nie mógł być pewien wygranej. Bezpieka postanowiła pomóc. Molka: Byłem kimś w rodzaju ochroniarza Lipskiego. W środowisko jego poparcia zaangażowało się środowisko późniejszych au-

³ Ryszard Zając w l. 1985–1987 był zakonikiem w Zakonie Braci Mniejszych. W l. 1987–1989 był działaczem opozycji, redaktorem i wydawcą nielegalnego pisma „Bajtel”, pracownikiem podziemnego Wydawnictwa Prasowego „Myśl”. Za 1987 rok w kategorii „gazet – wolnych ptaków” wydawane przez niego pismo bezdebitowe otrzymało Nagrodę im. „Po prostu”, nielegalnego wówczas Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W 1989, podczas wyborów parlamentarnych, był kierownikiem Biura Wyborczego Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. We wrześniu 1989 odbył staż dziennikarski w Fundacji „Science Com” w Nantes (Francja) oraz w sekcji polskiej Radia *France Internationale* w Paryżu. W 1990 był współredaktorem „Bez Cenzury”, kolumny opozycyjnej w „Trybunie Śląskiej” oraz audycji w katowickiej TVP. W latach 90. zaangażował się po stronie SLD i środowisk antyklerykalnych, udzielał się m. in. na łamach tygodnika „NIE”. Był posłem SLD na Sejm RP II kadencji w l. 1993–1997. W 2001 był etatowym pracownikiem tygodnika „Fakty i Mity”.

⁴ B. Rymanowski *Ubek*, s. 187–188.

torytetów moralnych. Poznałem Kazimierza Kaczora i Zofię Kucównę, którzy jechali ze mną do Radomia, aby wspierać lidera socjalistów. Deklamowali patriotyczne wiersze, >ubogacając< wystąpienia Jana Józefa. Jeździliśmy samochodem, który prowadził W. Zabieraliśmy ogromne ilości plakatów i rozklejaliśmy na murach. Dostało się też Pająkowi. Sam zrywałem plakaty wiszące na jego lokalu wyborczym (...). Radomska operacja kończy się pełnym sukcesem. W wyborczej dogrywce Lipski pokonuje Pajaka, zdobywając mandat senatora w drugiej turze. Nie ma pojęcia o wsparciu, jakie otrzymał od tajnych służb”⁵.

„Molka: O umówionej godzinie zjawiłem się w pokoju numer czterysta pięćdziesiąt w nowym domu poselskim (...). Był to pokój Z. (...) oficjalnie parlamentarzysty Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, nieoficjalnie agenta Służby Bezpieczeństwa. Z. miał zakończyć swoją działalność w PPS i skupić się na operacjach wewnątrz OKP. Ja miałem przejąć jego rolę w PPS (...). Dał mi klucze do sejmowego pokoju i zapewnił, że mogę z niego korzystać, kiedy tylko zechcę. Byłem tak bezczelny, że przyjmowałem w nim kolegów z Gdańska. Kiedy przyjechał kapitan Domański [oficer SB z Gdańska, który prowadził Molkę]. Gdy zobaczył, dokąd go prowadzi opadła mu szczeka”⁶.

„Molka: (...) Szpotański [Janusz Szpotański, znany satyryk, autor poematu *Cisi i gęgacze*, za który w 1968 roku został skazany na 3 lata więzienia] nie był wyjątkiem. Mikołusz najpierw się z nim zaprzyjaźnił, a potem uzależnił go od pomocy finansowej. Podobną taktykę stosował wobec innych opozycjonistów. Na imieninach u Mikołusza bywała cała warszawka (...). Dzięki zyskom z druku podziemnych wydawnictw Paweł miał na garnuszkę całą masę działaczy. Osaczając >dobrocią<, wkupepywał się w ich łaski. Dawał im pieniądze, a później na nich donosił (...). Bardzo bliskim znajomym Mikołusza był Jan Lityński (...) Paweł z Jankiem byli ze sobą bardzo związani. Mikołusz otoczył Lityńskiego swoją >siatką< z Wałbrzycha, w której byli G. i Z. Był taki okres, gdy

Paweł wprost utrzymywał Janka, załatwiając mu jakąś fikcyjną posadę. Sytuacja Lityńskiego była bardzo niewygodna (...). Lityński: Osobiście sporo mu zawdzięczam. To dzięki Pawłowi Mikołuszowi wylądowałem na strajku w kopalni *Manifest Lipcowy* w 1988 roku. On zorganizował mi transport. Pomagał nie tylko mnie”⁷.

„Molka: Pomyślałem, że byłoby dobrze podrzucić im trochę spreparowanych i zmanipulowanych informacji, tak by dezorganizować działania związku. Operacja miała opierać się na zaufaniu, jakim darzy go Grzegorz Bierecki, mający zawsze otwarte drzwi do gabinetu Lecha Kaczyńskiego (...). Molka: Jeden raz udało mi się jednak wpuścić w maliny Lecha Kaczyńskiego. Zrelacjonowałem mu w fałszywy sposób przebieg strajków na Śląsku. Słuchał mnie uważnie, a ja umiejętnie sączyłem w niego półprawdy i kłamstwa”⁸.

„To był rozrywkowy Sejm. W pokojach wódka lała się strumieniami. Kontynuowaliśmy to, co wcześniej praktykowałem z Edmundem Krasowskim w Gdańsku. W jego sejmowym pokoju poznałem Jarosława Kaczyńskiego (...). Nie stronił od alkoholu”⁹.

Informacje nt. bliskich kontaktów Janusza Molki z braćmi Kaczyńskimi (w przeciwieństwie do informacji podanych wcześniej) są wprowadzić trudne do zweryfikowania (mamy tylko jednoźródłową i dość ogólnikową relację, czy może przechwałkę samego Molki), jednak jego bliskie kontakty z Grzegorzem Biereckim są faktem, który potwierdza zarówno sam Bierecki, jak i inne osoby. „Bierecki: Przedstawiał siebie jako ważny łącznik między Gdańskiem a Warszawą. Przechwalał się, że jest w szczególnie zażyłych stosunkach ze środowiskiem KOR, szczególnie z Janem Lityńskim. Powoływał się na informacje od niego. Wielokrotnie słuchałem opowieści o ich wspólnym pijaństwie (...). [Molka] był w stanie załatwić prawie wszystko. W każdej chwili gotów był podejmować ryzyko. Dostarczał ogromne ilości bibuły z wydawnictwa *Mysł* Pawła Mikołusza. Nie było żadnych problemów ze zorganizowaniem powiele-

⁵ *Op. cit.*, s. 188–190.

⁶ *Op. cit.*, s. 194–195.

⁷ *Op. cit.*, s. 201.

⁸ *Op. cit.*, s. 207–208.

⁹ *Op. cit.*, s. 198–199.

cza czy deficytowego wówczas papieru (...). Molka: Piłem z Bierackiem non stop. Dwa, trzy razy wybawiałem go od poważnego mordobicia w restauracjach. Przeżyliśmy razem niejedną przygodę (...). Leszek Bieracki: Janusz [Molka] z Grzegorzem [Bierackim] wypili morze wódki (...). To była nierozłączna para (...). Mariusz Popielarz: Razem jeździli *maluchem* Bierackiego. Miałem nawet pretensje do Grzeška [Bierackiego], że faworyzuje Molkego. Trzymał z nimi Przemek Gosiewski, który przyjechał do Gdańska w 1984 roku. Czuł się tutaj trochę jak na obcej ziemi i szybko znalazł się pod wpływem ich obu¹⁰.

Faktem jest także bliska znajomość Janusza Molki z Edmundem Krasowskim. „Krasowski poznał Molkę na początku 1988 roku (...). Kiedy szukał dobrego drukarza, przebywający w Gdańsku Jan Lityński polecił mu Janusza. Kanał wypalił. Krasowski robił makiety pisma, Molka je drukował. Nigdy nie było żadnej ingerencji w teksty¹¹.

„Jesienią 1988 roku (...) Januszowi Molce, reprezentującemu studencki biuletyn z Gdańska, wywiadów udzielają opozycyjne tuzy: Tadeusz Mazowiecki, Zbigniew Bujak i Bronisław Geremek. Rozmowy ukazują się w gazetce Niezależnego Zrzeszenia Studentów i stają się hitem. Molka: Geremek przyjął mnie w swoim domu. Wszystko nagrywałem oficjalnie na magnetofon kasetowy. Wywiady trwały dwie, trzy godziny. Natychmiast po skończonej rozmowie taśmy trafiały do SB, gdzie sporządzano z nich stenogramy. Moich szefów szczególnie zainteresowała rozmowa z Bujakiem. Utknęła ona u generała Sylwestra Paszkiewicza i ciężko było ją wyciągnąć. W gazetce ukazała się z poślizgiem, dopiero po kilku dniach¹².

Faktem jest także to, że obaj bracia Kaczyńscy mieli zaufanie do Janusza Molki, o czym świadczy relacja Krzysztofa Kozłowskiego, którą przytacza Rymanowski. Wprawdzie relacja ta pochodzi z książki wydanej w roku 2009 (a więc już po ujawnieniu przez Sławomira Cenckiewicza przeszłości Molki), jednak nigdy później żaden z braci Kaczyńskich

nie zaprzeczył publicznie tym informacjom. Kozłowski podaje: „W lipcu [1990 roku] przyszedł do mnie ktoś, powiedzmy pan X. [z innych fragmentów książki Rymanowskiego wynika, że w Sejmie kontraktowym zasiadało trzech kolegów Molki z gdańskiej opozycji: Krzysztof Dowgiałło, Czesław Nowak i Edmund Krasowski¹³, pierwszy związany później z UW a dwaj kolejni – z PC], z plikiem listów polecających od szefa Solidarności Trójmiasta, szefa Regionu Mazowsze, od Jana Józefa Lipskiego, od pewnego senatora z Gdańska i od jego brata bliźniaka, senatora z Elbląga. Wszyscy byli za – bo pan X. organizował w latach 80. osłonę kontrwywiadowczą Lecha Wałęsy, odpowiadał za łączność między Trójmiastem a Mazowszem, nie miał żadnych wpadek¹⁴.

Ten okres w życiu Molki kończy się w momencie, gdy złożył on podanie o pracę w UOP. Został wówczas zdemaskowany jako agent i oficer SB a jego podanie, mimo protekcji wielu ważnych osób (o czym wyżej), zostało odrzucone. Powody odmowy nie są jasne. Molka twierdzi, że otrzymał propozycję współpracy z UOP, jako jej agent i propozycję tę odrzucił. Konstanty Miodowicz i Wojciech Brochwicz, którzy mieli Molce złożyć taką ofertę, przeczą temu. Podobnie, obecni także przy tej rozmowie, Andrzej Milczanowski (ówczesny szef UOP) i Wiktor Fonfara (były esbek, ówczesny szef Biura Śledczego MSW). Jednak przy okazji potwierdzają oni fakt o wiele bardziej istotny, gdyż nie mający charakteru jednostkowego. Fakt, który do tej pory był znany z wiedzy nieoficjalnej, ale nigdy oficjalnie go nie potwierdzono. „Sporadycznie dochodziło do przerejestrowania tajnych współpracowników SB na agentów UOP – przyznaje [Miodowicz]¹⁵. „[Rymanowski:] – Były przypadki werbowania agentów SB na współpracowników UOP? [Milczanowski:] – No cóż, nie bardzo wypada mi na ten temat mówić. Powiem tak: nie widziałbym w tym nic złego. To jest oczywiste¹⁶.

Obraz transformacji ustrojowej w Polsce, jaki wyłania się z tych rela-

¹⁰ *Op. cit.*, s. 103–104.

¹¹ *Op. cit.*, s. 175.

¹² *Op. cit.*, s. 177.

¹³ *Op. cit.*, s. 198.

¹⁴ *Op. cit.*, s. 16.

¹⁵ *Op. cit.*, s. 309.

¹⁶ *Op. cit.*, s. 310.

cji, jest przygnębiający. Amatorszczyzna, naiwność i zwykła głupota tej części pozycji, która dogadała się z komuną w Magdalence i przy Okrągłym Stole, aż bije po oczach. I nie jest to hipoteza, czy subiektywna ocena, ale obraz zbudowany w oparciu o liczne wiarygodne i weryfikowalne fakty, które przytacza Rymanowski w książce.

Pierwsza część książki Rymanowskiego (od strony 44 do strony 169) dotyczy działalności Janusza Molke w Gdańsku w okresie od 1970 do 1987 roku. Te fragmenty książki wydają mi się dużo mniej wiarygodne od omówionych wyżej. Trudno powiedzieć, czy jest to wina Rymanowskiego, który pochodzi z Krakowa, pracuje w Warszawie i zapewne nie zna bliżej gdańskich realiów i który być może uznał te lokalne realia za mało interesujące dla czytelnika swojej książki, czy też jest to wina Molki, który o „złotym okresie” swojej działalności nie chciał opowiadać w szczegółach. Dość, że gdy idzie o ten okres otrzymujemy opowieść pełną niedomówień i ogólników, podlanych sosem kategorię ocen „ubeka”, które trudno uznać za przekonujące w takim stopniu, jak w przypadku omówionych wcześniej fragmentów książki. Być może gdyby Bogdan Rymanowski był bardziej dociekliwy, to Molke podałyby więcej szczegółów a jego relacje dotyczące tego okresu byłyby równie interesujące, jak te, które dotyczą lat 1988-1990.

Gdy idzie o lata 1983 (Molke został – wg papierów – zwerbowany przez SB 31 maja 1983 roku) – 1987 książka ma dość schematyczną konstrukcję. Poznajemy więc zwykle wersję Molki, dotyczącą, jakiegoś wydarzenia, czy jakiejś znajomości, następnie mamy wypowiedź działaczy opozycji na ten sam temat i przechodzimy dalej. Molka mówi ogólnikowo, ale podkreśla swoją skuteczność, wszechwiedzę i perfekcję w rozpracowaniu opozycji, jego koledzy z drugiej strony potwierdzają fakt znajomości i współpracy z Molką, również nie wchodzą w szczegóły, ale zapewniają o swoim profesjonalizmie konspiracyjnym, przestrzeganiu przez siebie reguł ostrożności i bagatelizują działania Molki. Robią tak kolejno: Grzegorz Bierecki („Nie miał dostępu do listy uczniów uczęsz-

czających na kurs. Była ona wyłącznie w moich rękach, dobrze tego pilnowałem”¹⁷), Andrzej Paczkowski („Owszem rozmawialiśmy o polityce, ale przecież nigdy nie ukrywałem swoich poglądów. Nie wiem, czy mówiłem mu o tym, kto nas finansuje. Zresztą nie była to jakaś straszna tajemnica”¹⁸), Edward Krzemień („Jego opowieści, że w moim mieszkaniu ukrywał się Bujak, to fantazje (...). Przez dwa tygodnie mieszkał u mnie na Ursynowie Janek Lityński. Na pewno Molke nie mógł o tym wiedzieć, bo mu się nie zwierzałem”¹⁹), Bogdan Borusewicz („Nie miałem do niego zaufania. Przeganiałem go”²⁰), Krzysztof Dowgiałło („Nie zwierzałem się Januszowi ze swej konspiracyjnej roboty. Był po prostu kolegą, który przychodził pogadać”²¹), Donald Tusk („Moim zdaniem SB nie wiedziała, że my robimy *Przegląd*”²²), Ewa Kubasiewicz („Mimo zaufania, którym go obdarzyłam, nigdy nie opowiadałam mu o tym, co robię, a byłam wówczas przecież po uszy zaangażowana”²³). Autor książki nie próbuje nawet rozstrzygnąć, która strona jest bliższa prawdy, nie draży szczegółów, nie prowadzi dziennikarskiego śledztwa, nie sięga do papierów wytworzonych przez SB, tylko podąża dalej, przedstawiając kolejny wątek. Przydatność takiego materiału dla historyka jest niewielka.

Omówię to na jednym przykładzie, którym interesowałem się nieco bliżej. Chodzi o Solidarność Walczącą w Trójmieście, która jest przedstawiana przez historyków z IPN²⁴, jako przykład radykalnej struktury SW, w ramach której „późną jesienią 1985 roku (...) utworzono ściśle zakonspirowaną grupę zdolną do prowadzenia działań sabotażowych. Gromadzono broń i materiały wybuchowe, podejmowano również uda-

¹⁷ *Op. cit.*, s. 102.

¹⁸ *Op. cit.*, s. 110.

¹⁹ *Op. cit.*, s. 121.

²⁰ *Op. cit.*, s. 131.

²¹ *Op. cit.*, s. 134.

²² *Op. cit.*, s. 138.

²³ *Op. cit.*, s. 149.

²⁴ Myślę na przykład o obszernym tekście Łukasza Kamińskiego i Grzegorza Waligóry w tomie 2. opracowania *NSZZ Solidarność 1980-1989*, Warszawa 2010, s. od 453 do 504.

ne próby produkcji broni”²⁵. Wersje tę podtrzymują i rozbudowują byli działacz SW²⁶. W ich książce mamy osobny podrozdział zatytułowany „Przygotowania do stawiania czynnego oporu”²⁷, zawierający wypowiedzi Kornela Morawieckiego („Byliśmy więc w latach 80. jedyna podziemną organizacją biorącą poważnie pod uwagę możliwość czynnej walki”²⁸), a także zdjęcia i schematy różnego rodzaju broni i materiałów wybuchowych. Na czele SW w Trójmieście stali: Ewa Kubasiewicz, Marek Czachor, Andrzej Kołodziej oraz Roman Zwiercan. Wszyscy oni pojawiają się w książce Bogdana Rymanowskiego, jako osoby rozpracowywane przez Janusza Molkę.

„Opozycja zdobyła (...) broń, dzięki której nie czuła się całkowicie bezradna. Był nią nasłuch częstotliwości, z których korzystała esbecja. Funkcjonariusze posługiwali się rutynową grypsersą, a używane przez nich zwroty były łatwe do rozszyfrowania. Nasłuch pozwalał zorientować się, gdzie w danej chwili są esbecy i kogo próbują osaczyć. Nasłuch prowadziła komórka „Solidarności Walczącej” oraz grupa kilku pań, będących już na emeryturze (...). W kontrwywiadowcze działania opozycji Molke wciągnął Antoni Wręga. Molka: Był gadatliwy. Gdy się napił, język latał mu jak łopata (...). Wkrótce Molka dowiedział się o przerzuconych z Zachodu skanerach, które namierzały częstotliwości powyżej 100 MHz, wykorzystywanych przez służby specjalne PRL (...). Molka: Wręga dał mi dwa takie urządzenia, miałem nasłuchiwać i notować. Chodziłem więc z tym skanerem po ulicach i słuchałem. Ale wcześniej przekazałem je naszej technice, aby SB mogła je gruntownie prześwietlić”²⁹.

„Na Kołodzieja naprowadził go [Molkę] syn Kubasiewicz, Marek Czachor. Pewnego dnia Molka zagadnął go, że prowadzi studia nad techniką, jakiej używa Służba Bezpieczeństwa. Czachor: Wspomniałem

o tym Kołodziejowi, ale z zastrzeżeniem, że to pewnie nic ciekawego, raczej amatorszczyzna. Niemniej zostawiłem mu namiar na Janusza. I to był mój błąd. Kołodziej złapał przynętę. Działacz *Solidarności Walczącej* skontaktował się z Molką i zaczął go odwiedzać. Molka: Przyszedł Kołodziej, włączał ten swój skaner, aby sprawdzić, czy nie ciągnie za sobą ogona. A w eterze nic. Kompletna cisza. Była cisza, bo zarządziłem, że ma być cisza. Andrzej nigdy nie wylewał za kołnierza. Parę razy go upiłem. Gdy wychodził ode mnie pijany, ledwo trzymał się na nogach, ale nikt nie próbował go związać. Zero reakcji. Wie pan dlaczego? Bo byłem cenniejszy dla bezpieki niż Kołodziej (...). [W 1987 roku] esbecja w znacznym stopniu rozbija oddział SW w Trójmieście (...). Do więzienia trafiają Roman Zwiercan i wspomniany Kołodziej. Odtworzeniem struktur próbuje zająć się Marek Czachor. Czachor: Chciałem wydrukować plakat w obronie Andrzeja [Kołodzieja]. Byłem jednak kompletnie odcięty od poligrafii, bo materiały do druku przekazywałem bezpośrednio Kołodziejowi. Wiedziałem, że Janusz [Molke] ma dostęp do drukarni. Kiedy poprosiłem o pomoc zgodził się i dostarczył mi plakaty. Jako tymczasowy szef SW w Trójmieście używałem pseudonimu Michał Kaniowski. Janusz zapytał mnie: „To ty jesteś Kaniowski, nie? Zaprzeczyłem, ale nie sądzę, żeby mi uwierzył. Ulotki w obronie aresztowanego przez SB Andrzeja Kołodzieja wydrukowała Służba Bezpieczeństwa”³⁰.

Tematu broni i materiałów wybuchowych, którymi dysponowała komórka SW w Gdańsku Rymanowski nie porusza. Ale jeden z jego rozmówców, ważny agent SB, Paweł Mikłasz, wypowiada następujące słowa: „Powiem panu coś. Molke miał za zadanie zrobić Solidarność w broń, żeby pokazać, że jest organizacją terrorystyczną”³¹. Z kolei Edmund Krasowski podaje: „W sierpniu 1988 roku Janusz [Molke] namawiał młodych chłopaków, żeby iść z kamieniami na komendę milicji. Podobnie było 11 listopada, gdy prowokował do uderzenia w posterunek przy Miodowej”³².

²⁵ *Op. cit.* str. 464.

²⁶ Andrzej Kołodziej, Roman Zwiercan, *Solidarność Walcząca. Oddział Trójmiasto. 1982–1990*, Kościerzyna 2012

²⁷ *Op. cit.*, s. od 166 do 188.

²⁸ *Op. cit.*, s. 167.

²⁹ B. Rymanowski, *Ubek*, s. 97–98.

³⁰ *Op. cit.*, s. 149–150.

³¹ *Op. cit.*, s. 272.

³² *Op. cit.*, s. 274.

Część przytoczonych wyżej faktów jest prawdziwa, gdyż potwierdzają je działacze Solidarności Walczącej z Trójmiasta. Prawdą są więc bliskie kontakty wymienionych wyżej działaczy SW z Molką. Prawdą są ich wpadki w roku 1987. Prawdą jest nawet, że ulotki w obronie Andrzeja Kołodzieja wydrukowała Służba Bezpieczeństwa (Roman Zwiercan: „Wiemy z doświadczenia, że nawet ubecy drukowali dla nas”³³). Trudno jednak na podstawie przytoczonych tu faktów przesądzić o skali rozpracowania trójmiejskiej Solidarności Walczącej przez Służbę Bezpieczeństwa. Czy Molka się przechwala i przecenia swoje wpływy i możliwości, czy też działacze trójmiejskiej SW nieświadomie grali role rozpisane dla nich przez Służbę Bezpieczeństwa i suflowane im przez agenta bezpieki? A może prawda leży gdzieś pośrodku? Bez szczegółowych badań na ten temat (których nie podjął ani Rymanowski w swojej książce, ani historycy z IPN, ani byli działacze SW) każda z tych hipotez jest uprawniona.

Z tego punktu widzenia książkę Bogdana Rymanowskiego, w tej części, można jedynie uznać za zachętę do dalszych badań historycznych, które – w przeciwieństwie do tych, prowadzonych do tej pory – winny cechować się szczegółowością, drobiazgowością i precyzją. Idzie tu nie tylko o historię trójmiejskiego oddziału Solidarności Walczącej, ale także o historię innych trójmiejskich struktur opozycyjnych, które penetrował Molka, a mianowicie struktur Solidarności a zwłaszcza NZS. Zachętą do tego typu badań mogą być słowa pułkownika SB Antoniego Rzeźniczka, które przytacza Rymanowski: „Na terenie Gdańska Molka był dobry, ponieważ funkcjonował w swoim naturalnym środowisku (...). W całym kraju były tylko cztery takie przypadki, żeby agent bezpieki został po jakimś czasie jej funkcjonariuszem. To była rzecz absolutnie wyjątkowa”³⁴. Poznanie szczegółów tej historii jest dla pełnego i prawdziwego obrazu trójmiejskiej opozycji koniecznością.

³³ *Solidarność Walcząca w Trójmieście. Materiały z konferencji zorganizowanej z okazji 25-lecia*, Warszawa 2012, s. 42.

³⁴ B. Rymanowski, *Ubek*, s. 276.

Ogólnikowość książki Bogdana Rymanowskiego powoduje, że szereg stwierdzeń i opinii Molki, przytoczonych w książce „Ubek”, pozostaje gołosłownymi i nieuprawnionymi. Moim zdaniem Bogdan Rymanowski powinien zrezygnować z ich przytaczania, gdyż mimowolnie stał się narzędziem w rękach swego rozmówcy, narzędziem służącym do dezinformacji czytelników oraz do szkalowania ludzi, którzy walczyli z systemem. Oto kilka przykładów.

„Molka: Widziałem na własne oczy, jak niektórzy działacze oszukiwali na kasie. Sam ich zresztą do tego zachęcałem. Widziałem, jak w dużych oficynach podziemnych znikają wielkie pieniądze. Niejeden z opozycjonistów był cynicznym kanciarzem, który rabował związkowe pieniądze a potem szlała się po drogich knajpach. Ze zrozumiałych względów nie podaje nazwisk. Niektórzy z nich należą do finansowo-politycznej elity i zbyt wiele dziś mogą. W podziemiu, jak w każdym środowisku, dochodziło do przekrętów i zwykłych kradzieży. Molka: Jednemu z działaczy dałem kiedyś świetny słowacki plecak, a w nim mnóstwo książek. Kilka razy prosiłem go o zwrot, ale on wykręcał się sianem. Plecak już do mnie nie wrócił. Napisałem raport do przełożonych, aby zwrócili mi za niego pieniądze. W końcu kasę oddała mi SB, wykonywałem przecież >prace zlecone na rzecz Solidarności<. To był istny Kafka”³⁵.

„Molka: Bezcenne były informacje na temat dewiacji seksualnych. Gdy dowiedziałem się, że ktoś jest homoseksualistą, raportowałem o tym >górze<. W podziemiu na porządku dziennym były zdrady małżeńskie. Gdy człowiek się ukrywa i jest osaczony, moralne hamulce puszcza. Esbeckie teczki pełne są tak zwanej obyczajówki. A to X. miał dziecko z ukrywającą go Z., o czym nie wiedziała żona. To znowu Y. lubił zabawiać się w hotelach z prostytutkami (...). Fachowcy od >techniki< potrafili wejść do każdego mieszkania i bez problemu zainstalować kamery w sypialni znanego opozycjonisty. W teczkach niektórych z nich, zajmujących dzisiaj eksponowane stanowiska, znajdują się zdjęcia z seksu-

³⁵ *Op. cit.*, s. 145.

alnych orgii. Molka: Pocieszałem się, że nie jestem taki zły, skoro pracuję przeciwko dziwkarzowi, złodziejowi czy pijakowi. *Wsio Jewrej* [Wszyscy Żydzi], jak mawiają Rosjanie”³⁶.

„Molka: (...) Wyżsi oficerowie zapraszali znanych opozycjonistów, serwując im kawę z koniakiem. O żadnym protokolowaniu rozmów nie było mowy. To był tak zwany dialog. Słyszałem o nietuzinkowych postaciach opozycji, które prowadziły go przez wiele lat. Nie wymieniam nazwisk, bo chce jeszcze trochę pożyć w spokoju. Formalizowania tego rodzaju współpracy unikano jak ognia. To była przecież >towarzyska< rozmowa, powodowana troską o przyszłość ukochanej ojczyzny. Niektórym z tych osób bezpieczeństwa przypisała później status konsultanta”³⁷.

„Kiedy pytam o wiarygodność archiwów SB, odpowiada bez zastanowienia. – Teczki w znakomitej większości są wiarygodne. Ciężko było stworzyć fikcyjną agenturę, gdyż przełożony oficera prowadzącego w każdej chwili mógł zażądać spotkania kontrolnego z agentem. Ze mną takie spotkania odbywał pułkownik Ring, szef gdańskiej SB. Każdą otrzymaną informację mogli zweryfikować. Esbecy to byli fachowcy, nie wytwarzali gównianych dokumentów. Molka swój wywód kończy opinią, że bezpieczeństwa jako jedyna instytucja zachowała sprawność na tonącym statku, jakim pod koniec lat 80. był już PRL. – Nie byłoby to możliwe, gdybyśmy pracowali na fałszywych papierach. Kto mówi, że jest inaczej, ma trupa w szafie – dodaje z przekonaniem”³⁸.

„– Wiedzieliśmy, że ideologicznie komuna już dawno się skończyła. To my podtrzymywaliśmy cały ten burdel przy życiu. Byliśmy kropłówką ustroju. Wszystko wokół mnie wydawało się wtedy takie ułomne i skarłate, jak na obrazie *Ecce Homo* Hieronima Boscha. Ryje powykrzywane, mutanty, kurwy, malwersanci, odwetowcy i szpiedzy CIA. Byłem przekonany, że nas, *rycerzy bezpieczeństwa*, otacza paskudny, ohydny świat (...). Wbrew pozorom, schyłkowy PRL był straszny. Społeczeństwo toczyła gangrena, a jej zasięg był większy, niż się nam wydaje. Państwo z każdym

mogło zrobić wszystko. Pozbawić pracy, rodziny, mieszkania. Przemieścić i zetrzeć na proch. Wielu się zeświniło i nie chcemy przyjąć tego do wiadomości. Wie pan dlaczego? Bo było gorzej, niż można sobie wyobrazić. Zadowalały się półprawdami albo kłamstwami o powszechnym oporze społecznym. Budujemy pomniki ludziom, którzy na to nie zasługują. Nie wiem po co, ale na pewno nie w imię prawdy historycznej”³⁹.

Gdy z Maciejem Gawlikowskim pisaliśmy książkę „Gaz na ulicach”⁴⁰ również wykorzystywaliśmy wypowiedzi byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa oraz Wojskowej Służby Wewnętrznej, z którymi rozmawiał Maciek. Trzech z nich udzieliło obszernych wypowiedzi: porucznik SB Zdzisław Celban, który rozpracowywał krakowską KPN w latach 1981–1987, kapitan SB Andrzej Mleczo, który był zastępcą naczelnika Wydziału V krakowskiej SB oraz major komunistycznego WP Bronisław Ryczek, który rozpracowywał krakowską KPN z ramienia WSW. Przyjęliśmy zasadę, że cytujemy tylko te ich wypowiedzi, które w jakiś sposób dawały się zweryfikować oraz, że interesują nas ich relacje o faktach a nie ich opinie o opozycji. Chodziło o to, aby nie dać się im wykorzystać w jakiejś grze, w których prowadzeniu mają oni duże doświadczenie

Postawa Bogdana Rymanowskiego, który zacytowane wyżej fragmenty jednak zamieścił w książce, jest tym dziwniejsza, że jego rozmówca w kilku wypowiedziach sygnalizuje, że był ideowym esbekiem, nadal utożsamia się ze Służbą Bezpieczeństwa a poza tym umie manipulować ludźmi i sprawia mu to dużą przyjemność.

„Molka: Miałem satysfakcję, że jestem lepszy od takich gości, jak Onyszkiewicz, Kaczyński czy Geremek. Wodziłem ich za nos. Ogrywałem ludzi, którzy byli na ustach całego kraju. Potrafi pan wyobrazić sobie to uczucie? To była prawdziwa wojna mózgów. Taka wielopiętrowa rozgrywka”⁴¹. „Wówczas byłem ideowym ubekiem. Nienawidziłem

³⁶ *Op. cit.*, s. 146.

³⁷ *Op. cit.*, s. 163–164.

³⁸ *Op. cit.*, s. 179.

³⁹ *Op. cit.*, s. 290.

⁴⁰ Mirosław Lewandowski, Maciej Gawlikowski, *Gaz na ulicach. KPN w Krakowie. Stan wojenny 1981–1982*, Kraków 2011, t. 1–2.

⁴¹ B. Rymanowski, *Ubek*, s. 19.

solidaruchów”⁴². „Teraz za zdrajcę uważają mnie koledzy z bezpieki. Ale w tym drugim przypadku o zdradzie nie ma mowy”⁴³.

I jeszcze jedno. Rymanowski cytując te różne gołosłowne i krytyczne opinie Molki na temat opozycji nie zaznacza swojego dystansu do tych wypowiedzi. Podaje je tak, jakby się z nimi pełni utożsamiał i uważał je za wiarygodne. Niekiedy nawet nie są to cytaty, ale zdania pisane jako komentarz autora! Wydaje się to być świadomym zabiegiem dziennikarskim, rodzajem prowokacji, gdyż Rymanowski konsekwentnie cały czas unika wartościowania Molki czy dystansowania się wobec jego wypowiedzi. Dopiero pod koniec książki, w podrozdziale zatytułowanym „Postrscriptum”⁴⁴ autor ujawnia swoją ocenę „ubeka” jako człowieka i tam pojawiają się oceny negatywne („nie ma żadnego usprawiedliwienia dla krzywd, które wyrządził”), ale także – co budzi moje zdumienie – oceny pozytywne („To, co robi on dzisiaj zasługuje na szacunek”). Do tej kwestii wrócę jeszcze w końcowej części recenzji.

Spośród tych wszystkich ogólnych opinii Molki pod jedną mógłbym się podpisać bez zastrzeżeń, choć i ona nie znajduje w książce jakiegokolwiek uzasadnienia. W tym zakresie wystarcza jednak wiedza powszechnie dostępna.

„Przed sierpniem `80 każde zatrzymanie i przeszukanie wymagało akceptacji Tadeusza Fiszbacha, ówczesnego sekretarza PZPR w Gdańsku. Podobnie było na szczeblu centralnym, takie sprawy wałkowano na Biurze Politycznym. Do 1980 roku opozycja była nieliczna, więc personaliami zajmowano się na samej .górze,. Po 1989 roku przeprowadzono u nas podobny zabieg jak w Norymberdze. Dla mnóstwa Niemców było wygodne, że tylko NSDAP i jej agendy obciążono zbrodniami. Reszcie Niemców dało to podstawę do prowadzenia kam-

⁴² *Op. cit.*, s. 295.

⁴³ *Op. cit.*, s. 19.

⁴⁴ *Op. cit.*, s. 317 i nast.

panii *to przecież nie my*. Komunie również się upiekło. Warszawski salon zaakceptował ludzi takich jak Miller, Kwaśniewski, Oleksy i całą tę bandę. Zapomina się, kto wydawał rozkazy. To była *matka nasza* – partia (...). Ustawiając SB w roli chłopca do bicia, pozwala się wysokim działaczom PZPR brylować na salonach. Niech pan pamięta, że w tym kraju rządziła partia, jej władze centralne, które miały sowieckiego mocodawcę. Służba Bezpieczeństwa do końca wykonywała polecenia PZPR i była kontrolowana przez partyjny aparat. Wewnątrz samej SB były organizacje partyjne, a z zewnątrz komitety wojewódzkie. Była ścisła koordynacja i podległość (...). Dawni konspiratorzy mają syndrom bezpieki. Ich bezpośrednim wrogiem – co zrozumiałe – był agent i funkcjonariusz. Lecz bezpieka była tylko mieczem, a ręką, która go trzymała, była partia”⁴⁵.

Trzecia część książki Bogdana Rymanowskiego (poczynając od strony 247), to próba (psycho)analizy Janusza Molki przeprowadzona według schematu znanego nam z powieści Dostojewskiego „Zbrodnia i kary”. Cała książka zresztą jest oparta na tej konwencji, o czym świadczy już jej podtytuł: „Wina i skrucza”. Moim zdaniem to jest najślabsza część „Ubeka”. Prawdopodobnie autor uznał, że warstwa historyczna książki będzie dla większości czytelników nie dość interesująca i zdecydował się „podlać” całość „sosem” rodem z XIX-wiecznych powieści sentymentalnych. W gatunku tym zdarzały się wprawdzie arcydzieła, jak „Wichrowe wzgórza” Emiliy Brontë, ale ta płaszczyzna „Ubeka” bliższa jest raczej kiczowatej powieści Heleny Mniszkówny „Trędowata”.

Mamy więc deklaracje samego Molki o tym, że zrozumiał, że żałuje i że potępia tamten okres swojego życia.

„Byłem skurwysynem. Oddanym sługą reżymu. Ideowym i ofiarnym ubekiem. Człowiekiem bezwzględny i cyniczny”⁴⁶. „Nie jestem

⁴⁵ *Op. cit.*, s. 297–298.

⁴⁶ *Op. cit.*, s. 12.

dumny z tego, co robiłem. Wstydę się tego”⁴⁷. „Moje życie, to studium upadku człowieka”⁴⁸. „Pracowałem w formacji obrzydliwej”⁴⁹.

Mamy deklaracje jego znajomych, dawnych opozycjonistów, którzy opowiadają o nawróceniu Molki i deklarują swoje przebaczenie.

„[Elżbieta] Murawska: Całe moje chrześcijaństwo nie byłoby warte funta kłaków, gdybym go odepchnęła (...). Takiego człowieka łatwo jest zranić i spowodować, że zamknie się w sobie. Janusz nazwał rzeczy po imieniu i zapewnił, że nie wykorzystał tego, o czym rozmawialiśmy. Ja mu wierzę”⁵⁰.

„[Beata] Szmytkowska: To, co mówi, jest szczere. Taka postawa wymaga odwagi i zasługuje na szacunek. Nie każdego na to stać”⁵¹.

„Andrzej Paczkowski: Nie był wylewny, ale przeprasiny odebrałem jako autentyczne (...). Wybaczenie nie przyszło mi ciężko, bo osobiście nic złego mi nie zrobił”⁵².

„Magda Czachor: (...) Znowu prosił o wybaczenie. Powiedziałam mu, że zakładam jego dobrą wolę. Ale jeżeli zdradzi nas po raz drugi, to będzie koniec. Powiedziałam, że jak patrzę mu w oczy, to widzę w nich coś dobrego. I nawet się serdecznie uściskaliśmy”⁵³.

„Marek Czachor: Poczucie winy Janusza wydaje się być autentyczne. Sporo wycierpiał, a teraz ściąga na siebie całe odium nieujawnionej agentury”⁵⁴.

Problem jednak w tym, że Molka w niektórych przypadkach nie prosi o przebaczenie, on jego żąda. Gdy jedna z jego dawnych ofiar, Janina Wehrstein nie chce z nim rozmawiać, Molka dzwoni do niej ponownie i krzyczy do słuchawki: „- Dlaczego nie chce mi pani przebaczyć? To jest

przecież chrześcijańska powinność!”⁵⁵. Podobną relację przedstawia Marek Czachor: „Zadzwoił do mnie, wyrażając pretensje do mojej mamy, bo stwierdziła, że mu nie ufa. Po pierwsze, powiedziałem, że takich rzeczy jemu mówić nie wypada. Po drugie, wydało mi się to nieautentyczne. Nie spodobał mi się jego ton. Tak, jakby domagał się wybaczenia także od naszych krewnych. A to przecież sprawa indywidualna”⁵⁶.

Problem w tym, że Molka nie chce powiedzieć całej prawdy o swojej pracy w SB. Na wiele pytań Bogdana Rymanowskiego odmawia odpowiedzi.

„[Molka do Rymanowskiego]- Znamy się trochę i chyba pan wie, że jak mówię *nie*, to znaczy *nie*. – Nie chce pan powiedzieć dlaczego? – Tak, dokładnie. Prawidłowe ujęcie tematu”⁵⁷.

„Gdy pytam o tajnych współpracowników, Molka jest nadzwyczaj powściągliwy. Na każdym kroku udowadnia, że nie zasypiał na szkoleniach i potrafi trzymać gębę na kłódkę (...). – Ujawni pan agentów – pytam. – Pewnych nazwisk nigdy nie wymienię. – Nadal obowiązuje pana omerta? – Bo nie upadłem jeszcze na głowę”⁵⁸.

„Wiem, że pewni ważni agenci ulokowani w Solidarności odbywali spotkania z oficerami wywiadu sowieckiego. To było na przełomie lat 1989 i 1990. Na alei Szucha było sowieckie przedstawicielstwo handlowe, gdzie odbyło się wiele takich rozmów. Nie będę mówił o nazwiskach. To są zbyt poważne sprawy, a ja chcę jeszcze trochę pożyć”⁵⁹.

To, co mówi o swojej pracy w SB, nawet dzisiaj, nasycone jest niechęcią czy wręcz nienawiścią do swych dawnych ofiar.

„Molka [o naukach swego duchowego nauczyciela – kapitana SB Antoniego Domańskiego – który był jego oficerem prowadzącym]: Postrzegaliśmy opozycję jako zbiorowisko mętów. Cóż to za patrioci, mówił, skoro jeden to dziwkarz, drugi złodziej, trzeci pedał, a czwarty cholera wie co.

⁴⁷ *Op. cit.*, s. 289.

⁴⁸ *Op. cit.*, s. 294.

⁴⁹ *Op. cit.*, s. 298.

⁵⁰ *Op. cit.*, s. 247.

⁵¹ *Op. cit.*, s. 252.

⁵² *Op. cit.*, s. 252.

⁵³ *Op. cit.*, s. 254.

⁵⁴ *Op. cit.*, s. 282.

⁵⁵ *Op. cit.*, s. 250.

⁵⁶ *Op. cit.*, s. 255.

⁵⁷ *Op. cit.*, s. 66.

⁵⁸ *Op. cit.*, s. 177.

⁵⁹ *Op. cit.*, s. 213.

Tłumaczył, że opozycjoniści, to interesowni kolesie, chodzący na pasku amerykańskiego wywiadu. Nie walczą o niepodległość, tylko o stołki. A ja, gorliwy neofita, łykałem te prawdy i na kolegów z podziemia zacząłem patrzeć podobnie. Ten wydał znaczki na własną rękę i wziął pieniądze dla siebie. Inny ma kochankę, która utrzymuje ze związkowej kasy. Zacząłem w nich dostrzegać same zło. Nasiąknąłem ubeckim punktem widzenia⁶⁰.

„Byłem ideowym ubekiem. Nienawidziłem solidaruchów”⁶¹.

„Chwała tym, którzy wytrwali. Lecz było ich niewielu”⁶².

O swoich dawnych zwierzchnikach z SB wypowiada się z szacunkiem i aprobatą, czego nie można powiedzieć o jego wypowiedziach na temat działaczy opozycji. Oficerowie SB – w relacji Molki – to ludzie niezwykli: „wyjątkowo utalentowani”, jak kapitan Antoni Domański⁶³, „inteligentni”, jak pułkownik Antoni Rzeźniczek⁶⁴, Molka wspomina ich rozrzewnieniem, jak pułkownika Wacława Króla⁶⁵.

Bogdan Rymanowski z jednej strony nie ukrywa tych wszystkich wypowiedzi Molki, które stawiają pod znakiem zapytania autentyczność jego „nawrócenia” i skrucy, ale z drugiej jednoznacznie opowiada się za wersją, wedle której Molka rzeczywiście zmienił się wewnętrznie i obecnie jego postawa zasługuje na szacunek. Pada nawet określenie „Janusz Molka jest czarnym charakterem, ale i postacią tragiczną”⁶⁶. Rymanowski popada przy tym w sporą przesadę, uciekając się do biblijnych analogii.

„Czy Prawo nasze potępia człowieka, zanim go wpierv przesłucha i zbada co czyni? – zapytał Nikodem kapłanów i faryzeuszów, kiedy ci chcieli pochwyć Jezusa. Nawet oni poczuli się zawstyżeni, ponieważ wiedzieli, że nie można potępiać człowieka, zanim nie dojdzie do jego

przesłuchania, przytoczenia faktów oraz wysłuchania świadków oskarżenia i obrony”⁶⁷.

Podobny ton kaznodziejski pojawia się zresztą już na wstępie „Ube-ka”, który rozpoczynają dwa cytaty z Ewangelii, odgrywające jakby rolę motta. „I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” oraz „Piotr zbliżył się do Jezusa i zapytał: Panie, ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie? Czy aż siedem razy? Jezus mu odrzekł: Nie mówię ci, że aż siedem razy, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy”⁶⁸.

Mógł też autor darować sobie efekciarski i fałszywy (moim zdaniem) list Molki do Czesława Kiszcza⁶⁹, czy też swoje niestosowne refleksje związane z Molką zaraz po Katastrofie Smoleńskiej („Kilka godzin później, już po lekturze listy dziewięćdziesięciu sześciu ofiar tragedii, uświadomiłem sobie, że bezpowrotnie utraciłem szansę na uzyskanie relacji kilku ważnych świadków tej historii. Rozmowy z nimi odkładałem na później. To był błąd. W czasach konspiracji wszyscy czworo – Kaczyński, Rybicki, Gosiewski, Gęsicka – współpracowali z Januszem Molką. Niektórzy nawet bardzo blisko. Dobrze go znali. Mogliby o nim bardzo dużo powiedzieć. Niestety to już niemożliwe”⁷⁰).

Moim zdaniem trafna wydaje się opinia Grzegorza Biereckiego, cytowana w książce. „Nie chce się z nim spotykać. Mam wrażenie, że chciałby jakoś wyłudzić to przebaczenie. W ten sposób dałbym mu poczucie kolejnej wygranej. Żeby wybaczenie miało sens, musi być powiązane ze skruchą i pokutą (...). Nie wierzę w jego wewnętrzną przemianę. Myślę, że nadal jest w orbicie służb. Jego osoba i historia mogą być używane do kompromitowania innych”⁷¹.

Przede wszystkim jednak uważam, że próba osądzenia Molki w tej książce jest zbędna i niepotrzebna. Aby taki „sąd nad Molką” był rzetelny a nie zdawkowy potrzebowalibyśmy dużo więcej danych, a tych

⁶⁰ *Op. cit.*, s. 87–88.

⁶¹ *Op. cit.*, s. 295.

⁶² *Op. cit.*, s. 291.

⁶³ *Op. cit.*, s. 87.

⁶⁴ *Op. cit.*, s. 147.

⁶⁵ *Op. cit.*, s. 107.

⁶⁶ *Op. cit.*, s. 318.

⁶⁷ *Op. cit.*, s. 318–319.

⁶⁸ *Op. cit.*, s. 7.

⁶⁹ *Op. cit.*, s. 264–266.

⁷⁰ *Op. cit.*, s. 267.

⁷¹ *Op. cit.*, s. 258.

brakuje. M.in. potrzebowalibyśmy więcej informacji o rodzinie i środowisku Molki, w którym dorastał a także o nim samym. Niektóre ze skąpych informacji, które podaje na ten temat Rymanowski są niepokojące: ojciec ewidencjonowanych przez SB jako TW, żona zatrudniona w milicji⁷², brat ojca – oficer komunistycznego wojska⁷³, Molka używający w czasach PRL niemieckiego brzmienia swojego nazwiska – Molke⁷⁴, noszący na palcu pierścion SS⁷⁵, fascynujący się III Rzeszą⁷⁶ i głoszący antysemickie hasła⁷⁷, starania Molki o pracę w MO po zakończeniu studiów⁷⁸. Rymanowski wspomina też kilkakrotnie o jakiejś tajemnicy, której ujawnienie przedstawiłoby Molkę w korzystniejszym świetle⁷⁹, jednak tajemnicy tej nie ujawnia. To po co w ogóle o tym pisać?

Molkę i innych podobnych mu komunistycznych zbrodniarzy powinny osądzić sądy III Rzeczypospolitej. Powinny zapisać sprawiedliwe i surowe wyroki, a ludzie ci powinni odbyć (przynajmniej część) kary. Przy podejmowaniu decyzji o ich ew. przedterminowym warunkowym zwolnieniu powinno brać się pod uwagę m.in. to, czy szczerze ujawnili wszystkie okoliczności swej zbrodniczej działalności. Powinni też być poddani resocjalizacji, aby zrozumieli na czym polegało zło, które czynili. Powinni wreszcie zadośćuczynić krzywdy wyrządzone swoim ofiarom i zostać pozbawieni korzyści majątkowych, które uzyskali dzięki pracy w przestępczej instytucji, jaką była SB. Po spełnieniu tych warunków skrucza Molki i innych „ubeków” oraz ich prośby o wybaczenie miałyby sens. Dziś, gdy Molka mieszka nadal w warszawskim mieszkaniu, przydzielonym mu przez komunistyczne MSW, gdy od dawna jest na emeryturze, uprzywilejowanej emeryturze i jeździ na wycieczki w Alpy, jego żądania przebaczenia skierowane do ofiar, z których wiele żyje za-

pewne w nędzy, są kpina z zasad, na jakich oparte jest chrześcijaństwo. Nie ma i nie powinno być taniego przebaczenia, które oferuje Molce Rymanowski. Ocenę szczerości nawrócenia Molki pozostawmy Panu Bogu na Sądzie Ostatecznym.

Moim zdaniem, lepiej byłoby, gdyby książka „Ubek|” została napisana w innej konwencji, a mianowicie jako obraz killkunastu ostatnich lat PRL pokazanych z perspektywy byłego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa i z zaznaczeniem, że jest to obraz skrzywiony i niepełny a więc fałszywy. Tylko tyle i aż tyle. Bez taniego osądzania i łatwego wybaczenia. Bogdan Rymanowski zdecydował inaczej i – moim zdaniem – popełnił błąd.

Pomimo tych uwag krytycznych uważam, że książka Bogdana Rymanowskiego to cenna lektura i każdy, kto interesuje się najnowszą historią Polski powinien ją bardzo uważnie przeczytać, zachowując dystans i konieczny krytycyzm, do przytoczonych w książce wypowiedzi „ubeka”.

⁷² *Op. cit.*, s. 300.

⁷³ *Op. cit.*, s. 42.

⁷⁴ *Op. cit.*, s. 41.

⁷⁵ *Op. cit.*, s. 22.

⁷⁶ *Op. cit.*, s. 295.

⁷⁷ *Op. cit.*, s. 51.

⁷⁸ *Opp. cit.*, s. 58.

⁷⁹ *Opp. cit.*, s. 50, 78, 304 i 320.

INSTYTUT HISTORYCZNY NN IM. ANDRZEJA OSTOJA-OWSIANEGO
jest
organizacją pożytku publicznego

Nasze działania nie byłyby możliwe
bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców

Aby przekazać

1%

wystarczy numer KRS – 0000331920

SZANOWNI PAŃSTWO!

Wśród wielu organizacji społecznych realizujących misję użyteczności publicznej, które zasługują na wsparcie, szczególne miejsce zajmują te, które nie stawiają sobie celów doraźnych, ale inwestują swoją pracę i zaangażowanie wolontariuszy w przyszłość Polski i Polaków. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja-Owsianego, głosząc za Adamem Skwarczyńskim, że „żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębię życia jego organizm...”, upatruje swoją misję w pracy organicznej na rzecz polskiej tożsamości i polskiej wspólnoty narodowej, przywołując i utrwalając pamięć o zdarzeniach, ludziach i miejscach związanych z historią Polski. Jest nas już wielu, którzy uważają, że warto bezinteresownie angażować się na rzecz spraw wspólnych, oddawać swój czas i swoją pracę. Dziś chcemy zaproponować Państwu włączenie się w sukces naszego stowarzyszenia przez udział w akcji 1% dla Instytutu. Choć nie wymaga to wielkiego wysiłku, to ma to dla nas ogromne znaczenie, potwierdzając celowość prowadzonej przez nas działalności.

Środki, które wpłyną do Instytutu w ramach akcji 1% zostaną w całości przeznaczone na działalność wydawniczą i edukacyjną!

REGON – 100794445
NIP – 7252015134

Konto:
PKO Bank Polski

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251